

JOAKIM ZANDER

PŁYWAK



JOAKIM ZANDER

PŁYWAK

Przełożył ze szwedzkiego
Wojciech Łygaś



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Dla Liisy, Milli i Lukasa

Around us, the madness of empires continues
Jane Hirschfield

Lipiec 1980 roku

Damaszek, Syria

Za każdym razem, gdy cię obejmuję, robię to po raz ostatni. Wiem o tym od samego początku. Kiedy wróciłaś, a ja wziąłem dziecko w ramiona, potrafiłem myśleć tylko o jednym: że trzymam je na rękach ostatni raz.

Patrzysz na mnie oczami, które mają moc oczyszczania, jak obietnica deszczu, i wiem, że ty wiesz. Że wiedziałaś od samego początku, tak jak ja. O mojej zdradzie. Akurat teraz, gdy jesteśmy ze sobą tak blisko, że czujemy jej cuchnący oddech, nieregularny rytm jej serca.

Dziecko kwili w kołysce, więc wstajesz, ale ja jestem pierwszy. Podnoszę je, tulę do piersi. Przez cienki jasnoniebieski koc, który utkała twoja mama, czuję jego oddech, przyspieszony rytm serca. Serce dziecka jest też moim sercem. Nie ma wytłumaczenia dla człowieka, który porzuca kogoś, kto jest z nim połączony więzami krwi. Nie da się tego w żaden sposób usprawiedliwić. Jeśli ktoś to robi, to znaczy, że po prostu przybiera zwykłą pozę albo wspina się na różne poziomy kłamstwa. Mnie udało się opanować obie te umiejętności.

W mieście panuje niesamowity upał. Po dwóch miesiącach zabójczej suszy ulice są gorące jak lawa. Kiedy zapada wieczór, przestaje być szare albo beżowe, staje się przezroczyste, wyczerpane, wysuszone, drżące jak galareta. Nikt tu jasno nie myśli. Wszędzie śmierdzi śmieciami, spalinami, czosnkiem i kminkiem. Ale ja czuję tylko zapach dziecka. Zamykam oczy i nabieram głęboko powietrza, przyciskając nos do jego prawie całkowicie pozbawionej włosów główki. Dziecko nadal jest ciepłe. Nawet zbyt ciepłe. Gorączka nie ustępuje.

Mówisz, że trwa to już trzy dni. Słyszę, jak grzebiesz w szafkach, szukając aspiryny albo innego lekarstwa. Co za upał! Doprowadza nas do szaleństwa. Oboje wiemy, że w moim mieszkaniu żadnego lekarstwa nie znajdziesz. Zresztą po co my tu w ogóle jesteśmy?

– Daj mi kluczyki do samochodu – mówisz i machasz ręką jak sprzedawcy na bazarach, gdy proszą o pieniądze. A gdy się waham, reagujesz bardziej gwałtownie: – Daj mi te cholerne, pieprzone kluczyki!

Twój głos jest o jedną oktawę wyższy, wyczuwam w nim rozpacz.

– Chwilę, poczekaj. Nie lepiej, żebym to ja... – zaczynam.

Dziecko leży spokojnie na moich rękach. Oddycha tak płytko, że trudno to nawet zauważyć.

– A jak, do cholery, dostaniesz się do ambasady? No, jak? Przecież widzisz, że potrzebujemy czegoś na zabicie gorączki.

Niechętnie sięgam do kieszeni spodni. Tulę dziecko do piersi i upuszczam kluczyki, które z głuchym trzaskiem spadają na marmurową podłogę w przedpokoju. Upał jest tak duży, że nawet dźwięki stają się przytłumione. Opóźnia je, hamuje. Oboje pochylamy się, żeby podnieść kluczyki z podłogi. Przez chwilę nasze palce się dotykają, patrzymy sobie

w oczy. Potem chwytasz kluczyki, prostujesz się i wychodzisz na klatkę schodową. Słyszysz trzask zamykanych drzwi.

Stoję z dzieckiem na balkonie wychodzącym na ulicę. Kryję się w niewielkim cieniu. Czuję łagodny powiew wiatru na twarzy. Upał sprawia, że trudno jest oddychać. W powietrzu unosi się smród rozgrzanego miasta. Gdzie się podział jaśmin? Dawniej pachniało nim całe miasto.

Wisiołek, który mi kiedyś dałaś, jeszcze zanim pojawił się upał i gorączka, jeszcze przed ucieczką, parzy mnie w skórę pod koszulą. Należał kiedyś do twojej babki, a potem do matki. Chyba go tu zostawię, położę w przedpokoju na toaletce inkrustowanej macicą perłową i drewnem z krzaku róży. Kupiliśmy ją kiedyś razem na bazarze, niecały tydzień po tym, jak łączące nas więzi zaczęły się stawać coraz mocniejsze. Uważam, że nie mam prawa zabierać tego medalionu, już do mnie nie należy. Jeśli w ogóle kiedykolwiek tak było.

Wiem wszystko o tym, jak można przeżyć. W mieście znam każdą ulicę, każdą kafejkę. Znam wszystkich wąsatych właścicieli sklepików z antykami, którzy mają podejrzone znajomości, hałaśliwych sprzedawców dywanów, chłopca sprzedającego herbatę z noszonego na własnych plecach, wysokiego na metr samowara. W zadymionych pokojach piłem importowaną whisky z prezydentem i przywódcami organizacji, które oficjalnie krytykuję. Prezydent wie, jak się nazywam. Zna jedno z moich nazwisk. To ja trzymałem kasę. Pilnowałem, żeby pieniądze trafiły do właściwych ludzi, którzy wykorzystają je w najlepszy sposób, by zrealizować zadania, do których mnie wyznaczono. Gdy będziecie ze mną rozmawiać, okaże się, że mówię w waszym języku lepiej niż wy. A jeśli przerzucicie mnie nagle gdzieś indziej – na przykład do dżungli, na sawannę albo do lobby hotelu Savoy – wystarczy mi chwila, bym z miejsca zmienił się w jaszczurkę, pożółkłe źdźbło trawy albo w młodego bankiera ubranego w garnitur w białe prążki, który ma ciut przydługie włosy i barwną, ale za to wygodną przeszłość. Mgliście, za pośrednictwem innych osób, znam waszych przyjaciół z uniwerku. Za to oni nigdy mnie nie kojarzą.

Nie wiecie tego, ale jestem od was o wiele lepszy. Szybciej się zmieniam, lepiej dopasowuję. Nie utrzymuję zbyt ścisłych więzi. Jeśli już do tego dojdzie, zrywam je. A teraz? Straciłem kontrolę i pozwoliłem, żeby stały się mocne. To więzy krwi.

Gra jest odwieczna, ale ta partia dobiegła końca. Przyciskam dziecko mocniej do piersi, przestępuję niecierpliwie z nogi na nogę. Kiedy obrazy śmierci mkną przez moje synapsy, zaciskam oczy i potrząsam głową. Nieświadomie szepczę do siebie samego.

– Nie, nie, nie...

Spuchnięta twarz w otwartym ścieku przy autostradzie prowadzącej na lotnisko. Szeroko otwarte oczy. Roje much. Wszędzie te muchy.

– Nie, nie, nie...

Dlaczego nie zostawiłem go w spokoju? Przecież wszystkiego się dowiedziałem. Po co namówiłem Firasa na kolejne spotkanie, skoro ślad był świeży i jasny jak słońce? Niestety, jego wersja zawierała zbyt dużo sprzeczności, przez co trudno było w nią uwierzyć. Musiałem wysłuchać go jeszcze raz. Spojrzeć mu w pełne niepokoju oczy, sprawdzić, czy

bitwy skumulowane w jednym dźwięku, w ułamku czasu. Czuję, jak spadają na mnie tysiące maleńkich, lekkich, ostrych odłamków. Jakby z nieba sypał się popiół, okruchy szkła, betonu i metalu.

Potem zapada kompletna cisza. Wydaje mi się, że leżę pod warstwą szkła, taniego betonu i zardzewiałej stali. Chyba krwawię. Myślę, co oznacza, że żyję. Szukam rąk, gdzieś tu są, czuję je pod betonem, który mnie zasypał. Zastanawiam się, co trzymam w dłoniach, na czym leżę? Udaje mi się wykonać pół obrotu. Słyszę wokół siebie dźwięk kruszonego betonu i szkła. Ostrożnie się unoszę i wspieram na łokciu, który odpowiada na impulsy z kręgosłupa.

Dziecko leży pode mną, a ja przyciskam mocno ręce do jego uszu. Patrzy na mnie i głęboko oddycha, wymęczone gorączką. Wyszło z tego bez szwanku, nie skaleczył go nawet najdrobniejszy kawałek szkła.

8 grudnia 2013

Uppsala

Mahmoud Shammosh nie był paranoikiem. Przeciwnie. Gdyby go spytać, powiedziałby, że jest zupełnie inaczej. Twierdziłby, że jest racjonalny, wykształcony, a przede wszystkim świadomy swoich celów.

Mahmoud nigdy nie wierzył w takie rzeczy jak wyobcowanie albo konspiracja. Uważał, że to coś dla nastolatków, dżihadystów albo wyznawców teorii spiskowych. Nie wyrwał się z betonowego przedmieścia i beznadziei, z tego wszystkiego, w czym tkwił. Nie doszedł do tytułu doktora na Uniwersytecie w Uppsali, szukając prostych ścieżek. Jeśli był czegoś pewien, to okazywało się, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć jego wybór był słuszny. Paranoja to coś dla nieudaczników.

Lekko szarpnął swojego porzewiałego crescenta i wysunął go z ustawionego przed Carolina Rediviva stojaka na rowery. Kiedyś, bardzo dawno temu, był niebieski. W Uppsali tylko studenci pierwszego roku mają ładne rowery. Weterani wiedzą, że taki rower ukradną już w pierwszym tygodniu. Dlatego jego własny mieścił się w przedziale między „doskonale zakamuflowany” a „kompletnie niezdatny do użytku”.

Rozpędził się, a potem już tylko jechał bez wysiłku w dół, w stronę miasta. W Uppsali mieszka od siedmiu lat, ale nadal uwielbia szusować ulicą Drottninggatan, czując powiew na twarzy. Instynktownie zerknął przez ramię. Elektryczne światła na wzgórzu błyszcząły w grudniowych ciemnościach. Upewnił się, że nikt za nim nie jedzie.

Siedzibę dziekanatu wydziału prawa na Starym Rynku rozświetlały świąteczne dekoracje. Na choince paliły się lampki, okna rozjaśniały adwentowe świeczniki, chociaż była niedziela, a korytarz na trzecim piętrze tonął w mroku i ciszy. Mahmoud otworzył kluczem drzwi do swojego ciasnego służbowego pokoju. Wszedł do środka, zapalił lampę na biurku i włączył komputer.

Usiadł na krześle, tyłem do okna, i sięgnął po dwie książki o prywatyzacji usług świadczonych przez państwo i o prawach człowieka. Już wkrótce, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, on sam stanie się autorem dzieła na ten sam temat. *The Privatization of war*. To tytuł jego pracy doktorskiej. Książka jest już prawie w połowie gotowa.

Do tej pory poruszał w niej dość dobrze znane sprawy. Możliwe, że szerzej opisał wyniki swojej pracy w terenie, niż to zwykle bywa w tekstach poświęconych kwestiom prawnym. Ale taki miał właśnie zamiar. To nowoczesna metoda, biegnąca w poprzek utartych ścieżek naukowych. Rozmawiał z przedstawicielami pięćdziesięciu kilku amerykańskich i brytyjskich firm w Iraku i Afganistanie. Wszystkie te przedsiębiorstwa zajmowały się dokładnie tym samym, co do tej pory robiło wojsko: od transportu poprzez zaopatrzenie i różne rodzaje służby wartowniczej aż po prawdziwą walkę.

Na początku liczył, że wywoła sensację, jak to było w przypadku Abu Ghraib albo Mý Lai. Oto zwykły naukowiec z uniwersytetu, który odsłania kulisy wielkiej, straszliwej zbrodni. Wiedział, że jego pochodzenie stawia go w korzystnej sytuacji. Niestety, nic

wielkiego nie znalazł. Materiał, który zebrał na temat wspomnianych przedsięwzięci i zasad ich działania, był jednak na tyle dobry, że na jego podstawie opublikował artykuł w „European Journal of International Law”. Potem jego skrócona wersja ukazała się w „Dagens Nyheter”. Efektem obu tych publikacji był wywiad dla CNN w Kabulu. Potem zaczęto go zapraszać na międzynarodowe konferencje i sympozja. Nie był to sukces, jakiego kiedyś oczekiwał, tylko jego przedsmak.

Uważał tak do czasu, aż otrzymał tamtą wiadomość.

Mahmoud westchnął i sięgnął po stos papierów leżących na biurku – ostatni rozdział jego pracy doktorskiej. Jest skończony, ale promotor już na pierwszej stronie umieścił mnóstwo komentarzy i pokreślił ją czerwonym długopisem. To oficer rezerwy, który z łatwością wychwytił w tekście każdą próbę pójścia na skróty. Mahmoud odłożył maszynopis na biurko. Najpierw przejrzy pocztę.

Kiedy otwierał program pocztowy, stary komputer zabuczał głośno, jakby chciał zaprotestować przeciwko pracy w niedzielę. Sprzęt na wydziale prawa miał już swoje lata. Ale to właśnie symbol statusu. Na ten kierunek nikt nie zdaje, żeby cieszyć się nowoczesnym sprzętem, tylko ze względu na pięćset lat uniwersyteckiej tradycji.

Mahmoud wpatrzył się w ciemność za oknem. Jego biuro jest wprawdzie małe, ale rozciąga się z niego najpiękniejszy widok na całą Uppsalę. Na pierwszym planie widać rzekę Fyris i dom, który Ingmar Bergman wykorzystał w trakcie kręcenia filmu *Fanny i Alexander*. Jak on się nazywał? Akademikvarnen? Stoi za katedrą i zamkiem, upiorne oświetlenie rozjaśnia całe jego akademickie mieszczaństwo. W końcu komputer się poddał i pozwolił mu zajrzeć do skrzynki pocztowej. Nadeszła tylko jedna wiadomość, bez tytułu. Właściwie nie powinien się temu dziwić, przecież sprawdzał pocztę kwadrans temu w bibliotece. E-mail uznał za spam i już chciał go skasować, ale w ostatniej chwili rzucił mu się w oczy adres nadawcy: Jagareoo@hotmail.com.

Poczuł, jak puls mu przyspiesza. To już druga wiadomość, którą otrzymał z tego adresu. Pierwsza nadeszła zaraz po powrocie z ostatniej podróży do Afganistanu i to ona sprawiła, że przez kilka następnych tygodni miał wrażenie, że popadł w paranoję. Wiadomość była krótka i napisana po szwedzku. Z treści wynikało, że wysłał ją ktoś, kto znajdował się w Afganistanie.

Shammosh,

Dwa dni temu oglądałem Twój wywiad na CNN. Wyglądasz mi na cholernie poważnego człowieka. Czy moglibyśmy się spotkać w najbliższym czasie w Kabulu? Mam ciekawe informacje, które mogą Cię zainteresować. Bądź ostrożny, są ludzie, którzy mają na Ciebie oko.

Życzę Ci silnej woli, odwagi i wytrwałości.

Familiarny ton. „Życzę Ci silnej woli, odwagi i wytrwałości”. Dobrze znane słowa z innych czasów. To prawdopodobnie ktoś, kogo znał.

I to przedostatnie zdanie: „Bądź ostrożny, są ludzie, którzy mają na Ciebie oko”. Pamięta, że głośno się wtedy roześmiał. Pomyślał, że to pewnie jakiś znajomy stroi sobie z niego żarty i niedługo dostanie kolejną wiadomość: „Zrobiłem Cię w konia!”. Niektóre

fakty z jego przeszłości zupełnie nie pasują do kręgów, w których się obecnie obraca. Zdarza się, że jego nowi znajomi żartują sobie z niego z tego powodu. Ale żaden nowy e-mail nie przyszedł. Mimo to zaczął się mieć na baczności, tak na wszelki wypadek. Czemu nie?

Zauważył je jeszcze tego samego wieczoru. Zwykle szare volvo V70. Samochód stał pod zgaszoną latarnią pod jego domem w Luthagen. Pod koniec tamtego tygodnia zauważył je ponownie, gdy po treningu koszykówki wychodził z hali sportowej. Zapamiętał numer rejestracyjny. Potem widział to auto już wszędzie. Przeszedł go dreszcz. Może to zwykły przypadek? A może nie?

Spojrzał na monitor i kliknął na nową wiadomość. Może tym razem się dowie, kto sobie z niego żartuje? Ale nigdy się nie przyzna, że prawie dał się nabrać.

Druża wiadomość brzmiała następująco:

Shammosh,

Skontaktuję się z Tobą w Brukseli. Musimy się spotkać.

Życzę Ci silnej woli, odwagi i wytrwałości.

Poczuł, jak serce zaczyna mu bić mocniej. Skąd nadawca e-maila wie, że w tym tygodniu wybiera się do Brukseli? Przecież o wyjeździe słyszał tylko jego promotor, który wyraził zgodę, aby w czwartek wygłosił wykład na konferencji organizowanej przez International Crisis Group. Mahmoud poczuł gęsią skórę i chłód na plecach. Może to mimo wszystko żart, a volvo jest tylko wytworem jego wyobraźni? Czuł jednak, jak skacze mu adrenalina.

Pokręcił głową. Może powinien poczekać, aż ktoś się do niego zgłosi w Brukseli? Ale przed wyjściem z biura postanowił zrobić coś jeszcze: wysłać e-mail do kogoś, kto od dawna czeka na to, by znowu się z nim skontaktował.

Klara Walldéen zjawiała się nagle, nie wiadomo skąd. Pewnego dnia po prostu tam była: objęła go, położyła mu głowę na ramieniu, przesuwała palcami po jego zbyt długich włosach. W tamtym okresie wiele się u niego działo. Odczuwał pustkę i był zagubiony, wyczerpany i niewyspany. Na dodatek był sam jak palec. I nagle któregoś dnia Klara stanęła w drzwiach jego zimnego, nieumeblowanego mieszkania.

– Widziałam cię na wykładach – powiedziała. – Jesteś jedynym człowiekiem, który wygląda na bardziej samotnego niż ja. Poszłam więc za tobą. To dość niemądre, prawda?

Potem po prostu weszła do środka i bez słowa połączyła swoją samotność z jego. Mahmoud zgodził się na to, a po pewnym czasie ich samotności tak bardzo się do siebie zbliżyły, że w końcu utworzyły jedną wspólną samotność. Prawdziwą ulgą było to, że nie musieli ze sobą ciągle rozmawiać. Po prostu leżeli na jego materacu albo na wąskim, twardym łóżku Klary w jej mieszkaniu w Rackarberget i słuchali starych, zdartych płyt gramofonowych, które kupiła na pchlim targu.

Myślał o tym każdego dnia. O tym, że prawie nie oddychali, aby nie przerwać otaczającej ich cienkiej powłoki; albo o tym, jak ich serca biły w rytm piosenki Prince'a Phillipa Mitchella, *I'm so happy*.

Mimo to od samego początku wiedział, że im się nie uda. Czuł, że czegoś mu brakuje, że nie zdołają stworzyć trwałego związku. Było to coś, co zachował tylko dla siebie, ukrył

w najskrytszym zakamarku serca. Kiedy pod koniec studiów prawniczych Klarę przyjęto do London School of Economics, przysięgli sobie na wszystkie świętości, że będą się wzajemnie odwiedzać, że uczynią wszystko, aby ich związek przetrwał, że dla tak silnego uczucia odległość nie gra roli. Mimo to i tak wiedział, że to koniec. W jego duszy płonął już inny, zupełnie nowy i całkiem świadomy płomień, który od dawna próbował ugasić.

Nigdy nie zapomni oczu Klary, gdy stali razem na lotnisku Arlanda, a on dukał słowa, których wyuczył się na pamięć: że może przerwa dobrze im zrobi, że nie będą dla siebie obciążeniem, że nie powinni traktować rozstania jako końca ich związku, tylko szansę na coś nowego. Klara nie odezwała się ani słowem. Stała i nie spuszczała z niego wzroku. Kiedy skończył, a może kiedy zabrakło mu słów, cała jej miłość do niego, cała czułość opuściły ją w jednej chwili. Spojrzała na niego z tak bezlitosną pogardą, że łzy same zaczęły mu płynąć po policzkach. Potem wzięła walizki i nie odwracając się, poszła do odprawy. To było przed trzema laty. Od tamtego dnia nie rozmawiali ze sobą.

Mahmoud pochylił się nad biurkiem i otworzył nową wiadomość. Bębnił palcami po klawiaturze. Od dnia, w którym dostał zaproszenie na konferencję w Brukseli, myślał tylko o tym, że skontaktuje się z Klarą. Niestety, nic z tego nie wyszło. Nie potrafił się zmusić, żeby do niej napisać.

– No, dalej! – powiedział głośno. – Napisz coś!

Potrzebował prawie pół godziny, żeby ułożyć list składający się z zaledwie pięciu linijek. Przez kolejny kwadrans usuwał z niego to, co mogło brzmieć dwuznacznie, żeby Klara nie doszukała się w tych nieścisłościach oznak rozpaczy albo odniesień do historii, z którą nic go już nie wiązało. W końcu nabrał powietrza i nacisnął „Wyślij”.

Dwadzieścia minut później, gdy wychodził z budynku, od razu zauważył szare volvo. Stało w ciemnościach na parkingu nad rzeką. Kiedy wysuwał rower ze stojaka, usłyszał, jak ktoś uruchamia silnik samochodu. Zapaliły się przednie reflektory i upiorne światło padło na metalową poręcz oddzielającą parking od rzeki. Pierwszy raz od bardzo dawna poczuł prawdziwy strach.

8 grudnia 2013
Wyspa na szkiecach

Cisza, która potem zapadła, była równie paralizująca jak odgłosy dwóch ogłuszających strzałów oddanych z dubeltówki. Słysząc było tylko dwie lecące nad kanałem kaczki i psa, który mocował się ze smyczą i cicho skomlał. Wszystko było tu takie szare. Skały i morze. Drzewa i krzaki. Wiatr szumiał w sitowiu porastającym brzeg.

– Spudłowałaś – powiedział stary mężczyzna z lornetką.

– Niemożliwe – odparła młoda kobieta u jego boku. Nadal trzymała dubeltówkę przy ramieniu. Czowała na policzku chłód kolby wykonanej z wiśniowego drewna.

– Może spudłowałam za pierwszym razem, ale na pewno nie za drugim – przekonywała.

– Puść Alberta, to się przekonamy.

Mężczyzna się pochylił i spuścił psa ze smyczy. Spaniel od razu rzucił się do biegu, głośno przy tym ujadając. Popędził przez szuwary i wbiegł między skały w kierunku, w którym wystrzeliła kobieta.

– Spudłowałaś dwa razy. Uwierz mi. Nie przyłożyłaś się, Klaro.

Mężczyzna pokręcił rozczarowany głową. Na wargach kobiety pojawił się cień uśmiechu.

– Za każdym razem, gdy idziemy polować, twierdzisz, że pudłuję, dziadku – powiedziała, naśladując jego zatroskaną minę. – I za każdym razem Albert wraca z niedzielnym obiadem w pysku.

Mężczyzna znowu pokręcił głową.

– Mówię tylko o tym, co zobaczyłem przez lornetkę – mruknął.

Z wytartego plecaka, który stał oparty o kamień, wyjął termos i dwa kubki.

– Napijemy się kawy i wracamy do domu obudzić babcię – powiedział.

Z plaży dobiegło nagle krótkie ujadanie, któremu towarzyszył plusk wody. Klara uśmiechnęła się szeroko i pogłaskała mężczyznę po policzku.

– Nadal twierdzisz, że się nie przyłożyłam? – spytała.

Spojrzał na nią swoimi błękitnymi oczami, nalał kawy do kubka i podał go jej. Potem wyjął z kieszeni niewielką piersiówkę.

– Co to? Pijesz kawę z wódką? Wiesz, która godzina? Powiem o wszystkim babci, obiecuję.

Klara pokręciła głową, ale nie protestowała, gdy mężczyzna nalewał jej do kubka trochę alkoholu domowej roboty. Zanim jednak zdążyła go wypić, zadzwonił telefon ukryty w jednej z głębokich kieszeni jej kurtki. Klara westchnęła i oddała kubek dziadkowi.

– Nie ukryjesz się przed tą czarownicą – powiedział z lekkim uśmiechem.

Zerknęła na wyświetlacz. Wcale się nie zdziwiła, widząc numer szefowej. Socjaldemokratyczny dinozaur, posłanka do Parlamentu Europejskiego, Eva-Karin Boman.

– A niech to! – jęknęła, zanim odebrała. – Witaj! – powiedziała tonem o oktawę wyższym od jej normalnego głosu.

– Klaro, dziewczyno, tak się cieszę, że udało mi się do ciebie dodzwonić! Sprawy naprawdę się zagmatwały. Przed chwilą telefonowała Glenny, pytała, jakie mamy stanowisko w sprawie raportu na temat zabezpieczenia IT. A ja nawet nie zdążyłam go jeszcze otworzyć. Ty znasz tę sprawę lepiej...

Głos zanikł na chwilę. Klara zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Eva-Karin jechała właśnie pociągiem na lotnisko Arlanda. Popatrzyła na smagane wiatrem szare skały. Uświadomiła sobie absurd całej sytuacji: rozmawia ze swoją szefową wśród pięknych szkieł. Jej głos przypominał natręta, który zabłąkał się do jedynej ostoji spokoju, jaką знаła.

– ...więc może prześlesz mi przedtem jakieś podsumowanie? Co ty na to? Na przykład dziś przed siedemnastą? Żebym mogła je przejrzeć przed rannym spotkaniem. Chyba zdążysz, co? Prawdziwy z ciebie anioł.

– Jasne – odparła Klara. – Ale chyba zapomniałaś, że jestem w Szwecji, a do Brukseli wylatuję dopiero o drugiej po południu. Nie wiem, czy wyrobię się z tym raportem na piątą.

– Wiem, że jesteś w Szwecji – przerwała jej Eva-Karin tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mogłabyś popracować podczas lotu? Przecież cały weekend miałaś wolny, prawda?

Klara kucnęła w wilgotnym mchu i ukryła twarz w dłoniach. Jest niedzielny poranek. Ma za sobą wolną sobotę. Nagle poczuła się tak, jakby w jednej chwili odeszła jej cała ochota do życia.

– Klaro? Klaro? Jesteś tam? – usłyszała głos Ewy-Karin.

Klara chrząknęła i pokręciła głową. Nabrała głęboko powietrza i zmusiła się, żeby odpowiedzieć tonem, w którym dało się wyczuć gotowość współpracy.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – To żaden problem. Dzisiaj przed piątą wyślę ci to podsumowanie e-mailem.

Pół godziny później Klara Walldéen była już w pokoju, w którym się wychowała, w otoczeniu różowych tapet z wzorkiem w kwiaty. Wywalczyła je od rodziców, gdy miała dziesięć lat. Gładkie, lśniące deski podłogi pod stopami. Wyjrzała przez okno. Przez bezlistne drzewa widać było Bałtyk i kaczki na falach. Zanosiło się na sztorm. Musieli się pospieszyć. Jej kolega z dzieciństwa, Bosse Bengtsson, który mieszka w głębi zatoki, obiecał, że podrzuci ją do Norrköping – najpierw łodzią, a potem samochodem. Tam Klara złapie pociąg na lotnisko Arlanda i wróci samolotem do swojego zwykłego życia w Brukseli.

Zdjęła szorstki sweter i założyła jasny, ciasny top, a do tego rozpinany na przedzie sweter, tzw. kardigan. Zamiast wytartych spodni z manchesteru, które tak naprawdę należały do babci, włożyła japońskie džinsy. Zdjęła ocieplane gumowe buty, które miała na polowaniu, i zmieniła na sportowe. Trochę czarnego tuszu wokół oczu, kilka pociągnięć szczotką przez kruczoczarne włosy. Zerknęła w lustro wiszące przy niewielkiej toalecie i zobaczyła w nim zupełnie inną kobietę. Podłoga trzeszczała pod ciężarem jej kroków.

Klara wstała z krzesła i otworzyła drzwi prowadzące na niewielki stryżek. Wprawnym ruchem sięgnęła w ciemnościach po stary karton na buty i wyjęła z niego plik fotografii. Rozłożyła je na podłodze i usiadła.

– Znowu oglądasz stare zdjęcia?

Odwróciła się. W bladym świetle na stryszku jej babcia wydawała się prawie przezroczyście. Była taka drobna i krucha. Gdyby ktoś tego nie widział, nigdy by nie uwierzył, że nadal potrafi się wspinać na czubki jabłonek, żeby odpędzać ptaki od owoców.

Ma identyczne błękitne oczy jak dziadek. Oboje mogliby być rodzeństwem. Ale ludzie mieszkający na szkierach nie żartują na takie tematy. Na jej twarzy widać trochę bruzd, ale ani jednej zmarszczki. Nigdy nie używała kosmetyków, korzystała wyłącznie ze słońca, śmiała się i kąpała w słonej wodzie. Tak właśnie wyjaśniała ten fenomen. Nie wygląda nawet na sześćdziesiątkę, chociaż przed dwoma miesiącami skończyła już siedemdziesiąt pięć lat.

– Chciałam na nie tylko popatrzeć – odparła Klara.

– A nie lepiej zabrać je do Brukseli? Nigdy tego nie zrozumie. Po co je tu trzymasz?

Babcia pokręciła głową. W jej błękitnych oczach pojawił się smutek i radość. Przez chwilę wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Sama nie wiem – odparła Klara. – Niech zostanie po staremu. Ich miejsce jest tutaj. A propos, podobno masz dla mnie szafranowe ciasteczka?

Klara zebrała zdjęcia i włożyła je ostrożnie do pudełka po butach, a potem zeszła za babcią skrzypiącymi schodami.

– No, w końcu jesteś! W tych swoich miejskich ciuchach i w ogóle.

Bosse Bengtsson stał na pomoście i czekał na Klarę, która schodziła ścieżką biegnącą od domu jego rodziców. Robiła to wiele razy wcześniej. Wydawało się, że nogi same ją niosą, a serce albo kręgosłup nie muszą przejmować się wystającymi korzeniami, kamieniami i nierównościami terenu.

– Daruj sobie – odparła Klara. – Gadasz jak dziadek.

Podeszła do niego i objęli się z zakłopotaniem. Bosse był od niej starszy o rok, razem dorastali i wychowywali się na wyspie. Był dla niej jak brat. Przypominali rodzeństwo o kompletnie odmiennym wyglądzie i charakterach.

Drobna i chuda Klara była najlepszą uczennicą w klasie. W piłkę grała tak dobrze, że przez pewien czas występowała nawet w chłopięcej drużynie Östervikings. Bosse lubił łowić ryby, a gdy był trochę starszy, zaczął polować, pić alkohol i bić się z innymi chłopakami. Klarę zawsze gdzieś ciągnęło, podczas gdy on sprawiał wrażenie, jakby nic nie mogło go ruszyć z rodzinnych stron. Codziennie jeździli razem do szkoły. Wiosną i jesienią szkolną łodzią, zimą poduszkowcem. Coś takiego rodzi zaufanie, silniejsze niż cokolwiek innego.

Kiedy Klara wskoczyła na pokład i wciągnęła do środka odbojnice, Bosse odbił od pomostu. Weszła do niewielkiej nadbudówki. Morze było coraz bardziej wzburzone, pokryte spienionymi grzbietami fal.

– Wieczorem będzie sztorm – powiedział Bosse.

– Tak mówią – odparła Klara.

17 grudnia 2013

Bruksela, Belgia

Niewielki park widoczny z panoramicznego okna biura George'a Lööwa, mieszczącego się na siódmym piętrze w największym na świecie biurowcu firmy świadczącej usługi w zakresie PR-u, Merchant & Taylor przy Square de Meeûs w Brukseli, wyglądał mało sympatycznie. Lööw nienawidził grudnia, ale najbardziej nie znosił Bożego Narodzenia. Patrzył na świąteczne ozdoby zawieszane wzdłuż całej Rue du Luxembourg, aż do siedziby Parlamentu Europejskiego, i czuł, jak ogarnia go coraz większa irytacja. Nie pocieszał go fakt, że grudzień kiedyś się skończy, bo miasto zdejmowało dekoracje dopiero w lutym.

Jeszcze tylko tydzień i będzie musiał pojechać do swojego ośmiopokojowego mieszkania przy Rådmanngatan w Sztokholmie, żeby jak co roku złożyć sprawozdanie ze swojego życia. Mieszkanie będzie udekorowane choinką Elsy Beskow, w każdym pokoju i w kuchni zapłoną świece. Rozbłyszczą piękne gwiazdy bożonarodzeniowe, a stół ze słodyczami, który ustawi ojciec, jak zwykle będzie uginał się od marcepanowych przysmaków, słodkich bułeczek – to specjalność jego nowej żony, Ellen – i koszmarnie drogiej czekolady, którą każdego roku obowiązkowo przywozi z Brukseli, a potem z lekkim zakłopotaniem kładzie na tym właśnie stole.

Cała rodzina rozsiądzie się na kanapach firmy Svenskt Tenn¹ albo na dywanie i będzie siedzieć z kubkami wypełnionymi parującym grzańcem domowej roboty. Pełni patosu i obłudy będą wymieniać się zrozumiętymi spojrzeniami, prosząc go, aby opowiedział im o swojej pracy „lobbysty”. W ich ustach słowo to brzmiało podobnie jak „ekskrement” albo „karierowicz”.

– Pieprzone kutasy – powiedział do siebie, stojąc w pustym biurze.

Niewielki ekspres do kawy zamruczał i napełnił do połowy kubek z nespesso. To już jego trzecia kawa, a przecież dochodzi dopiero dziesiąta. Był niezwykle zdenerwowany przed czekającym go tego ranka spotkaniem z nowym klientem, przedstawicielem firmy Digital Solutions. Szef George'a, Richard Appleby, dyrektor na Europę, oznajmił mu, że firma zażyczyła sobie właśnie jego. Najwidoczniej staje się znany. Mówi się o nim, że jest skuteczny i potrafi załatwiać w Brukseli różne sprawy.

Najgorsze jest jednak to, że nic o tej nowej firmie nie wie. Przecież na rynku istnieje z tysiąc spółek, które mają w nazwie Digital Solutions. Nie wiadomo, co to za jedni. Do takiej rozmowy trudno się nawet przygotować. Trzeba być po prostu grzecznym i jakoś przez nią przebrnąć. Jeśli zgodzili się bulić forszę, nie ma sprawy. Firma Merchant & Taylor znana jest z tego, że nie ma pod tym względem żadnych skrupułów. Jej nieoficjalne motto brzmi: *You pay, you play*. Chemikalia, broń, tytoń. Wystarczy się tylko wziąć za którąś z tych spraw. Na początku lat dziewięćdziesiątych Appleby reprezentował nawet Koreę Północną. A może to zwykła plotka? Nieważne. Ale on woli wiedzieć przed spotkaniem, z kim będzie miał do czynienia.

Nadal był spocony po rannej partii squasha w sali gimnastycznej. Jasnoniebieska koszula firmy Turnbull & Asser kleiła mu się do pleców. Cholera, czuje się taki nieświeży. Żeby tylko wysechł przed spotkaniem. No tak, ale kawa mu w tym nie pomoże.

Z grymasem niechęci na twarzy wypił kolejną filiżankę espresso. Kawę pije tak, jak to robią Włosi: na stojąco, w wyszukany sposób. Bezpieczny pod względem stylu. Robi to nawet wtedy, gdy jest w biurze sam. Nie wolno zmieniać zwyczajów. Jesteś tym, na kogo wyglądasz.

Za pięć dziesiąta. Zabrał z biurka stos kartek, notatnik i długopis. Na kartkach nic nie ma, nie zawierają żadnej informacji o firmie Digital Solutions, ale o tym klient nie musi wiedzieć. Gdyby zjawił się na spotkaniu z samym długopisem, mogliby pomyśleć, że mają do czynienia z amatorem.

Od kiedy zaczął pracować w firmie, upodobał sobie salkę konferencyjną na siódmym piętrze. Rezerwował ją na swoje potrzeby za każdym razem, gdy okazywała się wolna. Było to narożne pomieszczenie z dwiema przeszklonymi ścianami. Rozpościarał się stąd widok na inne biurowce. W jednym z nich zaczynał kiedyś karierę. Wystarczy tylko wcisnąć przycisk znajdujący się w pokoju obok włącznika światła i natychmiast obie szklane ściany matowieją, stają się nieprzenikalne, jak gruby lód. W pierwszych tygodniach pracy, gdy siedział przed komputerem i sporządzał nudne analizy branży cukierniczej, samochodowej, tworzyw sztucznych i innych, aby potem na ich podstawie sporządzić nudnawe newslettery, obie ściany stały się dla niego najfajniejszą zabawą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. Lubił obserwować, jak bardziej doświadczeni konsultanci przemykają po drewnianej podłodze w swoich ręcznie robionych skórzanych włoskich butach i znikają za lodową ścianą. Biła od nich potęga władzy.

Teraz on sam przechadza się po tej samej podłodze i co jakiś czas znika za lodową szybą. Czuje na sobie spojrzenia innych, takie same, jakimi obrzucał kiedyś bardziej doświadczonych kolegów. Wielu z tych, którzy rozpoczynali pracę razem z nim, nadal tkwi w tym samym miejscu. Nie wszyscy zrobili tak błyskawiczną karierę jak on. Ich spojrzenia nie zawsze są pełne podziwu. Ale wszyscy robią dobrą minę. Machają do niego, uśmiechają się. Odgrywają swoje role.

Można powiedzieć, że gdy przed trzema laty zrezygnował z pracy w szwedzkiej kancelarii adwokackiej Gottlieb i wylądował właśnie tutaj, miał cholerne szczęście. Sam fakt, że w Gottliebie zajmował się tak trudnymi kwestiami, jak prawo spółek i przekształcenia własnościowe firm, był trudny do zaakceptowania dla jego ojca. Jeśli ktoś jest adwokatem i prowadzi prywatną praktykę, to zgodnie z tradycją rodziny Lööwów powinien zajmować się prawem karnym. Ważne są zasady, istnieje prosty podział na prawo i bezprawie. To nie jakieś tam brudne sprawy, jak robienie interesów i zarabianie pieniędzy. Dobre dla „karierowiczów bez przodków, tradycji i wiedzy”, jak mawiał ojciec. Całe szczęście, że nie wiedział, jakie były prawdziwe powody odejścia syna z Gottlieba.

Trochę udało mu się ojca udobruchać, gdy zakomunikował mu, że po pracy w zwykłej kancelarii adwokackiej dostał się do jednej z najbardziej prestiżowych uczelni, Kolegium Europejskiego w Brukseli. Była to naprawdę elitarna szkoła, oparta na francuskim modelu kształcenia. Na tle tych, którzy w Brukseli tworzyli bezbarwną masę, wypuszczała

prawdziwą śmietankę absolwentów. Pewnie ojciec uznał, że jego syn wreszcie się ustatkował i może kiedyś trafi do Ministerstwa Spraw Zagranicznych albo znajdzie pracę w Komisji Europejskiej w Brukseli. To przecież porządne stanowiska.

On sam wiedział, że po tak krótkim czasie w Gottliebie nie zrobi w Szwecji wielkiej kariery. Uznał więc, że po zdaniu egzaminu w Kolegium Europejskim Bruksela będzie najlepszym miejscem do szukania pracy. Od razu jednak odrzucił myśl o nowej kancelarii adwokackiej. Miał już po dziurki w nosie studiowania wypełniających kartony rocznych sprawozdań i nieprzespanych nocy spędzanych na przeglądaniu twardych dysków w poszukiwaniu mniej lub bardziej podejrzanych interesów.

Firma prowadząca działalność w zakresie PR to coś zupełnie innego. Przeszklone biura, eleganckie babeczki z całego świata w dopasowanych kostiumach i na wysokich obcasach. Do tego lodówki z darmową coca-colą i piwem i oryginalne urządzenia do parzenia espresso, a nie jakieś tam automaty do kawy.

Kiedy podjął pracę w firmie Merchant & Taylor, poczuł się tak, jakby trafił do nieba. Klimatyzowane pomieszczenia, łagodne oświetlenie, szkło i drewno, niemal bezgłośnie, stonowane rozmowy. Wprawdzie jego początkowa pensja odbiegała od tego, co płaciły amerykańskie kancelarie adwokackie, ale rysowała się przed nim szansa na zarobienie naprawdę dużych pieniędzy. Po roku pracy można było dostać samochód z firmy leasingowej, i to nie byle jakiego grata, tylko na przykład audi, bmw albo nawet jaguara.

Wielkie angielskie i amerykańskie firmy PR-owskie to typowa brukselska legia zaciężna. Sprzedają powierzchnię biurową i produkcyjną, informacje i wpływy tym, którzy zapłacą najwięcej, nie oglądając się na względy ideologiczne albo przekonania moralne. Wiele osób patrzy na lobbystów z góry, ale on zaakceptował ich od pierwszej chwili. Uznał, że to jego środowisko. Ojciec i reszta towarzystwa mogą sobie mówić i myśleć, co chcą.

George wszedł do salki konferencyjnej i zamknął za sobą drzwi. Nie spodobało mu się, że jego rozmówca czekał już na niego, siedząc na jednym z obitych skórą krzeseł. Sekretarki miały zapowiedziane, żeby klientów, którzy przyjdą za wcześnie, zatrzymać w recepcji. Mimo to nie okazał irytacji przed klientem. Nonszalanckim ruchem wcisnął przycisk, żeby zmienić szyby na matowe.

– Mister Reiper! Witam w Merchant & Taylor! – powiedział, a na jego twarzy pojawił się szeroki, pewny siebie uśmiech. Mężczyzna siedział na krześle w pozycji, która była świadomym lub nieświadomym zaprzeczeniem wszelkich praw ergonomii. George podszedł bliżej i podał mu wypielęgnowaną dłoń. Mister Reiper miał mniej więcej sześćdziesiąt lat.

Wyglądał na kogoś, kto prowadzi niezdrowy tryb życia. Nie był gruby, tylko raczej pękaty, jak balon wypełniony helem. Całe jego ciało robiło wrażenie, jakby żywił się wyłącznie jedzeniem serwowanym w samolotach, a kawę pił wyłącznie w pośpiechu. Był prawie całkowicie łysy, tylko wokół głowy zachował się wianuszek potarganych siwych włosów. Twarz miał żółtawą, jakby rzadko wychodził z domu. Od lewej skroni aż po kącik ust biegła gruba blizna. Mężczyzna był ubrany w znoszony pikowany czarny sweter, beżowe bawełniane spodnie zaprasowane w kant, miał pasek z futerałami na iPhone'a i kieszonkową latarkę. Na blacie stołu leżał brudny notes i niebieska czapka drużyny

Georgetown Hoyas. Pozycja, w jakiej mężczyzna zasiadał na krześle, jego niedbałe ruchy, gdy przesuwał palcami po klawiaturze telefonu, fakt, iż nawet nie spojrzął na George'a, gdy ten wszedł do pokoju – wszystko to tworzyło wokół mister Reipera aurę autorytetu, który zdawał się zarówno oczywisty, jak i bezwzględny. George dostał na jego widok gęsiej skórki i od razu poczuł niechęć do swojego rozmówcy. Instykt podpowiadał mu, że nie powinien pytać, w jakich okolicznościach mister Reiper nabawił się swojej blizny.

– *God morgon*, mister Lööw – odparł po szwedzku Reiper, ale zaraz przeszedł na angielski. – Dziękuję, że znalazł pan czas na spotkanie ze mną – dodał, podając George'owi rękę.

Reiper wymówił jego nazwisko prawie bezbłędnie. Było to dość niezwykle jak na Amerykanina. Głos miał szorstki, słowa prawie cedził. Akcent z południa Stanów?

– Dostał pan kawę? – spytał George. – Przepraszam, ale mamy nową recepcjonistkę. Sam pan wie, jak to bywa.

Reiper pokręcił głową i rozejrzał się po pokoju.

– Bardzo mi się podoba wasze biuro, mister Lööw, a efekt, jaki robią te matowe ściany, jest, *well*, niesamowity.

– To prawda. Staramy się w ten sposób wywrzeć wrażenie na naszych klientach.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie. George rozłożył wokół notesu kartki, które tak naprawdę niczego nie zawierały.

– W czym moglibyśmy pomóc firmie Digital Solutions? – spytał George, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. George uważał, że wart był każdego centa z trzystu pięćdziesięciu euro za godzinę, które klienci płacili za jego usługi.

Reiper rozsiadł się wygodniej na krześle i odwzajemnił uśmiech, który z powodu blizny był jednak jakby niedokończony. Wrażenie było tak niemiłe, że George miał ochotę odwrócić głowę. Zwrócił też uwagę na oczy gościa. W ciepłym blasku bijącym od reflektorów punktowych przybierały raz zielony, raz brązowy kolor. Zmieniały barwę najwyraźniej w sposób przypadkowy. Czaiło się w nich coś w rodzaju oczekiwania. Jeśli uwzględnić fakt, że Reiper nie mrugał, jego wzrok przypominał zabójcze spojrzenie drapieżnika.

– Sprawa wygląda tak – zaczął Reiper, przesuując w stronę George'a dwie spięte kartki formatu A4. – Wiem, że jesteście bardzo dumni z dyskrecji, jaką może się pochwalić wasza firma, ale wiem też, że gdy tylko wiatr zaczyna wiać w drugą stronę, zaczynacie śpiewać na inną nutę. To oczywiście czysta formalność.

George wziął dokument do ręki i szybko przeleciał wzrokiem jego treść. Była to typowa umowa zawierająca klauzulę o tajności rozmów, które miał przeprowadzić z przedstawicielem firmy Digital Solutions. Umowa zobowiązywała go do zachowania w tajemnicy wszystkich szczegółów. Nie wolno mu będzie nikomu nawet wspomnieć, że pracuje dla Digital Solutions ani że wie o istnieniu takiej firmy. Gdyby się przed kimś wygadał, będzie musiał zapłacić firmie astronomiczne odszkodowanie, w zależności od tego, jak poważne okaże się odstępstwo od umowy. Właściwie nie było w tym nic niezwykłego. Wielu klientom zależy na anonimowości, bo niekoniecznie chcą, aby w jakikolwiek sposób kojarzono ich z tak znaną i bezwzględną firmą, jak Merchant & Taylor.

– Z umowy wynika, że została podpisana w Waszyngtonie, a my jesteśmy przecież w Brukseli.

– To prawda – odparł Reiper trochę nieobecny głosem. Jednocześnie starał się coś odczytać w iPhone. – Nasi adwokaci są zdania, że dzięki temu łatwiej będzie uniknąć czegoś, co nazywają „sporem na forum publicznym”. Jestem jednak pewien, że o tak zwanych *non-disclosure agreements* wie pan znacznie więcej niż ja.

Słowa te wypowiedział dość ostrym tonem, a w jego martwych oczach pojawiło się coś, co przypominało zainteresowanie. George poczuł się nieswojo. Faktycznie, od kiedy zaczął pracować w Merchant & Taylor, podpisał wiele takich umów. Ale sposób, w jaki wyrażał się Reiper, wskazywał, że chodzi mu o coś innego, bardziej skomplikowanego. Mimo to George od razu odpędził od siebie podejrzenia. To niemożliwe, żeby Reiper wiedział coś o jego prywatnych sprawach. Aluzję do *non-disclosure agreements* zrobił z pewnością przypadkowo.

Wyjął z kieszeni pióro marki Montblanc, szybkim ruchem podpisał dokument i podsunął go Reiperowi.

– Świetnie – powiedział, mając za sobą wszystkie formalności związane z obowiązkiem zachowania tajemnicy. – W takim razie możemy chyba zacząć?

– Przepraszam – odparł nieobecny głosem Reiper. Nie odrywając wzroku od iPhone’a, złożył niedbale umowę i wsunął ją do kieszeni wytartej marynarki. W końcu wsunął telefon do pokrowca i spojrzał na George’a.

– Potrzebujemy pomocy przy tłumaczeniu – zaczął. – To na początek.

Sierpień 1980

Wirginia Północna, USA

Susan jest czymś zaniepokojona. Wiem, że tak jest, zanim jeszcze otworzy usta. Nie ma w tym niczego dziwnego ani nienaturalnego. Z czasem poznałem wszystkie znaki, niuanse, zmienne spojrzenia, dłonie, które poruszają się bezwiednie, jak przerażone ptaki, albo pozostają nieruchome. Prawie zawsze wiem, co ludzie powiedzą. To jeden z tysięcy sposobów, dzięki którym udaje mi się przeżyć. Kiedy jednak Susan mówi, nie słyszę jej. Widzę tylko jej szary kostium, farbowane na blond włosy, wodniste oczy i ślady jej codziennej pracy. Domyślam się tego po plamach po kawie na jej lśniącym, wytartym kostiumie.

Susan mieszka w Beltsville, Greenbelt, Glenn Dale. To jedno z niezliczonych typowych przedmieść, na których wszyscy mieszkamy. Jeździ fordem, a wszystko, co czyta, objęte jest klauzulą tajności. Jak wielu z nas przestała pić. Wszyscy pijemy albo za dużo, albo wcale. Niedzielne pączki i lurowata kawa w kościele metodystów. Pochwalne słowa na temat chórkę, bezsensowne rozmowy o przedszkolu albo urlopach. Susan jest taka pospolita. To typowa Amerykanka, która ma około trzydziestu pięciu lat, dom, kredyt do spłacenia i co dwa lata zmienia samochód. Mąż, dwójka dzieci i ciężka harówka, żeby zarobić na ich naukę w college'u. Wszystko to jednak mieści się w pewnych ramach – a gra toczy się o wielką sprawę. Uważamy bowiem, że codzienność płynie zbyt powoli, zbyt monotennie, że jest niezbyt ważna, a stawka zbyt mała.

Klimatyzacja chodzi na tak wysokich obrotach, że dostaję gęsiej skórki. W uszach nadal mi dzwoni od wybuchu i każdej strasznej nocy śni mi się białe światło i twoje potargane włosy. Budzę się złany potem, niespokojny, zaplątany w prześcieradło, z poduszką przyściśniętą w ochronnym geście do brzucha.

– Oboje byli w samochodzie, prawda? – pyta Susan, siadając na krześle w moim maleńkim pokoju.

Kiwam potakująco głową. Zmuszam się, żeby spojrzeć jej w oczy. Nie wolno mi się zawahać, nie mogę mieć rozbieganego wzroku.

– Straszne – mówi Susan. – Naprawdę straszne. Tak mi przykro. Ale takie jest życie i taką mamy pracę. Wszystko ma swoją cenę. Wysoką cenę.

Nie wygląda na kogoś, komu jest naprawdę przykro. To dla niej tak samo obojętne, jak jej samochód, dom czy niedopasowane ubranie. Przesuwam krzesło i wyglądam przez okno. Patrzę na parking i cienkie, zielone drzewa po drugiej stronie ulicy. Trudno się nawet domyślić, że w pobliżu biegnie autostrada. Przez chwilę siedzimy w ciszy. Obserwujemy, jak drobinki kurzu tańczą w promieniach słońca, które wpadają przez okno do pokoju. Wiem jednak, że Susan nie zjawiała się tu po to, żeby złożyć mi kondolencje.

– Po co pojechałeś do Paryża? – pyta w końcu. – Dlaczego nie stawiałeś się w ambasadzie w Damaszku albo w Kairze?

Wzruszam ramionami, patrzę jej prosto w oczy.

– Bo taki był pierwotny plan – wyjaśniam. – Promem z Latakii do Larnaki, samolotem do Aten, nocnym pociągami do Paryża. Miałem bilety z lotniska De Gaulle’a na lotnisko Dullesa, ale uznałem, że w tych okolicznościach lepiej będzie zameldować się w Paryżu.

– Po tym, co się stało... Czy nie lepiej było zrezygnować z samolotu i zamiast w Paryżu zgłosić się w Damaszku?

Jej głos robi się łagodny i przyjazny. Rzekomo jest tu po to, by się upewnić, czy można mi jeszcze ufać. Oboje wiemy jednak, że to pozory. Zawsze istnieje jakiś podtekst, inny powód, który wynika z jeszcze innego powodu.

– Wszystko wyjaśniłem na debriefingu. Bomba była przeznaczona dla mnie. Stosowałem się do przepisów i postępowałem zgodnie z instrukcjami do czasu, aż byłem pewien, że nikt nie odstrzeli mi głowy na parkingu ambasady.

Susan opiera się o krzesło i bębni lekko obręczką o stalowe oparcie. Przez pewien czas słysząc tylko ten dźwięk i szum klimatyzacji.

– Przeceniasz Syryjczyków i ich sojuszników – mówi Susan. – Stać ich tylko na podłożenie bomby pod samochodem w Damaszku.

– Być może – odpowiadam. – Ale chciałem być po prostu pewien.

Susan kiwa głową, wygląda więc na to, że moje wyjaśnienia jej wystarczą. Do niczego nie może się przyczepić. Brak śladów. Mimo to wbija we mnie wzrok.

– Dopadniemy ich – mówi powoli. – Wiesz o tym. W Damaszku, Kairze albo Bejrucie. Tą sprawą zajmują się teraz wszystkie nasze biura na Bliskim Wschodzie. Trochę to potrwa, ale znajdziemy winnego. Możesz być pewien.

Potwierdzam skinieniem głowy. Myśl o zemście dopiero we mnie kielkuje. Susan nachyla się w moją stronę. Inne spojrzenie, inny ton głosu.

– A informacja pozyskana od kontaktu operacyjnego? Chodzi mi o Firasa, miał wgląd w sprawy związane z syryjskim przetargiem na samoloty. Dostawy broni dla Syryjczyków? Czy te informacje przekazałeś w raporcie tylko mnie? Nie wspominałeś o nich na debriefingu? Albo gdzie indziej?

Kręcę głową.

– Umieściłem je tylko w raporcie dla ciebie – odpowiadam.

– Być może to błędny trop. Może ktoś go podsunął. Ale nie będziemy wzniecać niepokoju.

– Jestem świadom konsekwencji. Wszystko zostanie w raporcie.

Susan opiera się przez chwilę na krześle. Śledzi mój wzrok skierowany za okno. W końcu wstaje.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Ton głosu, który się nie zmienia, niezależnie od liczby ofiar, o których mówi.

– Tak – odpowiadam.

– Weź sobie wolne do końca tygodnia. Idź popływać, zrób sobie drinka.

Widzę, jak przed wyjściem z pokoju Susan uderza dłonią o framugę drzwi. Wygląda mi to na gest zachęty. Jakby chciała mnie podtrzymać na duchu. Coś w rodzaju sympatii. Wie, że lubię pływać. Nie ma takiej rzeczy, której by o mnie nie wiedzieli.

Woda w miejskim basenie jest zbyt ciepła, ale i tak wolę go od basenu w Langley. Kiedy

po każdym czwartym nawrocie się wynurzam, żeby nabrać powietrza, słyszę uczniów jakiejś szkoły. Mówią podniesionym tonem, ich głosy odbijają się niczym echo radaru od śmierdzących chlorem, wyłożonych kafelkami ścian. Robię kolejny nawrót, a potem jeszcze jeden. Kiedyś naprawdę dobrze pływałem. Miałem realną szansę na występ na olimpiadzie, miejsce w drużynie było w zasięgu ręki. Niestety, motywacji wystarczyło mi tylko do czasu rozpoczęcia studiów na Uniwersytecie Michigan. Ale wcale tego nie żałuję. Niczego nie żałuję. Gdybyśmy rozważali wszystko w kategorii „żału”, nie zdołalibyśmy przeżyć. A przecież tak naprawdę w życiu chodzi tylko o przeżycie.

Wiem, że wiele rzeczy opiera się na kłamstwie. Ale przecież rzeczywistość nie jest doskonała: bez kłamstw od razu by się zawaliła. Kłamstwa to filary podtrzymujące most, pozwalają ci przejechać z jednego brzegu na drugi. Prawda nie istnieje.

Ale zanim wyszedłem z biura, poprosiłem o raport. Wiedziałem, że będzie objęty klauzulą tajności, co uniemożliwi mi dostęp do niego. Nigdy nie wolno nam czytać o sprawach, które nas dotyczą. Wiedziałem też, że jeśli mi go udostępnią, na pewno będzie zawierał kłamstwa. Niestety, moja prośba została odrzucona. Przyjąłem to z ulgą. Wolę nie wiedzieć, niż być okłamywanym.

Siedzę w brudnej przebieralni. Nogi mi drżą po godzinach spędzonych w basenie. Nagle czuję, jak zalewa mnie paraliżująca fala poczucia winy. Kiedy pływałem w basenie, trzymała się z dala ode mnie. W wodzie przez krótki czas nic mi nie grozi. Niestety, kiedy poczucie bezpieczeństwa mija, słyszę dźwięk zapuszczanego silnika i widzę małe dziecko zasypane okruchami szkła i betonu.

Potem siedzę przed telewizorem i popijam drinka, Rusty Nail. Mój pokój jest nieprzytulny. W kącie stoi kilka kartonów. Są w nim same bezwartościowe rzeczy. Siedzę na nowej kanapie i oglądam w telewizji powtórkę meczu bejsbolowego, który w ogóle mnie nie obchodzi. Mieszkanie – nowoczesne pudełko z garażem w bezpiecznej odległości od uspokajającego szumu autostrady – pachnie farbami i klimatyzacją. Napinam mięśnie ramion. Przepłynąłem dziesięć kilometrów, dwa razy więcej niż zwykle.

Mecz kończy się w chwili, gdy nalewam sobie trzeciego drinka. Zmieniam kanał na inny. Akurat leci program z Johnnym Carsonem, ale żarty Richarda Pryora z Ronalda Reagana wcale mnie nie bawią. Nie interesują mnie. Wszystko jest takie banalne, takie powolne.

Od kiedy tu wróciłem, wszystko idzie zbyt wolno. A przecież jestem człowiekiem czynu. Strategie, analizy, ciągłe politykowanie w Langley, w Pentagonie, w D.C. Tymczasem moje obecne życie toczy się zbyt wolno. Dajcie mi inny paszport, inny język, inne życie. Wyślijcie mnie do Damaszku, Bejrutu, Kairu. Umiem nawiązywać kontakty, pielęgnować je przy szklaneczce słodkiej whisky albo dobrym cygarze. Potrafię przyrządzić *tabbouleh*², co ma przypomnieć zaproszonym gościom, że wychowałem się w Aleppo. Nawet wtedy, gdy na granicy dochodzi do konfliktów, na balkonie mam zawsze najlepsze libańskie wino.

Na balkonie, w czasie romantycznego zachodu słońca, gdy powietrze przepełnia zapach jaśminu, a z dołu dochodzą strzępy rozmów prowadzonych przy kolacji przez dyplomatów, gangsterów i polityków, wymieniam się informacjami, które pomagają mi przetrwać. Przeprowadzam transakcje, dzięki którym zginie ktoś inny. Wynik jest zawsze remisowy.

Idealna sytuacja to taka, gdy panuje status quo.

Nasi przełożeni od niedawna chcą, żebyśmy po powrocie spotykali się z terapeutami. Jakby sam debriefing nie wystarczył. Dochodzi do tego już pierwszego dnia, gdy mamy jeszcze świeżą opaleniznę, która odcina się wyraźnie na tle rtęciówek, telefonów, kopiarek i teleksów, gdy organizm odczuwa jeszcze skutki zmiany czasu i klimatu, gdy w mózgu nadal kołoczą się arabskie, rosyjskie i portugalskie słowa. Siedzimy więc i męczymy się na obowiązkowych sesjach, opowiadamy o tym, jak się czujemy po długich miesiącach przebywania w innym świecie, kraju i kulturze, z dala od autostrady prowadzącej do głównej siedziby „Firmy”, z dala od najbliższego KFC w drodze do domu i od nudy przepełniającej naszą codzienność.

Nie mówimy im oczywiście o tym, co chcieliby od nas usłyszeć. No bo jak tu opowiadać o tym, co robimy? Co powiedzieć? Że prowadziłem życie arabskiego biznesmena w Damaszku i handlowałem bronią? O banalnych tajemnicach i niewielkim wpływie wywieranym przez nas za pieniądze podatników, i oczekiwaniu na coś, co być może warte jest wysokiej ceny, jaką gotowi jesteśmy zapłacić? Albo o tym, że gdy już coś zwietrzyłem, zastygłem nagle jak przerażony zając na środku ruchliwej drogi i wszystko straciłem?

Mam o tym wszystkim opowiadać? Przecież nawet sam przed sobą się do tego nie przyznaję. Jak już zacznę o tym wszystkim mówić, to nigdy nie skończę. Jeśli zacznę myśleć, zginę.

Wiem za to, jak przeżyć, więc tylko się uśmiecham i zerkam na zegarek. Kiedy sesja się kończy, wstaję, zakładam anonimową granatową marynarkę i wjeżdżam na autostradę. Jadę do anonimowego pudełka, które na pewno nie jest moim domem. Czekam na stosowną chwilę i mam nadzieję, że kwarantanna dobiegnie kiedyś końca. Że któregoś dnia na moim biurku pojawi się teczka, a w niej dokumenty z moją nową tożsamością, bilety lotnicze i numer konta bankowego, żebym mógł zacząć nowe życie. Jediną rzeczą, dla której żyję, jest kolejny ruch.

19 grudnia 2013
Bruksela, Belgia

Stacja kolejowa przy lotnisku Zaventem przypominała wieczny plac budowy. Rusztowania, taśma zagrządzająca dostęp, mnóstwo pomarańczowych pachołków.

Mahmoud próbował przebić się przez bierny tłum, żeby zdążyć na najbliższy pociąg do Brukseli. Otaczała go barwna masa ludzi reprezentujących różne środowiska i zawody, pochodzących z wielu różnych krajów: lobbyści i inni „bojownicy” w służbie europejskiej integracji, którzy zdążyli przejrzeć ranne wydanie „Financial Timesa”, wystające z opływowych walizek firmy Samsonite, a teraz, tak jak on, ze słuchawkami telefonów komórkowych przeciskali się przez tłum; czekający na pociąg do Antwerpii ortodoksyjni Żydzi w czarnych chałatach; ubrane w wakacyjne stroje rodziny dźwigające zbyt duże walizki do odprawy na samolot do Phuket. Konduktor dał sygnał gwizdkiem i Mahmoud zaczął przeciskać się jeszcze bardziej energicznie, żeby pociąg nie uciekł mu sprzed nosa. W pewnej chwili poczuł, jak przewieszony przez ramię plecak zsunął mu się i spadł na betonowy peron. Zatrzymał się, ale bagaż znikł mu z oczu. Poirytowany schylił się, lecz tłum popychał go w stronę pociągu. Nagle ktoś poklepał go po ramieniu.

– *Is this yours?*

Mahmoud się odwrócił i ujrzał przed sobą blondynkę w jego wieku. Miała koński ogon, luźne ubranie i ciepłe zielone oczy. Podała mu plecak.

– *Yes, it is. Thanks a lot!* – odparł.

Chwycił plecak i nie tylko zdążył wejść do pociągu, ale także znaleźć wolne miejsce przy oknie. Z głębokim westchnieniem opadł na pomarańczowe siedzenie.

Podczas gdy pociąg wytaczał się powoli ze stacji, Mahmoud zabrał się za studiowanie wczorajszego programu. Lista uczestników była imponująca. Posłowie do Parlamentu Europejskiego, oficerowie NATO, jeden ambasador, dziennikarze z dużych zagranicznych gazet. Nagle się zdenerwował. Dlaczego nie przygotował się wcześniej? Zamknął oczy, żeby zebrać myśli. W jednej chwili ogarnęła go ciemna noc. Zapadł w głęboki sen, możliwy tylko w czasie podróży.

– Z naszego hotelu to niecałe pięć minut piechotą, mister Shammosh – powiedział nieco sztucznym głosem elegancko ubrany portier hotelu Bristol. Miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, ale jego głos brzmiał o wiele bardziej dojrzałe i poważnie.

– Świetnie! – odparł Mahmoud. Złożył mapę i wsunął ją do swojego starego plecaka. Jego maskujący kolor i stopień zużycia wskazywały na to, że swoje pracowite życie zaczął w armii. Przy zamku błyskawicznym przyszyta była naklejka w kształcie niewielkiego stylizowanego spadochronu.

Hotel Bristol, podobnie jak portier, robił wrażenie czegoś, czym tak naprawdę nie był. Czerwona wykładzina, mahoń i skórzane meble świadczyły o nieudolnej próbie ukrycia faktu, że hotel należy do międzynarodowej sieci.

– Mister Shammosh, ktoś zostawił dla pana wiadomość – powiedział portier i podał mu

dokładnie zaklejoną, grubą kopertę.

Tak jak przypuszczał, jego pokój był mały, a ściany miały kolor „piasku pustyni”. Wszystko było tu dopracowane i wymuskane, jak dekoracje w operze mydlanej. Nikt nawet nie starał się nadać pokojowi choćby odrobiny angielskiej ekscentryczności. Panowała tu typowa, łatwa do rozpoznania monotonia sieciówki.

Mahmoud rozsunął zasłony na całą szerokość. Okno wychodziło na niewielkie, brudne podwórze. W powietrzu unosiły się pierwsze płatki śniegu. Sprawiały wrażenie zagubionych, jakby zabłądziły w drodze na wzgórze, z którego zjeżdża się na sankach, albo na lodowisko.

Mahmoud rzucił plecak na łóżko i usiadł na fotelu przy oknie. W rękę nadal trzymał brązową kopertę. Ktoś napisał na niej czarnym flamastrem jego imię i nazwisko.

Rozerwał ją drżącymi palcami i przez chwilę siedział nieruchomo, obserwując zabłakane płatki śniegu za oknem. W końcu zrobił głęboki wdech i wyjął to, co znajdowało się w kopercie.

Na kolana wypadł mu prosty telefon komórkowy, ładowarka i dokładnie złożona kartka. Najpierw sięgnął po telefon, tani model Samsunga na kartę. W Szwecji można taki kupić na każdej stacji benzynowej już za czterysta koron. Mahmoud włożył baterię, która była w oddzielnej paczuszce, i włączył aparat. Rozległo się lekkie brzęczenie. Sprawdził skrzynkę, okazało się, że jest pusta. Nikt do niego nie napisał ani nie nagrał się na sekretarkę.

Znowu głęboko odetchnął i rozłożył kartkę. W środku była mniejsza kartka. Upadła mu na podłogę. Papier, który został mu w rękę, zawierał krótką informację, napisaną na maszynie po szwedzku:

Mahmoudzie,

Posiadam informację, z którą nie wiem, co zrobić, i dlatego potrzebuję Twojej pomocy. Myślę, że jest to związane z tym, czym zajmujesz się w swojej pracy naukowej. Musimy się spotkać. Uruchom telefon jutro między 13.00 a 13.30 i bądź gotowy do wyjścia. Na resztę dnia go wyłącz i wyjmij baterię. Skontaktuję się z Tobą.

Życzę Ci silnej woli, odwagi i wytrwałości.

Mahmoud złożył kartkę i spojrział na telefon. „Gotowy do wyjścia”, „Życzę Ci silnej woli, odwagi i wytrwałości”. Słowa z innej epoki. Ktoś wie o nim coś, o czym on sam zapomniał.

Powoli, z pewnym roztargnieniem, pochylił się i podniósł drugą kartkę, która leżała na wykładzinie. Rozłożył ją i cofnął się instynktownie na widok tego, co zobaczył.

Był to niezbyt ostry wydruk fotografii. Cyfrowe zdjęcie wydrukowane na zwykłej drukarce starego typu. Mimo to dokładnie było widać, co przedstawia.

Musiało być zrobione małym, kieszonkowym aparatem albo trochę lepszym telefonem komórkowym i zajmowało prawie całą stronę A4. Na pierwszym planie widać było mężczyznę przywiązanego pasami do noszy. Ubranie miał tak zniszczone, że ledwo zakrywało ciało, całe w plamach krwi i ranach. Wzdłuż rąk, na szyi i na klatce piersiowej biegła podłużna kreska złożona z małych, okrągłych oparzeń powstałych od wielokrotnego

przypalania papierosami. Ale nie to było najgorsze.

Najstraszniejsze były oczy tego człowieka. Mahmoud był tak przerażony, że dopiero po chwili się zorientował, iż oczodoły są puste i nie ma w nich gałek ocznych. Zmusił się, żeby spojrzeć na zdjęcie z mniejszej odległości. Oczodoły przypominały ciemne dziury. Ich brzegi pokrywała zaschnięta krew i brud. Mahmoud doszedł do wniosku, że mężczyźnię wyłupiono albo wypalono oczy. Na zdjęciu trudno było rozpoznać, czy żyje.

Mahmoud wpatrywał się w fotografię jak sparaliżowany, aż w końcu nie wytrzymał, odwrócił ją na drugą stronę i położył na kolanach. Przez chwilę miał wrażenie, że trafił do piekła. Nosze i pasy, krew i tortury.

Kiedyś miał do czynienia z cierpieniem, nędzą, niewolą, a nawet z torturami. W ostatnich trzech latach spędził trzy miesiące w Iraku i Afganistanie. Widział tam więcej strasznych rzeczy niż większość ludzi przez całe życie. Ale takie okrucieństwo... To chyba coś gorszego niż Abu Ghraib.

– Boże! – szepnął, chociaż jego własny bóg był o wiele bardziej skomplikowany, niż wynikałoby to z siły szeptu.

19 grudnia 2013

Bruksela

Klara chłoneła miękki, intensywny, przypominający zapach ziemi woń jego perfum. Dopiero po chwili poczuła, jak ostrożnie chwyta ją za prawy łokieć. Jej ciało nagle jakby zwiotczało, ale było to całkiem przyjemne; głowa zrobiła się lekka, jakby wypełniona dwutlenkiem węgla. Właśnie szła na poranne spotkanie, ale od razu przestało być ważne. Nie stawiała oporu, kiedy zabrał ją z wyłożonego jasnym drewnem szerokiego korytarza i poprowadził do jednej z sal konferencyjnych w siedzibie Parlamentu Europejskiego. Wykładzina tłumiła dźwięki dochodzące z korytarza i barku dla dziennikarzy.

– Tęskniłem za tobą – powiedział po angielsku Cyril Cuvelliez, przyciskając usta do jej warg.

Mówił z amerykańskim akcentem, przez który przebijały francuskie dyftongi. Miał miękkie, ale zaborcze wargi. Zachowywał się jak ktoś, kto dostaje to, czego chce.

– Nie wiedziałam, że będziesz w tym tygodniu – szepnęła Klara, wpijając się w jego usta.

Poczuła się tak, jakby na nowo obudziła się do życia.

– Ja też nie wiedziałem.

Powiedział jeszcze coś, ale jego słowa zagubiły się gdzieś w szumie, który wypełnił jej uszy. Poczuła, jak krew zaczyna szybciej krążyć jej w żyłach. Opanowało ją czysto fizyczne pożądanie. Cyril odsunął się od niej z uśmiechem.

– Mówisz tak, jakbym musiał się tłumaczyć, że do ciebie wróciłem – powiedział.

– Mogłeś chociaż wysłać esemesa – odparła Klara. – Ale i tak się cieszę, że tu jesteś.

Stała na palcach, żeby znowu pocałować go w usta, i zamknęła oczy. Postanowiła zignorować jego uproszczone, bałamutne słowa. Szybko rozpięła guzik szarej marynarki. Wsunęła pod nią dłonie i przez cienką jasnoniebieską koszulę dotknęła jego skóry. Mężczyzna westchnął z rozkoszą. Uwielbiała tę chwilę, gdy pod wpływem jej pieszczot wydawał z siebie takie dźwięki.

– Miałem trochę kłopotów – mruknął. – Ale teraz jestem tutaj.

– Na jak długo? Zdążymy się spotkać?

Klara wdychała zapach męskiego ciała, jakby w ten sposób chciała go wziąć do niewoli.

– Tylko do jutra. Obawiam się, że dzisiaj będę zajęty aż do późnej nocy.

Poczuła na policzku jego oddech i zarost, i ciepłe, suche dłonie. Nie umiała się przed tym obronić, podobnie jak nie potrafiła sobie poradzić z rozczarowaniem, że nie zdąży się z nim spotkać. Skinęła głową.

– Umówmy się przynajmniej na lunch – zaproponowała, drapiąc go w ucho.

– Jesteś w cudowny sposób niesamowita. Jak mógłbym ci odmówić? Może dzisiaj?

Klara skinęła głową. Poczuła, jak coś w niej rośnie.

– Mam spotkanie, które potrwa do pierwszej. Spotkajmy się o wpół do drugiej u mnie

w domu.

Cyril wyjął telefon, żeby sprawdzić swój grafik.

– Przesunę jedno ze spotkań na czwartą. Kolacja zaczyna się dopiero o ósmej.

Klara pocałowała go i dopiero potem odsunęła się od niego.

– Idź już – powiedziała. – Spotkamy się za kilka godzin.

Cyril się uśmiechnął.

– Już zacznę tęsknić – odparł.

Klara skinęła głową, uszczęśliwiona, a zarazem zmartwiona. Jak zawsze, gdy ich krótkie spotkania się kończyły.

– Lepiej idź pierwszy, żebyśmy nie musieli wychodzić razem.

Cyril skinął głową i pocałował ją. Zapiął marynarkę i poprawił krawat.

– Na razie – powiedział.

Zostawił ją i nie odwracając się, ruszył korytarzem, aby ponownie zagłębić się w szarą rzeczywistość Parlamentu Europejskiego.

Klara stała oparta o ścianę. Nadal czuła na wargach smak Cyrila. Powoli otworzyła oczy. Szumiało jej w uszach, serce biło przyspieszonym rytmem, próbowała głęboko oddychać. Zamrugła, przeciągnęła dłońmi po włosach. Jak to się mogło stać?

Jakim sposobem Cyril zdołał sforsować jej obronę, system alarmowy, zamki i drut kolczasty, wszystko, czym próbowała się zabezpieczyć przed tym, co teraz czuje? A może nie przed tym? To, co czuje, jest przecież takie cudowne. Może więc przed tym, co przychodzi później, czego nie da się wyjaśnić, przed zdradą i pustką, bezdenną przeciwnością tego, co powoli zaczęło w niej narastać?

Ale dlaczego teraz? Dlaczego nie potrafiła trzymać się od tego na dystans? Wie, że jest atrakcyjną kobietą, ale nie zależy jej na tym, żeby się za nią oglądano. Przeciwnie. W Parlamencie Europejskim pełno jest młodych, inteligentnych mężczyzn, pewnie bez trudu mogłaby oczarować większość z nich. Przynajmniej na krótki czas.

Przez pierwsze półrocze spędzone w Brukseli powoli budziła się do życia. Po tym, co przeżyła z Mahmoudem, po zawodzie, jaki jej sprawił, rok spędzony w Londynie był zaprzeczeniem tego, co sobie wyobrażała. O Londynie marzyła od czasu, gdy pojechała tam latem po ukończeniu liceum. Była wtedy zupełnie sama. Chciała tylko potańczyć w 100 Club na Oxford Street, kupić w Camden ubrania w stylu lat sześćdziesiątych albo zdarte single w Spitalfields Market, odwiedzić czynne do świtu kafejki na Old Compton Street, przejechać się nocnym autobusem albo pieścić się w małych, zawilgoconych mieszkankach w Brixton albo Islington z chłopcami o anorektycznym wyglądzie i z długimi włosami.

Niestety, Londyn stał się dla niej samotnym, deszczowym więzieniem. Prawie nie pamiętała pierwszych spędzonych tam miesięcy. Żadnych szczegółów, tylko fizyczne symptomy jesieni w marnym pokoju studenckim w akademiku oddalonym o przecnicę od the Strand. Pamiętała chłód, który wciskał się przez cienkie ściany, słabo izolowane okna, zimno, przed którym nie chroniły nawet termofory. Jak przez mgłę przypominały jej się niekończące się godziny spędzone w bibliotece na Portugal Street, dokąd uciekała z podręcznikami i samotnością. Miała wrażenie nieskończonej nicości.

Najgorsze ze wszystkiego było poczucie winy – że zawiodła samą siebie. Zamieszkała

przecież tam, gdzie zawsze chciała mieszkać, studiowała na prestiżowej uczelni w ukochanym mieście. Tyle że po raz pierwszy w życiu nie bardzo wiedziała, do czego to wszystko prowadzi.

I nagle pojawiła się rudowłosa Gabriella. Nigdy nie zapomni, jak ujrzała ją przez oszronione okno swojego pustego pokoju. Był początek grudnia, na ulicy leżał śnieg, a Gabriella wysiadała z taksówki. Zapłaciła za kurs niedbałym ruchem obytej w świecie osoby, która właśnie wkroczyła na ścieżkę kariery w kancelarii adwokackiej. Klara była wtedy w swoim pokoju na trzecim piętrze. W pewnej chwili podeszła do okna i wśród płatków śniegu ujrzała Gabriellę. Nawet z tej odległości potrafiła dostrzec w jej ciepłych oczach niezłomną wolę.

Na uczelni obchodziły się bokiem. Były na tym samym roku, ale Klara nie miała na początku zbyt dużej ochoty na nawiązywanie znajomości. Przez kilka semestrów spotykała się z Mahmoudem i czuła, że to coś więcej, niż kiedykolwiek mogłaby się spodziewać. Od pierwszego dnia nazywała go Moody, bo na takiego wyglądał. Energiczny, lekko zakłopotany, jakby nad czymś się zastanawiał albo ukrywał poczucie humoru pod szczelną powłoką.

W czasach, kiedy dorastała na Aspöji, nie miała chyba prawdziwych przyjaciół. Kiedy w końcu znalazła się w tej samej grupie co Gabriella, doznała objawienia, które było tak samo namacalne jak wtedy, gdy poznała Moody'ego. Nie potrafiła pojąć, że istnieją inni ludzie, którym tak jak jej podoba się *northern soul* i staromodne ciuchy. Zakochała się, a Moody sobie z niej żartował. Uważała wtedy, że tak będzie dla nich najlepiej, że to dobrze, że próbuje wyjść poza ich hermetyczną sferę.

Później, gdy jeszcze w Londynie nadeszły mroczne i ponure dni, myślała czasem, że do wszystkich strasznych zdarzeń w jej życiu doszło tylko dlatego, że wpuściła do niego Gabriellę. Gdyby trzymała wyłącznie z Moodym, gdyby tylko dopilnowała, aby ich związek się nie rozpadł i gdyby nigdy nie dopuściła do siebie nikogo innego, jakoś by to było.

Jednak tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy ujrzała Gabriellę z okna swojego pokoju, gdy się przekonała, jaka jest silna i zdecydowana, wiedziała, jak szalone są takie myśli. Czasem nie potrafiła tego wyjaśnić. Czasem człowiek po prostu umiera. Widocznie Gabriella zjawiała się po to, żeby uratować jej życie.

I nawet jej się to udało. Londyn ostatecznie rozczarował Klarę, ale odzyskała siły, choć brakowało jej chęci do życia. Zdała egzaminy, napisała pracę magisterską i zaczęła rozsyłać CV. Na jedno z nich zareagowała Eva-Karin Boman, słynna i szanowana polityk z wielkimi ambicjami i chęcią zrobienia wielkiej międzynarodowej kariery. Kiedy Boman napisała, że chce z nią porozmawiać, Klarze wróciła chęć do życia. Czytając list, czuła, jak odzyskuje energię. Od razu wyobraziła sobie napięcie związane z uczestniczeniem w wielkiej polityce, ważne decyzje, pieniądze i władzę.

Pierwsze sześć miesięcy spędzone u Boman było cudowne. Musiała spełniać wszystkie zachcianki i żądania szefowej. W jej świecie pojawili się nagle mężczyźni, którzy byli dobrze zbudowani, mieli ostrzyżone włosy i wyrobiony smak muzyczny. Jeszcze miesiąc przedtem mogłaby tylko pomarzyć, że ich pozna. Wszystko stało się takie ekscytujące, a czasem nawet podniecające.

Ale to, co przeżyła z Cyrilem, było zupełnie inne. Ich związek przypominał na początku rodzaj zabawy. Po pewnym czasie poczuła jednak, że traci nad tym kontrolę, a może nawet już ją straciła. Poprawiła ubranie i westchnęła. Nie wiadomo dlaczego nagle przypomniał jej się Mahmoud. Może to z powodu e-maila, który dostała od niego przed dwoma dniami. Jeszcze mu nie odpowiedziała, bo nie wiedziała, co napisać. Pokręciła głową.

– Moody, Moody – szepnęła. – Co ty znowu kombinujesz?

19 grudnia 2013

Bruksela

– Mister Shammosh? Czy ma pan coś do dodania w tej kwestii? Mam na myśli ostatnią część wystąpienia profesora Lafarque’a, dotyczącą skutków stałego łamania prawa i radykalizacji bojowników w Iraku i Afganistanie.

Były ambasador, sir Benjamin Batton, moderator konferencji International Crisis Group, poświęconej działalności prywatnych firm w regionach, w których toczą się wojny, pochylił się nad stolikiem. Na jego twarzy pojawiła się typowa dla niego czujność.

Mahmoud uniósł głowę znad notatnika i spojrzął mu spokojnie w oczy. Na jego wargach pojawił się uśmiech. Był w swoim żywiole. Występował przed liczącym pięćset osób audytorium złożonym z decydentów i mniej lub bardziej ważnych dziennikarzy, ale prawie wcale nie czuł podenerwowania.

– Jak najbardziej – odparł. – Niewątpliwie tego rodzaju makabryczne czyny, których świadkami byliśmy na przykład w Abu Ghraib, prowadzą w konsekwencji do radykalizacji. Powiem wprost...

Mahmoud nie musiał się nawet zastanawiać nad tym, co zamierzał przekazać. Słowa po prostu płynęły mu z ust, przemawiał spokojnie i rzeczowo. Tak samo jak w Uppsali, gdzie jednak rzadko trafiała mu się okazja do wygłoszenia odczytu na temat, który naprawdę go interesuje.

Zauważył, że zebrani na sali uczestnicy konferencji unieśli głowy i spojrzeli na niego z zainteresowaniem; przestali ziewać, obudzili się z odrętwienia, sięgnęli po długopisy, żeby zanotować jego tezy. Wszystko, co widział, i wszystko, o czym mówił, przepełniało go energią i dumą. Był poruszony własnym profesjonalizmem i umiejętnością wykładania swoich racji. Mahmoud Shammosh, *academic superstar*.

W pewnej chwili sir Batton z wrodzoną elegancją wykorzystał jedną z krótkich pauz w jego wystąpieniu i zaproponował, aby kontynuować dyskusję po przerwie. Poinformował też, że w foyer czekają na wszystkich przekąski i kawa. Mahmoud uznał to za zniewagę. Wprawdzie u niektórych osób, które jeszcze przed chwilą słuchały go z uwagą i podziwem, dostrzegł szklany wzrok, ale niczego to nie wyjaśniało. To jego chwila, stał tutaj, w świetle ramp. Powinni pozwolić mu kontynuować wystąpienie podczas lunchu. Co za egoiści. Dla niego to przecież wielka szansa, żeby się wypromować! Nauka nauką, ale właśnie to stanowi dla niego prawdziwą nagrodę.

Wstał i wyjął z plecaka telefon i baterię. W chwili, gdy włożył ją do telefonu i włączył, aparat zawibrował mu w dłoni. Dwa nieodebrane połączenia z nieznanego numeru. Poczuł, jak cały sztywnieje. Telefon znowu zadzwonił, a serce zaczęło mu bić dwa razy szybciej.

Ruszył w stronę bocznych drzwi, które jak sądził, prowadziły do toalety. Odebrał połączenie. Był maksymalnie pobudzony. Adrenalina wywołana wykładem mieszała się z napięciem związanym z tym, co miało nastąpić za chwilę. Oczami wyobraźni ujrzął nagle przerażający obraz.

– Mahmoud Shammosh – szepnął do słuchawki.

– Jak były podpisane e-maile, które otrzymałeś?

Głos był mroczny i głuchy, jakby dochodził do niego przez filtr.

Mahmoud poczuł nagle, jak w ustach robi mu się sucho.

– „Życzę ci silnej woli, odwagi i wytrwałości” – odparł, wchodząc do męskiej toalety. Jeden pisuar i pusta kabina.

– Gdzie jesteś?

– International Crisis Group na Avenue Louise – odparł. – A kto mówi?

– Wyjdź stamtąd jak najszybciej. Pojedź metrem z Louise do Arts-Loi. Przesiądź się na metro do Gare Centrale. Obejdź stację, aż zgubisz tych, co za tobą chodzą. Wróc dwa przystanki i przesiądź się na metro do Gare du Midi. Przez cały czas zachowuj czujność. Jasne?

Mahmoud cały zeszywniał.

– Znamy się z Karlsborgu, prawda? – spytał. – Czy to dlatego się ze mną skontaktowałeś?

– Kiedy dojedziesz do Gare du Midi, włóż baterię do telefonu i zadzwoń pod ten numer. Dostaniesz kolejne instrukcje.

Mahmoud próbował rozpoznać głos, ale z nikim go nie kojarzył.

– Zgoda – odparł. – Ale o co w tym wszystkim chodzi? O czym chcesz mi opowiedzieć? A może to jakiś żart?

Przez chwilę się zastanawiał, czy mając tak szczątkowe informacje, powinien w to wchodzić.

– To nie żart. Postępuj według instrukcji. Potrzebuję twojej pomocy. Co masz do stracenia?

– Jasne – odparł Mahmoud. – Mogę się stąd ulotnić najwcześniej za godzinę.

– Okej. Wyjmij baterię z telefonu i nikomu o niczym nie mów. Nie żartuję. Wiele wskazuje na to, że jesteś śledzony.

W tym momencie rozmowa dobiegła końca. Mahmoud spojrział na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Co za dziwne uczucie! Wahanie? Nerwowość? W końcu doszedł do wniosku, że to oczekiwanie. Faktycznie. Co ma do stracenia?

19 grudnia 2013

Bruksela

Krótko ostrzyżony mężczyzna, który czekał na George'a przy wejściu do siedziby Merchant & Taylor, był najwyżej pięć lat starszy od niego. Z wyglądu przypominał sportowca. George wiedział, że nigdy nie osiągnie takiej sylwetki samym graniem w squasha albo uprawianiem innej dyscypliny sportu, bo nie za bardzo się do tego przykłada. Mimo zwykłego garnituru i białej koszuli bez krawata nieznajomy wyglądał na kogoś, kto bardziej nadaje się do życia w naturze niż w eleganckim świecie biurowców, recepcji i korytarzy. Był gładki i bezbarwny, jakby powleczony teflonem. George pomyślał z zazdrością, że mężczyzna wygląda jak Matt Damon w filmach o Bournie. Cholera, ależ ten facet musi trenować!

– Mister Brown? – spytał George, wyciągając rękę.

– Zgadza się. Mów mi Josh – odparł mężczyzna, obnażając w szybkim uśmiechu białe zęby.

– Mam na imię George – powiedział i podał gościowi rękę. Uścisk trwał odrobinę za długo. Przez chwilę stali i przyglądali się sobie: dwaj mężczyźni znający swój potencjał. George pierwszy rozluźnił uścisk i pociągnął swojego gościa w stronę wind.

– Reiper wyjaśnił ci, o co chodzi? – spytał Josh, choć było to raczej stwierdzenie faktu.

– Tak – potwierdził George, ściągając windę. – Macie pewne dokumenty, które należy przetłumaczyć. Z jakiegoś powodu chcecie za to zapłacić podwójną stawkę, a ja mam o tych papierach natychmiast zapomnieć.

Uśmiech Josha niewiele się różnił od uśmiechu Reipera. Zachowywał się z dużą pewnością siebie, jakby wiedział coś, co czyniło go niezastąpionym. Prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Nic nie wiem o warunkach płatności. To działka Reipera. Moje zadanie polega na dopilnowaniu, aby te papiery nie opuściły pokoju. To delikatna sprawa, nic osobistego. Tak to można określić.

Wyszli z windy. Szyte ręcznie buty George'a uderzały lekko o piękną podłogę wykonaną prawdopodobnie z jakiegoś chronionego gatunku drzew.

– Muszę cię poprosić o zamknięcie drzwi na klucz – powiedział Josh, gdy weszli do salki konferencyjnej.

– Nie ma sprawy – odparł George i z pewnym wahaniem wykonał polecenie gościa.

Josh wyjął z przerzuconego przez ramię granatowego pokrowca na komputer coś, co przypominało starszy model czarnego iPod'a. Potem ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz przeszedł się szybko po pokoju. Wynik tej inspekcji wypadł chyba zadowolająco, bo odłożył urządzenie i usiadł na jednym z obitych skórą krzeseł.

George przyglądał się temu wszystkiemu ze zdziwieniem. Chciał spytać, o co tu chodzi, ale czuł się fizycznie słabszy od swojego klienta i nie chciał, żeby ten to zauważył. Usiadł

więc przy biurku i czekał, aż Josh wszystko mu wyjaśni.

– Proszę – powiedział Josh, wyjmując z pokrowca niewielki laptop i zielony skoroszyt.

– Do przetłumaczenia są dokumenty z tego skoroszytu. Tłumaczenie wpiszesz do tego komputera, nigdzie indziej. Nie musi być dosłowne, zależy nam na ogólnej wymowie tekstu. Jeśli czegoś nie zrozumiemy, zwrócimy się do was. Czy mógłbym się napić kawy?

Mówiąc to, Josh wskazał na stojący obok lodówki ekspres do kawy.

George skinął głową, podniósł z biurka skoroszyt i otworzył go. Treść dokumentu została przygotowana do tłumaczenia w taki sposób, by zachować pełną anonimowość. Wszystkie imiona i nazwiska zostały zamazane czarnym flamastrem. Na samej górze, w prawym rogu kilku pierwszych kartek, ktoś – być może sam Josh – przekreślił kwadratową ramkę. George przejrzał szybko cały tekst.

Pierwszy dokument został sporządzony przez Säpo, policję bezpieczeństwa, i zawierał krótki raport osobowy.

George przerwał na moment i uniósł wzrok. Säpo. W przekreślonym kwadracie w prawym górnym rogu kartki znajdował się stempel o treści „ściśle tajne”. Zakręciło mu się w głowie. Oto ma przed sobą dokument obłożony klauzulą tajności, który, najogólniej rzecz ujmując, traktuje o szpiegowaniu.

Sprawa jest jasna: ten, kto przekazał ten dokument Reiperowi i jego kumplom, dopuścił się zdrady. Niesamowite! George nawet nie chciał myśleć, jakie przestępstwo popełnia już przez sam fakt trzymania tego dokumentu w ręku. Prawie czuł przez skórę, że znajduje się blisko ważnych spraw, naprawdę wielkich tajemnic.

Pierwszy dokument zawierał szczegółową charakterystykę kogoś, kto sądząc z opisu, był Arabem i mieszkał w ponurym dziesięciopiętrowym bloku w Tensta, dzielnicy Sztokholmu. Do tekstu dołączone było zdjęcie budynku. George nigdy nie potrafił zrozumieć, jak ludzie mogą mieszkać w czymś takim. Przypominało to typowe sowieckie rudery, *chruszczoby*, jak mawiają Rosjanie.

Mężczyzna, którego dotyczył dokument, był najstarszym spośród trzech braci. Mieszkali z ojcem, który przyjechał do Szwecji z Libanu na początku lat osiemdziesiątych, po tym jak matka chłopców zginęła w jednym z nalotów bombowych przeprowadzonych przez izraelskie wojsko. Na podstawie treści można było odnieść wrażenie, że autor raportu rozmawiał z nauczycielem szkolnym „bohatera” tekstu, a może nawet z jego przyjaciółmi, a potem wszystko, czego się dowiedział, opisał suchym, urzędniczym językiem. „Oceny na świadectwach szkolnych – wzorowe”. „Mężczyzna jest silnie zdeterminowany, by zmienić swą obecną sytuację życiową”. „Niezwykle silna motywacja”. „Wyśmienite zdolności językowe. Mówi i pisze bezbłędnie po szwedzku, arabsku i angielsku”. „Interesuje go polityka, ale nie angażuje się w nią aktywnie”.

Dalszy fragment dotyczył religijności mężczyzny. „Niepraktykujący muzułmanin bez konkretnych powiązań z elementami radykalnymi czy z miejscowym meczetem” – brzmiał wniosek końcowy.

We fragmencie zatytułowanym *Czas wolny i życie towarzyskie* autor raportu starał się pokazać, że najwięcej przyjaciół i znajomych obiekt posiada wśród sportowców. Najprawdopodobniej biegaczy i koszykarzy.

Tych, którzy uprawiali z nim sport, autor raportu nazwał „znajomymi”, a sam obiekt

określił mianem „introwertyka, który paradoksalnie posiada silnie rozwinięte zdolności przywódcze”. Raport zamykał fragment pod tytułem *Podsumowanie*, a wniosek końcowy brzmiał następująco: „Obiekt doskonale nadaje się do wykonywania zadań specjalnych”. George nie miał pojęcia, co kryje się pod tym określeniem. Miał jednak przetłumaczyć tekst ze szwedzkiego na angielski, a nie go zrozumieć.

Drugi dokument był dłuższy i liczył ponad trzydzieści stron. Z datowania wynikało, że powstał zaledwie kilka dni wcześniej. Pierwszą kartkę zatytułowano *Powód do sprawowania szczególnego nadzoru*. Tekst był krótki i brzmiał następująco: „Z wiarygodnych źródeł pochodzących od zagranicznych służb wywiadowczych wynika, że obiekt utrzymuje bliskie kontakty z elementami wywrotowymi w Iraku i/lub Afganistanie; zob. dossier SÄK/R/00058349”.

Na kolejnych stronach znajdował się opis aktualnej sytuacji życiowej obiektu. Student prawa. Były przewodniczący Związku Polityki Zagranicznej. Doktorant na wydziale prawa. Udział w kursach. Zdjęcia domu z oknami jego mieszkania zakreślonymi czerwonym kółkiem. Koszykówka w hali sportowej dwa razy na tydzień. Długi związek z niejaką Klarą Walldéen, który skończył się przed kilku laty. Akurat jej nazwisko nie było przekreślone flamastrem.

George wstał z krzesła i podszedł do ekspresu do kawy. Włożył wkład i nacisnął zielony przycisk.

– Klara Walldéen – powiedział do siebie cicho.

– Słucham? – spytał Josh, unosząc wzrok znad telefonu komórkowego. Nadal siedział na skórzanym krześle przy oknie wychodzącym na park. George patrzył, jak krople deszczu uderzają w szybę i spływają na parapet. Chłód bijący z podwórza był coraz bardziej odczuwalny, wyglądało na to, że zbiera się na burzę. W pokoju pociemniało, jakby zapadał zmierzch.

– Klara Walldéen – powtórzył George.

Od razu ją sobie przypomniał. Znał większość Szwedek pracujących w Brukseli. Na Klarę zwrócił szczególną uwagę, ale nie dlatego, że wyróżniała się jakimś szczególnym talentem. Jej szefowa, Boman, była starą socjaldemokratką, która zajmowała się głównie polityką zagraniczną. Jego te kwestie akurat nie interesowały. Na Klarę zwrócił uwagę ze względów osobistych. Umieścił ją na liście pięciu najbardziej seksownych asystentek w Parlamencie Europejskim.

– Pracuje w Parlamencie Europejskim – powiedział.

– Zgadza się – potwierdził spokojnie Josh. – Reiper chciałby, żebyś miał na nią oko. Istnieją przesłanki wskazujące na to, że pani Walldéen utrzymuje bliskie kontakty z pewnym terrorystą, którego ścigamy.

Terrorystą. Słowo odbiło się jakby echem od ścian i wróciło do niego.

– Żeby miał na nią oko? Co masz na myśli?

George poczuł się niezręcznie. Terrorysta, policja bezpieczeństwa, a teraz ma „mieć kogoś na oku”. W miejsce jeszcze przed chwilą odczuwanej euforii, spowodowanej faktem, że miał przed sobą dokument opatrzony klauzulą „ściśle tajne”, pojawiło się uczucie, że nie wszystko jest dla niego jasne.

– To nic wielkiego. Zaczynj od przejrzenia portali społecznościowych, na których ma konto. Zrobilibyśmy to sami, ale nie znamy wystarczająco dobrze szwedzkiego. Zresztą pewnie już to zauważyłeś.

George ponownie zasiadł do biurka i kontynuował pracę. Reszta dokumentu składała się z raportów sporządzonych przez tajniaków. Były to krótkie opisy tego, czym zajmował się obiekt. Jakiś palant musiał chyba spędzić przed jego domem cały dzień, pomyślał George. Paskudna robota.

Dwie rzeczy nie dawały mu spokoju. Po pierwsze, raport zawierał szczegółowe opisy, a nawet fotografie zrobione wewnątrz mieszkania i pokoju służbowego. Naruszenie prywatności to bardzo nieprzyjemna rzecz, bez względu na to, czy w prywatnych pomieszczeniach obiektu byli ludzie z Säpo, czy z jakiegokolwiek innej służby specjalnej.

Po drugie, raport zawierał fragmenty prywatnych e-maili. Dwie wiadomości zostały wysłane z dziwnego adresu. Ich nadawcą był ktoś, kto chciał się spotkać z obiektem w Iraku i w Brukseli. Obiekt wysłał krótki e-mail do Klary Walldéen, i to zaledwie kilka dni przedtem. Reiper albo Josh zaznaczył ten e-mail czerwonym mazakiem. George, który nie był zbyt zasadniczy, poczuł, że robi mu się niedobrze. Ale przecież jest tylko niewielkim trybikiem w całej tej maszynerii.

– Podejrzewam, że tłumaczenie zabierze mi większą część popołudnia – powiedział, otwierając w edytorze kolejny dokument.

– No to weź się lepiej do roboty – odparł z lekkim uśmiechem Josh.

19 grudnia 2013

Bruksela

Mahmoud jeździł metrem przez całą godzinę. Przesiadał się z linii na linię, zmieniał wagony i zachowywał się dokładnie tak, jak przez telefon poinstruował go rozmówca. Kiedy dotarł na Gare du Midi, wjechał ruchomymi schodami i znalazł się na pustym peronie. Nad miastem zalegała tak gruba warstwa chmur, że można było odnieść wrażenie, iż zbliża się wieczór. Mżyło, krople deszczu spadały na spękany beton. Jedynymi kolorowymi miejscami były plamy rdzy na torach i łuszczące się graffiti pokrywające niewielką wiatę przystanku na peronie.

Mahmoud stanął za filarem i włożył baterię do telefonu. Z tego miejsca miał widok na osoby wjeżdżające schodami. Czuł, jak przyspiesza mu puls, jak coś dławi go w gardle. Zarówno peron, jak i deszcz stały się bardziej namacalne, rzeczywiste. W pewien sposób było to ekscytujące. Jak zabawa.

Kolejny raz obrzucił wzrokiem cały peron, chociaż widział, że jest pusty. Potem wziął telefon do ręki i kliknął na jedyny zapisany w nim numer. Nieznajomy odebrał, zanim jeszcze wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Weź taksówkę i pojedź na Gare du Nord – usłyszał. – Tam złapiesz inną taksówkę i pojedziesz do Muzeum Afrykańskiego w Tervuren. Masz tam być za godzinę. Jasne?

– Jasne – odparł Mahmoud.

– Po przyjeździe zajmij się czymś. Możesz obejrzeć wystawę. Na końcu, w pomieszczeniu z żyrafą, jest wyjście awaryjne. Za dziesięć siódma użyjesz go i pójdziesz do parku. Drzwi będą otwarte, alarm wyłączony. Obejdź staw przed muzeum po prawej stronie. Za ogrodzeniem, naprzeciwko muzeum, stoi pomnik. Na pewno go zobaczysz. Na prawo od niego, na skraju lasu, stoi ławka ukryta w krzakach. Będę na niej siedział dokładnie o siódmej. Nie spóźnij się.

Styczeń 1985

Sztokholm

Śnieg tłumi wszystkie dźwięki. Jeśli zamknę oczy, nie ma mnie w mieście. Skrzypienie pod gumowymi podeszwami, ostre porywy wiatru na twarzy. Stoję na lodzie. Jestem sam na zamrzniętym jeziorze, w miejscu, gdzie niebo i śnieg zlewają się w jedną gęstą masę. Gdybym miał za czymś tęsknić, to na pewno za zimami w Michigan.

Ulice są tu szerokie, pełne wspomnień z innych czasów. To była epoka armii i parad wojskowych, bitewnych pól i sztandarów łopoczących na wietrze. Ta dawna prostota napawa mnie smutkiem. Miasto jest ładne i panuje w nim uroczysta atmosfera, jak na pogrzebie. Samochody mają pogaszone światła, nawet teraz, w czasie tych kilku niesamowitych godzin między świtem a zmierzchem. Jestem ubrany chyba zbyt cienko, mam na sobie tylko puchową kurtkę, której nie nosiłem prawie od czasu college'u.

Czekają na mnie w amerykańskiej ambasadzie. Moje nowe dokumenty są już gotowe. Nikt tutaj nie wie, kim jestem ani dokąd się wybieram. Na szczęście mają swoje instrukcje i nie muszą o nic pytać. Torbę zamykam na klucz w sejfie stojącym w biurze attaché wojskowego i odmawiam, gdy zaprasza mnie na kolację. Czuję, jak bardzo przepełnia go ciekawość. Za każdą tajemnicą tkwi jakaś inna tajemnica. Każde kłamstwo wynika z innego kłamstwa.

W ciągu sekundy decyduję się zadać mu pytanie. Ryzykuję, ale podejmę to ryzyko. Być może to moja jedyna szansa.

– Potrzebuję pomocy od któregoś z waszych tutejszych pracowników – mówię. – Kogoś, kto mówi po szwedzku i wie, jak funkcjonuje szwedzki system.

– Nie ma sprawy – odpowiada attaché. Widać po nim wyraźnie, że jest szczerze zadowolony, iż może się do czegoś przydać.

W sumie to miły facet. Z kimś takim jak on można iść do irlandzkiego pubu, porozmawiać o wojnach.

– Ale nie mamy tu nikogo, kto jest dopuszczony do najważniejszych tajemnic.

– To bez znaczenia – odpowiadam. – Chodzi o prywatną sprawę. Chciałbym znaleźć znajomego, który niedawno wrócił do Sztokholmu.

– Rozumiem. Wydział prasowy zatrudnia dwóch miejscowych researcherów. Moja sekretarka dopilnuje, żeby niczego panu nie zabrakło.

Przemierzam trasę, którą wyrysowałem sobie wcześniej na mapie. Nauczyłem się jej na pamięć. Idę krętymi zaułkami wśród tłumu turystów, muszę się upewnić, że ogon zgubiłem już w metrze. Podobno w Sztokholmie to łatwiejsze niż w Helsinkach. Być może to prawda.

Została mi godzina. Pod zamkiem królewskim łapię taksówkę i każe się zawieźć do Djurgården. Kierowca mnie nie rozumie, więc pokazuję mu na mapie, gdzie chcę jechać.

Denerwuje mnie to. Na pewno zapamięta pasażera z Ameryki. To zawsze jakiś ślad. A przecież nie zostawiam śladów. Niestety, jest już za późno. Proszę, żeby wysadził mnie koło mostu. Słabo zna angielski, więc znowu muszę mu to pokazać. Wygląda na Araba, ale nie mogę teraz przejść na arabski. Jeśli to zrobię, ślad będzie bardzo wyraźny. Zresztą teraz to już i tak nieważne. Ogony na pewno zgubiłem.

Przebieram się w toalecie w skansenie. Zdejmuję jasnoniebieską puchową kurtkę i zakładam beżowy płaszcz. Chowam czerwoną czapkę. Z teczki od attaché wyjmuję ostrożnie jasnożółty skoroszyt i wkładam go do granatowego nylonowego plecaka. Teczkę zostawiam pod koszem na śmieci, jest pusta i nie ma na niej odcisków palców. Wychodzę z parku i ruszam w kierunku promu. Ściemnia się.

Krótko po trzeciej wchodzę na pokład. Od razu go dostrzegam, stoi samotnie przy burcie. Tak jak się umówiliśmy. Przyciemniane okulary słoneczne i beżowy zimowy płaszcz z małym goździkiem w butonierce. Mężczyzna ma wąsy, są takie same jak wąsy przywódcy jego kraju. Z jego twarzy bije powaga świadcząca o tym, że ma za sobą długą karierę w kompleksie rządowym w Bagdadzie. Staję obok i patrzę na pianę, którą wzbijają w wodzie łopaty śruby. Zapomniane dekoracje świąteczne świecą nostalgicznie nad oddalającym się coraz bardziej wesołym miasteczkiem. Mamy nie więcej niż dziesięć minut.

– *Salam alejkum* – mówię.

– *Wa 'alejkum salam* – odpowiada odruchowo mężczyzna. Jest trochę zdziwiony. – Zna pan arabski?

– Tak.

– Co pan dla mnie ma? To musi być coś ważnego, skoro Amerykanie przysyłają kogoś aż do Sztokholmu.

– Chodzi o wczorajsze zdjęcia satelitarne. Irańska flota wojenna zajmuje pozycje, aby zablokować ruch w Zatoce Perskiej. Ich jednostki artyleryjskie przemieszczają się w miejsca, z których będą mogły zaatakować Bagdad.

Rozglądam się, a potem podaję mu skoroszyt. Mężczyzna zerka na niego i wsuwa dokumenty do teczki, nie sprawdzając zawartości. Chociaż stoimy na burcie za nadbudówką, czujemy na policzkach ostre podmuchy wiatru.

– To wszystko?

Na jego twarzy maluje się wyraźne rozczarowanie. Widocznie to, co mu dałem, nie jest dla niego żadnym zaskoczeniem. Kręcę przecząco głową.

– Jest jeszcze coś. Znaleźliśmy pięć firm, które gotowe są sprzedać wam to, czego chcecie. Ich przedstawiciele mogą się z wami spotkać w Zurychu za dwa tygodnie. Szczegóły znajdzie pan w skoroszytcie. Chyba nie muszę dodawać, że to delikatna sprawa?

Kolejny błysk w jego oczach. Właśnie na tę informację czekał.

– Chemikalia? – pyta. Zdążył się już opanować, widać, że jest zainteresowany.

– Coś lepszego.

Mężczyzna kiwa głową. W jego okularach odbijają się odległe światła wesołego miasteczka. Pod stopami czuję wibracje silnika promu.

– Jesteśmy zobowiązani – mówi w końcu.

– Niech pan mi nie dziękuje. Jestem tylko posłańcem. Moi polityczni zleceniodawcy

oczekują w zamian za to pewnej przysługi, gdy będzie już po wszystkim. Dalsze rozmowy odbędą się w Zurychu.

Stoimy w milczeniu. Jest zimno, ale nawet jeśli mężczyzna marznie, nie okazuje tego po sobie.

– O co chodzi? – pyta.

Jego wzrok zatrzymuje się na południowym nabrzeżu, na stojącym tam wielkim czerwono-białym promie i zabudowaniach miejskich. Potem przesuwa się dalej. Spadają na nas płatki śniegu, zmrożone chłodem i twarde jak ziarnka soli. Nie odzywam się. Daję mu czas, którego potrzebuje, żeby sobie wszystko rozważyć.

– Nikt nic nie wie – kontynuuje mężczyzna. – Ani my, ani Syryjczycy. Zupełnie nic.

Odwraca się w ku mnie i zdejmuje okulary. Ma ciepłe spojrzenie.

– Czy to była pana rodzina? – pyta.

Nie odzywam się, nie unikam jego wzroku. Mimo to wie. Wszystkie te pytania są retoryczne. Muszę jednak spojrzeć mu w oczy, zajrzeć w głąb jego duszy.

– Przykro mi – dodaje. – Naprawdę. Zwłaszcza że bardzo nam pan pomógł. Żałuję, że nie mogę tego lepiej wyrazić.

Kiwam głową. Potrafię dobrze kłamać, ale on jest w tym mistrzem.

– Wie pan, że to nic nie znaczy? Że nie posiadam żadnych informacji? Wie pan, że nasz system ma bardziej ustrojowy charakter niż wasz? Mniej dokumentów, skrótowość... co jeszcze... system decyzyjny? To dziwne, że ten rodzaj informacji trafia poza najbardziej utajnioną służbę bezpieczeństwa.

Ponownie kiwam głową. Wiem o tych sprawach wszystko. Na przykład o skróconym systemie decyzyjnym.

– Ktoś wysłał sygnał, ktoś przekazuje go komuś innemu. Jest wiele nici.

– Ale zawsze krążą jakieś pogłoski – dodaje. – Zawsze.

– Oczywiście.

Kolejne skinienie głową. Lekko zatroskany uśmiech.

– Tyle że my nie możemy dawać wiary plotkom, prawda?

– Z wyjątkiem sytuacji, gdy oprócz nich nic nie mamy – precyzuję.

Mężczyzna nie odpowiada. Wzrok ma intensywny, szczery, jakby nie udawał, tylko mówił prawdę. Przez chwilę stoi w milczeniu. Płatki śniegu spadają mu na wąsy i brwi.

– Czasem lepiej nie oglądać się za siebie – mówi w końcu. – I resztę zostawić Bogu. *Inszallah*. Niech się dzieje wola nieba.

Rozstajemy się, zanim prom przybije do brzegu. Ogarniają mnie wątpliwości. Zostawiam za sobą obietnicę śmierci.

Idąc ulicą Strandvägen w stronę ambasady, nie oglądam się za siebie. Teraz mogą mnie już śledzić. Urzędniczka ambasady, Louise, czeka na mnie przy biurku w małym pokoju, który dzieli z koleżanką z pracy. Jesteśmy chyba jedynymi osobami w budynku.

– Spóźnił się pan – mówi Louise, odsuwając z twarzy kosmyk jasnych włosów.

Ma jakieś trzydzieści lat i nie jest zbyt ładna, ale w bijącej od niej powadze jest coś, co do mnie przemawia. Po angielsku mówi z amerykańskim akcentem, ale słyhać w nim charakterystyczną, dobrze mi znaną linię melodyczną.

– Muszę odebrać dzieci.

– Przykro mi – mówię. Naprawdę jest mi przykro.

Podenerwowana kobieta kładzie przede mną na biurku plik papierów.

– To kobieta, której pan szukał – mówi. – To jej akt zgonu. Pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i zginęła chyba w eksplozji bomby w Damaszku w 1980 roku.

Kiwam w milczeniu głową i bębnię palcami po kartkach. Są zapisane w języku, którego nie rozumiem.

– Znalazłam na ten temat kilka artykułów w szwedzkiej prasie. To była głośna sprawa. Ja też ją sobie przypominam. Nie tak często przecież się zdarza, żeby szwedzcy dyplomaci ginęli za granicą. Skserowałam dla pana kilka artykułów. To musiał być wypadek. Bomba podłożona w samochodzie była przeznaczona dla kogoś innego. Sprawcy zamachu się pomylili.

Siadam na drewnianym krześle obok jej biurka, bo czuję, że nagle uginają się pode mną nogi.

– Ta kobieta miała córkę – mówię i sam czuję, jak puste są te słowa.

Louise potwierdza skinieniem głowy.

– Zgadza się. Miała wtedy ze sobą kilkumiesięczne dziecko, które jakimś cudem przeżyło wybuch. To dość dziwna historia. Naprawdę. We wszystkich raportach można przeczytać, że dziewczynka zginęła razem z matką, ale jeśli zagłębić się w ich treść...

Louise ponownie odrzuca z czoła kosmyk włosów i zerka niecierpliwie na zegarek.

– ...to okaże się, że można ją znaleźć w rejestrze. Nazywa się Klara Walldéen. Mam znajomego w MSZ, który to dla mnie sprawdził.

Mówiąc to, przerzuca niecierpliwie kilka kartek.

– Dziwna sprawa, ale nic nie zostało udokumentowane. Jeśli wierzyć plotkom, ktoś podrzucił małą Klarę do ambasady szwedzkiej w Damaszku tego samego dnia, w którym wybuchła bomba. Dziewczynka była owinięta w koc. Sprawę oczywiście wyciszono. Pewnie się bali, że coś jej się może stać.

Czuję, jakby przeszył mnie prąd elektryczny.

– Co się z nią potem stało? – pytam.

– Mieszka z dziadkami gdzieś na szkiecach w Östergötlandzie. Niech sprawdzę... Tak, już mam. Na małej wyspie o nazwie Aspöja.

19 grudnia 2013

Bruksela

Klara nabrała głęboko powietrza i odwróciła twarz do ściany pokrytej tapetą w niebieskie kwiatki. Niechętnie zmusiła się do tego, żeby nie wtulić się nosem w szyję Cyrila, który leżał obok niej, w jej łóżku, nagi i senny. Choć oboje byli nadzy, a ona już tyle razy pieściła ustami i dłońmi całe jego ciało, taki gest mógłby się wydać zbyt intymny, niezręczny, zaskakująco czuły.

Ich związek nie miał nic wspólnego z czułością. Był za to pełen namiętności. Kiedy Cyril się podniecał, czuła, jak wokół sypią się iskry. Przypominało to wszechogarniający ładunek seksualny, którego nie знаła, a który – jak podejrzewała, bo nie chciało jej się tego sprawdzać – miał coś wspólnego z tym, że Cyril był dla niej niedostępny. Ileż to razy w ciągu kilku ostatnich miesięcy budziła się o świcie tylko po to, by zobaczyć, że Cyril się ubiera i szykuje do wyjścia z sypialni? Ileż to razy budził ją odgłos obcasów na schodach prowadzących na parter? Ileż to razy musieli odwołać i tak niezbyt częste spotkania, bo Cyril utknął gdzieś na lotnisku albo musiał zostać dłużej w biurze lub na służbowej kolacji?

Spędzili razem dwadzieścia nocy. No, może piętnaście. Cyril, tak jak większość eurodeputowanych, przebywał w Brukseli zaledwie dwa dni w tygodniu. Resztę czasu spędzał w podróży albo w Paryżu, gdzie spotykał się w swoim okręgu wyborczym z wyborcami.

Kiedy zaczęli się spotykać przed dwoma miesiącami, taka sytuacja była dla niej wymarzona. Niczego więcej nie potrzebowała. Cyril był naprawdę niesamowity. Przede wszystkim inteligentny, namiętność, która ich łączyła, wydawała się wszechogarniająca. Czuła się przy nim słaba i niepewna, poddana albo zdominowana. Miała wrażenie, że na niego też to działa; gdy kładł jej na plecach silne ręce, gdy wsuwał dłonie w jej włosy, gdy przyciskał ją do materaca i wchodził w nią od tyłu. Wciąż miała jego smak na wargach. Coś takiego nazywa się namiętnością, żarliwym pożądaniem, ale nie ma nic wspólnego z czułością czy z intymnością. Ale dzięki temu czuła się wyzwolona. To, co ich łączyło, nie wiązało się z żadnymi wymaganiami. Niczego od siebie nie żądają.

Dlatego zdziwiło ją, gdy Cyril odwrócił się nagle i przez dłuższą chwilę przyglądał jej się bez słowa. Ten jego ciemny, ironiczny wzrok. Spojrzała mu z wahaniem w oczy, nagle zawstydzona, ale też milczała.

– Dlaczego nie masz żadnych zdjęć rodziny? – spytał w końcu Cyril. – Byłem tu tyle razy, a ciągle nic o tobie nie wiem. No nie, przesadziłem, jednak coś o tobie wiem.

Klara naciągnęła kołdrę na biodra, jakby nagle uświadomiła sobie własną nagość.

– Rozmawiamy o parlamencie, o świecie, jedzeniu, ale prawie nic nie wiem o tobie, twojej rodzinie, domu. Zauważyłem, że nie masz żadnych rodzinnych zdjęć. Wszyscy, którzy przyjechali tu z innych krajów, mają takie zdjęcia. Tylko nie ty. Dlaczego?

Cyрил mówił z lekko wyczuwalnym francuskim akcentem, ale posługiwał się

amerykańskim słownictwem. Może studiował w USA? Klara odwróciła wzrok i ułożyła się wygodnie na plecach, ze wzrokiem skierowanym na skośny sufit nad łóżkiem. Skupiła się na własnym oddechu.

Czuła, że nie jest jeszcze gotowa złamać ich paktu, chwilowego kompromisu, który zawarli. Z drugiej strony chciała odkrywać stopniowo swoją przeszłość, zdarzenie po zdarzeniu, wolałaby jednak, żeby Cyril zrobił to samo. Potrzebowała czasu. To nie może się stać tak po prostu, bez uprzedzenia, bez czasu, by się do tego przyzwyczaić. Dlatego wzruszyła tylko ramionami i westchnęła.

– Nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Może po prostu nie zależy mi na zdjęciach?

Spuściła stopy na chłodną drewnianą podłogę i usiadła w łóżku, zwrócona plecami do Cyrila.

– Głupstwa gadasz – odparł Cyril. – Każdy chce mieć zdjęcia rodziny.

Może by tak trochę poczekał, dał jej czas na zastanowienie? Żeby mogła odetchnąć i odzyskać spokój.

– Czy możesz mi coś o sobie opowiedzieć? Masz rodzeństwo? Czym zajmują się twoi rodzice? Powiedz mi cokolwiek.

Klara odwróciła się ku niemu. Postanowiła pokazać, że jest już trochę zniecierpliwiona.

– Nie mam rodzeństwa – odparła, zakładając czarny biustonosz. Przesunęła palcami po swoich długich czarnych włosach, odsunęła je za uszy.

– Jesteś jedynaczką?

Klara sięgnęła po leżący na nocnej szafce telefon. Sprawdziła godzinę.

– Daj już spokój. Mam spotkanie za trzydzieści minut. Musimy się zbierać.

Uśmiechnęła się do niego krzywo i niezbyt przekonująco, wskazując na schody prowadzące do salonu.

– Niewygodnie ci z tym! – stwierdził Cyril.

Rozłożył ramiona, jakby udało mu się ją skłonić do wyznania czegoś, czemu od dawna zaprzeczała. Zadowolenie, które dostrzegła w jego geście, sprawiło, że nabrała ochoty do dalszej rozmowy.

– Co masz na myśli? – spytała. Czy rzeczywiście chce się o wszystkim dowiedzieć? – Naprawdę uważasz, że jest mi niezręcznie mówić o mojej rodzinie? No więc dobrze, oczywiście, że tak. Wystarczy? Jesteś zadowolony?

Prawie przybiła go do ściany spojrzeniem swoich jasnych, niebieskich oczu. Nie odwracała wzroku, czuła, jak ogarnia ją coraz większa irytacja.

Cyril wykonał obronny gest i usiadł w łóżku.

– Nie ma sprawy – mruknął, zakładając bokserki. – Jeśli nie masz ochoty... Chciałem tylko okazać ci zainteresowanie.

Kilka minut później czekali w salonie na parterze na taksówkę, gotowi wrócić do codziennego życia.

– Przepraszam – powiedziała Klara. – Nie chciałam być niegrzeczna. To przecież całkiem normalne, że pytasz mnie o rodzinę.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Cyril nadal miał obrażoną minę. Może jego kochanki były bardziej spolegliwe?

– Nie ma sprawy – odparł i pogłaskał ją po włosach. – Rozumiem. Nie chciałem, żebyś

poczuła się niezręcznie.

– Moją rodzinę... – zaczęła Klara. Cyril spojrział na nią uważnie, z zaciekawieniem. – Moją rodzinę łatwo opisać. Składa się z dziadków i to oni stanowią całe moje życie. To wszystko. Moją najlepszą przyjaciółką jest Gabriella. Miałam kilku facetów, ale to były krótkie związki. Poza jednym. Czasem, gdy leżę wieczorem w łóżku i nie mogę zasnąć, żałuję, że nie trwało to dłużej. Czy to ci wystarczy?

– A dlaczego to nie trwało dłużej, skoro ci na tym zależało? Trudno uwierzyć, że facet cię zostawił.

– Porozmawiamy o tym innym razem. Ale to nie był najszcześniejszy okres w moim życiu. Szykowałam się wtedy do wyjazdu. Najpierw do Londynu, potem tutaj. Później nie dało się tego odbudować. A teraz jest, jak jest.

– A rodzice? – spytał ostrożnie Cyril, jakby nie chciał jej przerywać.

– Nie mam rodziców. Mama zginęła, gdy miałam dwa miesiące. Mam jej zdjęcia na strychu w domu dziadków. Ale niczego nie pamiętam. Absolutnie niczego.

Klara spojrzała mu prosto w oczy. Ta jej smutna przeszłość, samotność, wyobcowanie. Te współczujące spojrzenia, wilgotne oczy, gdy opowiada o sierotce ze szkierów. To przekłete z r o z u m i e n i e i w s p ó ł c z u c i e. Wszystko to, przez co czuła się kimś innym, niż w rzeczywistości była, kimś, kim była zdaniem innych.

Cyril tylko skinął w milczeniu głową i odsunął kosmyk włosów z jej czoła.

– Przykro mi. Nie wiedziałem.

Ujął Klarę za rękę, ale nie odwzajemniła pieszczoty.

– Ojca nigdy nie znałam. Wiem o nim tylko tyle, że był Amerykaninem i że mama poznała go w Damaszku. Pracowała w dyplomacji. Może on też był dyplomata? Albo biznesmenem? Kto wie? Mama nigdy nie rozmawiała o tym z dziadkami. Potem zginęła w Damaszku. Ktoś podłożył bombę pod jej samochód.

19 grudnia 2013

Bruksela

Pogoda robiła się coraz brzydsza. Taksówka wiozła go przez dzielnicę zdominowaną przez kompleks budynków należących do Parlamentu Europejskiego. Mahmoud jechał do Tervuren, na północ od centrum Brukseli. Wiał porywisty wiatr, padał śnieg z deszczem. Jazda wyglądała tak, jakby stary mercedes walczył, aby deszcz i śnieg nie przebiły się przez jego blachy. Było wpół do szóstej, zapadł zmrok i zrobiło się ponuro, jakby miało wydarzyć się coś złego. Mahmoud się pochylił, żeby spojrzeć przez okno na górne piętra mijanych biurowców, w których koncentrowała się cała potęga Europy. Budynki wyglądały tak, jakby pięły się w nieskończoność w górę. Rue Belliard, arteria łącząca południowy kompleks Parlamentu Europejskiego z północnym, sprawiała wrażenie, jakby panował na niej nieustanny chaos. Jeden z pasów został wyłączony z ruchu, więc kierowca taksówki mruczał pod nosem i przeklinał po francusku. Mówił coś o dziwkach i politykach, i o tym, co łączy obie te kategorie ludzi. Tyle przynajmniej zrozumiał Mahmoud. Francuskiego uczył się w szkole i nie wszystko jeszcze zapomniał.

Spojrzał na ulicę przez tylną szybę. Reflektory oświetlały szklane fasady budynków. W deszczu i w ciemnościach nie był w stanie ustalić, czy ktoś go śledzi. Chyba nie. Tak sprytnie poruszał się metrem, że nawet gdyby śledziło go więcej osób, na pewno straciłyby go z oczu. Z metra przesiadł się do taksówki. Musiał się upewnić. Gdyby nie tamta historia z volvo w Uppsali, nawet by nie pomyślał, że może mieć ogon. Teraz nie mógł już tego wykluczyć.

Gdzieś za nimi nagle zawyły syreny. Błękitne światło padło na szary beton i szklane okna budynków, rozjaśniając wieczorne ciemności. Mahmoud zauważył kątem oka, że w błyskawicznym tempie zbliża się do nich policjant na motocyklu. Jechał wyłączonym z ruchu pasem. Potem pojawił się radiowóz, a za nim kilka czarnych mercedesów. Każdy z nich był na pewno o wiele bardziej nowoczesny niż samochód, którym jechał Mahmoud. Na jednym z pojazdów powiewała flaga Unii Europejskiej i flaga Afganistanu. Może ma to coś wspólnego z planowaną na wiosnę konferencją w sprawie tego kraju? Będzie na niej mowa o współczesnym „planie Marshalla” dla Afganistanu, by w ten sposób utrwalić tam pokój. Niewykluczone jednak, że to tylko ambasador jedzie na lotnisko.

Mahmoud stracił już prawie nadzieję, że kiedyś wydostaną się z Brukseli. W końcu znaleźli się poza miastem, na drodze prowadzącej przez liściasty las. Wszystko wskazywało na to, że zbliżają się do celu. Wyszło mu w ustach i poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Nagle zaczął żałować, że nikogo nie poinformował, dokąd jedzie. Może powinien był skontaktować się z Klarą? Tylko jak, jeśli nawet nie odpowiedziała na jego e-mail? „Cześć, jestem chyba śledzony, jadę do Tervuren na spotkanie z kimś, kto ma mi przekazać tajne informacje. Schizofrenia paranoidalna? Tak, jeśli tak twierdzisz”. Przecież to kompletny idiotyzm. Poza tym dał słowo, że nikomu o tym nie powie. Jest sam. Musi zachować spokój.

Poprosił taksówkarza, żeby zatrzymał się przy rondzie, i po niecałych pięciu minutach był już w muzeum. Dochodziła szósta. Parking znajdujący się obok muzeum przypominał wielką kałużę, więc Mahmoud szedł na palcach, żeby się nie pobrudzić. Kiedy znalazł się za rogiem budynku, ujrzał przed sobą duży park z alejkami wysypanymi żwirem, dokładnie przycięzonymi krzewami i szarymi trawnikami. Teren był słabo oświetlony, Mahmoud zatrzymał się więc na chwilę, żeby się zorientować, w którym miejscu ma się stawić za godzinę. Szybko zauważył duży staw naprzeciwko schodów prowadzących do wejścia. Więcej nie udało mu się zobaczyć, było zbyt ciemno. Za godzinę będzie musiał zdać się na intuicję.

Pół godziny później doszedł do wniosku, że to dość dziwne, iż kraj, którego historia obejmuje ekspansję kolonialną, nie potrafił się zdobyć na stworzenie ciekawego muzeum. Najlepszy był sam budynek. W środku znajdowały się cętkowane żyrafy, nudne pawilony wystawiennicze z mniejszymi zwierzętami i kilka obowiązkowych oszczepów i tarcz ze środkowej Afryki. Podobne można zobaczyć prawie w każdym muzeum przyrodniczym. Mahmoud pamiętał jednak, że nie przyjechał tu po to, żeby studiować historię belgijskiego kolonializmu.

Dochodziła siódma. Z głośników popłynął komunikat, że za dziesięć minut muzeum zostanie zamknięte. Ruszył powoli w stronę pomieszczenia, gdzie miały się znajdować drzwi, o których wspominał jego rozmówca. W tym momencie oprócz niego w sali były już tylko zakurzone eksponaty. Padał na niego przerażający cień wielkiej żyrafy. Mahmoud wziął się w garść. Już czas. Zdecydowanym ruchem nacisnął kłamekę.

Drzwi ustąpiły i w tym samym momencie Mahmoud musiał chwycić się framugi, żeby nie przewrócił go wiatr. Przestało już padać, a sądząc po parze, która unosiła mu się z ust, temperatura musiała w ciągu ostatniej godziny spaść o kilka stopni. Przeszedł go dreszcz. Zszedł stalowymi schodkami i znalazł się na błotnistej alejce. Staw przed muzeum był słabo oświetlony, a w całym parku panowała nieprzenikniona ciemność. Żeby się nie zgubić, postanowił trzymać się cienia na prawo od wody. Był na siebie zły, że wybrał się tu w taką pogodę w butach od garnituru. Skarpetki miał już przemoczone, stopy lodowato zimne. A przecież suche stopy to podstawa. Wie to każdy żołnierz. Tyle że zdawało mu się, że czasy, gdy był żołnierzem, już dawno należą do przeszłości.

Na podświetlonym cyferblacie zegarka zobaczył, że jest już 18:53. Do spotkania zostało mu siedem minut. Skryty w cieniu przecisnął się przez rzadki żywopłot po drugiej stronie stawu. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. W parku panowała kompletna cisza. Z daleka dobiegał szum samochodów. Nic dziwnego, urzędnicy zatrudnieni w EU, którzy mieszkają w Tervuren, skończyli pracę i w Brukseli są teraz godziny szczytu. Z tego miejsca miał bardzo dobry widok na muzeum. Wiedział, że jest sam, nikt go nie śledził.

Odwrócił się i po chwili zauważył rzeźbę, którą opisał mu rozmówca. Brąz połyskiwał słabo w świetle odbijającym się od stawu. Ruszył w prawo przez mokry niewielki trawnik. Przed sobą miał las albo coś, co go przypominało. Nie zatrzymywał się. Po chwili zauważył ławkę wśród krzaków. Przystanął. Na jej prawym krańcu siedział jakiś człowiek.

19 grudnia 2013

Bruksela

George wszedł do restauracji Comme Chez Soi punktualnie o siódmej wieczorem. To część jego życia, od kiedy zamieszkał w Brukseli. Był punktualny. Kiedyś się spóźniał, ale teraz zawsze przychodzi na umówioną godzinę. Próbował stłumić uśmiech, ale nie udało mu się. Kiedy skończył tłumaczenie dokumentu, do jego pokoju przyszedł Appleby i zaproponował mu, aby zabrał ocenę swojej dwuletniej pracy i poszedł z nim na kolację do eleganckiej restauracji. Strasznie go to ucieszyło. Właśnie dlatego kocha to swoje nowe życie. Może realizować dowolną liczbę zleceń i zmagać się z trudnościami, żeby tylko mógł dalej żyć w ten sposób.

Kiedy znalazł się w lokalu, podszedł do niego kelner.

– Monsieur Lööw? – spytał po francusku kelner. – Monsieur Appleby czeka na pana na piętrze.

– *Merci* – odparł George i wszedł do środka. Malowane okna, stłumiony, a mimo to ożywiony gwar ludzkich głosów. Krawaty i pieniądze. Niewielkie stołeczki, na których kobiety mogą położyć torebki. George czuł, że humor poprawia mu się coraz bardziej. Był w swoim żywiole. Eleganckie restauracje i kelnerzy, którzy oczekują na jego przybycie. Do tego kieliszek szampana i niewielka działka kokainy w toalecie. Po czymś takim będzie w wyśmienitym humorze.

Wszedł wąskimi schodami na piętro, a kelner otworzył przed nim wysokie szklane drzwi. Prowadziły do jakiegoś pomieszczenia, które wyglądało na prywatne.

Appleby siedział przy stoliku nakrytym dla dwóch osób. Był pochłonięty pisaniem na swoim blackberry. Na widok George'a machnął niecierpliwie ręką, wskazując mu miejsce przy stoliku. Ściany pokoju wyłożone były jasnymi drewnianymi panelami. Okna zasłaniały ciężkie zasłony, na ścianie za Applebym wisiał duży olejny obraz, jakaś martwa natura. Przy jednym z okien stały dwa skórzane fotele. To prawdopodobnie w nich goście popijali koniak. George nie był zbyt zachwycony tym, co tu zastał. Za dużo kurzu i zbyt staromodnie. Podobały mu się białe ściany, stal i szkło, tapety. Mimo to był pod wrażeniem klasy lokalu. Musi tu być cholernie drogo, pomyślał.

– Wejdz i siadaj! Co z tobą, *old boy*?

Appleby chętnie używał określenia „old boy”. Być może czuł się dzięki temu jak Brytyjczyk. W Brukseli niełatwo jest być Amerykaninem.

– Dziękuję. Wszystko w porządku – odparł George.

– *Garçon!* Proszę nam przynieść butelkę szampana.

Appleby nacisnął dramatycznym gestem klawisz z poleceniem „Wyślij” i odłożył telefon obok talerza. *Garçon*, pomyślał George. Tylko Amerykanie nazywają tak dzisiaj kelnerów.

– No więc, George, jak ci się podoba w Comme Chez Soi? Byłeś tu kiedyś?

– Tak, ze dwa razy.

– Wyśmienicie! – zawołał Appleby i chyba stracił zainteresowanie tym, o co pytał, bo

wziął do ręki menu i nim pomachał. – Co zamówisz? Ja wezmę moje ulubione dania.

George otworzył menu. Ostrygi z Colchester. Sola, medaliony z homara. Z trudem opanował szeroki uśmiech. Appleby skinął akceptująco głową.

– No to załatwione. Teraz musimy już tylko uzgodnić, kto zapłaci za to skromne spotkanie – powiedział z szerokim uśmiechem.

George spojrzął na niego i doszedł do wniosku, że jest dokładnie taki, jak mówiły sekretarki. Appleby wyglądał jak rekin. Wielki, oślizły i gibki, ze złymi, małymi, czarnymi oczami. George odwzajemnił uśmiech, ale trochę się zdenerwował. Ten dureń chyba nie sądzi, że to on zapłaci za kolację, na którą został zaproszony? Zwłaszcza że Appleby zarabia pewnie z dziesięć razy więcej niż on, chociaż i jego wynagrodzenie też nie jest wcale takie złe.

– Rzucimy monetą? – spytał Appleby. – Jeśli wypadnie król Albert, zapłaci Philip Morris. Jeśli strona z nominałem, płaci Hennessy.

Appleby rzucił monetą. Wypadło na króla Alberta.

– Wyśmienicie. Rachunek zapłaci Philip Morris – powiedział z zadowoloną miną, chowając monetę do kieszeni. – Policzymy im też za konsultacje. Powiedzmy za trzy godziny. Dopilnuj, żeby jutro rano obciążyć ich konto. Zatwierdzą to w ciągu tygodnia.

Co za wspaniałe uczucie. Zdarzało się, że obciążano kosztami lunchu któregoś z klientów, choćby nie miało to nic wspólnego z jego sprawą. George nigdy przedtem nie uczestniczył jednak w kolacji o wartości czterystu euro, za którą miał płacić klient. A trzeba jeszcze doliczyć do tego trzysta pięćdziesiąt euro za każdą godzinę jego pracy i nawet pięćset euro za każdą godzinę pracy Appleby'ego. Prawie dwadzieścia pięć tysięcy koron szwedzkich za wieczór, w czasie którego ani słowem nie wspomną o interesach firmy płacącej za rachunek. Tak to się właśnie odbywa w najwyższej, elitarnej lidze. Zero marudzenia, po prostu płacisz i koniec.

Rozmowa toczyła się w przyjemnej atmosferze. Appleby poprosił George'a, aby mu opowiedział o największych klientach i ich kontaktach. Po pewnym czasie dyskusja zesłała na biurowe plotki. Było naprawdę miło. Pełen relaks.

Mimo to George miał się na baczności. Kolacja w Comme Chez Soi była zbyt wystawna, nawet jak na taką firmę jak Merchant & Taylor. Dlatego czuł się tak, jakby zawisła nad nim jakaś chmura albo mgła, jakby coś czaiło się w ukryciu. Było to niczym zapowiedź czegoś niepokojącego. Coś, co widział także w oczach swojego szefa. Gesty Appleby'ego były niecierpliwe, a to wskazywało, że kolacja jest tylko pretekstem, a prawdziwy powód spotkania dopiero wyjdzie na jaw. George wypił resztę szampana i uśmiechnął się do szefa z dużą pewnością siebie. *Bring it on*, pomyślał. Jestem gotów.

19 grudnia 2013

Bruksela

Wyglądało to tak, jakby zauważyli się w tym samym momencie, ponieważ mężczyzna siedzący na ławce podniósł się i zrobił dwa kroki do przodu. Dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia metrów. Na widok Mahmouda uniósł rękę, jakby chciał go zatrzymać. Ten przystanął posłusznie.

– Rozłóż ręce na boki i podejdź wolnym krokiem – powiedział spokojnym głosem mężczyzna. Mówił po szwedzku.

Mahmoud dopiero po kilku sekundach rozpoznał ten głos. Był niższy i głębszy, niż go zapamiętał. Zastygł w pół kroku, ogarnęły go mieszane uczucia.

– Lindman? – spytał.

– Shammosh – odparł mężczyzna. – Świetnie, że przyszedłeś.

Przez chwilę stali bez słowa naprzeciw siebie. Mimo panujących ciemności Mahmoud zauważył, że czas nie oszczędził Lindmana. Minęło dziesięć lat, postarzał się. Ale nie chodziło tylko o to. Lindman był szerszy w barach, bardziej rosły. Miał wystające kości policzkowe, a na szyi tatuaże. Jasne włosy, które nadal strzygł według zasad obowiązujących w jednostce desantowej, to znaczy do długości trzech milimetrów, od dawna były niemyte. Twarz miał zmęczoną i poorly bruźdami. Jego ubranie – dżinsy o szerokich nogawkach i kurtka kamuflująca M 60 – były mocno znoszone i wygniecione, jakby w nich spał.

– Dawno się nie widzieliśmy – stwierdził Mahmoud. Słowa te wypowiedział głosem bardziej cichym i niepewnym, niż zamierzał. – Skąd wiedziałeś, że jestem w Brukseli?

Lindman wzruszył ramionami.

– Wpisałem twoje nazwisko w Google i dowiedziałem się o seminarium. Zadzwoiłem do Crisis Group, czy jak się tam nazywają, i sprawdziłem, gdzie będą nocować. Prosta sprawa.

Lindman spoglądał ponad Mahmoudem, w głąb parku, jakby czegoś szukał.

– Jesteś pewien, że nikt cię nie śledził?

– Zrobiłem, co kazałeś, a nawet więcej – odparł Mahmoud. Uśmiech tylko przez chwilę gościł na jego ustach, aby zaraz potem zniknąć. Zachowanie Lindmana denerwowało go, podobnie jak cała ta sytuacja.

Lindman nie odpowiedział, zdawał się czegoś nasłuchiwać. Na szczęście słyhać było tylko wiatr w koronach drzew i szum dobiegający z autostrady.

– W ostatnim czasie nie wszystko poszło tak, jak się tego spodziewałem – odparł w końcu Lindman.

– Ale tak ogólnie to w porządku? – spytał wyczekująco Mahmoud.

Lindman pokręcił prawie niezauważalnie głową.

– Nie wiem, ile mamy czasu.

I znowu to samo rozbiegane spojrzenie skierowane w głąb parku. Lindman głęboko

odetchnął, jakby szykował się do wyznania prawdy.

– Wracając do tego, co się stało... To było dawno temu. Byliśmy młodzi – zaczął.

– Nie tak młodzi – przerwał mu Mahmoud. – Wcale nie byliśmy tak strasznie młodzi.

Poczuł, jak ogarnia go fala gorąca z powodu gromadzonej od dawna szczerzej złości. Musiał użyć całej siły woli, żeby się opanować, bo inaczej czara gniewu mogłaby się przelać.

– Teraz to nieważne – powiedział. – Po co, do jasnej cholery, mnie tu ściągnąłeś? I co to za kombinacje z jakimiś tajemnicami?

Lindman przestał w końcu wypatrywać czegoś za jego plecami. Spojrzał na Mahmouda, jakby widział go po raz pierwszy w życiu, jakby do tego momentu nie wiedział nawet o jego istnieniu. Obliznął wargi. W jego oczach pojawiło się coś w rodzaju chciwości. Zaczął skubać palce.

– Jeśli o to chodzi... – zaczął, ale przerwał i spojrzał na Mahmouda. – Widziałem rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażasz. Brałem w nich udział.

Zawahał się, pokręcił głową. Podrapał się nerwowo po policzku.

– To były paskudne sprawy, rozumiesz? Posiadam różne informacje. Tajne przez poufne. Cholernie wrażliwe materiały. Właśnie to widziałem. Nawet byś mi nie uwierzył. Nie żartuję.

– Masz na myśli zdjęcia, które zostawiłeś w hotelu?

– No właśnie, zdjęcia. Sam je widziałeś, nie? Były na nich straszne rzeczy. Właśnie takie.

Lindman się kołysał, przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. Wzrok miał rozbiegany, momentami intensywny i bezpośredni. Z całej siły zaciskał szczęki, jakby coś żuł. Zachowywał się tak, jakby był pod wpływem narkotyków.

– No więc byłem w Afganistanie. Zaraz po szkole oficerskiej i całym tym gównie... Znaczący się, z Amerykanami. Nigdy byś nie uwierzył, co widziałem. Ale mam więcej dowodów.

Mahmoud poczuł, jak stopniowo uchodzi z niego napięcie. W miejsce podekscytowania pojawiło się rozczarowanie. Chyba mu padło na mózg. Że też wcześniej się nie domyślił, że to będą jakieś brednie. Niestety, wiadomości e-mailowe, które dostał od Lindmana, uruchomiły w nim fikcyjny procesor. Przecież to głupie: wydawało mu się nawet, że ktoś go śledzi. Tamto volvo w Uppsali musiało chyba należeć do jednego z sąsiadów, który też pracuje na uniwerku. Zwyczajny przypadek. To przecież najprostsze, najbardziej logiczne wyjaśnienie.

Jednocześnie poczuł coś w rodzaju współczucia dla Lindmana. Dawny „król” szkoły w Karlsborgu i prymus na ich roku przypomina wrak człowieka, który stoczył się z powodu amfetaminy.

– O jakich dowodach gadasz? – spytał zmęczonym głosem Mahmoud.

– Przeniosłem się z Paryża do Kabulu, okej? Zrobiłem to po tym, jak zwinąłem im pudełko z dokumentacją. Kapujesz?

Lindman przestał na niego patrzeć i spojrzał w ciemność.

– Nie – odparł Mahmoud. – Niczego nie kapuję.

Lindman znowu na niego spojrzał. Wzrok miał intensywny i jasny.

– Nieważne. Mam mnóstwo zdjęć i filmów. Takich jak ten, który ci wysłałem, okej? Tortury, zabójstwa... nazywaj to, jak chcesz. Mam tego cały komputer. Ile tylko chcesz.

– Gdzie trzymasz te informacje?

– W Paryżu, w bezpiecznym miejscu.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni portfel i pomachał nim bez sensu.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli kłamię – mruknął. – W cholernie bezpiecznym miejscu.

– Okej – powiedział Mahmoud. – Rozumiem. Przez chwilę przyjmijmy, że faktycznie dysponujesz rewelacyjnym materiałem. Co zamierzasz z nim zrobić?

Lindman pochylił się w jego stronę. Miał nieświeży oddech.

– *Cash* – odparł Lindman. – Nie oddam tego, dopóki ktoś mi nie zapłaci. To moja emerytura. Kapujesz? Pomożesz mi zdobyć kasę. Dobrze wiesz, z kim należy o tym rozmawiać, nie? Wiesz, kto za coś takiego zapłaci. Załatwisz mi to. Najpierw *cash*, potem zdjęcia i filmy.

– *Cash*? – spytał Mahmoud. – Wydaje ci się, że ci zapłacę? Oszalałeś?

Lindman pokręcił głową.

– Ależ skąd! – odparł.

Mówił podniesionym, niecierpliwym głosem. Głęboko odetchnął, żeby nad sobą zapanować.

– Nie chodzi mi o ciebie... Ty mi tylko kogoś podeślesz. Na przykład „Aftonbladet” albo coś w tym stylu. Jesteś poważnym facetem, pieprzonym naukowcem. Z tobą będą rozmawiać. Chcę pięć milionów i ani grosza mniej. Możesz im to przekazać. Niestety, mam mały problem.

Nagle Lindman przerwał i jakby zeszywniał. Znowu spojrzął w głąb parku. Mahmoud też coś poczuł. W jednej chwili włączył mu się szósty zmysł, z którego uczyli się korzystać podczas szkolenia wojskowego. Wiedział już, że nie są sami.

19 grudnia 2013

Bruksela

Kiedy kolacja dobiegła końca, George i Appleby przenieśli się na fotele pod oknem. W szklaneczkach połyskiwał pyszny calvados. George czuł się podniesiony na duchu. Może sobie tylko wmówił, że wiszą nad nim jakieś czarne chmury?

– Będę z tobą całkiem szczerzy – zaczął Appleby. – Uważam, że dysponujesz wszystkim, co niezbędne, żeby znaleźć się na samym szczycie. Jak długo pracujesz w naszej firmie? Trzy lata?

– Tak, trzy lata i dwa miesiące – odparł George. – Cholernie szybko to minęło.

– Faktycznie! Zrobiłeś błyskawiczną karierę. Ja chyba nie dorobiłem się własnego biura po trzech latach. Masz na koncie przynajmniej dwadzieścia procent więcej przepracowanych godzin niż ktokolwiek inny w twoim wieku w naszym oddziale w Brukseli. A to oznacza, że zarabiasz dla nas dwadzieścia procent więcej pieniędzy. Klienci cię lubią, ja zresztą też.

Appleby umilkł i przez pewien czas nad czymś się zastanawiał. George postanowił mu nie przerywać. Appleby rozsiadł się wygodniej w fotelu i uniósł szklankę, jakby w blasku świec płonących na stoliku chciał przeanalizować zawartość trunku.

– W tej branży chodzi tylko o zarabianie pieniędzy – kontynuował Appleby. – Nasza praca polega na zarabianiu pieniędzy i unikaniu problemów. Tak jest wszędzie, ale to specyficzna branża. Jesteśmy lobbystami. Ludzie nie rozumieją, na czym to polega. Nie orientują się, jak wielkie znaczenie ma to, co robimy. Zawsze znajdzie się też jakiś ignorant, który będzie nas atakował. Tacy ludzie nazywają nas najemnikami i uważają, że jesteśmy amoralni. We wszystkich badaniach wychodzi na to, że ludzie nas nie lubią i że nam nie ufają!

Appleby rozłożył bezradnie ręce, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś nie chce mu ufać.

– Politycy mówią, że nas nie lubią, i chcą na wszelkie możliwe sposoby ograniczyć nasze wpływy. Ale prawda jest taka, że gdybyśmy nie szeptali im do ucha tego czy tamtego, żaden z nich nie przetrwałby nawet tygodnia. Kim byliby dzisiaj, gdybyśmy nie stali przy nich, nie pomagali im w nawiązywaniu kontaktów i nie mobilizowali wyborców? Jesteśmy smarem, dzięki któremu cała ta machina funkcjonuje. To my smarujemy codziennie każdy najmniejszy trybik. Powinni więc zgodzić się na to, że od czasu do czasu, gdy nikt nie widzi, próbujemy dopasować tę ich maszynę do potrzeb naszych klientów. To niewielka cena za to, co dla nich robimy.

Appleby wypił łyk trunku ze szklanki. George marzył o papierosie, ale nie mógł tak nagle po prostu wstać i odejść.

– Prawda jest taka, że to, czym się zajmujemy, nie zawsze odbywa się w świetle ramp – kontynuował Appleby. – Część naszych klientów woli trzymać się w cieniu. Zresztą nie wszystkimi naszymi metodami możemy się głośno chwalić. Nic w tym dziwnego. To tylko

część gry. Czasem bywa jednak tak, że na samym początku potrzebujemy ochrony, pomocy.

Appleby umilkł i spojrzął przed siebie. George zaczął się nagle zastanawiać, czy jego szef nie jest pijany. Nigdy przedtem nie widział go w takim stanie.

– Nie jestem pewien, czy pana rozumiem – powiedział, unosząc szklanę do ust. Appleby spojrzął na niego.

– Naprawdę? No cóż, nie mogę cię za to krytykować. To, o czym teraz rozmawiamy, jest *above your paygrade*. Nie będę się wdawał w szczegóły. Kiedyś to zrozumiesz. Jeśli zamierzasz zostać w tej branży, będziesz musiał to zrozumieć, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie. Chcę przez to powiedzieć, że istnieją ludzie, o których możemy powiedzieć, że nas chronią, chociaż właściwsze byłoby stwierdzenie, że chronimy się wzajemnie. Ręka rękę myje. Czasem się zdarza, że ci, którzy nas chronią, każą nam spłacić zaciągnięte długi. Szczerze mówiąc, nie zawsze bywa to przyjemne. Niestety, nie da się tego uniknąć.

Appleby odwrócił się do George'a i spojrzął mu prosto w oczy. Nie, na pewno nie był pijany. Przeciwnie. Wszystko wskazywało na to, że jest jak najbardziej trzeźwy. George poczuł, że ogarnia go niepokój. Niech to szlag, a więc jednak jego podejrzenia były słuszne. Nie ma darmowych kolacji. Nigdy.

– Ale spłacanie długów się opłaca. Czy wasz premier nie napisał o tym książki w latach dziewięćdziesiątych? Twierdził, że jeśli ktoś ma długi, nie jest wolny. Albo coś w tym stylu. Mam rację?

Mówiąc to, Appleby uśmiechnął się ostrożnie.

– Tak, to prawda. Ale tej książki nie tłumaczono chyba na angielski. Poza tym to nie był mój premier, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

– No właśnie – powiedział z szerokim uśmiechem Appleby. – W odróżnieniu od większości twoich rodaków nie jesteś socjaldemokratą. Nieważne. Faktem jest, że akurat teraz nie jesteśmy wolni. Merchant & Taylor musi uregulować pewien dług, a właściwie kilka długów, jeśli mam być szczery. Skorzystaliśmy z pewnego kredytu i teraz nadszedł czas, żeby go spłacić. W sumie to korzystny kredyt. Za to, co mielibyśmy dla nich zrobić, zapłacą nam dziesięciokrotnie więcej. I nie chodzi tylko o firmę Merchant & Taylor, ale i niektóre osoby, które świadczą te usługi. Rozumiesz, co mam na myśli?

George poczuł, że przeszedł go dreszcz. Miał wrażenie, jakby stał u progu wielkiej tajemnicy albo za chwilę miał się stać członkiem tajnej organizacji.

– Nie jestem pewien – odparł ostrożnie. – Ma pan na myśli coś konkretnego?

Appleby nie odpowiedział od razu, tylko spojrzął na swój ogromny zegarek.

– Nie wszyscy klienci są tymi, za których się podają – powiedział po chwili. – Na razie tylko tyle musisz wiedzieć. Nie utrudniaj mi i nie myśl za dużo. Rób to, co zaczęłeś robić i o co cię proszą. I pamiętaj, że Merchant & Taylor nie zapomina o tych, którzy pomogli firmie spłacić długi. Zaszedłeś naprawdę wysoko. Czas zrobić kolejny krok. Ale tu już nie wystarczy być zdolnym lobbystą. Na kolejnym etapie trzeba udowodnić, że jest się osobą lojalną i oddaną. Firmie i naszym klientom. Jeśli ktoś dowiedzie, że taki jest, może zająć naprawdę daleko. Nie wolno przy tym zapominać, że brak lojalności... jak by to powiedzieć... nie jest dobrze widziany.

Appleby spojrzął na George'a, a w jego oczach pojawił się pewien szczególny blask.

George nie wiedział, co ma powiedzieć, więc tylko sięgnął po szklanę z alkoholem. Calvados miał stęchły zapach i smakował drożdżami. George nienawidził tego trunku. Pomyślał o Digital Solutions. Od razu wiedział, że ten Reiper to typ spod ciemnej gwiazdy.

– Zrobiło się późno – powiedział Appleby. – Chyba już czas wracać do domu. Nawet ja nie mogę obciążyć firmy Philip Morris kosztami za całą noc.

Appleby się przeciągnął, głośno roześmiał i wstał z fotela. George poszedł za nim. Zeszli schodami na parter i wyszli na ulicę. George lekko się zatoczył. Było dość chłodno i dlatego od razu poczuł, że jest wstawiony. Kiedy przyjechała pierwsza taksówka, Appleby usiadł na tylnym siedzeniu i zanim zamknął drzwi, zwrócił się do George'a.

– Tylko spokojnie – powiedział. – Potraktuj to jak przygodę. Wszyscy, którzy cokolwiek znaczą w naszej firmie, byli kiedyś w podobnej sytuacji. Musisz to jakoś przetrwać i nie za dużo o tym myśleć. Zrozumiałeś?

– Chyba tak – odparł George. – Chociaż nie do końca wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Olej to. Na tym to właśnie polega. Przestań o tym myśleć. Rób tylko to, co masz zrobić. Tak samo z fakturami: wystawiaj je tak jak dotychczas. Wiem, że sobie poradzisz. Do jutra.

Po tych słowach Appleby zamknął drzwi i taksówka odjechała ulicą rozświetloną świątecznymi lampkami. George zapalił papierosa i szczerzej otulił się płaszczem. Z nieba posypały się płatki śniegu.

– Pieprzony grudzień – mruknął George. Sięgnął do kieszeni i z ulgą wyjął z niej niewielką saszetkę z kokainą. Może wpadnie na Place Lux? Nie jest jeszcze aż tak późno.

19 grudnia 2013

Bruksela

W powietrzu wisiało coś, co mogło mieć jakiś związek z dźwiękiem dochodzącym z parku. Mahmoud skurczył się instynktownie i odwrócił w stronę trawnika. Niestety, w takich ciemnościach wzrok do niczego się nie przydawał. Na policzku poczuł płatek śniegu. Wiatr zelżał, ale temperatura nadal spadała. Mahmoud zaczął nasłuchiwać, wszystkie zmysły miał maksymalnie wyostrzone. Mimo to słyszał tylko świst wiatru w konarach drzew i szum dobiegający z autostrady. Wiedział jednak, że coś tu nie gra.

Odwrócił się i w tym samym momencie ujrzał, jak po twarzy Lindmana przesuwa się maleńka czerwona plamka przypominająca robaka. To mu wystarczyło. Wiedział, co się za chwilę stanie.

– Kryć się! – krzyknął. – Pocisk!

Mahmoud rzucił się na trawę, nie spuszczać Lindmana z oczu. Poczuł wilgoć na palcach i chłód na twarzy. Uniósł się lekko i w tej samej chwili ujrzał, jak głowa Lindmana gwałtownie odskakuje do tyłu, a jego ciało odrywa się na centymetr od ziemi i wykonuje pół obrotu. Przypominało to niezdarną imitację klasycznego baletu, jakby na trawniku zjawiała się nagle olbrzymia balerina z filmu wyprodukowanego przez Pixar Animation Studios. Cały ten piruet zakończył się tym, że Lindman opadł na ławkę w pozycji siedzącej. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozmontował jego ciało na poszczególne elementy, tak że nie mógł zachować wyprostowanej pozycji.

Mahmoud poczuł, że serce mu przyspiesza. Na szczęście zdołał się opanować. Pomógł mu w tym instynkt, a może rutyna. Błyskawicznie wyliczył i ustalił, pod jakim kątem został oddany strzał, a tym samym określił przybliżoną pozycję strzelca. Podczołgał się do Lindmana. W parku rozległy się ściszone głosy, a potem kroki kogoś, kto szedł po wilgotnej trawie. Nagle Mahmoud natknął się ręką na jakiś leżący przy ławce przedmiot. Domyślił się, że to portfel Lindmana. Bez namysłu wsunął go do kieszeni. Przesuwał dłońmi po nogach kolegi, a gdy dotarł do jego wojskowej kurtki, pociągnął go za ramię i ściągnął z ławki na ziemię. Chciał jakoś zasłonić Lindmana, chociaż wiedział, że to bezcelowe. Wokół nadal panowała kompletna cisza.

Nagle zobaczył, jak promień lasera przesuwa się po zmasakrowanej twarzy Lindmana. Chwilę później jego ciało gwałtownie drgnęło, a głowa została odrzucona z wielką siłą do tyłu. Mahmoud poczuł wilgoć na twarzy. Natychmiast puścił ramię trupa i rzucił się w krzaki oddzielające trawnik od lasu.

Krew, pomyślał. Mam na twarzy jego krew.

Tym razem nie usłyszał strzału, za to ujrzał kolorowy punkcik, który na moment zatrzymał się na pniu rosnącego przed nim drzewa. Chwilę później posypały się z niego drobne kawałeczki kory, a pocisk wbił się w pień. Mahmoud pomyślał ze zdumieniem, że strzelają też do niego, na dodatek zaś używają karabinu z tłumikiem. Skulił się i rzucił do ucieczki w głąb lasu. Ziemia była wilgotna i równa. Pośród bezlistnych drzew zauważył światło.

Domyślił się, że to jedna z latarni stojących przy drodze prowadzącej do Tervuren. Na granatową kurtkę ściekały mu z twarzy krople krwi Lindmana.

Kiedy wracał taksówką do Brukseli, przez cały czas próbował sobie przypomnieć, jakim sposobem wydostał się z parku. Pamiętał, że ktoś za nim biegł. Słyszał kroki, trzask gałęzi i głosy prześladowców, którzy rozmawiali ze sobą po angielsku z amerykańskim akcentem. Patrzył na parę, która wydobywała mu się z ust, i czuł krew na twarzy. Jak przez mgłę przypominał sobie, że dotarł do drogi, przebiegł przez nią i uciekał dalej przez ogródki otaczające wille. Potem biegł ulicami, aż znalazł się w historycznym centrum Tervuren. Nie pamiętał, jak złapał taksówkę. Wszystko, co robił, odbywało się automatycznie. Chodziło o przeżycie. W tamtym momencie nic nie było dla niego ważniejsze.

Oparł się o siedzenie i zamknął oczy. Był już potwornie zmęczony. W myślach prześladował go widok czerwonego punktu, który zatrzymał się na nieogolonym policzku Lindmana, i zmasakrowanej twarzy kolegi. Jak udało im się namierzyć go w muzeum? Sumienie go gryzło, doszedł do wniosku, że nie był wystarczająco ostrożny. To on doprowadził ich do Lindmana. To on odpowiada za jego śmierć.

Pogrążony w myślach nawet nie zauważył, że radio w taksówce jest włączone. Ocknął się dopiero wtedy, gdy muzyka ścichła i rozległ się poważny męski głos. Wiadomości. Mahmoud zerknął na zegarek. 20:51. Z początku wydawało mu się, że od spotkania z Lindmanem upłynęły całe dwie godziny. Przez ten czas jego życie stanęło na głowie. Czy to możliwe, że aż tak długo leżał ukryty na jednym z podwórek w Tervuren? Zaczął się zastanawiać, które wiadomości zaczynają się o tej porze. Skoncentrował się na tym, co czytał lektor. Starał się jak najlepiej zrozumieć treść informacji przekazywanych po francusku, w języku, którym posługują się mieszkańcy Belgii. Z potoku słów wyłowił: *assassiner, tervuren, extremement dangereux*.

Takie słowa mogły oznaczać tylko jedno: że jest poszukiwany w związku z zabójstwem Lindmana. Nagle poczuł się tak, jakby taksówka skurczyła się wokół niego, jakby dach auta zaczął walić mu się na głowę, jakby zabrakło mu powietrza. Spostrzegł, że arabski kierowca wpadł nagle w panikę i próbuje zmienić kanał. Widział jego przerażony wzrok we wstecznym lusterku. Od razu przypomniał sobie zasady, które wpajano im podczas szkolenia w Karlsborgu. Najważniejsza z nich brzmiała: „Zawsze bądź kreatywny, spróbuj przewidzieć, co się stanie”.

Zanim kierowca zdążył się zorientować, co jest grane, Mahmoud przeniósł się na przednie siedzenie i przytknął mu do tętnicy szyjnej długopis. Czuł się dziwnie spokojny, jakby zrelaksowany.

– Ani słowa – powiedział po arabsku stłumionym głosem – bo inaczej dźgnę cię w szyję. Przysięgam.

Na twarzy kierowcy pojawiły się krople potu, w oczach panika. Mahmoud zrozumiał, że kierowca robi wszystko, co mu każe.

– Jedź do Brukseli – powiedział. – Spokojnie i zgodnie z przepisami. I żadnych głupich pomysłów.

Kierowca obserwował drogę, lecz kątem oka nie spuszczał wzroku z Mahmouda. Skinął nieznacznie głową.

Mahmoud zauważył, że ruch na autostradzie przestaje być płynny, dopiero gdy na mokrym asfalcie ujrzał pulsujące błękitne światło. Policyjna blokada. Oczywiście. Taksówka zwolniła i stanęła w długiej kolumnie samochodów. Nowy plan. Trzeba być kreatywnym, uprzedzać zdarzenia.

– Posłuchaj mnie – powiedział spokojnym głosem Mahmoud do kierowcy. – Mam bombę przymocowaną do klatki piersiowej. Prawdziwą pieprzoną bombę. Zrozumiałeś? Taką samą, jakie mają dżihadyści.

Chwycił kierowcę dłonią za twarz i odwrócił ją do siebie. Chciał, żeby kierowca poczuł jego kwaśny oddech, smak bijącej od niego adrenaliny.

– Nie zawaham się jej użyć. Razem z tobą wysadzę się w powietrze. *Allahu akbar*. Zabiorę z nami tamte wieprze.

Kierowca prawie przestał oddychać. Mahmoud czuł, jak tętnica, którą uciskał długopisem, pulsuje coraz mocniej. Po policzku kierowcy spłynęła łza.

– Możesz się jeszcze uratować – powiedział Mahmoud. – Powiem ci kiedy, a ty otworzysz drzwi i wyskoczysz z samochodu. Tak szybko, jak tylko potrafisz. Zaczną cię gonić, ale olej to. Jeśli nie znajdziesz się trzysta metrów od tego miejsca, rozerwie cię na drobne kawałki razem ze mną i resztą tych pogan. Jasne?

Kierowca pociągnął nosem i skinął głową.

– Tak, tak – odparł. – Niech pan mnie nie krzywdzi, mam rodzinę i jestem muzułmaninem.

– Nic ci się nie stanie, tylko rób, co ci każe. Odepnij pasy.

Kierowca wykonał posłusznie polecenie. Rozległo się charakterystyczne kliknięcie i po chwili pas znalazł się na swoim stałym miejscu. Mahmoud się pochylił i spojrzął na pulsujące światła na drodze. Stała tam grupa policjantów. Mieli broń automatyczną i latarki. Zauważył też trzy radiowozy. Dzieliło go od nich jakieś dziesięć samochodów. Musi odczekać, wybrać najlepszy moment.

– Widzisz tamtą uliczkę? – spytał i wskazał kierowcy słabo oświetloną ulicę prowadzącą między brzydkie niskie szeregowce. – Tam będziesz bezpieczny. Kiedy doliczę do trzech, wyskoczysz z wozu i pobiegiesz tam tak szybko, jak nigdy wcześniej. Zrozumiałeś?

Kierowca śledził wzrokiem rękę Mahmouda. Skinął głową i znowu na niego spojrzął. Jego oczy wyrażały wdzięczność, jakby Mahmoud rzeczywiście uratował mu życie. Od policyjnej barierki dzieliło ich już tylko pięć samochodów.

– Gotowy? – spytał Mahmoud.

W ustach miał smak stali i krwi. Nagle poczuł prawdziwe napięcie, które zawładnęło nim prawie całkowicie.

– Tak! – prawie krzyknął kierowca. – Jestem gotów.

– To dobrze. Skoczysz na trzy. Uwaga: raz, dwa, trzy!

Mahmoud nie zdążył wypowiedzieć ostatniego słowa, gdy kierowca uchylił drzwi i wyskoczył na asfalt. Potknął się i gdy już się wydawało, że się przewróci, odzyskał równowagę, wyprostował się i pobiegł w stronę uliczki w takim tempie, w jakim biegną ludzie ogarnięci panicznym strachem przed śmiercią. Przebiegł przez ulicę, minął stojące tam samochody i ruszył we wskazaną przez Mahmouda stronę.

Policjanci już po kilku sekundach zauważyli, co się dzieje. Ujrzeni Araba, który w błyskawicznym tempie oddala się od barierki. Do tego momentu kierowca zdążył przebiec zaledwie dwadzieścia metrów. Przez chwilę panował chaos, rozległy się okrzyki zdziwienia, posypały się rozkazy i funkcjonariusze skierowali w stronę uciekiniera światła latarek.

Mahmoud nie czekał dłużej. Wsiadł z samochodu i ostrożnie oddalił się od drogi w przeciwnym kierunku. Słyszał za sobą podniesione głosy, stukot butów o asfalt. Skulił się i ukrył za żywopłotem otaczającym ogród domu, który stał za granicą wyznaczoną przez barierki. Zrozumiał, że w tym momencie nie może udać się na policję. Uznał, że to nie najlepszy pomysł.

Wiosna 1988 roku

Afganistan

W końcu wysyłają mnie tutaj, do tego pięknego, dzielnego, straszego Afganistanu. Do miejsca, gdzie czas się zatrzymał i nic się nie zmienia.

– Znasz ten region – mówią moi nowi szefowie.

Nigdy nie walczyli na polu bitwy, bo całe życie spędzili w salach konferencyjnych.

– Znasz ich język – przekonują, ale myślami są już gdzie indziej, na kolejnym bezsensownym spotkaniu czy rozmowie.

Sam już nie wiem, jak im wytłumaczyć, że znam arabski, a nie perski, i że nie mówię językiem Pasztunów. Dali mi bilety lotnicze, nowe dokumenty, obiecali lepszą przyszłość i przyrzekli, że kiedyś o mnie zapomną.

Przekraczamy granicę od strony Pakistanu. Głowy mamy owinięte w *kefije* i tak jak wszyscy miejscowi zbóje jesteśmy uzbrojeni w kałasznikowy. Poruszamy się pordzewiałą furgonetką marki Toyota. Jedziemy drogami zrobionymi z kamieni, piasku albo żwiru. Na targu koło Dżalalabadu kupuję angielski bagnet z wybitą na klindze datą „1842”. Otaczające nas góry stały się cmentarzem dla tych, którym się wydawało, że nimi zawładną. Kiedyś ginęli tu Anglicy, teraz Rosjanie. Ci drudzy już się stąd wycofują, pobici i dezorientowani. Co to właściwie za góry? Wysłałam moim przełożonym raporty na temat mudżahedinów i wyjaśniam, że są nieugięci, niezłomni i wolni, że trudno ich kontrolować albo koordynować z nimi jakieś akcje. Pewnego dnia staniemy twarzą w twarz z tym, co sami stworzyliśmy. Obozy znikają jedno po drugim. W Waszyngtonie nikt nie zwraca uwagi na fanatyzm. W tym wielkim tyglu religie nie są na razie najważniejsze. Ale kiedyś? Po ideologii pojawi się kwestia religii. Ci, którzy byli naszymi przyjaciółmi, staną się w końcu naszymi wrogami.

Swoje przestępstwo w końcu odkupiłem, a właściwie zostało mi zapomniane. Najpierw pięć lat w Langley, zanim zostałem kurierem. Niekończące się dni z gazetami i autostradą. Basen pływacki i telewizja. Ciągła, nieprzereparta nuda dnia codziennego. Taka kara pojawia się wtedy, gdy więzi stają się mocniejsze. Kara za to, że przez chwilę straciłem z oczu właściwy, prawdziwy cel. Jakbym nie został już wystarczająco ukarany.

Myślałem, że to kiedyś minie. Zastanawiałem się nad tym, co porzuciłem, i to aż dwa razy. Wmawiałem sobie, że to minęło, gdy poznałem Annie. Rok później się pobraliśmy. Przez cały czas umawialiśmy się potajemnie w restauracjach, chodziliśmy do kina, spędzaliśmy w domu wspólne wieczory, a pod koniec wyjeżdżaliśmy razem na weekendy do jej rodziców w Connecticut. Wszystko to jednak były tylko pozory. Barwne lampy i zwierciadła.

Pewnego dnia w drzwiach stanęła Susan. Była ubrana w granatowy kostium i patrzyła na mnie zmęczonymi oczami. Jak zwykle miała źle ufarbowane włosy. Tego się właśnie spodziewałem. Serce zaczęło mi bić szybciej. Ręce mi drżały, gdy otworzyłem szarą teczkę

pełną ważnych, tajnych stempli. Pokój przestał nagle istnieć, rzeczywistość zaczęła pękać w szwach, a ja czytałem kolejne kartki pełne poszlak, informacji z pól bitewnych, plotek, pogłosek z Ammanu, Kairu, Bejrutu, Paryża, Londynu. Zamknąłem oczy, a potem powoli i ostrożnie przewróciłem kartkę. Rozwarłem powieki i spojrzałem prosto w oczy twojemu zabójcy, który spoglądał na mnie z gładkiego papieru fotograficznego.

Annie tylko na mnie popatrzyła, gdy opowiedziałem jej o mojej nowej misji. Zrobiłem to ostrożnie, żeby ukryć wszystkie szczegóły, chęć ucieczki, pragnienie zemsty i radość, jaką z tego powodu odczuwałem. Wiedziałem, że nie będzie płakać, bo należy do kobiet, które tak nie reagują. Nasz związek funkcjonował na innych zasadach. Właściwie to wcale się nie odezwała, tylko wstała, pozbierała reszki naszej nędznej kolacji z McDonald'sa i wyszła z pokoju. Gruba wykładzina dywanowa stłumiła jej kroki.

Kiedy dolatywałem do Bejrutu i black hawk podchodził do lądowania, poczułem gwałtowny przypływ adrenaliny. Nie ma ciekawszego życia niż to, w którym codziennie rano budzi mnie przemoc, czatują na mnie strzelcy wyborowi, słysząc odgłosy eksplozji. To lepsze niż życie w pustce i zmaganie się z żalem. Zależy mi tylko na tym, aby chwycić kolejną okazję, dostać wiadomość, która otworzy mi kolejne okno, szczelinę prowadzącą do innego czasu i przestrzeni. Dolar za dolarem. Jedno zagrożenie za drugim. Pochlebstwo za pochlebstwem, obietnica za obietnicą, drink za drinkiem. Numer rejestracyjny samochodu, wiadomość o tym, gdzie będzie parkowany nocą, kiedy zostanie ponownie użyty, kto i dokąd nim pojedzie.

Do tego ciągle kalkulowanie i liczenie. Minimalizacja ryzyka i wyliczenia dotyczące siły eksplozji. Cierpliwa, żmudna praca, która kończy się wybuchem bomby, a potem jeszcze jednej, i jeszcze jednej. Oko za oko. Bezsensowna zdobycz chłopów.

Jestem w górach. Wszędzie dokoła wznoszą się góry. Marzę o nich i o pokrytych śniegiem otwartych równinach. O niekończących się zimach. Piję herbatę z tutejszymi bojownikami, którzy sami siebie nazywają talibami, co w ich języku znaczy „studenci”. Tłumacz wyjaśnia, że pobierali nauki w islamskich szkołach w Pakistanie i są głęboko religijni. Wahabici, jak w Arabii Saudyjskiej.

Ale tu są rebeliantami, a nie intelektualistami. Ich religia jest prosta, zbudowana z zasad. Nie ma boga nad Allaha. Nie ma księgi nad Koran. Przede wszystkim jednak – nie ma religii nad islam. Tolerują mnie, ponieważ zaopatruję ich w broń i amunicję, żeby mogli wypędzić sowieckich okupantów. Wojna sprawia, że niektóre kompromisy stają się możliwe. Ich twarze to maski z hartowanej skóry, krój ich kaftanów nie zmienił się od tysiąca lat. Są w stanie pokonać największą armię świata za pomocą ręcznej broni palnej albo granatników.

Co będzie potem, gdy Rosjanie się stąd wycofają, fotografie Lenina zostaną spalone, a na miejscu zostaną tylko ruiny i trupy? Czy ci ponadczasowi ludzie stworzą państwo Allaha? Czy pozwolimy im, aby zabronili muzyki, teatru, literatury, żeby zburzyli zabytki? Bo to właśnie obiecują zrobić. Czy naprawdę wolimy ich od bezbożnych komunistów? W czyje ręce składamy losy świata?

To niesamowite przeżycie, kiedy można wyrzucić zemstę, kiedy złe czyny nie uchodzą

plazem złym ludziom. A przecież na świecie jest wielu złych ludzi, którzy są bezkarni. Niestety, z wieloma rzeczami musimy się pogodzić. Mimo to tak niewiele pamiętam: gorączkową intensywność poprzedniego dnia i instrukcje wydawane technikowi, na wpół głuchemu weteranowi z jakiejś elitarnej jednostki, który przyleciał do nas tylko na to jedno zadanie, wyposażony w wiedzę i czarodziejską skrzynkę. Pamiętam, jak mruczając coś pod nosem, porządkował płataninę kabli i wyjął kawałek plastiku, który miał wywołać eksplozję w jakimś zbombardowanym domu na jednym z opuszczonych przedmieść. Pamiętam, jak potem podaliśmy sobie ręce, a ja położyłem się na dachu, wystawiony na bezlitosne promienie słońca. Lornetkę przyciskałem do oczu tak mocno, że przez dwa tygodnie miałem sińce.

Zauważyłem przez lornetkę twarz. Zwykłą, przeciętną, o typowych oczach. Anonimowe rysy, które zapamiętałem z ostatniej strony raportu Susan. Pamiętam, że przycisk, którym miałem zdalnie uruchomić bombę, stawiał opór. Pamiętam też, że miałem spocone dłonie. Pewnie z powodu słońca.

Z samej eksplozji nie zapamiętałem nic. Zupełnie nic. Za to pamiętam to, co wydarzyło się potem. Dym i dźwięk syren, dobiegające z oddali krzyki ludzi. Wszystko to było takie bezosobowe, jakby stanowiło część tego, co składa się na esencję Bejrutu. Przypominam sobie, że zamknąłem oczy i pomyślałem, że już po wszystkim, że zrobiłem, co mogłem. Pamiętam pustkę. Kamień dokładany do kamienia. Winę do winy.

Moje kolejne wspomnienie jest wyraźniejsze. Trzy bezsenne noce później usłyszałem głos Annie. Rozmawiała ze mną przez zakodowany telefon satelitarny. W słuchawce coś trzeszczało. Byłem wtedy w naszym małym forcie przylegającym do zabudowań ambasady w Bejrucie.

– Jest jeszcze wczesnie – powiedziała Annie. – Nie powinniśmy robić sobie zbyt wielkich nadziei.

W jej głosie wyczułem jednak tyle nadziei, że musiałem usiąść i ukryć twarz w dłoniach.

– Jesteś tam? – spytała. Jej głos dobiegał do mnie jakby przefiltrowany przez gwiazdny pył; był metaliczny i statyczny.

– Jestem – odparłem.

– Dziecko. Dzieciątko. Czy to nie fantastyczne?

Na dworze wybuchały granaty. Zapadał wieczór, niebo rozświetlały światła reflektorów i szperaczy.

– Ziemia się tu trzęsie – powiedziałem.

– Tutaj też, kochanie. Tutaj też.

Właśnie wtedy, przez jedną sekundę, coś we mnie puściło. Przestałem się obwiniać o twoją śmierć, o moją zdradę, o moją zemstę. Obwinałem się nie o to, że na to wszystko zasłużyłem, tylko że nienarodzone jeszcze dziecko potrzebuje dwojga rodziców. Nie byłem w stanie zrozumieć, że dostałem drugą szansę, że będę miał drugie dziecko. Może faktycznie się uda? Może jest we mnie miejsce na jakiś kompromis? Jeszcze tylko Bejrut, a potem nie ruszę się z Waszyngtonu na krok. Mamy dom, wzięliśmy kredyt, co dwa lata zmieniamy samochód. Potrzebne nam tylko dziecko. No i ja.

Z Bejrutu wróciłem dwa tygodnie później. Stało się to pewnego wieczoru pod koniec

sierpnia, gdy powietrze wypełniał zapach świeżo skoszonej trawy na szkolnym boisku do futbolu, a szum spryskiwaczy w ogrodzie mieszał się z szumem dobiegającym z autostrady. Zobaczyłem Annie, jak siedzi sama na schodach prowadzących do naszego bungalowu, naszego marzenia na przedmieściach, jak wyraził się agent nieruchomości. Spojrzałem jej w oczy i od razu wiedziałem. Zawsze to wiem.

- Nic nie mów – powiedziałem i objąłem ją w okropny sposób, bo innego nie znałem.
- Dziecko – odparła. – Próbowałam się do ciebie dodzwonić.
- Ciiii... Nic nie mów. Już wiem.

Obejmowałem ją na tych schodach, aż zaległy kompletne ciemności i spryskiwacze w ogrodzie zapadły w sen, a szum z autostrady zaczął przypominać szept.

Potem, gdy Annie poszła się położyć do pokoju wychodzącego na ogród, wróciłem do poprzedniego stanu. Zero smutku. Została tylko tęsknota za czymś nowym, żebym mógł stąd wyjechać. Świadomość, że kłamstwo może być fałszywe, ale prawdziwym wrogiem jest prawda.

Budzą mnie o świcie i znowu wsiadamy do toyoty, jeszcze zanim zetnę z oczu resztki snu, zanim w miejsce marzeń o górach pojawią się prawdziwe góry. Jedziemy w milczeniu przez pomarańczowe doliny rzek, po piasku i żwirze. Jest wczesna wiosna, śnieg stopniał. Wojna dobiegła końca. Jediną rzeczą, która opóźnia zwycięstwo Dawida nad Goliatem, jest polityka. Małe zwycięstwo w wiecznej pogoni za status quo. Mój czas w tym regionie powoli się kończy, więc poprosiłem, żeby zastąpili mnie kimś, kto zna perski albo paszto, język Pasztunów. Niestety, moje prośby brzmią jak szept na wietrze. Kiedy czerwony smok zostaje zmuszony do opuszczenia kraju, nikt już nie pamięta, jakimi językami posługują się mieszkańcy Afganistanu. Doszliśmy tam, dokąd chcieliśmy dojść. Osiągnęliśmy nasz cel.

Może w Waszyngtonie docenią moją pracę i odpowiednio mnie za nią wynagrodzą? Przyszłość przeraża mnie w takim samym stopniu jak przeszłość. Praca przy biurku w oczekiwaniu na to, że wszystko zacznie się od początku. Samotne wieczory w bungalowie przy bezszelestnych krokach Annie na grubym dywanie. Grzeczne rozmowy telefoniczne, które kończą się łzami. Wyjaśnienia, których nie mam. Świadomość, że straciłem dwie rodziny, dwójkę dzieci. Wspomnienie dymu i syren. Nuda i zmęczenie. Oczekiwanie, aż trafi się następna okazja, żeby się ukryć, zniknąć w teraźniejszości, której brakuje kontekstu.

Obserwuję przez okno samochodu, jak w miejsce jednych gór pojawiają się inne, jak żwir i piasek na drodze zmieniają kolor. Jedziemy przed siebie, ale tkwimy w tym samym miejscu.

19 grudnia 2013

Bruksela

George przepychał się łokciami do kontuaru w barze Ralph's, trzymając w podniesionej wysoko ręce kartę American Express. Przebił się przez grupę zaczerwienionych praktykantów, aż w końcu stanął przy samym barku, obok zachowującego się głośno Irlandczyka, który nieskładną francuszczyzną próbował zwrócić na siebie uwagę barmana.

Bar był nie większy od typowego salonu w dużym mieszkaniu albo domu, ale dzięki doskonałej równowadze, jaka w nim panowała – odwiedzały go zarówno praktykantki, jak i lobbyści, adwokaci i młodszy urzędnicy z przeróżnych instytucji tworzących struktury Unii Europejskiej – od dwóch lat był jedynym barem w dzielnicy zajmowanej przez instytucje należące do Unii Europejskiej, do którego przychodzili wszyscy ci, którym zależało, aby ktoś ich zauważył. George'owi jak najbardziej to odpowiadało. Miejsce dawało bowiem doskonałą okazję, aby połączyć przyjemność spożywania posiłków z nawiązywaniem nowych kontaktów i podrywaniem młodych Włosek o zachwycających oczach i zaokrąglonych kształtach.

George już po minucie stał przy barze z dwoma kieliszkami szampana w rękach, co wzbudziło wyraźną złość Irlandczyka. Zapłacone, można odejść. George wzruszył ramionami i poczuł, jak ogarnia go fala zadowolenia. W całym tym towarzystwie to on jest królem. Tak, właśnie królem.

Wyciągnął się trochę, żeby przysunąć stółek barowy, z którego przed chwilą wstał. Świetnie, dziewczyna nadal tam jest. Jak miała na imię? Mette? Pochodzi z Kopenhagi i jest na praktyce u pochodzącego z Danii komisarza Unii Europejskiej. Świetny kontakt, a do tego superlaska. Czasem ta robota jest naprawdę aż nazbyt piękna. Biznes i przyjemność. Ma już jej wizytówkę, więc musi się jeszcze postarać o to, co przyjemne.

Najgorsze było to, że nie mógł zrozumieć, co dziewczyna mówi. Jej duński mieszał się z przynajmniej dziesięcioma innymi językami i słowami piosenki śpiewanej przez Justina Timberlake'a. Każde wypowiedane przez nią słowo docierało do niego z trudem. Ledwo to wytrzymał. Niestety, przejście na angielski było wykluczone. Musiał udawać, że świetnie sobie radzi i ją rozumie. Za to ona rozumiała jego szwedzki bez problemu.

Jeszcze trochę i ją stąd zabierze. Zaproponuje, żeby wzięli sushi i poszli do niego. Otworzą butelkę z bąbelkami, a wtedy kłopoty językowe przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak widać, mieszkanie w pobliżu Place du Luxembourg ma swoje zalety.

Gdy tak szedł przez bar, poczuł wibrowanie telefonu w wewnętrznej kieszeni marynarki. Trzymając w jednej ręce butelkę szampana, drugą wyjął telefon. Kto go, do cholery, niepokoi w czwartkowy wieczór? Na wyświetlaczu ujrzał, że to ktoś z Digital Solutions. Niech to szlag! Dobry humor opuścił go w jednej chwili. Po rozmowie z Applebyem na samą myśl o tej firmie robił się nerwowy. Telefon przestał dzwonić, zanim odebrał. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien ich olać, udać, że nie ma przy sobie aparatu. Ale wyobraził sobie wzrok szefa. Przeszedł go dreszcz. Odstawił jeden z kieliszków na wysoki

stołek stojący przed Mette.

– Przykro mi – powiedział. Uniósł telefon i wskazał ręką na drzwi. – Obowiązki wzywają – dodał.

Dziewczyna się uśmiechnęła i coś mu odpowiedziała, ale w ogóle jej nie zrozumiał. Mimo to uznał, że dotarło do niej, co powiedział. Dał jej ręką znak, że zaraz wróci, i zaczął się przepychać przez elegancko ubrany tłum w stronę jedyne go wyjścia na ulicę.

Na dworze było już ciemno, panował przeszywający chłód, na ulicy było prawie zupełnie pusto. O tym, że toczy się tu jakieś życie, świadczyła tylko długa kolumna taksówek stojących przed sportowym barem Fat Boy's po drugiej stronie placu, jak również kilka przemarzniętych postaci, które przemykały się od baru do baru w zbyt cienkich kurtkach. Na lewo od niego wznosił się budynek Parlamentu Europejskiego, który przypominał śpiącego olbrzyma. Przez chwilę George'owi się wydawało, że słyszy jego oddech.

Odstawił kieliszek na jeden z barowych stołków w pustym o tej porze ogródku przed barem. Mżył lodowaty deszcz. Zapiął płaszcz, zapalił czerwone marlboro i głęboko się zaciągnął. Zanim zdążył wyjąć telefon, żeby zadzwonić do Reipera, znowu poczuł, jak aparat wibruje mu w kieszeni. Włożył słuchawkę do ucha i zerknął, żeby sprawdzić, która godzina. 19:55. Dzięki temu będzie wiedział, na jaką kwotę należy obciążyć Digital Solutions za przeprowadzoną rozmowę.

– Mister Reiper – powiedział. – Czym mogę panu służyć?

– Dobry wieczór, mister Lööw – odparł swoim bezbarwnym, szorstkim głosem Reiper. – Przepraszam, że przeszkadzam. Domyślam się, że nie jest pan w swoim biurze.

– Ma pan rację, nie jestem. Właśnie z niego wyszedłem. Ale jak powiedziałem w poniedziałek, pracownicy firmy Merchant & Taylor są zawsze do dyspozycji. Czym mogę panu służyć?

George napił się szampana, a potem pochylił, żeby zajrzeć przez okno do baru. Niestety, w środku panował półmrok, więc nie udało mu się ustalić, czy Mette nadal stoi tam, gdzie ją zostawił.

– To świetnie, mister Lööw. Naprawdę bardzo mi przykro, że psuję panu wieczór, ale byłoby dobrze, gdybyśmy mogli się spotkać. Najlepiej zaraz.

George kompletnie stracił humor. Wsiadł do swojego audi, ruszył i dodał gazu, chociaż na najbliższych światłach musiał gwałtownie zahamować. Przejechał zaledwie pięćdziesiąt metrów. W normalnej sytuacji, gdy siedzi wygodnie w swoim skórzanym sportowym fotelu i słucha muzyki zespołu Swedish House Mafia, uspokaja się. Tym razem było inaczej. W ogóle to na niego nie podziałało.

W końcu wyłączył muzykę, bo nie był w stanie wsłuchiwać się w potężne, basowe dźwięki. To, co jeszcze nie tak dawno było oszołomieniem wywołanym wypitym szampanem, zaczęło się stopniowo zmieniać w ból głowy. Z opakowania, które miał w prawej kieszeni spodni, wycisnął dwie tabletki panodilu zappa i połknął je bez popijania.

W normalnych okolicznościach uwielbia sytuacje, gdy wieczorem ktoś do niego nagle dzwoni i traktuje jako swojego *consigliere*. Czuje wtedy, że jest niezastąpiony. Kiedy

powiedział Mette, że musi się pożegnać, bo jeden z klientów chce zasięgnąć jego rady, dostrzegł jej podziw i podniecenie. Mógłby ją zaliczyć. Bez żadnego problemu.

Gdyby miał do czynienia ze zwykłym klientem, sprawa byłaby o wiele prostsza. Zadzwoniłby do Mette w drodze powrotnej do domu, kupiłby w jakimś nocnym sklepie monopolowym kolejną butelkę bollingera, pozwoliłby jej podziwiać swój samochód. Szybka piłka. Niestety, z Digital Solutions jest inaczej. Z tym Reiperem jest coś nie tak, podobnie jak Joshem, który nagle zjawił się w jego biurze. To dlatego czuje teraz, jak wszystko przewraca mu się w żołądku. Na dodatek te dokumenty z klauzulą „ściśle tajne”. I kolacja z Applebym. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł, że nie do końca wszystko rozumie.

Kwadrans później George skręcił w Avenue Molière w dzielnicy Ixelles. Niezbyt często tam bywa. Kiedyś wpadł tam na brunch do prawdziwie mieszczańskiej restauracji Caudron, innym razem upił się na lunchu w amerykańskim lokalu na placu Brugmanna, tuż za rogiem. Najczęściej jednak załatwia takie sprawy w dzielnicy, gdzie mieści się Parlament Europejski, albo w samym centrum miasta.

Ixelles to porządna dzielnica. Przy Avenue Molière znajdują się siedziby ambasad wielu państw. Wzdłuż chodników rosną drzewa pokryte obficie liśćmi. Jeśli chodzi o styl, to dominuje *nouveau-maisons de maître*. Czytał gdzieś, że mieszkania na tej ulicy należą do najdroższych w Brukseli.

W tym momencie GPS wydał z siebie piskliwy dźwięk, co oznaczało, że dojechał na miejsce. Reiper kazał mu się stawić pod numerem 222. Zaparkował samochód przed wejściem do eleganckiego trzypiętrowego budynku. Ten dom też wzniesiono w stylu *nouveau*. Na widok tego, co ujrzał, przeszedł go dreszcz. Fasada przypominała roślinę i było w niej coś, co nasuwało skojarzenia z gotykiem, na przykład łagodne narożniki i okrągłe okna. Starannie obmyślona ornamentyka i cienkie elementy stalowe pięły się w górę i lekko odstawały od ściany budynku. Na frontowej ścianie dominował ogromny wykusz. Okna musiały mieć przynajmniej dwa metry wysokości. Ciężkie firany były zaciągnięte i całkowicie zasłaniały widok.

George pokręcił głową i poczuł, że opuszcza go odwaga. Dom świetnie pasował do Reipera. Wywoływał to samo uczucie niesmaku co jego mieszkańcy. George wysiadł z samochodu. Drzwi zamknęły się automatycznie, wydając przy tym charakterystyczne kliknięcie. George pokonał cztery stopnie prowadzące do drzwi wejściowych. Na wiszącej obok dużej mosiężnej tabliczce widniał napis „Digital Solutions”. Wyglądała na całkiem nową, jakby powieszono ją poprzedniego dnia.

George wcisnął dzwonek i zdziwił się, bo zamiast charakterystycznego głuchego gongu usłyszał jakiś współczesny dźwięk. Nad drzwiami wisiała kamera. Poruszała się w różnych kierunkach, jakby ktoś w domu sterował nią za pomocą joysticka.

– George, witam!

Drzwi otworzył mu Josh. Miał na sobie coś, co przypominało czarne wojskowe spodnie i uczelnianą koszulkę z napisem NAVY. Wyglądał na podekscytowanego. Miał zaczerwienioną twarz, jakby znajdował się pod wpływem wzmożonego działania endorfin albo jakby przed chwilą wrócił z joggingu.

– Dziękuję – odparł George.

– Wejdz, nie stój w progu. Reiper czeka na ciebie w biurze.

Mówiąc to, Josh zerknął na zaparkowany przed domem samochód George'a.

– Piękny wóz. Z leasingu? Ładnie się o was troszczą w Merchant & Taylor.

Nie czekał, co George mu odpowie, tylko odwrócił się i ruszył korytarzem.

George skinął głową i powlekł się za Joshem. Czuł się nieswojo. Zupełnie nie panował nad sytuacją.

Josh otworzył ogromne dębowe drzwi prowadzące do jakiegoś pomieszczenia, które przypominało bibliotekę w dawnej angielskiej posiadłości wiejskiej. Na podłodze leżała wytarta wykładzina, a fragmenty ścian, których nie zakrywały puste plastikowe półki na książki, pokrywała ciemna boazeria. Wielkie okna we francuskim stylu wychodziły na ogród znajdujący się na tyłach domu. Było jednak zbyt ciemno, żeby rozróżnić jakieś szczegóły. W pokoju stały tylko dwa meble: nowy komplet wypoczynkowy, kupiony prawdopodobnie w Ikei, i ogromny stół zastawiony imponującą liczbą komputerów, monitorów i innych urządzeń elektronicznych. Siedział przy nim Reiper. Miał przed sobą czarnego laptopa. Na widok gościa Reiper podniósł się z krzesła.

– Mister Löow! Witam w Digital Solutions. Proszę mi wybaczyć.

Reiper rozłożył ramiona w geście, który miał przypominać przeprosiny. Ubrany był w czarną koszulkę i takie same czarne spodnie jak Josh. Czaszkę okalał mu wianuszek przylizanych włosów.

– Nie zdążyliśmy się jeszcze porządnie urządzić. Nie znam się na tym.

George skinął głową i rozejrzał się po pokoju.

– Ile osób właściwie pracuje w Digital Solutions? – spytał.

– No cóż, trudno to dokładnie określić. Niektórzy zatrudnieni są na kontrakt, typowi wolni strzelcy.

– A ilu z nich jest obecnie w Brukseli?

George czuł, że rośnie w nim irytacja. Rozbolała go głowa. Wszędzie te pieprzone tajemnice.

– W tej chwili jest nas w Brukseli pięciu albo sześciu. Inni są w podróży, jeśli mogę to tak określić. Realizują inne projekty i tak dalej. Ale proszę, usiądźmy na kanapie. Chciałbym z panem przedyskutować kilka spraw.

Jakby na umówiony sygnał Josh wstał od stołu, zabrał laptopa i wyszedł z pokoju. Reiper i George usiedli naprzeciwko siebie na dwóch twardych kanapach obitych kremowym materiałem. Między nimi stał stary, podniszczony stolik. Znowu zaczęło padać. Krople deszczu wymieszane ze śniegiem uderzały w szyby. Na dworze było zupełnie ciemno.

– W pierwszym rzędzie chciałbym podziękować za tłumaczenie – zaczął Reiper. – Szybka, dobra robota.

George wzruszył ramionami i próbował się uśmiechnąć, chociaż nadal bolała go głowa. Kiedy tabletki zaczną w końcu działać? Reiper się przeciągnął, założył ręce za głowę i wpatrzył się w ciemność za oknem.

– To było zupełnie niepotrzebne. Ale chyba sam się pan domyślił?

George pokręcił zmieszany głową. O co tu chodzi?

– Słucham? Co było niepotrzebne? – spytał.

– Nieważne – odparł Reiper, wykonując ręką obronny gest. – Nie jest pan głupi. Przeciwnie. Wprawdzie nie jest pan geniuszem, ale znacznie wyrasta pan ponad przeciętność. Wiedział pan, że tamte dokumenty są opatrzone klauzulą „ściśle tajne”, że dotyczyły nowego rodzaju przestępczości. A jednak to pana nie powstrzymało. To ciekawe.

– Ja... – zaczął George i umilkł. Czuł, że krew w żyłach płynie mu coraz szybciej. Miał wrażenie, że poślizgnął się na stromej skale, rozpaczliwie szuka oparcia dla stóp, a mimo to coraz bardziej się osuwa.

Nagle Reiper wstał energicznie z fotela. Podszedł do stołu i wziął z niego cienki żółty skoroszyt. Otworzył go i zaczął z roztargnieniem przerzucać strony. Po kilku sekundach odwrócił się do George'a i spojrzał na niego pustym wzrokiem. W słabo oświetlonym pokoju jego oczy wydawały się żółte. Jak u kota.

– Jeśli jednak mamy ze sobą dalej współpracować, muszę być absolutnie pewien pańskiej lojalności. Na sto procent. Przeprowadziłem więc drobne śledztwo, jeśli mogę to tak określić.

Reiper podszedł do stolika i położył przed George'em żółty skoroszyt.

19 grudnia 2013

Bruksela

Telefon wibrujący w kieszeni płaszcza sprawił, że Klara ocknęła się z letargu. Ostatni tydzień miała naprawdę pracowity: raporty, narady, niekończące się posiedzenia w salkach konferencyjnych, lunch na stojąco i wieczory spędzone przed komputerem. Jedynym jasnym punktem były spotkania z Cyrilem w jej mieszkaniu. Nadal czuła się odurzona rozkoszą, której z nim zaznała.

Teraz też udało im się wykraść trochę czasu w ciągu dnia. Nie po raz pierwszy. Jechali taksówką do jej mieszkania, ale po drodze zawsze się przesiadali. Woleli nie afiszować się ze swoim związkim. Na samym początku tak to właśnie wyglądało. Podniecało ją to, co zakazane: że może wymknąć się, tak jak on, z życia, w którym ciągle ma do czynienia z kimś albo czymś ważnym. Było to trochę nie fair, ale nie kryło się w tym nic groźnego. Zwykła zabawa, która nikomu nie może zaszkodzić. Ostrożność nigdy jednak nie zawadzi. Kiedy podobne sprawy wychodzą na jaw, natychmiast pojawiają się plotki, które w takiej instytucji jak Parlament Europejski mogą okazać się zabójcze. Szwedzka specjalistka i francuski eurodeputowany. Nie brzmi to najlepiej.

W końcu znalazła telefon w kieszeni. Serce zabiło jej mocniej. Może to Cyril z informacją, że kolacja skończyła się wcześniej? A może już do niej jedzie? Niestety, jej nadzieje zgasły w chwili, gdy spojrzała na wyświetlacz. Jörgen Apelbom. Niech to szlag. Zupełnie o nim zapomniała.

– Przepraszam, Jörgen – powiedziała, odbierając połączenie.

Będzie musiała jakoś się usprawiedliwić, i to szczerze, i dlatego odezwała się do niego słodkim głosem. Przycisnęła telefon do ramienia, a jednocześnie szukała w torebce kluczy od drzwi wejściowych.

– Strasznie mi przykro – dodała. – Miałam tyle...

– Wiem, wiem – przerwał jej Jörgen. – Miałas mnóstwo pracy. Ple, ple, ple. Jak zwykle. W ostatni wtorek też nie przyszedł na spotkanie.

Głos Jörgena brzmiał ironicznie, ale Klara wyczuła, że jest obrażony. Nie umiał udawać. Pod powłoką ironii kryło się prawdziwe rozczarowanie.

Trudna sprawa, pomyślała Klara.

Całkiem niedawno dała mu się namówić na drinka po pracy w barku dla dziennikarzy. Jörgen chciał z nią porozmawiać o jakimś raporcie na temat anonimowości w Internecie. Wyglądało na to, że inicjatywa wyszła od szwedzkiej Partii Piratów. Była mu to winna, bo Jörgen pomagał jej za każdym razem, gdy na forum Parlamentu dyskutowane były sprawy związane z Internetem albo zabezpieczeniem danych. Wszystko wskazywało na to, że zamierzał przekonać deputowanych z Partii Socjaldemokratycznej, aby zagłosowali w tej kwestii tak jak Piraci. Tak to właśnie funkcjonuje – przysługa za przysługę. Pomagają sobie tak długo, jak to możliwe.

Niestety, od pewnego czasu Jörgen namawiał ją, żeby spotykali się co tydzień, a nie raz

na miesiąc, jak do tej pory. Niepostrzeżenie przesuwał te spotkania na coraz późniejszą godzinę, a na dodatek stały się one coraz mniej formalne. Klara odnosiła wrażenie, że zainteresowanie Jörgena jej osobą nie ma wyłącznie zawodowego charakteru. A teraz jeszcze ten ton męczennika.

– No to co mogę powiedzieć? – przerwała mu Klara. Zaskoczyła ją irytacja w jego głosie. Pchnęła drzwi prowadzące z ulicy na klatkę schodową i westchnęła. – Mówię poważnie, naprawdę zapomniałam. Przykra sprawa, ale każdemu może się zdarzyć. Jest już wpół do dziesiątej. Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie wcześniej, jeśli to takie ważne?

Na klatce schodowej było ciemno. Klara wyciągnęła rękę, żeby znaleźć kontakt i zapalić światło, ale rozległo się tylko lekkie kliknięcie. Najwidoczniej żarówka się przepaliła. Poryw wiatru zatrzasnął drzwi prowadzące na klatkę. Klara poczuła się nagle nieswojo.

– Bo byłem na spotkaniu – odparł Jörgen.

Pewnie siedziałeś przed komputerem i grałeś w *World of Warcraft*, pomyślała Klara, ale nie powiedziała tego głośno. Ruszyła schodami na czwarte piętro.

– Zrobimy tak – zaproponował Jörgen. – Ponieważ nie przyszedłeś na dwa spotkania, zaprosisz mnie w następnym tygodniu na kolację.

Nagle Klara usłyszała jakiś dobiegający z górnych pięter odgłos, jakby ktoś ostrożnie otwierał drzwi. Potem rozległ się dźwięk, jakby ktoś z powrotem je zatrzasnął, i skrzypienie schodów pod stopami przypominające echo jej własnych kroków. Klara zatrzymała się na półpiętrze między drugą a trzecią kondygnacją. Kroki dobiegały z wyższego piętra. Znowu kroki. A przecież było tam tylko jej mieszkanie. Myślała powoli, bo nie była przygotowana na takie sytuacje. Trzask zamykanych drzwi. To mogły być tylko drzwi do jej mieszkania.

Odwróciła się i rzuciła do ucieczki, potykając się w ciemnościach na półpiętrze. W ustach poczuła intensywny smak żelaza. W skroniach jej huczało. Wykonała pół obrotu i biorąc po dwa stopnie na raz, nasłuchiwała dźwięków dobiegających z tyłu. Trwało to może dwie sekundy, ale jej się zdawało, że upłynęła cała wieczność. Potknęła się na potrzaskanej podłodze wyłożonej mozaiką i stanęła krzywo na jednej nodze. Nie zważając na to, dowlokła się jakoś do drzwi wyjściowych i zaczęła manipulować przy zamku. Na klatce schodowej panowała już kompletna cisza, ale to przerażało ją jeszcze bardziej. W końcu otworzyła zamek, pchnęła drzwi i znalazła się na mokrej od deszczu ulicy.

Oznaczało to powrót do normalnego życia. Rozejrzała się wokół. Latarnie przed parkiem, młodzi ludzie idący do baru albo na kolację, światło bijące od niewielkiego hiszpańskiego baru w bramie obok, gdzie serwują tapas. Podbiegła do witryny i zajrzała do środka. Poczowała się bezpieczniej. Wypełnione do połowy kieliszki z winem, niewielkie półmiski z wędzoną szynką, tortillą i oliwkami. Rozluźnione krawaty, błyszczące kolczyki i klipsy. Klara stanęła przed oknem baru, żeby utulić się w żółtym, ciepłym blasku bijącym ze środka. Powoli odwróciła się w stronę drzwi wejściowych swojego domu.

– Klaro? Halo? Jesteś tam? Co się z tobą dzieje?

Głos Jörgena w telefonie docierał do niej jakby z dużej odległości. Przycisnęła aparat mocniej do ucha.

– Przepraszam – odparła. – To...

Przerwała, bo w tym momencie ktoś od środka otworzył wychodzące na ulicę drzwi jej

domu.

– Oddzwonię później – szepnęła do telefonu i rozłączyła się.

Odwróciła się w stronę baru i zaczęła udawać, że studiuje menu. Klapy płaszcza podciągnęła tak wysoko, że zakrywały jej prawie całą twarz. Zerknęła w stronę drzwi.

Z domu wyszła młoda kobieta, chyba trochę starsza od niej. Miała jasne włosy związane w koński ogon i prawdziwy strój do joggingu. Jadące ulicą samochody oświetlały jej sylwetkę, światła reflektorów odbijały się od ubrania. Prosta, pewna siebie postawa. Plecak umocowany paskami do pleców. Kobieta się pochyliła, jakby chciała rozciągnąć mięśnie tylnej części ud. Potem się wyprostowała i przebiegła spokojnie obok Klary, jakby w ogóle jej nie zauważyła. Ciągnął się za nią intensywny zapach cynamonu i amerykańskiej gumy do żucia.

Klara odczekała, aż kobieta zniknie za rogiem, i powoli wyrównała oddech. Potem znowu wyjęła telefon. Na sekundę się zawahała, ale w końcu wybrała numer Cyrila.

– Teraz nie mogę – usłyszała.

– Przepraszam – odparła. – Ale coś się stało. Chcę tylko coś sprawdzić.

Wyczuła, że Cyril jest zniecierpliwiony jej telefonem.

– Co się stało? – spytał.

– Czy mogłabym dziś u ciebie zanoć?

– Co?

Oczami wyobraźni Klara ujrzała, jak bruzda na jego czole robi się głębsza. Wiedziała, że sprawia mu kłopot.

– A co się właściwie stało?

Klara wzięła głęboki oddech. Poczula się jak małe dziecko, zwykły głuptasek. Zdenerwował ją. Czy to ważne, co się stało? Mógł przecież po prostu powiedzieć: „Ależ oczywiście, przyjedź”.

– Ktoś się chyba włamał do mojego mieszkania.

Usłyszała, jak Cyril mówi coś po francusku. W telefonie słychać było szczęk szkła.

– Włamanie? Dzwoniłaś na policję?

– Nieważne. Zapomnij o tym. Sama to załatwię.

W telefonie rozległo się westchnienie.

– Nie ma sprawy, oczywiście, że możesz u mnie przenocować. Zamów taksówkę i pojedź tam. My czekamy jeszcze na deser. Za półtorej godziny będę w domu.

Klara przymknęła oczy.

– Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

19 grudnia 2013

Bruksela

George przełknął ślinę i pochylił się, żeby otworzyć żółty skoroszyt. Przeczuwał, co w nim znajdzie. Wprawdzie uważał, że to niemożliwe, ale był tego prawie pewien.

W chwili, gdy na pierwszej kartce ujrzął logo kancelarii adwokackiej Gottlieb, zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Powoli przyciągnął do siebie skoroszyt. Poczł się tak, jakby pokój zawirował mu przed oczami albo podłoga zatrzęsała mu się pod nogami.

W ręku trzymał kopię tajnej umowy, którą zawarł z Mikaelem Perssonem, jednym ze współników kancelarii adwokackiej Gottlieb. Umowę sporządzono w dwóch egzemplarzach. Jeden leżał w skrytce bankowej George'a w Sztokholmie, drugi egzemplarz Persson zamknął w sejfie w swoim biurze na placu Norrmalmstorg. George zmrużył oczy i szybko przebiegł wzrokiem treść kartki. Nie miał już żadnych wątpliwości, ale na wszelki wypadek postanowił przyjrzeć się dokumentowi, żeby się upewnić, czy to ta sama umowa.

Rzeczywiście, to była ta umowa.

Zawierała wszystko, co zapisał w niej Persson, każdy pojedynczy paragraf. Nie była zbyt długa ani szczegółowa. Oboje z Perssonem zobowiązali się po prostu, że nie będą się nigdy wypowiadać na jakikolwiek temat, który będzie miał cokolwiek wspólnego z ich współpracą w sprawie funduszu inwestycyjnego Oaktree Mutual. Już samo napomknięcie o istnieniu tajnego dokumentu miało zostać uznane za złamanie warunków umowy. Oznaczało to, że żaden z nich nie może się na nią powoływać. Niestety, w tamtym okresie George nie mógł tego nie podpisać. Musiał się zgodzić na wszystkie propozycje Perssona.

Sama umowa żadnego z nich niczym szczególnym nie obciążała. Ale już sam fakt, że Reiper uzyskał dostęp do oryginału i zrobił z niego kopię, przyprawił George'a o ból głowy i skurcze żołądka.

Nie musiał też sprawdzać pozostałych kartek w skoroszycie. Wiedział, co tam znajdzie. Mimo to nie mógł się powstrzymać.

Tak jak podejrzewał, pozostałe trzydzieści pięć stron zawierało korespondencję e-mailową i wyciągi z konta bankowego. Cały materiał stanowił jednoznaczny dowód na to, że George dostał pieniądze za to, że przekazał firmie Oaktree Mutual pewne informacje dotyczące fuzji przedsiębiorstw, nad którą pracowali razem z Perssonem.

Oaktree było funduszem inwestycyjnym mającym tę fuzję sfinansować. Jednocześnie za pośrednictwem podstawionych ludzi handlowało akcjami obu firm. Posiadając od George'a tak cenne informacje, Oaktree wiedziało, w które przedsięwzięcia może lokować pieniądze. Gra toczyła się o wysoką stawkę, ale za pomocą znaczonych kart. George nawet nie próbował sobie wyobrazić, ile zarobili dzięki przekazanym przez niego informacjom. Kwoty, które od nich dostał za poniesiony trud i ryzyko, stanowiły ułamek tego, co sami zyskali. Dla świeżo upieczzonego prawnika o kosztownych upodobaniach była to wszak niebagatelna suma.

Zanim jednak George zdążył nacieszyć się pieniędzmi, Persson zaczął coś podejrzewać.

Stary lis szwedzkiej finansjery szybko się domyślił, że Oaktree Mutual gra na dwie strony. Nie stanowiło to dla niego problemu pod warunkiem, że informacje, które firma zdobywała, nie wyciekały z jego kancelarii. George nie wiedział, jak Persson doszedł do tego, że on też jest zamieszany w całą aferę. Zresztą później się okazało, że w sprawę zaangażowanych było aż dziesięciu innych prawników i trzech wspólników Gottlieba. Persson pewnie skopiował całą korespondencję e-mailową dotyczącą afery. Być może się domyślił, że jednym z zamieszanych jest George.

Pewnego dnia wezwał go do biura. Kiedy George przed nim stanął, Persson miał prawdziwie grobową minę. Na jego biurku leżał prawie taki sam skoroszyt jak ten, który George trzymał teraz w rękach.

Persson zakomunikował mu suchym tonem, że tego rodzaju przestępstwo zagrożone jest karą od sześciu miesięcy do dwóch lat więzienia i dodatkowo wysoką grzywną. George zrozumiał, że już wkrótce jego kariera w branży prawniczej dobiegnie żalosnego końca. Nawet nie chciał myśleć, jak na wieść o tym wszystkim zareaguje jego ojciec. Był skończony, a przecież miał dopiero dwadzieścia siedem lat.

Właściwie powinien być Perssonowi wdzięczny, że kazał mu złożyć wniosek o rozwiązanie umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym i zażądał od niego, żeby nigdy nikomu o tej sprawie nie mówił. Persson zdradził mu, że początkowo zamierzał iść na policję. Chciał zobaczyć, jak sąd rejonowy w Sztokholmie wymierza George'owi karę. Doszedł jednak do wniosku, że sprawa miałaby negatywne skutki dla jego kancelarii, gdyby się okazało, że jej pracownik jest zamieszany w taki szwindel. Takiej kancelarii jak Gottlieb nie stać na wikłanie się w podobne kłopoty. Żona cezara powinna być poza wszelkim podejrzeniem, stwierdził Persson.

George podpisał więc dokument, odebrał wynagrodzenie i był wdzięczny losowi, że wszystko tak się skończyło. Po pewnym czasie prawie udało mu się wyprzeć ze świadomości wstyd i strach, jakiego doznał tamtego dnia. Aż do teraz.

– Muszę pana przeprosić, ale jak już powiedziałem, naprawdę potrzebujemy pańskiej pomocy, a ja nie mogę sobie pozwolić, by wystawiać na próbę pańską lojalność.

George otrząsnął się z zamyślenia. Nawet nie zauważył, że Reiper zakradł się od tyłu i teraz stoi za nim przy kanapie.

Odwrócił się i spojrzał na mężczyznę. Reiper miał taką minę, jakby się cieszył, że najgorsze ma już za sobą.

– Jak to możliwe? – spytał ochryplym głosem George. Nagle poczuł się tak, jakby zabrakło mu tchu. Poluzował jasnożółty krawat firmy Ralph Lauren. – Jakim sposobem weszliście w posiadanie tych informacji?

Reiper tylko pomachał rękami w obronnym geście.

– To nieistotne. Mamy swoje metody, które być może wkrótce pan pozna. Wróćmy jednak do sedna sprawy, czyli do roli, jaką odegra pan w przyszłości.

Mówiąc to, zerknął na zegarek.

– Proszę wybaczyć, ale czeka mnie ciężka noc. Wróćmy więc do głównego tematu.

George nie miał nawet siły, żeby skinąć głową. Rozboleło go gardło. Przetarł dłonią zroszone potem czoło. Miał wrażenie, że jego system odpornościowy za chwilę padnie.

– Proszę – powiedział Reiper i podał mu pendrive’a. – Na tym nośniku znajduje się bardzo pożyteczny program komputerowy. Dzięki niemu dokładnie wiemy, co się dzieje na komputerze, na którym został zainstalowany. Chciałbym, żeby udał się pan do Parlamentu Europejskiego i zainstalował ten program w komputerze i w laptopie Klary Walldéen.

– Ale jak?

Były to jedyne słowa, jakie George zdołał z siebie wydusić.

– Jestem przekonany, że coś pan wymyśli. Pewnie pan zauważył, że posiadamy naprawdę imponujące środki, ale najlepsi są zawsze konkretni agenci. Od tej pory będzie pan naszym agentem w Parlamencie Europejskim. Jako lobbysta może się pan swobodnie poruszać po budynku i czuć się prawie jak jego właściciel.

Czy właśnie o tym uprzedzał go podczas kolacji Appleby? Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że obecni szefowie Merchant & Taylor skradali się gdzieś w młodości albo chodzili na włam.

– Niech pan weźmie i to – powiedział Reiper, kładąc na stole dwa okrągłe plastikowe cylindry. Przypominały nakrętki od butelek do napojów gazowanych. – To mikrofony. Trzeba je zainstalować pod stołem w pokoju Klary. Musi pan to zrobić najpóźniej jutro z samego rana. Proszę się nie przejmować sprawami technicznymi. To *piece of cake*.

George przymknął oczy i oparł się o kanapę.

– Przykro mi, George, ale o spaniu może pan na razie zapomnieć. Mam kilka gadżetów, które chciałbym panu jeszcze pokazać.

Później George nie mógł sobie przypomnieć, jakim sposobem trafił do siebie. Pamiętał tylko, że gdzieś koło pierwszej w nocy ocknął się przed swoim domem. Siedział w samochodzie z włączonym silnikiem. Był kompletnie wykończony. W kieszeni znalazł pendrive’a. Gdyby nie on, uznałby, że wszystko, co mu się przytrafiło tego wieczoru, było tylko złym snem.

20 grudnia 2013

Bruksela

Mahmoud leżał na wpół rozbudzony na twardym hotelowym łóżku. Był tak wyczerpany, że nie mógł zasnąć. Jego mózg pracował na zwolnionych obrotach, a on sam nadal nie mógł otrząsnąć się po tym, co się stało. Późnym wieczorem wynajął pokój w tanim hotelu położonym o rzut kamieniem od Boulevard Anspach w centrum Brukseli. Od tego momentu nie zmrużył oka. Spojrzał na zegarek. Zielone, fosforyzujące wskazówki pokazywały 4:35.

Znowu zmienił pozycję i próbował zasnąć, gdy nagle coś usłyszał. Dźwięk przypominał tarcie gumy o asfalt, jakby powoli toczył się po nim samochód z wyłączonym silnikiem. Tarcie ustało, gdy pojazd zatrzymał się pod oknem jego pokoju. Ktoś najpierw otworzył, a potem ostrożnie, prawie bezszelestnie zamknął drzwi auta.

Zbyt ostrożnie. Mahmoud siadł w łóżku i skupił się na dźwiękach dochodzących z ulicy. W oknie była tylko jedna szyba, więc do pokoju docierały prawie wszystkie odgłosy z zewnątrz, chociaż mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze. To, co słyszał Mahmoud, przypominało kroki kogoś, kto ma na nogach ciężkie buty. Słyszał też szepty, jakby ktoś wydawał polecenia. Dotarły do niego słowa „goretex” i „broń automatyczna”. Od razu odżyły wspomnienia z dawnych czasów. Przypomniała mu się akcja, którą kiedyś przygotowywał.

Narzucił na siebie ubranie i ostrożnie odsunął zasłonę, żeby wyrzeć na oświetloną ulicę na tyłach hotelu. Spodziewał się ujrzeć policyjne radiowozy i barierki blokujące ulicę, ale zamiast tego zobaczył czarny wóz meblowy. Wskoczyło z niego trzech ubranych na czarno mężczyzn, którzy ruszyli biegiem w stronę wejścia do hotelu i po chwili zniknęli za rogiem. Czwarty stał przy przednim zderzaku ciężarówki i majstrował przy ulicznej latarni. Był odwrócony plecami i dlatego Mahmoud nie mógł się zorientować, co mężczyzna robi. Nagle latarnia zgasła i ulica pograżyła się w ciemnościach. Sekundę później Mahmoud ujrzał na wysokości głowy mężczyzny zielone światło przypominające poświatę monitorów starego typu.

Mahmoud się domyślił, że to noktowizor, i natychmiast zaciągnął zasłonę. Mężczyzna musiał wyłączyć latarnię, żeby móc obserwować okno pokoju. To na pewno nie była policja.

Przyłożył ucho do drzwi. Wydawało mu się, że słyszy ciche, szybkie kroki na pokrytych poplamioną wykładziną schodach w dalszej części budynku. Buty na gumowej podeszwie. Ale i zawodowcy nie mogli nic poradzić na to, że gdy szli na górę, schody skrzypiały pod nimi jak żywe stworzenia. Mahmoud zrozumiał, że nie ma zbyt dużo czasu. Zaciśnął zęby z taką siłą, że aż rozboleły go szczęki. Napięcie sprawiło, że poczuł się tak, jakby żyły wypełniała mu rękę zamiast krwi. Jeśli czegoś szybko nie zrobi, za pięć minut będzie martwy. Nie może tu zostać i tak po prostu czekać na swoich zabójców.

Szybko wrzucił swoje rzeczy do plecaka i zarzucił go na ramiona, po czym ostrożnie otworzył drzwi na korytarz. Nikogo tam nie było, ale usłyszał charakterystyczny dźwięk

kroków. Tak poruszają się osoby, które starają się iść po cichu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Były coraz bliżej, piętro niżej.

Po przekątnej zauważył drzwi prowadzące do wyjścia awaryjnego. Jego zabójcy musieli znajdować się już na drugim końcu korytarza. Postanowił zaryzykować. Wykonał trzy szybkie kroki, pchnął drzwi i poczuł na twarzy wilgotny podmuch powietrza pachnącego betonem.

Przed sobą miał spiralne schody. Na klatce schodowej panowała cisza i ciemność. Szybko doszedł do wniosku, że jego prześladowcy na pewno wystawili kogoś na czatach przy recepcji albo na dole, przy wyjściu ewakuacyjnym. Dlatego postanowił pójść na górę. Ruszył po omacku po schodach i w tym samym momencie usłyszał na korytarzu kroki kilku osób. Dzieliło go od nich nie więcej niż dziesięć metrów.

Najszybciej jak tylko mógł, pokonał dwa piętra, biorąc po dwa stopnie na raz. W pewnej chwili zaklął cicho, bo potknął się na półpiętrze i uderzył się w kolano. Na klatce nadal panowały egipskie ciemności, ale wolał nie zapalać światła. Byłoby to zbyt ryzykowne.

Przez cienkie ściany usłyszał, jak jeden z mężczyzn wyłamuje kopniakiem drzwi jego pokoju. Posypały się drzazgi i tynk. Człowiek kierujący akcją wydawał polecenia syczącym szeptem. Mahmoud poczuł na plecach zimny pot. Ponownie ruszył w górę. Zanim dobiegł na ostatnie, szóste piętro, usłyszał, jak ktoś otwiera na dole drzwi prowadzące na klatkę schodową. Ciemność rozświetlił snop światła, który powoli przesuwał się w dół. Ktoś stał przy wyjściu ewakuacyjnym.

Mahmoud dotarł w końcu na ostatnie piętro. Gdzieś pod nim znajdowali się ludzie, którzy przyszli, żeby go zabić. Została mu tylko jedna droga ucieczki: drzwi prowadzące z klatki schodowej na szóste piętro. Jeśli je otworzy, jego prześladowcy zauważą smugę światła i domyślą się, gdzie jest. Kucnął i wstrzymał oddech, starał się nie ruszać. Nie wolno mu zrobić niczego, co zdradzi im, że tu jest.

W końcu się wyprostował i zaczął po omacku szukać na ścianie klamki od drzwi. Po chwili wyczuł czworokątną gładką skrzynkę. Powoli odwrócił się w tę stronę i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć w ciemnościach. Włącznik sygnału alarmowego. W tym samym momencie usłyszał głos z dawnych czasów: „Jeśli los ci nie sprzyja, niech twoim sprzymierzeńcem stanie się chaos”.

Chaos. Mahmoud wsunął dłoń do kieszeni i wyjął klucz od pokoju. Chaos. Wyprostował się ostrożnie i nabrał powietrza. Uniósł rękę, w której trzymał klucz, i z całej siły uderzył nim w oszkloną skrzynkę.

Na klatce schodowej rozległ się ogłuszający dźwięk syreny alarmowej. Musiał to być jakiś przestarzały system. Poziom hałasu prawie go przeraził. Zatkanął uszy rękami i zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem.

Minęło kilka sekund. Po chwili jego prześladowcy ruszyli w górę. Włączyło się światło i całą klatkę schodową skąpał blask rtęciówek. Mahmoud słyszał kroki biegnących schodami mężczyzn. Gonią mnie, pomyślał. To już koniec. Jestem zgubiony. Syreny wyły nie tylko w budynku, ale wypełniały też całe jego wnętrze. Jeszcze chwila i oszaleje.

Nacisnął klamkę, pchnął drzwi i wypadł na korytarz.

– *He is up there! Let's go!* – usłyszał głos z dołu.

Mahmoud potknął się i rozejrzał wokół zrozpaczony. Jakiś mężczyzna w średnim wieku z potarganymi włosami otworzył drzwi i coś do niego powiedział, ale jego słowa utonęły w ogólnym zamieszaniu. Na samym końcu korytarza Mahmoud ujrzał schody. Nie miał pojęcia, dokąd prowadziły, ale pobiegł w ich stronę. Po chwili okazało się, że są tam tylko dwa stopnie i zamknięte na kłódkę drzwi. Obok wisiała duża gaśnica. Mahmoud zdjął ją ze ściany, zamachnął się i z całej siły uderzył w skobel, na którym wisiała kłódka. Nie trafił, gaśnica wypadła mu z rąk i upadła na podłogę. Podniósł ją drżącymi rękami i uniósł nad głowę.

Tym razem trafił prosto w skobel, który obluzował się na tyle, że kłódka spadła na wykładzinę. Mahmoud uderzył gaśnicą w drzwi i w tej samej chwili ujrzał kątem oka, że otwierają się drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz. Zrozumiał, że jego prześladowcy są tuż za nim. Wpadł w panikę, napał na drzwi i pchnął je z całej siły. Otworzyły się i w twarz uderzył go gwałtowny podmuch zimnego powietrza. Znalazł się na dachu, z dala od ogłuszającego dźwięku syreny alarmowej.

Rozciągał się przed nim zniszczony taras wielkości połowy kortu tenisowego. Mahmoud znajdował się w samym rogu budynku, siedem pięter nad ziemią. Od strony ulicy taras był ogrodzony zniszczoną, pordezewiałą metalową siatką. Z dołu dobiegał dźwięk syren strażackich. Straż była w drodze. Zaraz zacznie się chaos, dokładnie taki, jakiego sobie życzył.

Po lewej ujrzał dwa pręty zbrojeniowe wpuszczone w ścianę budynku. Przypominały prowizoryczną drabinę. Mahmoud uznał, że nie ma innego wyjścia i musi się po nich wspiąć. Jakimś sposobem udało mu się wdrapać na górę i położyć na lekko spadzistym dachu hotelu. Miał wrażenie, że ceglane dachówki ruszają się pod nim. Nie miał jednak czasu, żeby się zastanawiać, jak jest wysoko.

Dziękował Bogu, że dach nie jest zbyt stromy. Z dłońmi po jednej stronie kalenicy i ciałem zawieszonym po drugiej zaczął przesuwając się po dachu w kierunku odwrotnym do tego, z którego mogli nadejść prześladowcy. Nawet się nie zastanawiał, dokąd w ten sposób dotrze. Dwa metry dalej ujrzał w blasku księżyca czarny kwadratowy otwór zabezpieczony pokrywą. Doszedł do wniosku, że to albo szyb wentylacyjny, albo wejście na strych. Zaczął energicznie przesuwając się w jego stronę. W tym samym momencie usłyszał głosy prześladowców. Właśnie dotarli na taras.

– *So what's the status?* Przyjechała straż. Co to za cyrk? – spytał po angielsku jeden z mężczyzn.

Mahmoud usłyszał, że inny pobiegł na drugą stronę tarasu i zaczął potrząsać metalową siatką.

– Tu go nie ma. Może skoczył? – zastanawiał się głośno mężczyzna.

– Na pewno poszedł na górę.

Mahmoud usłyszał, jak jeden z napastników wspina się na dach po drabince. W tym samym momencie on sam znalazł się przy otworze.

Jeśli uda mu się unieść pokrywę, zejdzie i ukryje się na strychu. Opuścił się ostrożnie, kołysząc się lekko na wietrze. Na dworze było coraz chłodniej. W końcu wyczuł nogami krawędź otworu i stanął na niej. Niezdarnie się odwrócił i usiadł okrakiem. Dłonie miał zeszywniałe, pokrywa była śliska. Serce waliło mu w piersiach jak młot.

Gdy wreszcie za trzecim razem udało mu się chwycić pokrywę we właściwy sposób, zaczął zsuwać ją z krawędzi otworu. Właśnie wtedy usłyszał, że któryś z jego prześladowców przedostał się na drugą stronę kalenicy.

– *Locked on target!* – usłyszał za sobą komendę wypowiedzianą spokojnym głosem.

20 grudnia 2013

Bruksela

Klara obudziła się na dźwięk esemesa. Przetarła oczy i sięgnęła po telefon, żeby przeczytać wiadomość. Eva-Karin. „8:30 w biurze. Okej?”

Jak zwykle krótko i zwięźle. Klawiatura telefonu Evy-Karin jest zbyt wąska dla jej palców, ale ona nigdy się do tego nie przyzna.

Klara przeciągnęła dłońmi po twarzy, próbując odpędzić resztki snu. Już siódma. Jak przez mgłę przypominała sobie, że Cyril próbował obudzić ją wcześniej, a ona odwróciła się na drugi bok i ponownie zasnęła. Pojechał rannym pociągiem do Paryża. Ma tam jakieś spotkanie z wyborcami czy coś w tym rodzaju.

Eva-Karin wyda jej pewnie dyspozycje na resztę tygodnia, a przed południem wyleci do Szwecji. Wcześniej pojedzie jeszcze do Parlamentu, żeby podpisać listę obecności. Eurodeputowani dostają diety za każdy dzień przepracowany w Brukseli. Wielu z nich wylatuje do domu w piątek przed południem zamiast wieczorem. Wcześniej jednak podpisują listę, żeby nie stracić pieniędzy.

Jakby mieli ich za mało, pomyślała Klara. Chciwe gnojki.

„Okej” – odpisała i siadła w łóżku.

Zapaliła nocną lampkę i rozejrzała się po pokoju. Sypialnia Cyrila była jasna i czysta. Na podłodze nie poniewierały się żadne ubrania. Przezroczyste okrągłe plastikowe krzesło marki Kartell w rogu pokoju. Garderoba wbudowana w ścianę. Okna wychodzące na ulicę i ciężkie białe zasłony, przez które całe pomieszczenie przypominało pokój hotelowy. Bił od niego neutralny zapach europejskiej klasy średniej, choć bardziej właściwe byłoby w tym przypadku określenie klasa „średnia wyższa”. W sumie było to urządzone z nienagannym smakiem mieszkanie służące głównie do nocowania.

Klara nie pamiętała, ile czasu spędziła poprzedniego wieczoru przed barem. Trwało to jednak dość długo, bo chciała się upewnić, czy kobieta z końskim ogonem nie wróci. W końcu poczuła się bezpieczniej. Zebrała się na odwagę i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę domu. Nerwy miała napięte jak postronki. Skrzypiącymi schodami weszła na górę i zatrzymała się przed drzwiami mieszkania. Nabrała powietrza, przekręciła klucz w zamku i uchyliła drzwi.

W mieszkaniu było ciemno i panowała w nim kompletna cisza. Klara weszła do salonu i zapaliła światło. Sama nie wiedziała, czego powinna się spodziewać. Rzeczy wywróconych do góry nogami? Rozprutych kanap i rozbitego telewizora? Na szczęście wszystko było na swoim miejscu. Poduszki na kanapie leżały dokładnie tak jak zawsze. Ostatni numer „New Yorkera” rozłożony na recenzji książki Johna Le Carre’a, tak jak zostawiła go rano, wychodząc do pracy. Weszła na piętro. Pomięte prześcieradło na łóżku, różowe majtki firmy Agent Provocateur zwinięte na podłodze obok, w tym samym miejscu, w którym osiem godzin przedtem zdarł je z niej Cyril. Wszystko było na swoim miejscu, tam, gdzie powinno być.

A może sobie to wszystko wmówiła? Może tamte dźwięki wcale nie dochodziły z jej mieszkania? Może kobieta z końskim ogonem to po prostu sąsiadka, której nie zna?

Klara siedziała w łazience Cyrila na nieskazitelnie czystym sedesie i czubkami palców masowała sobie skronie. Kiedy wstała z łóżka, lekko rozboleła ją głowa. Na razie nie jest źle, ale wiedziała, że jeśli natychmiast nie weźmie jakiejś tabletki, wkrótce ból stanie się nie do zniesienia. Umyła i wytarła ręce i otworzyła oszkloną szafkę w łazience.

Na najwyższej półce leżało opakowanie panadolu. Wyjęła jeden płatek i wycisnęła dwie tabletki, które popiła wodą z kranu. Już chciała zamknąć szafkę, gdy zauważyła coś, co na chwilę przykuło jej uwagę: dwie szczoteczki do zębów.

Niebieską i różową.

Niechętnie wzięła do ręki różową i uniosła ją pod światło. Używana. W chwili, gdy odkładała ją na miejsce, zauważyła trzecią szczoteczkę. Była mniejsza, też różowa, ale różniła się trochę od tamtych dwóch.

Z rosnącym niepokojem Klara weszła do salonu połączonego z aneksem kuchennym. Jego wyposażenie stanowiły białe meble firmy Miele. Okna sięgały od sufitu do podłogi i wychodziły na pozbawione liści drzewa na Square Ambiorix. Droga biała kanapa, telewizor przymocowany do ściany. Dębowy stół kuchenny i sześć krzesełek od Kartell, takich samych jak te, które stoją w sypialni. Plakat w ramce z wystawy Duchampa w Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Wszystko nieskazitelnie czyste i całkowicie bezosobowe. Mimo to czegoś tu brakowało. Przypomniały jej się niedawne słowa Cyrila. Wspominał, że każdy obcokrajowiec, który przeprowadza się do Brukseli, przywozi zdjęcia rodziny.

Wróciła do sypialni i podeszła do łóżka. Po obu stronach stały nocne szafki, a na nich dwie nowoczesne lampki nocne z abażurami w kształcie cylindra, zrobionymi z pomalowanego na biało metalu. Klara przeszła na stronę, na której zwykle spał Cyril. Na poduszce nadal widać było odcisk jego głowy. Pochyliła się i poczuła jego zapach. Zamknęła oczy, powoli wyciągnęła szufladę z szafki i otworzyła oczy.

W środku leżała ramka na zdjęcie, odwrócona przodem do dołu. Klara poczuła, że nagle robi się ciężka, jakby nogi nie były w stanie utrzymać dłużej ciężaru jej ciała. Usiadła na łóżku i odwróciła fotografię.

20 grudnia 2013

Bruksela

Mahmoud obrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Nad wąską częścią dachu zobaczył korpus ubranego na czarno mężczyzny. Na głowie miał kominiarkę z otworami na oczy i usta. Był uzbrojony w niewielką broń automatyczną. Wyglądał na zawodowca stworzonego wyłącznie do tego, żeby siedzieć na dachu i mierzyć do innych ludzi. Mahmoud zrozumiał, że to już koniec. W pewnym sensie poczuł ulgę. Ostrożnie się wyprostował i puścił krawędź otworu. Stał na piętach na jego zewnętrznej części, odchylony, z trudem utrzymując równowagę. Pod sobą miał opadający dach. Miasto wokół rozświetlało tysiące małych światełek. Zamknął oczy.

– *Hold your fire* – rozległ się nagle głęboki męski głos. – Ryzyko jest zbyt duże. *We need him alive.*

Głos brzmiał tak, jakby mężczyzna stał po drugiej stronie grubej ściany. Mahmoud nie miał odwagi otworzyć oczu.

– *Control says abort!* Powtarzam, rozkaz brzmi: przerwać akcję i wracać!

I znowu ten sam głęboki, mroczny głos z tarasu:

– Musimy zniknąć, zanim zjawi się straż. Z pokoju pięćset cztery prowadzi w dół drabinka przeciwpożarowa. Musimy się ewakuować. To ważniejsze niż likwidacja obiektu. *Let's go!*

Mahmoud zerknął ostrożnie w stronę mężczyzny, który w niego celował. Jego niedoszły zabójca znajdował się zaledwie dziesięć metrów od niego. Mężczyzna powoli opuścił broń, nie spuszczać wzroku z Mahmouda.

– *You're a dead man walking* – powiedział.

Po tych słowach zniknął za kalenicą.

Dochodziła ósma, gdy Mahmoud usłyszał głosy jakichś ludzi na tarasie, z którego przyszedł. Straż i policja nadal przeszukiwały hotel. Jakimś sposobem udało mu się wejść przez otwór w dachu na strych. Siedział tam przez kilka godzin. Prawie się nie ruszał. Cierpliwie czekał, aż całe zamieszanie się skończy.

Miejsce napięcia zajmowała stopniowo chęć działania. Musi się stąd wydostać i przejąć kontrolę nad sytuacją.

Przez kwadrans czołgał się po nieoheblowanej podłodze strychu, żeby znaleźć klapę prowadzącą na dół. Ku jego wielkiej uldze okazało się, że pokrywa nie była zamknięta na kłódkę. Przesunął ją jednym zdecydowanym ruchem. Klapa zazgrzytała i ustąpiła. Mahmoud zeskoczył na korytarz, którym kilka godzin wcześniej uciekał przejęty strachem. Przypomniawszy sobie, że jeden z mężczyzn wspomniawszy o drabinie przeciwpożarowej w pokoju numer 504. Pokój znajdował się na samym końcu korytarza. Wilgotną dłonią ujął kłódkę, a gdy popchnął drzwi, same się uchylły. Wyglądało na to, że Amerykanie

zniszczyli zamek. Pokój był pusty i zasadniczo nie różnił się od tego, w którym przebywał nocą. Różnica polegała na tym, że okno wychodziło na inny dom, stojący od strony krótkiej ściany hotelu. Oba budynki dzieliły najwyżej dwa metry. Mahmoud podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Rzeczywiście, do ściany na lewo od okna przytwierdzona była zardzewiała drabina.

Otworzył ostrożnie okno wychodzące na uliczkę i spojrzał w dół. Ku swemu przerażeniu ujrzał tam ubranego na czarno mężczyznę, który siedział oparty plecami o fasadę. Na głowie miał czarną czapkę z włóczki, obok niego stała czarna nylonowa torba. Mahmoud od razu się domyślił, że to jeden z Amerykanów.

Szybko zamknął okno. Mężczyzna go nie zauważył. Był zajęty czytaniem wiadomości w telefonie komórkowym i nie patrzył w górę.

Wyszedł z pokoju i skierował się w stronę schodów prowadzących do wyjścia awaryjnego. Wstrzymał oddech i otworzył drzwi. Korytarz był pusty i panowała na nim cisza. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma.

Ostrożnie zszedł na parter, gdzie znalazł dwoje drzwi. Jedne prowadziły do recepcji, ale wolał nie ryzykować. Któryś z jego prześladowców na pewno ma ją na oku.

Postanowił skorzystać z drugich drzwi, które na szczęście nie były zamknięte na klucz. Bingo! Za nimi ujrzał schody prowadzące do wilgotnej podziemnej kondygnacji. W środku było zupełnie ciemno. Na ścianie znalazł kontakt. Kiedy go przekreślił, całe schody i wnętrze zalał snop światła rtęciówek. Na końcu pomieszczenia zaczynał się korytarz z dwoma rzędami drzwi po obu stronach. Prawdopodobnie były to jakieś magazyny. Mahmoud nacisnął klamkę w pierwszych, a potem w drugich drzwiach. Okazało się, że są zamknięte.

Spojrzał w górę i na samym końcu korytarza ujrzał pod sufitem brudne okno. Doszedł do wniosku, że znajduje się ono na poziomie chodnika. Podbiegł i chwycił za klamkę. Okno nie było zamknięte na zamek, otwierało się do środka i w górę. Mahmoud stanął na palcach, żeby wyrzucić na zewnątrz.

Uliczka. Kilka kubłów na śmieci. Nikogo ubranego na czarno. Przynajmniej na to wyglądało. Może to jego szansa? Jedną stopę postawił na zawiasie drzwi znajdujących się bezpośrednio przy oknie, dłońmi chwycił się framugi i podciągnął na rękach w górę. Szczelina była na tyle szeroka, że mógł w niej zmieścić głowę i ramiona. Najpierw wyrzucił przez okno plecak, a potem sam się przez nie przecisnął. Poszło mu łatwiej, niż się spodziewał. W końcu znalazł się na ulicy.

Leżąc na chodniku, rozejrzał się wokół. Na razie nikt go chyba nie zauważył. Podniósł się i ukrył za kubłami na śmieci.

Ciężko oddychał, ale zaczął zastanawiać się nad sytuacją. Jego ucieczka nie zwróciła najwyraźniej niczyjej uwagi. Oczyszczył ubranie z brudu i kurzu i ruszył spokojnym krokiem. Zatrzymał się, gdy doszedł do szerokiej poprzecznej ulicy. Ostrożnie wyjrzał za róg, żeby popatrzeć na wejście do hotelu, ale nikogo nie zauważył. Amerykanie gdzieś się pochowali. Jeśli jednak jeden z nich obserwował drabinkę przeciwpożarową, pozostali też stoją gdzieś na czatach. Mahmoud wiedział, że od Boulevard Anspach dzieli go tylko jedna przecznica, a po drugiej stronie znajduje się dzielnica gromadnie odwiedzana przez turystów. Jeśli uda mu się tam dotrzeć, zniknie wśród ludzi, którzy robią zakupy

i zwiedzają dzielnicę. Istnieje szansa, że przeżyje. Ma pięć minut, żeby pokonać dystans dzielący go od tego miejsca.

Zapiął plecak, założył go na plecy i postanowił wziąć się w garść. Wszystkie nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. Odetchnął głęboko trzy razy, po czym tak szybko, jak tylko mógł, wybiegł z uliczki i skierował się w prawo, z dala od wejścia do hotelu. Po przebiegnięciu pięćdziesięciu metrów skręcił w lewo i skierował się w stronę Boulevard Anspach.

Nagle usłyszał za sobą krzyki i przekleństwa po angielsku. Chwilę później zrozumiał, że ktoś za nim biegnie, wydając rozkazy. Mahmoud rzucił się do ucieczki. Nigdy w życiu nie pędził tak szybko. Dobiegł do Boulevard, nie oglądając się za siebie. Przebiegając przez ulicę, słyszał, jak samochody gwałtownie hamują. Powietrze wypełniły niecierpliwe dźwięki klaksonów i głosy zniecierpliwionych kierowców. Mahmoud nie odważył się jednak zwolnić ani spojrzeć za siebie, tylko pędził ile sił w nogach. Jak najdalej od hotelu, aby jak najszybciej zniknąć z bulwaru. Po kilku minutach znalazł się na Grand Place, gdzie bije flamandzkie serce Brukseli. Zatrzymał się przy jednym z budynków, opierając plecak o fasadę.

Wszędzie trwały przygotowania do otwarcia bożonarodzeniowego jarmarku. Silny wiatr przyniósł zapach ciepłego wina i świątecznych ciasteczek. Przed ratuszem stała ogromna choinka. Czerwone i srebrne bombki odbijały się jaskrawo na tle zielonych gałęzi. Mahmoud zerknął za siebie. Czuł, jak płynie przez niego fala adrenaliny. Wyglądało na to, że prześladowcy zrezygnowali z pościgu.

Na policzku poczuł kilka drobnych płatków śniegu. Odchylił głowę, zamknął oczy i zaczerpnął powietrza. Żył. Otworzył oczy i przez chwilę wodził wzrokiem po fasadach domów udekorowanych świątecznymi dekoracjami. Jak długo to jeszcze potrwa?

Wiosna 1991

Kurdystan

Tak tu pięknie! Falujące wzgórza są gładkie jak surowy jedwab w blasku popołudniowego słońca. Mgła zalegająca nad szczytami gór, wysokie niebo i błękit przechodzący w biel. W myślach śpiewam piosenkę, ale nie znam jej tytułu. To chyba utwór z repertuaru grupy Dire Straits. Nie znam się na muzyce. Interesuje mnie tyle co fikcja. Jest jednak fragment tej piosenki, który do mnie przemawia: *These mist covered mountains are a home now for me*. Charakterystyczny dźwięk elektrycznej gitary ma w sobie pewien rodzaj niosącego pocieszenie ciepła.

Tutejsze krajobrazy są pozbawione zapachów. Czuję tylko smród ropy z przeciekających silników land cruiserów. Zatrzymujemy się, by coś zjeść i napić się słodkiej czarnej herbaty. Posiłek jest prosty i składa się z chleba, jogurtu, orzechów, czasem pojawia się jagnięcina. To jedzenie chłopów i żołnierzy. Wojskowe racje, chociaż przy drogach widzimy stragany z pomidorami, figami i granatami. Dotychczas życie miejscowych było proste i spokojne. Może przygotowują się na to, co dopiero nadejdzie?

Boli mnie całe ciało, czuję każdą nierówność drogi, każdą koleinę i kamień. Resory są w fatalnym stanie i nie amortyzują wstrząsów. Ile kilometrów przejechaliśmy tym samochodem? Ile kilometrów takich dróg pokonałem podobnymi pojazdami? Ile na grzbietach osłów? Ile koleinami wyżłobionymi przez koła traktorów?

To już inne czasy. Zawijamy sojusze, które trwają coraz krócej. Tutaj, w terenie. W prawdziwym terenie, nie tym metaforycznym. Budujemy zaufanie za pomocą kolejnej filiżanki herbaty i łamiemy ustalenia, zanim jeszcze przestaniemy czuć w ustach jej smak. Nie żyjemy już w przebraniu. Teraz jest inaczej. Zmieniły się parametry. To już nie ten rodzaj gry, która musi zakończyć się remisem. Nie chodzi o to, żeby nie przegrać. Czy ktoś się spodziewał, że można wygrać, zanim nadszedł ten niezwykle dzień, gdy przeskoczyli przez mur? Jednocześnie nic się w zasadzie nie zmieniło. Dla mnie nadal najważniejsze jest to, żeby przeżyć.

– Krew mnie zalewa, gdy pomyślę o tym pieprzonym rzęchu – powiedział jeden z moich towarzyszy. Nie skierował tych słów do konkretnej osoby, ale oprócz mnie i znającego angielski tłumacza nikogo innego tu nie ma.

To dość typowy dla niego sposób rozpoczynania rozmów. Tworzy platformę, dzięki której dokonuje ocen. Dla mnie to nic nowego. Znam ten typ.

– Co mówiłeś? – pytam, chociaż słyszałem, co powiedział. Zerkam w jego stronę. Siedzi obok mnie na tylnym siedzeniu, zapadnięty w popękany fotel. Wieczorem będą go bolały plecy. Jest prawie łyśy. Ma źle zaleczoną szeroką bliznę, która ciągnie się od czoła wzdłuż żółtawego lewego policzka i przypomina drut kolczasty. Twarz ma przez to wykrzywioną, a jego uśmiech staje się asymetryczny i nieprzenikniony.

Wiem o nim tylko tyle, że przez cały czas pił Jim Beama, aż w końcu wczoraj opróżnił butelkę, którą zabrał w drogę. Sięgnął więc po inny napój, który w smaku przypominał

terpentynę. Kupił go na jakimś targu w Mosulu. Mówi, że tęskni za transmisjami telewizyjnymi *college football*.

Od dawna nie piję niczego, co jest mocniejsze od czarnej herbaty. Wszyscy pijemy albo za dużo, albo wcale. Brakuje mi monotonii pływania, odległości pokonywanej w wodzie, zapachu chloru, plusku wody o kafle. Brakuje mi mięśni, które się napinają, i bólu spowodowanego wysiłkiem.

– Powiedziałem, że krew mnie zalewa, jak pomyślę o tym pieprzonym rzęchu. Pakujemy tyle kasy w wojnę, a nie chce nam się kupić porządnych wozów. To typowe gówno z Pentagonu. Mam rację?

Wzruszam ramionami. W ogóle nie interesuje mnie taka pusta gadanina, typowa dla ludzi jego pokroju. Wcześniej o tym nie rozmawialiśmy, ale wyraźnie widać, że kiedyś był wojskowym. Brakuje mu tej błyskotliwej inteligencji typowej dla ludzi z Navy Seal, co oznacza, że służy pewnie w Special Forces. Na wszystko patrzy w kontekście wyznaczonego celu i dąży do niego w bezwzględny sposób. Nie orientuje się w sprawach Bliskiego Wschodu, nie wie, jak ważne jest picie herbaty. Interesuje go tylko to, co znajduje się na odcinku łączącym punkt A z punktem B. Jest dobry, gdy sytuacja jest jasna, gdy trzeba działać według utartych schematów. Nie sprawdza się w sytuacjach, które w tym mrocznym kraju są nietypowe, wywołują frustrację i wymagają cierpliwości.

W dawnym świecie – skończył się prawie rok wcześniej i już prawie go nie pamiętamy – należał do tych, co zjawili się po mnie i działali na podstawie zebranych przeze mnie informacji. W dawnym świecie należeliśmy do dwóch różnych warstw. Teraz pracujemy razem.

– Tłumacz mówi, że zostało nam jeszcze pół godziny – odpowiadam.

Opieram się o fotel i zamykam oczy. Powoli zapadam w sen, kołysany jazdą po nierównych drogach.

Kiedy docieramy do wsi, jest już prawie ciemno. Wszystkie tutejsze wsie wyglądają prawie tak samo. Są szare, pełno w nich kamieni, piasku i rozwieszonego prania, a po ulicach błakają się kozy. O zmierzchu mogłaby to być ta sama wieś, z której dziś wyjechaliśmy, albo ta sama, do której pojedziemy jutro. Obok samochodu biegnie grupka dzieci, krzyczą coś, czego nie rozumiem. Handlujemy obietnicami i bronią i dlatego w każdym zakątku tego kraju jesteśmy witani jak bohaterowie. Oczekiwania wobec nas są wysokie, a my nie próbujemy ich nawet tłumić. Nasza praca polega na wzbudzaniu entuzjazmu.

– Jesteśmy na miejscu? – pytam kierowcę po arabsku.

Ten kiwa głową i zwalnia. Wjeżdżamy na plac, który przy odrobieniu dobrej woli można nazwać targowiskiem. Wszystko pokrywa kurz. Brudni mężczyźni w kaftanach, ogolone głowy obwiązane chustami, różne typy broni. Stoją w małej grupie przed jednym z kamiennych domów. Opędzają się od dzieci.

Mój towarzysz zasnął, więc budzę go mocnym uderzeniem w ramię. Natychmiast otwiera oczy, jakby w ogóle nie spał.

– Jesteśmy na miejscu – mówię.

– Co za cholerna dziura – odpowiada.

Kiedy wyskakujemy z samochodu, podchodzą do nas jakiś mężczyzna, żeby się z nami przywitać. Mój towarzysz kłania się z ironicznym uśmiechem, ale odpowiada tak, jak wymaga tego obyczaj. Ma zdolności do języków, ale brak mu cierpliwości, żeby się ich uczyć, więc zna tylko angielski. Cienie pochłonyłyby go w jednej chwili. Nie interesują go niuanse.

Dom przypomina raczej ziemiankę. Klepisko zamiast podłogi, ogień w palenisku. Siadamy i pijemy tysięczną filiżankę herbaty, a ja znowu okłamuję gospodarzy, opowiadając im o zamiarach naszego kraju. Mojego towarzysza to nie interesuje, chce przejść do dalszej części rozmów. Prosi o coś mocniejszego od herbaty, więc nasi gospodarze wyciągają butelkę, w której jest chyba whisky. Gatunek, którego nigdy nie piłem. Gospodarze są oszołomieni niedawnym zwycięstwem. W ich oczach odbija się blask nieśmiertelności. Właśnie osiągnęli coś, o co walczyli od tysiąca lat: kontrolują granice wymyślonego przez siebie państwa. Dwa dni wcześniej weszli do Mosulu, więc snują niekończące się opowieści o bohaterskich czynach, o historycznym relatywizmie. Gratuluję im i wychwalam ich odwagę. Obiecuję dostawę broni, wsparcie lotnicze.

– Wsparcie lotnicze? – pytają. Widocznie tłumacz nie znalazł kurdyjskiego odpowiednika tego słowa.

– Zrzucimy na Saddama bomby, jeśli się tu zjawi – wyjaśnia mój towarzysz. Jest znudzony tym, że zawsze muszę to wyjaśniać. – Przetłumacz to – mówi i kiwa na tłumacza, który posłusznie spełnia jego polecenie.

Nasi gospodarze śmieją się głośno, klepią się po ramionach, nalewają do brudnych szklanek na herbatę kolejne porcje podejrzanego whisky.

W końcu udaje mi się ich zadowolić obietnicami i wyjaśnieniami. Chcą się sami przekonać o sile amerykańskich wojsk, więc prowadzimy ich do land cruisera. Mój towarzysz wyciąga trzy skrzynie i w świetle reflektorów samochodu otwiera pierwszą z nich.

– Granatniki – mówi. – Trzy sztuki. Będziecie mogli nimi zmieść z powierzchni ziemi każdy czołg.

Chłopi, którzy stali się legendarnymi żołnierzami i bojownikami o wolność, pochylają się z zapartym tchem i biorą broń do ręki. Przekazują ją sobie, oglądają.

– Strzelać nauczycie się później – mówi mój towarzysz.

– To zbędne – odpowiadają. – Umiemy się tym posługiwać.

Mój towarzysz odbiera im granatniki zdecydowanym ruchem i odkłada do skrzynki.

– Strzelać nauczycie się później – powtarza.

– Czy możecie pokazać nam amunicję? – pytają bojownicy.

Mój towarzysz otwiera drugą skrzynię, w której są pociski. Dwadzieścia sztuk, które ledwo starczą na szkolenie następnego dnia rano.

– To wszystko? – pytają.

– Dziś mamy tylko tyle – odpowiadam. – Ale jak już powiedziałem, więcej dostarczymy w ciągu tygodnia.

W tłumie rozlega się pomruk.

– A jeśli przed wami zjawia się Irakijczycy?

– Wtedy wyprujemy im flaki – odpowiada mój towarzysz i odwraca się do tłumacza. –

Przetłumacz to.

Chłopi śmieją się głośno, kiwają głowami.

W trzeciej skrzyni jest więcej amunicji do broni wyprodukowanej w Związku Radzieckim. Są rozczarowani, mieli nadzieję na więcej. Żar w ich oczach słabnie. Ale nadal płonie.

Chłopi-partyzanci szepczą coś do siebie. Szkolenie z posługiwania się bronią dobiegło końca. Jesteśmy po późnej kolacji. Herbatę dostaliśmy w zamian za butelki z takim samym trunkiem jak napój w butelce mojego towarzysza. Miejscowi są podekscytowani. Obserwuję jego powolne ruchy, coraz bardziej się rozluźnia, widać to po nim. Od kiedy przyjechaliśmy do wioski, bez przerwy pije.

Tłumacz wzrusza ramionami.

– Wydaje mi się, że chcą wam coś pokazać. Ale nie wiem co.

W końcu miejscowi coś uzgadniają, biorą nas za ręce. Są pijani, ale rozczarowanie z powodu granatników najwyraźniej minęło. Znowu są żołnierzami, bojownikami o wolność, chwilowymi legendami. Chcą nas wyprowadzić za wieś. Idziemy rozświetloną przez blask księżyca ulicą pokrytą żwirem i kamieniami. Zbliżamy się do następnego skupiska małych, niskich domów. Wszędzie czuć zapach kóz. Być może nie są to domy mieszkalne, tylko magazyny albo pomieszczenia dla zwierząt. Przed jednym z domów stoi brodaty mężczyzna – partyzant, legenda. Z ramienia zwisa mu rosyjski karabin maszynowy. W kątku ust żarzy się papieros.

Rzuca go na piasek, gasi butem i otwiera drewniane drzwi, żeby wpuścić nas do środka. Snop światła bijący od jego latarki przeskakuje z miejsca na miejsce, rozświetlając ciemność, trudno nam się na czymś skupić. Smród staje się nie do wytrzymania. Domyślam się, że oprócz zwierząt jest tu coś jeszcze. W końcu światło latarki zatrzymuje się na dwóch workach w rogu pomieszczenia. Trzej mężczyźni podchodzą do nich i kopią je, krzyczą, szarpiają.

Worki zaczynają się poruszać, słyszymy jęki. Mężczyźni unoszą je z ziemi i wysypują ich zawartość na brudną betonową podłogę. Widzimy dwóch przerażonych chłopców, nie są jeszcze w pełni dojrzały. Mają poranione twarze i podarte, workowate mundury. To dwaj Irakijczycy.

Mężczyźni śmieją się głośno i plują na nich. Sypią się arabskie przekleństwa. Tłumacz odwraca się w naszą stronę i wzrusza ramionami.

– Jeńcy nie chcą mówić. Twierdzą, że są zwykłymi żołnierzami piechoty.

Kręcę głową.

– No bo rzeczywiście nimi są. A czego chcielibyście się od nich dowiedzieć?

Kątem oka widzę, jak mój towarzysz wymyka się na dwór. Doganiam go przy toyocie. Stoi przy uniesionej pokrywie maski. Z szyi zwisają mu kable od akumulatora.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – pytam.

Nie odpowiada. Grzebie przy czymś, aż w końcu wyciąga ze środka akumulator i stawia go na ziemi.

– Weź to – mówi.

– Po co? – pytam, chociaż już się domyślam.

– Nie udawaj idioty.

Patrzy mi prosto w oczy. Znowu błyszczą. W jego spojrzeniu czai się czysty sadyzm.

– Dwieście dwadzieścia woltów podłączonych do jaj od razu rozwiąże im języki.

W ustach robi mi się sucho. Huczy mi w głowie.

– Nawaliłeś się? – pytam. – To zwykli żołnierze piechoty, maruderzy z armii, która wycofała się z Mosulu.

– Jeśli nie chcesz mi pomóc, to poczekaj przy samochodzie – odpowiada i schyla się, żeby podnieść akumulator.

Ogarnia mnie panika. Zaczynam tracić nad sobą kontrolę. W jego oczach widzę jakąś oślizłość. Tu nie wystarczą słowa ani argumenty.

Kładę dłoń na glocku zatkniętym za pas. Czuję jego ciężar. Z budynku dobiegają nas rozpaczliwe jęki. Wysokie głosy. Gdzie jest tłumacz? Gdzie kierowca?

– Daję ci ostatnią szansę. Masz włożyć akumulator z powrotem na miejsce – mówię.

Odwraca ku mnie głowę i kręci nią przecząco. Pluje przede mną na ziemię.

– Jesteś mała, tchórzliwa cipa – mówi. – Tak jak tamta kurwa w Damaszku.

Wyciągam pistolet i trafiam go lufą prosto w nos. Słyszę, jak pęka kość i chrząstka. Twarz zalewa mu krew, która spływa na ziemię. Zanim zdąży osłonić się rękami, przewracam go na ziemię i siadam mu klatce piersiowej.

– Coś ty, kurwa, powiedział? Co wiesz o Damaszku?

W ustach czuję smak metalu i endorfin. Wpadam w panikę, teraz nie ma już odwrotu. Przyciskam mu lufę pistoletu do oka i zmuszam go, żeby odchylił głowę na brudną od krwi ziemię.

– To przez ciebie zginęła ta mała dziwka – syczy. – Przez ciebie rozerwała się na małe kawałeczki...

– Zamknij gębę! – ryczę na niego.

Jeszcze mocniej przyciskam mu pistolet do oka. Chwilę później ktoś mnie podnosi i odciąga od niego. Czyjeś dłonie chwytają mnie za ręce. Ktoś inny wrywa mi pistolet. Miejscowi pochylają się nad moim towarzyszem, podnoszą go z ziemi. Podtrzymują go, żeby nie upadł, z dala ode mnie. Pluje krwią na piasek, pociąga nosem i drży.

– To ty miałaś być na jej miejscu – syczy. – Dobrze o tym wiesz, cioto.

Ze wsi wyjeżdżamy wczesnym rankiem. Pada deszcz, właściwie mży. Na miejscu zostawiamy trzy granatniki, ponad dwadzieścia pocisków, które nie są w stanie przebić pancerza, kilka magazynków do kałasznikowa i dwóch pobitych Irakijczyków. Za sobą zostawiamy też codzienność. Krew na piasku. To, co zostało i nie zostało powiedziane. Nie mamy innego wyjścia. Musimy kontynuować misję.

Odwracam się. Mój towarzysz śpi na tylnym siedzeniu. Po wczorajszym dniu pozostał tylko prowizoryczny opatrunek i smród alkoholu. Mimo to ciągle nie mogę się uspokoić. Zastanawiam się nad plotkami i pogłoskami. Nad tym, czego nie chciał mi powiedzieć Irakijczyk na promie w Sztokholmie. Nad tym, czego nie chciałem od niego usłyszeć.

Myślę o szeroko otwartych oczach dziecka i o tym, że je wtedy porzuciłem. I o tym, że niczego nie da się już naprawić. Myślę o dachach domów w Bejrucie. O upale i o stawianym przez spust odporze. Myślę o wszystkim, w co musimy wierzyć, żeby świat się nie zawalił. O sojuszach, które ciągle zmieniamy. O dokumentacji, którą przekazałem na

promie w Sztokholmie mojemu irakijskiemu kontaktowi. To, co zawierała tamta teczka, mogło doprowadzić do katastrofalnej wojny i zagłady. To był element umowy, która nagle się zmieniła.

Myślę o chłopach ze wsi, którzy zostaną zabici, gdy Saddam ruszy na północ. Zastanawiam się nad tym, że nigdy nie dotrzymujemy obietnic, nigdy nie robimy tego, co obiecujemy zrobić. Bo na końcu zawsze jest tak, że poświęcamy życie tych, których obiecujemy ratować.

20 grudnia 2013

Bruksela

Jak go znaleźli? To pytanie nurtowało Mahmouda od chwili, gdy roztrzęsiony uciekł metrem swoim prześladowcom ostatniego ranka, kiedy to prawie stracił życie. Jak to w ogóle możliwe? Może go śledzili, gdy poszedł do Muzeum Afrykańskiego, a stamtąd do hotelu? Jeśli tak, znaczyłoby to, że są niewidzialni. Przecież wybrał pierwszy lepszy hotel. Jak na razie media nie opublikowały jego zdjęcia. Nie wchodził do Internetu, nie używał telefonu. Nic nie trzyma się kupy.

W jakiejś budce na dworcu Gare Centrale kupił colę i twardy jak kamień kawałek pizzy, która smakowała tak, jakby farsz składał się z kleju i piasku. Potem poszedł na jeden z peronów. Nadal był zdenerwowany i czuł się jak paranoik, który występuje na teatralnej scenie; jakby wszyscy go widzieli, obserwowali jego ruchy i czekali na okazję, żeby zadać decydujący cios.

Dłużej tak być nie może. Nie ma żadnego planu, po prostu postanowił się gdzieś ukryć. Zachowywał się biernie, działał w reakcji na coś, zamiast aktywnie uprzedzać wypadki.

W tej sytuacji nie może być już bardziej bierny. Coś się musi zmienić. Usiadł na ławce i czekał na następny pociąg. Był tak podenerwowany, że nogi mu drżały. Obok usiadł ubrany w garnitur mężczyzna, który przeklinał głośno po angielsku. Złościło go, że nie ma zasięgu w telefonie.

W tym momencie Mahmoud doznał objawienia. Że też nie pomyślał o tym wcześniej.

Przepełniony nagłą falą energii wrzucił ostatni kawałek pizzy do najbliższego kosza na śmieci i pobiegł schodami przez śmierdzący moczem tunel tam, skąd przyszedł. Kierując się wskazaniem tabliczek, zszedł na dolną kondygnację dworca centralnego, gdzie znajdowały się toalety.

Zapłacił trzydzieści centów kobiecie, która siedziała z ponurą miną przy drzwiach. Kabiny w toalecie były zaskakująco czyste. Oprócz niego nikogo tam nie było. Wybrał pierwszą z nich, zamknął drzwi na zasuwkę i opuścił pokrywę sedesu. Zdjął plecak i wysypał jego zawartość na pokrywę. Paszport, portfel, telefony komórkowe i baterie, prezentację z Power Pointa i program konferencji, majtki i skarpetki, koszulę i koszulkę, kieszonkowe wydanie książki Philippe'a Sandsa *Torture team*, a na końcu portfel Lindmana. Szybko go przejrzał. American Express, Visa, ale nawet nie złota. Dwieście euro w dwudziestkach, prawo jazdy i pokwitowanie z przechowalni bagażu w Paryżu. Wziął je do ręki i obejrzał. Lindman wspominał, że ukrył coś w stolicy Francji. Czy jest lepsza kryjówka niż przechowalnia bagażu? Może warto spróbować? Włożył pokwitowanie do portfela i zaczął przeglądać przedmioty leżące na pokrywie sedesu. Właściwie sam nie wiedział, czego szuka. Cokolwiek to jest, na pewno nie natknie się na to wśród swoich rzeczy. Sprawdził kieszenie plecaka i kieszenie w ubraniu, ale niczego nie znalazł. W końcu wywrócił plecak na drugą stronę.

Faktycznie, na samym dnie, po lewej stronie, zobaczył przedmiot przyczepiony czarną

taśmą.

Szybko ją oderwał i unióśł tę rzecz, żeby lepiej przyjrzeć się jej pod światło. To, co trzymał w ręku, przypominało pojemnik na szczoteczkę do zębów, wykonany w jakiejś nowoczesnej technologii i oblany plastikiem. Obracał to na wszystkie strony. Po chwili nie miał już żadnych wątpliwości. Nadajnik GPS. To dzięki niemu go śledzili, a potem znaleźli w hotelu.

Co gorsza w taki sam sposób znaleźli Lindmana. Na myśl o tym aż usiadł na podłodze z nadajnikiem w ręku. Tak, to niewielkie urządzenie doprowadziło Amerykanów wprost do Lindmana. Nie miało znaczenia, ile razy się przesiadał. Na myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. To przez niego Lindman zginął. Jak mógł być aż tak naiwny? W ogóle nie potraktował tej sprawy poważnie. Przecież pojawiły się poszlaki świadczące o tym, że jest śledzony, a mimo to je zlekceważył. Teraz jest już jednak za późno i na żal, i na strach. Kiedyś może tak, ale na pewno nie w tym momencie.

Z trudem dźwignął się z podłogi i zebrał swoje rzeczy. Oba telefony komórkowe i baterie wrzucił do niewielkiego kosza na śmieci. Nie może dłużej ryzykować, przecież telefony też mogą namierzyć. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zrobić tego samego z nadajnikiem, ale rozmyślił się i schował go do kieszeni. Resztę przedmiotów – książkę, bieliznę, paszport i oba portfele – włożył z powrotem do plecaka. Założył go, otworzył drzwi i wyszedł z toalety.

Idąc przez dworzec, zastanawiał się, jak udało im się umieścić GPS w jego plecaku. Przecież nie oddał go do odprawy bagażowej na lotnisku i nawet przez chwilę nie spuszczał z oka. Tylko raz upuścił go na ziemię na peronie dworca kolejowego na lotnisku. Może włożyła go tam ta ładna dziewczyna o zielonych oczach? Dlaczego nie? Czy dziewczyna o zielonych oczach nie może popełnić takiego przestępstwa? Pokręcił głową. Straszny z niego idiota.

Kierując się wskazaniem tabliczek informacyjnych, doszedł do dworca autobusowego i wskoczył do autobusu, który miał za chwilę odjechać. Usiadł na wolnym siedzeniu przy tylnych drzwiach, lewą dłonią wsunął nadajnik pod siedzenie i przymocował go taśmą. Upewnił się, że dobrze się trzyma, wstał i wyskoczył z autobusu. Chwilę potem pojazd odjechał. Mahmoud nawet nie wiedział dokąd, ale jego prześladowcy będą mieli przez jakiś czas nowe zajęcie. Teraz to on musi przejąć inicjatywę.

20 grudnia 2013

Bruksela

Nikt nie wejdzie do siedziby Parlamentu Europejskiego, o ile nie zostanie przez kogoś zaproszony albo nie posiada specjalnej przepustki. Wszyscy urzędnicy parlamentarni mają taką przepustkę, podobnie jak niektórzy lobbyści, którym przydziela się karty stałego wstępu. Karta, którą posiadał George, gwarantowała mu wstęp w dni robocze, w godzinach od ósmej rano do szóstej wieczorem.

Tuż przed ósmą George ustawił się przed obowiązkowym dla wszystkich stanowiskiem kontroli i czekał na sprawdzenie swojej teczki. Po plecach spływał mu zimny pot, twarz miał pobladłą, a oczy podkrążone – jakby niedawno przegrał walkę bokserską. Była to zresztą prawda: czuł się dokładnie tak, jak wyglądał. Po rozmowie z Reiperem wrócił do domu, ale nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku, szukał sposobu na wyjście z trudnej sytuacji, ale nic mądrego nie wymyślił. Jeśli odmówi współpracy, może się pożegnać z dalszą karierą. Czeka go więzienie. Oczywiście wywalą go z Merchant & Taylor. To nie jest żadne wyjście.

Z drugiej strony, jeśli zrobi to, co mu każą, będzie współwinny przestępstwa, a Reiper zdobędzie na niego kolejnego haka. Niezbyt kusząca perspektywa. Czym się to wszystko skończy? Tak czy inaczej musi pogodzić się z faktem, że Digital Solutions ma go w rękach.

O wpół do szóstej wstał w końcu z łóżka, wziął prysznic i się ubrał. Doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem z tej trudnej sytuacji jest włamanie się do biura Klary, zanim ona się tam zjawi. Josh dał mu jakiś uniwersalny elektroniczny wytrych, którym bez niszczenia zamków będzie mógł otworzyć wszystkie drzwi na terenie Parlamentu Europejskiego.

– *You can't go wrong, buddy. It's a cakewalk* – powiedział Josh i zmusił go do przybicia piątki. Na jego twarzy pojawił się zachęcający, szyderczy uśmiech.

Jako chłopiec George – tak jak każdy chłopiec – marzył, że w przyszłości zostanie szpiegiem. Oczami wyobraźni widział, jak włamuje się do zamkniętych biur, żeby wykraść z nich tajne dokumenty, a przy okazji podrywa atrakcyjne dziewczyny. Marzyły mu się także inne typowo szpiegowskie działania: przekazywanie tajnych przesylek w ciemnym parku, śledzenie ludzi, gubienie ogona. Teraz właśnie został szpiegiem, ale nie wygląda to wcale tak romantycznie, jak sobie wyobrażał. Czuje się tak, jakby był zwykłym włamywaczem. Poza tym śmiertelnie się boi. Co robi, jeśli zastanie tam Klarę? Albo jeśli ona zastanie go w swoim biurze? Gorzej, jeśli misja zlecona przez Reipera się nie uda i ten zechce go ukarać.

Większość asystentów przychodzi do pracy po wpół do dziewiątej. Spotkania i rozmowy telefoniczne w Parlamencie Europejskim zaczynają się zazwyczaj dopiero po dziewiątej. Jeśli do ósmej dwadzieścia zdąży zrobić to, o czym mówił Reiper, nic złego nie powinno się zdarzyć. Taką miał przynajmniej nadzieję. Czuł, jak poci się pod pachami. Coś paskudnego!

Przed wyjściem z domu dokładnie przestudiował mapę siedziby Parlamentu Europejskiego na stronie internetowej, żeby sprawdzić, gdzie mieszczą się biura Klary i Boman. Z doświadczenia wiedział, że do każdego pomieszczenia istnieje osobne wejście z korytarza, ale pokoje są zazwyczaj połączone wewnętrznymi drzwiami.

Zabrał teczkę z taśmy na stanowisku kontroli i ruszył w stronę wind, żeby wjechać na szesnaste piętro, gdzie biura mieli szwedzcy socjaldemokraci.

Tak jak się spodziewał, na korytarzach było jeszcze pusto. Słyszał tylko jego kroki na jasnoniebieskiej wykładzinie. Pokoje Boman i Klary znajdowały się na samym końcu korytarza. George się rozejrzał, żeby wybrać właściwy kierunek, a potem wyjął z kieszeni urządzenie, które dał mu Josh. Przypominało niewielką maszynkę do golenia. Wcisnął przycisk z napisem „Power” i urządzenie się włączyło, tak jak wyjaśniał mu Josh.

Ręce mu drżały, koszula lepiła się do grzbietu. Zerknął przez ramię i wyjął z kieszeni niewielką działkę kokainy. Naprawdę niewielką. Tylko tyle, żeby kompletnie się nie rozkleić.

Fatalna sprawa, bierze już o tak wczesnej porze. Niestety, sytuacja jest wyjątkowa. Ten dzień miał wyglądać zupełnie inaczej. Gdyby nie Reiper i jego zlecenie, nigdy by nie brał tego paskudztwa tak wcześnie. Nigdy, bez dwóch zdań. Ale w tych okolicznościach? Nie ma o czym dyskutować. Strzepnął z torebki trochę białego proszku na platynową kartę American Express. Nie starał się nawet zachować linii, tylko przysunął kartę do lewego nozdrza i wciągnął całą kreskę. Efekt był natychmiastowy. George poczuł, jak błyskawicznie wraca do życia. Zmysły zaczęły funkcjonować mu jak należy, skupił się na zadaniu i zaczął się kontrolować. Zamknął oczy i pokręcił głową, a potem kciukiem i palcem wskazującym wytarł skórę wokół nosa. Teraz na pewno poradzi sobie z zadaniem, które zlecił mu Reiper. Do roboty!

Spojrzał na zegarek. Siedem po ósmej. Zostało mu jeszcze trzynaście minut. Musi się pospieszyć. Wyjął urządzenie od Josha i otworzył nim drzwi pokoju Klary.

Zabrało mu to niecałe dwadzieścia sekund. Serce waliło mu w piersiach jak oszalałe. Chwycił za klamkę, nacisnął ją i uchylił drzwi. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. Jeśli ktoś tu przyjdzie, będzie miał czas, żeby wymknąć się do gabinetu Boman przez wewnętrzne drzwi. Pokój Klary przypominał wszystkie inne pokoje asystentów zatrudnionych w Parlamencie Europejskim. Przez wszystkie lata, które spędził w Brukseli, sporo się ich naoglądał. Pomieszczenie było trochę lepsze od innych, ponieważ znajdowało się na wysokim piętrze, w rogu budynku. Rozciągał się stąd zapierający dech w piersiach widok. Niestety, tym razem nie ma czasu, żeby zachwycać się pięknymi krajobrazami.

Srebrny laptop Klary leżał na biurku. Bingo! Klara zostawiła go w trybie *stand by*, więc George włączył monitor, żeby go „obudzić”. Zostało mu dziesięć minut. Kiedy komputer się włączył, George wsunął pendrive do portu i kliknął na ikonę, która pojawiła się na ekranie. Program zaczął instalować się na laptopie. Josh wyjaśniał mu wszystko przynajmniej dziesięć razy. Proces wgrywania programu potrwa niecałą minutę. Czekaając na koniec transmisji danych, przyczepił pod biurkiem Klary plastikowy kapsel. Jego górna część była pokryta specjalną taśmą klejącą, dzięki czemu George nie miał problemu z zamocowaniem go pod biurkiem. Wszystkie te czynności powtórzył w gabinecie Boman. Potem wrócił do pokoju Klary, żeby się upewnić, czy program na jej laptopie skończył się

instalować.

W chwili, gdy zasiadł przy biurku, żeby wyjąć pendrive z laptopa, usłyszał, jak ktoś wkłada klucz do zamka. Jak to możliwe?! Przecież asystenci nigdy nie przychodzą o tej porze. Wyciągnął pendrive z portu i wygasił monitor, żeby komputer wrócił do trybu *stand by*, a potem jednym susem znalazł się w pokoju Boman. W chwili, gdy zamykał drzwi wewnętrzne, ujrzał, jak otwierają się drzwi do pokoju Klary, i poczuł słaby zapach perfum. Nogi mu drżały. Przez cienką ścianę słyszał, jak Klara krząta się po pokoju. Nagle zadzwonił telefon.

– Dzień dobry – powiedziała Klara.

– To znowu ja. Oczywiście, że mogę je wydrukować. Okej, w takim razie widzimy się u mnie za dwie minuty.

Tego jeszcze brakowało, pomyślał George. Zaraz zjawi się tu Boman. Chciał się bezszelestnie podkraść do drzwi, ale zabrakło mu odwagi. Stał jak zaczarowany pod ścianą i próbował odzyskać kontrolę nad ciałem. W końcu się opanował. Powoli podszedł do drzwi, ostrożnie przekręcił zamek. Rozległo się ciche kliknięcie, ale dla niego brzmiało jak wystrzał z pistoletu. Nie miał czasu do stracenia. Dzięki Bogu, wszystko w pokoju było nowe, więc nic nie skrzypiało ani nie trzaskało. Uchylił drzwi, ale tylko trochę, żeby sprawdzić, czy korytarz jest pusty. Nie mógł już ponownie zamknąć ich na klucz. Boman pewnie pomyśli, że zapomniały o tym osoby, które nocą sprzątajają budynek. Szybkim krokiem ruszył na drugi koniec korytarza. Przez cały czas czekał, aż Klara otworzy drzwi i wyjrzy za nim. Na szczęście nic takiego się nie stało. W końcu stanął przed windami i jak oszalały zaczął wciskać guziki. Po chwili rozległ się charakterystyczny dźwięk i rozsunęły się drzwi windy znajdującej się najdalej od niego. George'owi tak się spieszyło, że z tego wszystkiego wpadł prosto na Boman.

– *Sorry, I'm so sorry* – wydukał po angielsku, odwracając głowę w drugą stronę. Boman zachowywała się jednak tak, jakby wcale go nie zauważyła.

Trzy minuty później George siedział na schodach obok głównego wejścia, z głową wciśniętą między kolana, i próbował normalnie oddychać. Co ty wyprawiasz, człowieku? pomyślał. Co ty robisz? Lewą dłońią sięgnął do kieszeni, żeby wyjąć z niej kolejną działkę koki. Łatwo znalazł usprawiedliwienie: jeśli nie mógł sobie pozwolić na kreskę po tym, co się wydarzyło tego ranka, co musiałyby się zdarzyć, żeby na nią zasłużyć?

20 grudnia 2013

Sztokholm

Gabriella Seichelman szła szybkim krokiem przez recepcję sztokholmskiego sądu rejonowego. Wzrokiem szukała ekranu z informacją o tym, w której sali odbędzie się jej rozprawa. Miała jeszcze dwadzieścia pięć minut. Swojego klienta, Josepha Mbilę, przygotowywała do szóstej wieczorem poprzedniego dnia. Powinno wystarczyć.

Tym razem jednak wygląda to trochę inaczej niż zwykle, gdy występuje przed sądem. Zazwyczaj bowiem stara się usiąść przynajmniej na pół godziny w pustej salce konferencyjnej z filiżanką herbaty. Taki ma zwyczaj, można to nawet nazwać przesądem. Czasem, gdy rozprawa odbywa się w trybie uproszczonym, treść dokumentów zna na pamięć. Ale potrzebuje koniecznie tych trzydziestu minut. Musi się wtedy skupić. To jej metoda na wyłączenie się z bieżących spraw, z otoczenia. Jeśli nie może sobie zapewnić tego czasu... Nie, tym razem miało być inaczej.

Można powiedzieć, że jest w tym mistrzynią. Wie, że spośród wszystkich adwokatów zatrudnionych w cieszącej się uznaniem kancelarii Lindblad & Wiman to ona pracuje najwięcej. Żaden z nich nie jest bardziej oddany swoim klientom. Żaden z nich nie zarywa tyłu nocy co ona. Żaden z nich nie budzi się wcześniej. Kiedy w rekordowo krótkim czasie przyjęto ją w szeregi palestry, zauważyła, że jej starsi koledzy zaczęli obrzucać ją dość niechętnymi spojrzeniami. Oni czekali na to znacznie dłużej. Robiła karierę w oszałamiającym tempie.

W końcu jednak też się zmieniła. Powoli, z początku prawie niezauważalnie, stawała się jedną z tych bab, którymi razem z Klarą tak bardzo pogardzały na studiach prawniczych. Nastawiła się na zrobienie kariery. Straciła zainteresowanie dla innych spraw, liczyła się tylko praca. Kiedy ostatni raz była na urlopie? Kiedy bawiła się na całonocnej imprezie? Kiedy pieprzyła się z jakimś facetem? Kiedy odczuwała coś innego oprócz obawy, że czegoś nie doczytała, że nie wyraziła się dostatecznie jasno, nie poświęciła odpowiedniej ilości czasu na ratowanie klienta? Kiedy ostatni raz słuchała jednej z płyt, które kiedyś tak wiele dla niej znaczyły, a teraz leżą gdzieś w garderobie pod stale rosnącym stosem papieru?

Ostatnio coraz częściej tego doświadcza. Jakby pędziła na nią jakaś ściana. Pustka, myśli kryjące się za murem zbudowanym z sądowych akt. Całkowity bezsens wszystkiego, co robi.

Świadomość tego wszystkiego tak bardzo ją przerażała, że musiała coraz bardziej zagłębiać się w następne sprawy, zajmować następnym klientem, spędzać w pracy kolejne osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Wmawiała sobie, że to konieczne, że klienci jej potrzebują, a gdy zostanie współniczką w kancelarii, wszystko się uspokoi.

Przy recepcji, w małej gablocie, stała bożonarodzeniowa gwiazdka i elektryczny świecznik. W poniedziałek przypada Boże Narodzenie. A przecież jedyne wspomnienia, jakie wiążą się dla niej z jesienią, to budynki sądów, komenda policji i siedziby innych

władz. No i oczywiście godziny spędzone w kancelarii. Głównie w kancelarii. Zanim doszła do recepcji, usłyszała, że z tyłu ktoś ją woła.

– Pani Gabriella Seichelman?

Zatrzymała się, odwróciła trochę za szybko i poślizgnęła na śliskich kamiennych płytach, którymi wyłożona była podłoga. W ostatniej chwili w jej stronę wyciągnęła się czyjaś ręka, dzięki czemu Gabriella nie straciła równowagi.

– Uff, szybko pani chodzi – powiedział stojący obok mężczyzna. To on wyciągnął do niej rękę.

Gabriella uśmiechnęła się z wysiłkiem i zaczerwieniła wbrew woli. Mężczyzna był chyba po pięćdziesiątce. Miał krótko obcięte siwe włosy, a na głowie czarną czapkę. Ubrany był w wytarte dżinsy, koszulę firmy Dressmann i krótką skórzaną kurtkę. Policjant po cywilnemu. Bez wątplenia. Jeśli Gabriella na coś się zna, to na pewno na tajniakach.

Zanim zdążyła się odezwać, mężczyzna wyjął legitymację służbową.

– Nazywam się Anton Bronzelius – powiedział. – Pracuję w policji bezpieczeństwa.

– Naprawdę? – odparła Gabriella. Czują, jak powoli ogarnia ją niepokój.

– Czy może mi pani poświęcić chwilę? Wiem oczywiście, że ma pani... – Bronzelius przerwał, spojrzął na zegarek i dopiero wtedy dokończył zdanie: – ...dwadzieścia jeden minut do rozpoczęcia rozprawy. Dlatego pozwoliłem sobie zarezerwować dla nas salkę konferencyjną.

Gabriella spojrzała na telefon komórkowy, żeby sprawdzić, która godzina. Zostało jej dziewiętnaście minut. No tak, ale Joseph jest dobrze przygotowany. Zjawi się dopiero za kwadrans. Nogi jej drżały pod stołem. Bawiła się telefonem. Cholera, nie zdąży wypić herbaty.

Ale Bronzelius nie tracił czasu. Ledwo weszli do sali, rzucił na biały stół dwie wieczorne gazety. Całe wyposażenie pokoju było białe. Gabriella odniosła wrażenie, że w takich pomieszczeniach spędza więcej czasu niż w swoim mieszkaniu w Vasastan.

Nagłówki brzmiały prawie identycznie. Były to różne wersje zdania: SZWED POSZUKIWANY ZA ZABÓJSTWO W BRUKSELI. Autor artykułu w „Expressen” zmienił początek nagłówka na SZWEDZKI TERRORYSTA. W „Aftonbladet” pojawiło się określenie ŻOŁNIERZ JEDNOSTEK SPECJALNYCH. Ci z „Expressen” to idioci, pomyślała Gabriella. Przecież ŻOŁNIERZ JEDNOSTEK SPECJALNYCH spręda się lepiej niż kolejna historia o terrorystach.

– Słyszała pani o tym? – spytał Bronzelius.

– Tak, czytam gazety – odparła Gabriella. – Znam tę historię. Ale nic więcej nie wiem. Dziś rano zauważyłam nagłówki w Internecie. Nic poza tym.

Bronzelius skinął spokojnie głową. Gabriella trochę się rozluźniła. Funkcjonariusz różnił się od wielu swoich kolegów. Był uprzejmy i szczery, emanował spokojem. Przy nim czuła się bezpieczna, jak w towarzystwie policjanta.

– To, o czym teraz pani powiem, powinno zostać między nami. Informacja jest ściśle tajna. Jest pani adwokatem i wie, co to oznacza.

– Tak, pojęcie informacji niejawnej jest mi znane.

Bronzelius zrobił poważną minę.

– Ów terrorysta, albo żołnierz z jednostki specjalnej, w zależności od tego, którą gazetę pani przeczyta, nazywa się Mahmoud Shammosh.

20 grudnia 2013

Bruksela

Klara usiadła przed biurkiem i obróciła nieco fotel, dzięki czemu mogła rozkoszować się wspaniałym widokiem na Brukselę. Wcale nie spieszyło jej się do pracy z bucującym komputerem. Nie miała też ochoty na spotkanie z Evą-Karin. Ranek był lodowaty, niebo bezchmurne. Z kominów unosił się leniwie biały dym. Wyglądało to tak, jakby unosząc się, zamarzał. Słońce świeciło tak intensywnie, że Klara musiała odwrócić wzrok od okna.

Nie chciało jej się na to wszystko patrzeć. Drażnił ją blask odbijający się od kompleksu budynków Parlamentu. Ich kontury stały się nagle tak ostre, że od samego patrzenia rozboleły ją oczy. Czuła, że to jeden z tych dni, kiedy ma się wrażenie, że wszystko dzieje się po raz pierwszy, jakby ziemia przekrzywiła się lekko w stosunku do swojej osi, a wszechświat nagle się skurczył albo rozszerzył. Odnosiła wrażenie, że obudziła się w innym ciele, pełnym przeżyć, których nie pamięta. Kiedy była nastolatką, ciągle zdarzały jej się takie dni. Zamknęła oczy i otarła łzę, która pojawiła się nagle w kąciu oka.

Wtedy, w mieszkaniu Cyrila, odwróciła ramkę ze zdjęciem, a potem tylko siedziała na łóżku, wpatrując się w kredowobiałą ścianę. Oddychała głęboko. Przypomniało jej się, co w podobnych sytuacjach mawiał dziadek: „My, mieszkańcy szkierów, zostaliśmy stworzeni ze skał i prochu”.

Skały i proch. Powoli spuściła wzrok, żeby jeszcze raz spojrzeć na czarno-białą fotografię.

Przedstawiała troje pięknych ludzi. Dziewczynka mogła mieć najwyżej trzy lata. Siedziała Cyrilowi na rękach i wyglądała na szczęśliwą. Była lekko pochylona, a jej długie, gęste włosy mieszały się z jego potarganymi lokami. Wielkimi ciemnymi oczami patrzyła wprost w obiektyw aparatu. Cyril był nagi do pasa, lekko odchylony, jakby chciał ją pocałować w policzek. Obok niego stała kobieta, która obejmowała go ramieniem. Wyglądała tak pięknie, że wpatrującej się w nią Klarze zaparło dech. Nieznajoma sprawiała wrażenie w pełni rozluźnionej. Miała trochę piegów, niewielki nos i mokre od słonej wody włosy. Ubrana była w zwykłą sukienkę, spod której widać było opalone zgrabne nogi. Z takimi nogami mogłaby zostać modelką. A może nią jest? W tle ciągnęła się plaża, a dalej widać było morskie fale. Zdjęcie przedstawiało szczęśliwą rodzinę na wakacjach na Riwierze Francuskiej.

Sama nie wie, jak długo siedziała na łóżku, zmagając się z impulsem, który podpowiadał jej, żeby rozbiła zdjęcie o ścianę, żeby szkło rozprysło się po podłodze jak drobinki rtęci. W końcu spokojnie odłożyła zdjęcie do szuflady, wstała i się ubrała. Zabrała telefon i poszła do pracy.

Skały i proch.

Kiedy na biurku rozdzwonił się telefon, nie chciało jej się odbierać. Nie miała ochoty na

rozmowy, zwłaszcza z Evą-Karin. W końcu, po szóstym sygnale, doszła do wniosku, że wszystko będzie lepsze od tego, co czuje teraz.

– Słucham? – rzuciła do słuchawki.

– Mademoiselle Walldéen, przyszedł do pani niejaki mister Moody – powiedziała po francusku recepcjonistka z dołu.

Klara poczuła się tak, jakby zabrakło jej powietrza, jakby nagle zmienił się jego skład chemiczny, jakby musiała strasznie się naprężyć, żeby dostarczyć krwi odpowiedniej ilości tlenu.

– Klaro – usłyszała w słuchawce męski głos. – Jesteś tam?

Mężczyzna mówił bardziej ochryplym głosem niż kiedyś, jakby słowa z trudem wypływały mu z ust. Klara próbowała złapać oddech, ale przychodziło jej to z trudem.

– Moody – szepnęła.

W słuchawce zapadła cisza. Klara dopiero po kilku sekundach przerwała milczenie.

– Minęło tyle czasu – powiedziała.

Słyszała oddech swojego rozmówcy. Szybki, podekscytowany. To było naprawdę dawno temu. Mimo to wiedziała, że coś jest nie w porządku.

– Musimy się spotkać – powiedział Mahmoud.

Głos miał nerwowy, jakby naładowany elektrycznością. Klara poczuła nagłe wyrzuty sumienia. Nie odpowiedziała mu na e-mail, ale nie dlatego, że nie chciała. Po prostu nie wiedziała, co napisać.

– Teraz? – spytała. – Chcesz się ze mną spotkać? Jesteś w Brukseli?

– Czy możesz wyjść z biura?

– O co chodzi, Moody? Coś się stało?

– Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon. Czy możemy się spotkać?

Klara zastanawiała się przez chwilę. Czowała, że to może być jedna z tych chwil, które rozstrzygną o jej życiu.

– Tak – odparła. – Nie ma sprawy. Gdzie?

Wiosna 1994 roku
Kwatera główna CIA w Langley,
Wirginia, USA

Wszyscy jesteśmy podejrzani, co więcej, jesteśmy winni do momentu, aż udowodnimy swoją niewinność. Snujemy się po korytarzach jak cienie tych, którzy i tak są cieniami. Ci, co mają odwagę, wymieniają znaczące spojrzenia nad komputerami i stosami dokumentów. Ściszonymi głosami prowadzą nieufne i ostrożne rozmowy. Ci, przeciwko którym toczy się formalne śledztwo, żyją w ciągłym napięciu. Muszą się z nim zmierzyć, ale znoszą je z trudem, mniej więcej tak, jak gdyby ktoś powiesił im na szyi krowi dzwonek albo przyczepił żydowską gwiazdę. W stołówce siedzą samotni, skoncentrowani na swojej emeryturze i na tym, że trzeba będzie zapłacić chesne za college dla dzieci. Ich spokojna przyszłość rozplywa się z każdym nowym przesłuchaniem, z każdym oskarżeniem, wypowiedzianym mniej lub bardziej wprost. Nikt o tym nie mówi. Wszyscy o tym mówią.

Od dnia, w którym aresztowali Aldricha Amesa, minęły zaledwie dwa tygodnie. Jeanne Vertefeuille i jej zespół urzędują na drugim piętrze. Kret w Langley. Nasz własny Philby. Co jest gorsze: zdradzić ojczyznę dla pieniędzy czy z powodów ideologicznych? Podczas dyskusji na ten temat przeważa zdanie, że to pierwsze.

W budynku CIA roi się od ludzi z FBI. Prostych policjantów po cywilnemu. Ciemne garnitury. Nic nie wiedzą ani o nas, ani o naszej pracy. To oczywiście żart. Wariografy nie działają na tych, co nie odróżniają prawdy od kłamstwa. Są bez znaczenia, bo nie przejmujemy się tym, czym coś jest.

Nie dziwi mnie, kiedy słyszę kroki przed moim pokojem. Ledwie unoszę wzrok, gdy wchodzi bez pukania. Mają sprawdzoną taktykę, posługują się nią od lat, znają ją jak parę schodzonych butów. Jest ich dwóch. Pierwszy to mężczyzna w moim wieku. Ma zbyt długie włosy i powinien iść do fryzjera. Powinien też zrzucić z dziesięć kilogramów, aby uniknąć zawału serca. Słysząc, jak sapie. Drugi to typ *rookie*, z wystającymi kośćmi policzkowymi, w nowym garniturze. Widać po nim, że z trudem panuje nad testosteronem, stara się go utrzymać w ryzach.

– Jeśli opowie nam pan, jak było, ułatwi pan życie nam wszystkim – zaczyna *rookie*, wpijając we mnie wystudiowane spojrzenie. – Sporo już wiemy, ale potrzebujemy jeszcze kilku informacji, żeby uzupełnić braki.

Starszy z mężczyzn siada na fotelu przed moim biurkiem i wpatruje się w sufit wyłożony dźwiękoszczelnymi płytami. To najstarsza sztuczka w tej branży. Postaw zarzut, wyprowadź obiekt z równowagi, obserwuj, jak zareaguje. Taka metoda sprawdza się być może na Bronksie albo na Wall Street, wśród spoconych maklerów giełdowych, którzy zaczynają trząść się ze strachu na samą wieść o wewnętrznym śledztwie. Ale nie tutaj.

Tutaj to nie działa. Nie w Langley. Nie w stosunku do tych, którzy tę metodę wymyślili i którzy nieskończenie lepiej potrafią kłamać, niż mówić prawdę. Nie wobec tych, którzy

akurat nie mają nic do ukrycia.

Czternaście godzin później siedzę z elektrodami przytwierdzonymi do ciała. Naprzeciwko mnie znajduje się zmęczony starszy technik, który ma taką minę, jakby sam był świadom, jak bezsensowne jest to badanie. To taka krzyżówka. Każdy z nas ma jak najlepiej odgrywać przeznaczoną mu rolę.

Załatwiamy formalności, pojawiają się pytania kontrolne: gdzie mieszkam, gdzie pracowałem, czy jestem rozwiedziony, jak radzę sobie z alkoholem.

– Czy po raz pierwszy jest pan poddany śledztwu? – pyta technik, zerkając na wariograf.

– Nie – odpowiadam. – Byłem już poddany śledztwu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym i w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. Zostałem zawieszony na miesiąc, potem zweryfikowali mnie pozytywnie, ale do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku trzymali mnie tu, w Langley.

– Czy pan wie, dlaczego został pan objęty śledztwem?

– Tak. Okoliczności związane z moim prywatnym życiem sprawiły, że zawałem pewną operację, gdy mieszkałem pod przykryciem za granicą.

– A jakie to były okoliczności?

Unosi głowę i patrzy na mnie swoim szarymi psimi oczami.

– Nie wiem, czy jesteście upoważnieni, żebym was o nich poinformował – odpowiadam.

– Może pan wyjść z założenia, że jesteśmy.

– Przykro mi, nie chciałbym sprawiać panom trudności, ale mnie nie wolno wychodzić z żadnego założenia. Moi przełożeni muszą mnie najpierw zwolnić z obowiązku dochowania tajemnicy. Jeśli panowie nie macie dokumentu, który to potwierdza, to nie będę mógł wam pomóc.

Staram się rozmawiać z nimi uprzejmym tonem. To tylko narzędzia w rękach kogoś, kto im te pytania podyktował.

– Jaki był wynik tamtego śledztwa?

– Wróciłem na służbę. Myślę, że uzasadnienie tej decyzji znajdziecie panowie w mojej teczce osobowej. Nigdy jej nie widziałem.

Mój rozmówca wydaje się zadowolony, pyta mnie o nazwiska, imiona i ważne daty, znajomych i przyjaciół. Staram się odpowiadać jak najdokładniej.

– Piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku – odpowiadam.
– Sztokholm.

– Okej. Jeśli tak pan twierdzi... Mieszkał pan w hotelu Lord Nelson, wracał popołudniowym samolotem do Dulles przez Londyn.

Zerka w swoje papiery.

– O szesnastej piętnaście. Wynajął pan volvo na inne nazwisko o ósmej trzydzieści i zwrócił je na lotnisku o czternastej trzydzieści. Pamięta pan?

– Zapamiętałem Sztokholm. Było zimno.

– Sześć godzin w samochodzie. Dokładnie tyle. Dokąd pan pojechał?

Zerkam na zegarek.

– To było dokładnie dziesięć lat temu – odpowiadam. – Miałem trochę wolnego czasu, więc wynająłem samochód. Dokąd pojechałem? Na północ, wzdłuż wybrzeża, o ile dobrze pamiętam. Miałem do wykonania pewne zadanie, resztę czasu postanowiłem poświęcić dla

siebie.

– Pozbył się pan ogona – stwierdza technik, zerkając na wariograf.

– Stary nawyk. Robię to nawet wtedy, gdy jadę do sklepu, żeby kupić sześciopak McNuggetsów.

Na jego ustach pojawia się uśmiech, ale trwa to bardzo krótko. Zadaje mi kilkadziesiąt pytań i na tym badanie się kończy. Podajemy sobie ręce. Obaj wiemy, że tym samym śledztwo dobiegło końca.

Wracam do pokoju. Przez pokryte liśćmi drzewa przebija się wiosenne słońce. Do pokoju wdziera się szum ulicznego ruchu.

Zamykam oczy i zaczynam wspominać Sztokholm. Rufę promu i blask wesołego miasteczka. Obietnice i śmierć. Zagłębienia i to, czym je wypełnialiśmy. Każde słowo, które wypowiedziała tamta podenerwowana kobieta w ambasadzie. Pamiętam volvo i to, że pozbyłem się ogona, że wynająłem samochód pod nieprawdziwym nazwiskiem, że pojechałem na południe, a nie na północ, i że z utęsknieniem czekałem, aż zrobi się jasno. Jak przez mgłę zapamiętałem kawę i suche bułeczki na jakiejś odludnej stacji benzynowej. Pamiętam, że padał śnieg, a samochód poruszał się bezszelestnie, jak we śnie. W końcu zatrzymałem się w niewielkiej wsi na wybrzeżu. Nazywała się Arkösund.

Pamiętam, że wysiadłem z samochodu, minąłem zamknięty sklep i zasypane śniegiem żółte drewniane domki z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Zapamiętałem ciszę przerywaną skrzypieniem butów na śniegu. Pamiętam, że stałem na pomoście, mrużyłem oczy i zasłaniałem je przed padającym śniegiem. Pamiętam, że wypowiedziałem imię mojej córki i po policzku popłynęły mi łzy. Pamiętam, że byłem tak blisko, jak to tylko możliwe. Zapamiętałem, że wyszeptalem w stronę lodu, morza i wiatru: „Ja tu wrócę”.

Zapamiętałem też, że wcale tak nie myślałem.

Pamiętam, że kiedy się odwróciłem, aby wrócić do samochodu, śnieg zdążył już zasypać ślady moich stóp. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś opuścił mnie na ten pomost, jakby moja obecność w tym miejscu wzięta się z niczego, jakby była pozbawiona kontekstu i związków przyczynowo-skutkowych.

Jest późny wieczór. W drodze do domu zatrzymuję się koło pływalni. Niestety, zapomniałem kąpielówek. Mimo to decyduję się iść popływać. Oprócz mnie są tam jeszcze dwaj starsi panowie, którzy pływają kraulem w zielonej, chlorowanej wodzie. Siadam na zimnej podłodze, oparty plecami o ścianę. Na dworze śnieży, wielkie płatki spadają na wilgotną ziemię. Zamykam oczy i widzę, jak idę po lodzie zasypanym śniegiem. Jest tak jaskrawobiały, że prawie mnie oślepia. Lodowate podmuchy wiatru smagają mi policzki. Idę przed siebie i zostawiam głębokie ślady w śniegu. Próbuję je zasypać, ale to na nic.

20 grudnia 2013

Bruksela

– Dobra robota, żołnierzu – powiedział Reiper. – Wykonał pan zadanie wyśmienicie.

Objął George'a i popchnął go w stronę salonu, w którym George był dwanaście godzin wcześniej.

Żołnierzu. Co za słowo. I ten lekceważący ton. Przecież nie jest zwykłym żołnierzem. Jest generałem albo przynajmniej adiutantem, doradcą generałów. Pozytywny efekt zażycia porannej dawki kokainy minął. Gdyby nie to, pewnie powiedziałby Reiperowi, co o nim myśli, a potem odesłałby go razem z tym jego Digital Solutions do diabła. Reiper i jego kumple na pewno znają to miejsce. Niestety, w tej chwili nie czuje się najlepiej. Jest wyczerpany po nieprzespanej nocy i gwałtownym przyplywie adrenaliny, gdy rano włamywał się do komputera Klary. Przeraza go Reiper, jego banda, ich kontakty i środki, którymi dysponują. Nie odpowiedział więc, tylko skinął głową.

– Niechże pan siada, na miłość boską – powiedział Reiper. – To był bardzo produktywny ranek. Kawy?

George miał ochotę zdjąć buty i marynarkę, położyć się na kanapie i zasnąć. Właśnie tego potrzebował najbardziej. Jeszcze bardziej chciałby wstać, podać Reiperowi rękę i podziękować za współpracę, wsiąść do audi, włączyć muzykę i pojechać do swojego jasnego, czystego, wysprzątanego i ze smakiem urządzonego mieszkania. Wziąć prysznic, żeby pozbyć się resztek wspomnień o Digital Solutions, a potem położyć się na wygodnym łóżku firmy Hästens.

– Tak, poproszę – odparł.

– Świetnie. Zrobimy sobie debriefing. Wszystko wskazuje na to, że technika działa, przynajmniej tak to stąd widzimy. Wspaniale. Musi mi pan opowiedzieć, jak poszło.

– Na początku nic się nie działo. Zrobiłem to, co kazał mi Josh. Niestety, Klara wróciła wcześniej, niż się spodziewałem, więc musiałem się pośpieszyć.

Na samą myśl o tym, jak przekradł się do biura Boman, przeszedł go dreszcz.

– Okej – powiedział Reiper. Zmarszczył czoło i spojrzał na George'a swoim bazylijszkowym wzrokiem. – Widziała pana?

– Nie. Schowałem się w pokoju Boman. Na pewno mnie nie zauważyła. Rozmawiała przez telefon, więc mogłem spokojnie wyjść. Jestem tego pewien.

Dla George'a była to najważniejsza sprawa: zapewnić Reipera, że Klara go nie zauważyła i że spełnił powierzoną mu misję bez zarzutu. Wolał nie myśleć o karze, jaka spotkałaby go w wypadku niepowodzenia. Reiper milczał, jak gdyby zastanawiał się nad jego słowami. George wypił łyk kawy. Była okropna. Odstawił kubek na stół i w tym samym momencie otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła kobieta w jego wieku. Miała jasne włosy upięte w koński ogon. Reiper odwrócił się w jej stronę.

– Witaj, Kirsten – powiedział. – Jakieś wieści?

– Myślę, że złapaliśmy kontakt – odparła kobieta.

– E-mailowy?

– Telefoniczny. Uważamy, że to Shammosh, ale słyszymy tylko Klarę. Właśnie teraz z nim rozmawia.

Reiper odwrócił się do George'a.

– Proszę się zbierać, będziemy pana znowu potrzebować.

Reiper ruszył w stronę drzwi i machnął niecierpliwie na George'a, dając mu znak, żeby za nim poszedł. Przeszli do mniejszego pokoju znajdującego się obok pomieszczenia, które wyglądało na kuchnię. Być może kiedyś służyło jako mieszkanie służbowe, bo było nie większe od porządnej garderoby. Na końcu pokoju, przy niewielkim oknie wychodzącym na ogród, stało biurko, a na nim dwa monitory i laptop. Na krześle siedział Josh ze słuchawkami na uszach. Machnął George'owi ręką, dając mu znak, żeby usiadł obok, po czym podał mu drugą parę słuchawek. Na jednym z ekranów pojawiła się ścieżka dźwiękowa.

– Szczegóły są nieważne – poinstruował George'a Josh. – Musimy się skoncentrować na tym, gdzie jest Shammosh i gdzie mają się spotkać. Resztą zajmiemy się później.

George skinął głową. Wziął od Kirsten słuchawki i założył je na uszy. Josh odsunął od ucha jedną słuchawkę i odwrócił się do Reipera.

– Słyszę tylko ją, jego nie. Ale to na pewno Shammosh. Ona jedzie się z nim spotkać.

Dwie minuty później George zdjął słuchawki i podrapał się po głowie. Już trzeci raz podsłuchiwał rozmowę między Klarą a Mahmoudem.

– Nic więcej tam nie ma. Ona pyta, gdzie się spotkają, a on jej odpowiada. Ona nie powtarza nazwy tego miejsca. Słyszę tylko ją.

Josh skinął głową. Byli w pokoju sami. Reiper i Kirsten wyszli zaraz po tym, jak George przetłumaczył im rozmowę usłyszaną w telefonie.

– Możesz teraz iść i trochę się przespać – powiedział Josh. – Reiper cię wezwie, jeśli będzie cię potrzebował.

– To znaczy, że mogę pojechać do domu? – spytał George. Czuł, jak rodzi się w nim nadzieja. Żeby tylko mógł wrócić do swojego mieszkania, wziąć prysznic, przespać się. Może kiedy się obudzi, to szaleństwo zniknie raz na zawsze?

– Weź się w garść, chłopie. Nigdzie nie pojedziesz. Możesz się położyć na kanapie w salonie.

Josh odwrócił się od niego i pokręcił głową.

20 grudnia 2013

Bruksela

Nie wiedziała, jak długo czeka przed Zamkiem Królewskim. Dziesięć minut? Dwadzieścia? W końcu zauważyła Mahmouda po drugiej stronie wyłożonego kostką placu. Był prawie niewidoczny, gdy stał tak nieruchomo obok bramy prowadzącej do parku. Klara poczuła, że serce bije jej mocniej. Kiedy Mahmoud się upewnił, że Klara go zauważyła, uniósł prawą rękę i dał jej znak, żeby do niego podeszła. Potem spokojnie się odwrócił i ruszył w głąb parku.

Po rozmowie telefonicznej z Mahmoudem Klara siedziała przez chwilę w milczeniu. Boman wyjechała na weekend do domu. Nie było sensu zostawać dłużej w biurze. Wszystkie sprawy stały się nagle mniej ważne. Po tym, czego się dowiedziała o Cyrilu, czuła się oszołomiona i zagubiona. Nagle stało się dla niej oczywiste, że musi się spotkać z Mahmoudem.

Poprosił ją, aby z Parlamentu wyszła tylnym wyjściem. Jedyne takie wyjście, jakie знаła, prowadziło przez garaż i dlatego wybrała tę drogę. Potem pojechała metrem do Gare du Nord, a stamtąd taksówką do Zamku. Zrobiła dokładnie to, o co Mahmoud ją prosił. Nie zadawała zbędnych pytań, nie zastanawiała się nad jego słowami, bo i tak chciała wyjść z biura. Na dodatek Mahmoud brzmiał inaczej – był jakby samotny, zaniepokojony. Kolejny raz rozejrzała się wokół i ruszyła za nim przez park.

Stała między zaniedbanym szarym zamkiem a szeroką, wyłożoną kostką aleją oddzielającą zamek od parku i czuła się jak ofiara wystawiona na strzał. Rozejrzała się i upewniła, że jest sama. Doszła do wniosku, że Mahmoud cierpi na manię prześladowczą. Może to dlatego chciał się z nią spotkać właśnie tutaj?

Zauważyła go od razu po wejściu do parku. Czekał na nią na ławce przy żwirowej alejce. Wyglądał na zmęczonego, jakby się postarzał. Włosy miał krótsze niż kiedyś. Może nie tak krótkie, jak w dniu, w którym go poznała, gdy służył w wojsku i miał fryzurę zgodną z regulaminem, to znaczy na trzy milimetry. W każdym razie włosy były krótsze od falujących loków, które zapamiętała z okresu, gdy spotykali się w Uppsali.

Z wysiłkiem spojrzała mu w oczy, gdy wstawał z ławki. Wiele ją kosztowało, żeby o nim zapomnieć. A teraz znowu przed nią stoi. Mimo sińców świadczących o zmęczeniu były to te same oczy co kiedyś. Głębokie i tak niezależne, że można by je uznać za aroganckie. Nadal kryła się w nich pełna ironii inteligencja i ciepło. Mimo upływu lat będzie musiała się przed nimi bronić.

Mahmoud był nieogolony. Miał na sobie ciemny płaszcz pokryty zaschniętymi czerwobrunatnymi plamami. Pełno ich było na klapach i wzdłuż całego boku. Wyglądał okropnie, ale był tak samo przystojny jak kiedyś.

– Moody – zaczęła Klara, zatrzymując się przed nim. – Boże, co się stało?

Mahmoud uniósł rękę, jakby chciał ją uciszyć.

– Przepraszam – odparł szeptem – ale musisz mi dać swoją torebkę.

Klara spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

– Co takiego? Po co ci moja torebka?

– Nie prosiłbym o to bez powodu. Uwierz mi.

Klara podała mu z wahaniem swoją granatową torebkę marki Marc Jacobs.

– Przepraszam – powtórzył Mahmoud. Odwrócił się w stronę ławki i wysypał na nią zawartość torebki.

– Co ty wyprawiasz? – spytała zaniepokojonym głosem Klara.

Mahmoud zachowywał się tak, jakby w ogóle nie usłyszał jej pytania.

– Wyłączyłaś telefon, tak jak cię prosiłem? – spytał. Dokładnie przeglądał to, co znalazł w torebce: szminkę, portfel, tampony. Każdy pojedynczy przedmiot.

– Tak, wyłączyłam. Ale może byś mi wyjaśnił, co się dzieje?

Mahmoud spojrział na nią i zaczął wkładać jej rzeczy z powrotem do torebki.

– Wiem, że takie zachowanie może świadczyć o tym, że oszalałem, ale mam za sobą trudny okres. Unieś ręce.

Klara spojrzała na niego z wahaniem. W jego oczach ujrzała coś na kształt błagania. Coś, czego nigdy wcześniej u niego nie zauważyła. Dlatego nie sprzeciwiła się tej prośbie. Mahmoud wstał z ławki i podszedł do niej. Klara poczuła jego zapach i pomyślała, że albo używa tych samych perfum co dawniej, albo jest to jego naturalny zapach. Piżmo i jaśmin. Zapach był mniej intensywny od tego, który zapamiętała z dawnych czasów. Dominowała woń ziemi, potu i krwi. Mahmoud szybko przeszukał jej kieszenie, zajrzał pod płaszcz, do kieszeni spodni, przesunął dłońmi wzdłuż jej bioder. Na koniec sprawdził szwy na całej długości i szerokości ubrań. Kiedy skończył, zrobił krok do tyłu i spuścił wzrok.

– Przepraszam – powtórzył. – Uwierz mi, nie tak wyobrażałem sobie nasze pierwsze spotkanie od lat.

Usiadł na ławce i ukrył twarz w dłoniach. Klara usiadła ostrożnie obok niego. Objęła go niepewnie. Mimo to wypadło to całkiem naturalnie.

– Ponieważ mnie już przeszukałeś, to może będę mogła cię teraz przytulić? – spytała z uśmiechem.

Mahmoud spojrział na nią i odwzajemnił jej uśmiech.

– Pewnie myślisz, że zwariowałem?

Klara wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Czytałam twój e-mail z wiadomością, że jesteś w Brukseli.

Chrząknęła i spojrzała gdzieś ponad ogrodzenie.

– Nie wiedziałam, czy powinnam odpowiedzieć. Trudno mi się było zdecydować. Sam wiesz, między nami wszystko się skończyło. Bardzo dużo czasu zabrało mi oswojenie się z myślą, że nigdy się nie dowiem, dlaczego przestałeś mnie kochać. Trudno się z czymś takim pogodzić. Rozumiesz? Mówiąc szczerze, nie byłam pewna, czy chcę cię znowu spotkać.

Klara odwróciła się do niego. Mahmoud spuścił wzrok. Jedna noga drgała mu nerwowo. Widać było, że jest podenerwowany albo zestresowany.

– A teraz jesteś tutaj – kontynuowała Klara. – Co się stało?

Nagle Mahmoud podniósł się z ławki.

– Nie możemy tu rozmawiać – odparł. – Chodźmy stąd.

Ruszyli w głąb parku wśród gołych drzew, alejkami pokrytymi suchymi, zmrożonymi liśćmi. Słońce było blade i zimne, jakby znajdowało się jeszcze dalej niż zazwyczaj.

Klara milczała. W końcu Mahmoud zdobył się na odwagę i zaczął jej o wszystkim opowiadać: o swoich badaniach naukowych, o wyjazdach do Afganistanu i Iraku, o wiadomości, którą – jak się okazało – wysłał mu jego dawny kumpel z wojska, o konferencji i rozmowie telefonicznej, o spotkaniu w Muzeum Afrykańskim i o śmierci Lindmana. Opowiedział też o tym, co wydarzyło się w hotelu, i o nadajniku znalezionym w plecaku. Nie ukrywał przed nią niczego. Z jego ust płynęła opowieść, która przypominała fałę: z pozoru była spokojna, ale kryła się w niej przerażająca moc.

– To straszne – powiedziała Klara, gdy znaleźli się po drugiej stronie parku. – W co ty się wplątałeś?

– Sam nie wiem – odparł Mahmoud. – Lindman miał chyba jakieś informacje. Ktoś chciał mu je odebrać i dlatego go zamordował, a teraz gotów jest zabić także mnie.

– Może to Amerykanie, dla których pracował?

– Nie wiem.

Mahmoud wyciągnął portfel i wyjął z niego zwitek papieru.

– Wiem tylko tyle, że Lindman wspomniał o dworcu kolejowym w Paryżu. Chyba coś ukrył w przechowalni. Od tego chciałbym zacząć.

Mahmoud zatrzymał taksówkę, otworzył tylne drzwi i spojrzał na Klarę pytającym wzrokiem.

– Nie zamierzam zabierać cię do Paryża, ale może masz dzisiaj trochę czasu? – Wziął głęboki oddech. Chyba poczerwieniał na twarzy. – Jestem ci winien wyjaśnienie. Zabrzmi to zabawnie, ale ma ono coś wspólnego z Lindmanem.

Czerwiec 2002

Karlsborg

Uczucie euforii, efekt działania endorfin. Wszystko to jest tak niewyobrażalne i namacalne, że każdy z nich doświadcza smaku wolności, który miesza się z zapachem pasty do butów i smaru do czyszczenia broni, koca i środków dezynfekcyjnych. Odczucia te są tak gwałtowne i rzeczywiste, że poczucie swobody i wolności przebija się nawet przez smak wódki. Mieszają ją z fantą i piją z zielonych menażek, które mają od pierwszego dnia. Były z nimi podczas trwających dwa tygodnie przemarszów i nieustannych ćwiczeń, które mają im pomóc przeżyć w trudnych warunkach, w temperaturze sięgającej minus dwudziestu stopni, gdzieś w Norrlandzie, w okolicach Kebnekaise albo nawet dalej, w samolocie, podczas pierwszego skoku na spadochronie i w wielu innych sytuacjach. Wszyscy się śmieją, każdy ma jakieś przezwisko. Opowiadają sobie różne historie o ćwiczeniach, skokach z samolotu, przemarzniętych palcach, marszach z pełnym obciążeniem. Każdą z tych historii zapamiętują, a potem je upiększają. W sposób perfekcyjny dbają o broń, stoją na warcie, mają za sobą bezsenne noce i wczesne pobudki.

Przez cały czas jest jak za pierwszym razem. Czują się tak, jakby dopiero się spotkali, przeżywają coś w rodzaju zauroczenia. Jakby nigdy się ze sobą nie rozstawali. Dziś wieczorem wszystko zobaczą w nowym świetle. Po raz pierwszy opanuje ich nostalgia albo sentyment. Zmagają się ze sobą, czują ciepło i siłę bijące od ich ciał. Piętnaście miesięcy fizycznej bliskości. Wiedzą, że już nigdy więcej tego nie doświadczą, ani z dziewczynami, ani z żonami, ani z dziećmi. Przynajmniej nie tak, jak tutaj, nie w ten sposób. Pocierają dłońmi krótkie na trzy milimetry włosy. Czują ulgę, że mają to już za sobą, a jednocześnie trudno im uwierzyć, że to naprawdę koniec.

Mahmoud opiera się o pryczę. Na chwilę się wyłącza, testosteron przestaje działać. Zamyka oczy i czuje, jak wódka uderza mu do głowy, a beret uciska skronie. Chce mu się płakać. Szkoda, że mama nie może go teraz widzieć. Nieważne, że by tego nie zrozumiała. Nikt by nie zrozumiał, przez co musiał przejść i czego dokonał.

W tym fachu wymagana jest surowa dyscyplina. Koncentracja. Wykazał się odwagą, silną wolą i wytrwałością. Wzniósł się ponad nieufność i przezwiska. Przez pierwsze dwa miesiące dowódcy wołali na niego „Bin Laden”. Ktoś wypisywał na jego szafce grubym czarnym flamastrem słowa: *Al Kaida. Raghead. Allahu akbar*. Działo się tak przez pierwsze tygodnie każdego ranka. Czasem obok napisu pojawiała się swastyka. Codziennie wstawał pół godziny przed innymi i zmuszał się, żeby zmywać te paskudztwa z szafki. Udawał, że nie słyszy komentarzy wypowiedzianych za jego plecami i nie zauważa, że za każdym razem, gdy wchodzi do sali, zapada nagłe milczenie. Nie poddał się. Przeciwnie, stawał się coraz silniejszy i coraz bardziej pewny siebie. W końcu stał się lepszy i twardszy od innych, więc przestali go ignorować. Niepostrzeżenie stał się jednym z nich. Przestali na niego wołać Bin Laden, od tej pory był Shammoshem. Zauważył, że zaczęli mu ufać, a nawet darzyć go respektem. W końcu poczuł, że niczym się od nich nie różni.

I właśnie teraz, pośród tych młodych głosów, które zna lepiej niż cokolwiek innego, czuje się tak, jakby zdobył złoty medal olimpijski. Swoje zrobił też alkohol. Dla niego jest to wyczyn wykraczający poza wszelką zdolność pojmwania.

– Shammosh! Spadamy!

Czuje, jak czyjeś ręce unoszą się nad pryczę, żeby go złapać i wyciągnąć z sali. Rozlewa grog na swoje lewisy, ale nawet tego nie zauważa. Wszyscy tańczą, bije od nich tłumiona wcześniej męska energia. Za chwilę wentyle bezpieczeństwa mogą puścić, więc lepiej stąd zniknąć. Jak najdalej od koszar. Dokądkolwiek. Chętnie zatrzymaliby na pamiątkę berety, ale poczucie dyscypliny bierze górę, więc wkładają je do szafek, a potem idą na miasto. Jest wieczór. Ich głosy rozchodzą się triumfalnym echem w panującej wokół ciszy.

W barze jest pełno licealistek i kasjerek z ICA. Chłopcy z koszar wiedzą, że nie potrzebują tu swoich ukochanych beretów. Wszyscy i tak widzą, kim są. Łatwo to poznać po ich oczach, postawie. W ich żołnierskim żargonie i pewnym sobie zachowaniu jest coś mitycznego. Bije od nich siła i zdecydowanie. Znajdują stolik na tarasie przy wodzie i po chwili jakiś niedobitek z zakończonej niedawno konferencji stawia im kolejkę. To jeden z tych wieczorów, gdy zmierzch trwa przez całą wieczność i sprawia, że jarzą się srebrem i wodą, rosną i unoszą się nad ziemią.

Mahmoud przechodzi do barku. Czuje się tak, jakby podłoga usuwała mu się spod nóg. Przez piętnaście miesięcy nie miał w ustach kropli alkoholu. Za to teraz może wypić, ile tylko chce. Potyka się i opiera o kontuar. Musi zapanować nad językiem. Kręci głową. Nazywa się Mahmoud Shammosh i pochodzi z Alby. Nazywa się Mahmoud Shammosh i jest spadochroniarzem, który służył w jednostce desantowej. Wkrótce rozpocznie studia prawnicze na uniwersytecie w Uppsali. Mahmoud Shammosh, niezwyciężony.

– Jesteś spadochroniarzem, prawda?

Głos przebija się przez hałas i muzykę w barze. Rozlega się blisko niego, tuż przy jego uchu. Mahmoud odwraca głowę, odpowiada i dopiero potem patrzy, kto mu zadał pytanie.

– Jestem niezwyciężony.

Obok stoi jakiś mężczyzna. Jest mniej więcej dziesięć lat starszy od niego. Ma na sobie ciemny garnitur. Do tego sztywno zawiązany krawat, którego nie poluzował, choć jest już późno. Gładka, starannie wyprasowana biała koszula. Twarz ma wąską, podłużną, wzrok czujny. Uśmiecha się do Mahmouda, a na jego policzku robi się dołeczek. Ma krótko obcięte jasne włosy i niebieskie oczy. Bije z nich coś więcej niż zwykła ciekawość.

– No, proszę – mówi mężczyzna. – Niezwyciężony. Coś takiego.

To jego spojrzenie. Patrzy Mahmoudowi wesoło prosto w oczy. Można powiedzieć, że ma bezwstydną spojrzenie. Jego wzrok mówi, że to Mahmoud ma podjąć decyzję i jeśli nie odejdzie, będzie to oznaczać, że się zdecydował.

– *Jupp* – potwierdza Mahmoud. – Niezwyciężony. Jestem spadochroniarzem. Czy wiesz, jacy jesteśmy twardzi?

Mahmoud walczy z językiem, stara się nie połykać głosek. Wie, że powinien stąd wyjść, bo takie wizyty w barze zawsze źle się kończą.

– Wow! – woła mężczyzna. Zakrywa usta dłonią i mruga na niego. – A jak twardzi, żołnierzu?

– Cholernie twardzi.

To, czego doświadczał na początku, teraz próbuje się z niego wydostać, z odrętwienia i odrzucenia, z dawnych kryjówek. Nie broni się przed tym. Zgadza się, żeby alkohol złagodził to, co dzieje się w jego wnętrzu, chce, żeby ogarnęło go uczucie całkowitej swobody. Niech doświadczy tego, że jest niezwyknięty. Nagle czuje, że dostał erekcji.

– Nocujesz w tym hotelu? – pyta Mahmoud.

Tak po prostu, jakby nigdy nic innego nie robił. Jest tego wart. Właśnie on. Wszystko się skończyło. Wszystkie gry i dowody. Jest beretem. Jest nim tutaj.

– Nie owijasz w bawełnę, żołnierzu – mówi z szerokim uśmiechem nieznajomy. – To mi się podoba.

Nie tracą czasu. Wymykają się z baru, przechodzą do recepcji, wchodzą po laminowanych schodach na drugie piętro. Mahmoud ma w ustach smak piwa, czuje świeży zapach drewna i farby, który ma stłumić zapach pleśni. Potyka się na schodach. Stopnie wymykają mu się spod nóg, odnosi wrażenie, że prowadzą go do dziwnych miejsc, że mają jakiś pozaziemski kształt. Otwierają jakieś drzwi, wchodzą na korytarz. To jakiś skomplikowany labirynt, zaczarowany pałac. W końcu wtaczają się przez drzwi, które się za nimi zamykają, tworząc wrażenie próżni. Pojawia się uczucie hermetycznego zamknięcia.

Nie ma czasu, żeby odzyskać grunt pod nogami. Fale wznoszą się i opadają, i grożą, że go porwą. Jedna z nich popycha go i przewraca na łóżko. Jakieś zręczne palce grzebią przy jego pasku i guzikach. Usta, wargi, zęby, pocałunki... ssanie i gryzienie. Dłonie pieszczące uda i pierś, pożądanie, sztywne członki. Nagie ciała dotykają się i pieszczą, uciskają jedno drugie. Mahmoud nie protestuje. W końcu się poddaje i pozwala sobie na rzeczy, na które nigdy by się nie odważył. Daje się unieść i pochłonać fali.

Potem nagle trzeźwieje. Jasna letnia noc nie jest już tak magiczna, niezwykła albo pozaziemska. Jest zimna, biała i aż nazbyt wyraźna. Obok niego leży mężczyzna owinięty w tanią kołdrę. Odwraca się w jego stronę i patrzy na niego. Na jego pokrytej rzadkimi włosami piersi widać kilka siwych kępek. Dołeczki w policzkach. I oczy, które nie dają Mahmoudowi spokoju.

– Muszę już iść – mówi Mahmoud. – Muszę wracać do koszar.

Milknie. To koniec. Jest już późno. Ich czas się skończył.

– Naprawdę muszę iść.

Wstaje z łóżka, zakłada majtki i dżinsy. Przeciąga przez głowę białą koszulkę. Strzepuje krople wódki z koszuli. Nawet nie zawiązuje butów, tylko potykając się, idzie do drzwi.

– Czy mogę do ciebie zadzwonić? – pyta mężczyzna.

Mahmoud kładzie rękę na klamce, uchyla drzwi. Robi to tak patetycznym i zbyt pospiesznym gestem, że sam nie wie, co ma odpowiedzieć. Nie zastanawia się zbyt długo i szybko podaje mężczyźnie swój numer telefonu. Ma nadzieję, że tamten go nie zapamięta, ale ma też nadzieję, że jednak do niego zadzwoni, nie tylko teraz, ale także kiedyś, że będzie dzwonił zawsze.

Wieczór, noc i ranek to stan poza czasem. To pełna triumfu chwila, wstydliva i uwalniająca, która czyni z człowieka niewolnika. Brakuje w niej markerów i odnośników. To bezdenne, pozbawione ciężaru brzemie. Słabo zna Karlsborg. To tylko wspomnienie bez

żadnej głębi. Jak *déjà vu*. Jest zdumiony, że bez problemu znajduje drogę do koszar. Dziwi go też, że ma w kieszeni przepustkę, że strażnik go przepuszcza i że jest tym samym człowiekiem co chłopak, który bardzo się stara, aby na zdjęciu wyglądać normalnie.

W chwili, gdy wchodzi do sali, wie, że jest już po wszystkim. Widzi zapalone jarzeniówki i kolegów z oddziału, którzy jeszcze nie śpią. Domyśla się powodu ciszy i uśmiezków na ich twarzach, spuszczonego oczu. Narasta w nim dawne poczucie wyobcowania, z każdą chwilą, z każdym niewypowiedzianym słowem, z każdym oddechem, z każdą upływającą chwilą, gdy tak stoi w drzwiach i milczy, jak jakiś złodziej schwytyany na gorącym uczynku, z koszulą wystającą ze spodni. W końcu dociera do niego, że od tego momentu nie ma już odwrotu, a wyobcowanie ma różne oblicza.

Milczenie przerywa Lindman, który wstaje z dolnej pryczy i prezentuje się w całej swej okazałości – dwa metry wzrostu, sto dziesięć kilogramów wagi, toporny kawał mięsa. Idzie w jego stronę, kołyszając się na nogach, zatrzymuje się tuż przed nim. Mahmoud czuje na twarzy jego oddech, jedzie od niego wódką i piwem.

– No, proszę – zaczyna Lindman. – Wiedzieliśmy, że ruchasz wielbłądy, Bin Laden, ale nie wiedzieliśmy, że dobierasz się też do tyłków ludziom.

W sali słychać chichoty i głośny śmiech. Glans i Petrov słabo protestują: „Daj mu spokój”. To żadne pocieszenie, bo tamte dwa zdania od razu wymazały piętnaście miesięcy asymilacji z oddziałem.

Mahmoud stoi i milczy. Czuje, że ogarnia go ogromne zmęczenie. Powinien był tam zostać. Co go podkusiło, żeby tu wrócić?

– O czym ty gadasz? – pyta w końcu.

Patrzy Lindmanowi prosto w jego niebieskie szwedzkie oczy. Dwaj inni też wstali z łóżek. To Malm i Svensson. Dołączają do nich Landskog i Torsson. Kierują się w jego stronę.

– O czym gadam? – Lindman odwraca się z uśmiechem w stronę statystów, którzy odgrywają rolę greckiego chóru. – Mówię o tym, że jesteś zwykłym pedziem, Bin Laden. Właśnie o tym mówię.

– Nie udawaj, Shammosh. Widzieliśmy cię w barze z tamtym homosiem. Ulotniliście się razem.

To Glans. Oczy ma skierowane na górną pryczę. Glans, z którym stał na warcie; razem zmagali się z różnymi problemami. Shammosh pomagał mu, gdy otarł sobie nogi, uczył go, jak czytać mapę, bo Glans nie był w tym dobry. Teraz nic z tego nie zostało.

W tym momencie odzywa się telefon, który ma w kieszeni džinsów. Dostał dwa esemesy. Zanim zdąży zareagować, ktoś chwyta go z tyłu za rękę, jakby na umówiony sygnał. Lindman podchodzi jeszcze bliżej i wkłada mu rękę do kieszeni. Szuka czegoś, aż w końcu znajduje. Triumfalnym gestem wyjmuje nokię. Kilka szybkich kliknięć w klawiaturę. Zwycięstwo.

– „Dzięki za ostatnią noc, żołnierzu” – czyta Lindman. – „Nie żartowałeś, naprawdę jesteś twardy. Pozdrawiam”.

W tym miejscu dla wzmocnienia efektu robi przerwę.

– „Pozdrawiam. Jonas”.

Rozlega się głośny śmiech, cała sala eksploduje obrzydliwym poczuciem triumfu.

Przyciskają go do wykładziny, a on nawet się nie broni. Przygniatają go, czuje ich oddechy.

– Bin Laden, kurwa mać! – syczy mu do ucha Lindman. – Kurwa, człowieku, przecież to obrzydliwe. Czy Jonas porządnie cię wyruchał? No, powiedz!

Ciągną go i szarpia, każdy w swoją stronę. Najwyraźniej nie wiedzą, co z nim zrobić, jaką karę mu wymierzyć. W końcu prowadzą go pod prysznic. Mahmoud czuje, jak ściągają mu koszulę, koszulkę i rozrywają je na strzępy. Potem ściągają mu dzinsy, aż za kolana. Polewają go wodą, biją i kopią. Potem leży nagi na podłodze ze spodniami spuszczoneymi do kolan, z prysznicą leje się na niego zimna woda. Wokół siebie słyszy ostre, podniesione głosy. A przecież wydawało mu się, że ma ich po swojej stronie. Teraz wie, że sam to sobie wmówił, bo każdy z nich mówi mu to samo, tyle że na różne sposoby: dla takich jak ty nie ma zmiłowania ani szacunku. Nie ma niczego.

20 grudnia 2013

Bruksela

– Pierwsza klasa? – zdziwił się Mahmoud. – W drugiej nie było miejsc?

Położył plecak na ziemi i spojrzał przez okno przedziału. Szary peron wypełniał się podróżnymi. Klara zajęła miejsce przy wejściu i odsunęła z czoła pasemko włosów.

– Nie wiem. Pomyślałam, że w pierwszej klasie będzie mniej ludzi. Wszystko wskazuje na to, że jesteś poszukiwany przez policję.

– Niedługo i ciebie będą szukać – mruknął Mahmoud.

Nie chciał, żeby Klara z nim jechała, ale sama to zaproponowała i nalegała, żeby ją zabrał. Zrobiła to w taksówce, jak już wszystko jej wyznał. Powinien był to zrobić kilka lat wcześniej, za pierwszym razem, gdy ją ujrzał, a nie dopiero teraz, w Brukseli, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Czuł się jak idiota albo zwykły samolub. Narażanie jej na niebezpieczeństwo było ostatnią rzeczą, jakiej chciał.

W końcu Klara zrezygnowała. Rozłożyła ręce i powiedziała:

– Okej, zrobimy, jak uważasz.

Wróciła z kasy i wtedy się okazało, że kupiła bilety dla nich obojga. Chyba w ogóle się nie zmieniła. Dalej robiła, co chciała. Mimo to Mahmoud poczuł ulgę. Czuł się taki samotny, ścigany. Ostatnia doba przypominała prawdziwy koszmar. Teraz pojedą pierwszą klasą TGV do Paryża, tam złapie oddech. Wiedział, że jest jej winien więcej i że nigdy nie zdoła się w pełni odwdziaczyć.

– Co powiedziałeś? – spytała Klara.

– Powiedziałem, że jeśli będziesz się mnie trzymać, to i ciebie zaczną niedługo poszukiwać.

– *Whatever* – odparła, popijając wodę kupioną na stacji.

– Może być znacznie gorzej. Zauważyłem, że oni nie wkładają palców między drzwi.

Mahmoud wyjrzał na peron. Zardzewiałe tory i chwasty skute mrozem, graffiti i opuszczone szare budynki.

Odwrócił się w końcu od okna i poczuł na sobie wzrok Klary. Spojrzał jej prosto w oczy. Kiedyś był wobec nich bezbronny, ich błękitna głębia sprawiała, że Klara zdobyła nad nim nieograniczoną władzę. Pociąg wytoczył się ze stacji i przyspieszył. Krajobrazy za oknem zaczęły przypominać spękane płótno.

– Zmieniłeś się – powiedziała Klara. – Wyglądasz zupełnie inaczej.

Mahmoud podrapał się po zarośniętym policzku i przeciągnął dłonią po przepoconych, potarganych włosach.

– Nie chodzi mi o włosy – sprecyzowała Klara. – A właściwie nie tylko o włosy. Wszystko w tobie jest inne: postawa, oczy. Postarzałeś się.

– To była bardzo długa doba – odparł Mahmoud.

Klara skinęła głową.

– Kilka tygodni temu widziałam cię w CNN. Gabriella przesłała mi nagranie. Dobrze ci się wiedzie.

– Mam wrażenie, że to było sto lat temu.

– Świetnie wypadasz w telewizji. Kamery cię kochają – powiedziała Klara i mrugnęła do niego. – Ale teraz media zainteresują się tobą o wiele bardziej, niżbyś sobie tego życzył.

Mahmoud roześmiał się głośno.

– No, w końcu udało mi się sprawić, że się uśmiechnąłeś – powiedziała Klara.

Wyciągnęła prawą rękę i ostrożnie, czule go pogłaskała. Potem powoli opuściła rękę i chwyciła go za dłoń. Mahmoud poczuł, że schodzi z niego napięcie. Uścisnął ją, może trochę za mocno, ale Klara nie protestowała.

– To chyba niezbyt właściwy moment na takie rzeczy, ale... – zaczęła. Zamrugwała, poczuła się nagle taka mała. – Boże, teraz brzmi to tak banalnie. Zresztą nieważne.

Umilkła.

– Masz rację – odparł Mahmoud.

Przyłożył drugą rękę do jej policzka, ujął ją delikatnie za brodę i odwrócił jej twarz ku sobie.

– Oczywiście, że cię kochałem, bardziej niż kogokolwiek innego. Nie o to chodzi. Poza tym pociągałem cię fizycznie.

– Nie pochlebiaj sobie.

– Ciągle jednak miałem wrażenie, że czegoś mi brakuje. Sam nie wiem. Nie da się tego tak łatwo wyjaśnić. Już wtedy, gdy byłem nastolatkiem, podobali mi się chłopcy, to znaczy, t e ż mi się podobali. A wtedy, w Alby... Nikt się takimi rzeczami głośno nie chwali. Potem ta historia w Karlsborgu... Teraz już wiesz, jak było. Kiedy cię poznałem, pomyślałem, że w końcu mi się jakoś ułoży, że stanę się normalny. Co mogę dodać? Tak to postrzegałem. Nigdy nie dawało mi to spokoju.

Mahmoud zamilkł. Oboje popatrzyli na siebie. Pociąg pędził prawie z maksymalną prędkością, od Paryża dzieliła ich niecała godzina jazdy.

– Wszystko się ułoży, Moody – powiedziała Klara. – Jakoś sobie z tym poradzimy. Okej?

Mahmoud skinął głową i zamknął oczy, aby ukryć łzy. Klara oparła się o niego. Poczł zapach jej ciała, perfum, szamponu do włosów.

Maj 2003

Afganistan

Kiedy kamera robi zbliżenie na wiszącą na pomoście lotniskowca czerwono-białą flagę, oddalam się od wiwatującego, podekscytowanego tłumu i wchodzę na piaszczysty dziedziniec tymczasowych koszar, żeby odetchnąć. Wieczór jest ciepły, łagodny, upał przestał doskwierać, temperatura jest jak szept słabej bryzy. Basowe odgłosy dochodzące od strony generatora mieszają się z dźwiękami hymnu narodowego, trzaskaniem butelek z piwem. Czuję, że robi mi się niedobrze, nie mogę powstrzymać nudności. Może zjadłem coś nieświeżego? Może jestem zmęczony? Może moje ciało reaguje w ten sposób na to, w co się zmieniliśmy?

Nie mogę już dłużej oglądać wystąpienia prezydenta w telewizji, ogarnia mnie niepokój, a ostatni spektakl sprawia, że zaczynam się czuć po prostu źle. *Mission accomplished*. Zarówno tutaj, jak i w Iraku, tak przynajmniej twierdzi minister obrony. Półtora miesiąca temu trzymałem w ramionach mojego młodego towarzysza, który miał chyba zbyt patriotyczne nastawienie. Umierał na moich oczach na piasku, w otoczeniu strasznych, bezlitosnych gór. Jego krew była wszędzie: na ziemi, na moich rękach i koszuli. Kochał niemieckie piwo i Amerykę, Harvard Law School i soccer. W jego oczach płonął idealizm. Jak brzmi to słynne powiedzenie? Że pierwszą ofiarą wojny jest niewinność? Jak długo tam był? Miesiąc? Przestałem liczyć miesiące i trupy.

Słyszę, jak tłum wznosi triumfalne okrzyki. Świątują iluzoryczne zwycięstwo, pozory, drżący hologram, kłamstwo ogłaszane w tak fatalny sposób, że sama wiara w to, iż ktoś w nie uwierzy, jest uwłaczająca. Ale dziś wieczorem na nic więcej ich nie stać. Po miesiącach spędzonych w ciągłym napięciu potrzebują graniczącej z dziecięcą naiwnością uproszczonej symboliki. Jak długo to potrwa? Czy aż do momentu, kiedy zaczną umierać w pyle i kurzu, a ich niezabezpieczone w żaden sposób dżipy zaczną wylatywać w powietrze, rozrzucając fragmenty ciał w promieniu setek metrów? Co wiedzą o cmentarzyskach imperiów?

Kucam oparty plecami o falistą blachę i dużymi łykami pijam coronę. Znowu piję. Piętnaście lat temu siedziałem w tych górach, niedaleko stąd, ze studentami talibami. Piętnaście lat temu dałem im broń, zdjęcia satelitarne, przekazałem wiedzę o wojnie asymetrycznej, obiecywałem przyjaźń. Minęło piętnaście lat. Osiemnaście lat temu obiecałem pewnemu człowiekowi na promie w Sztokholmie totalną zagładę. Jeśli zastanawiacie się, dlaczego jesteśmy aż tak bardzo pewni, że tamci mają broń masowego rażenia, odpowiedź jest prosta: bo sami im ją przekazaliśmy. Teraz zbieramy to, co kiedyś posialiśmy. Piasek, krew, całą masę kłamstw. Siejemy chaos, którego owocem jest jakieś nowe status quo.

Zauważam go dopiero wtedy, gdy przy mnie staje. Wieczorne słońce oświetla jego białą bliznę. Jest blady, jakby porowaty. Włosy ma krótko ostrzyżone, widać pierwsze zakola.

Tak jak ja jest ubrany w źle dopasowany mundur polowy bez dystynkcji. Szpieg na wojnie. Wypija trochę piwa i zakrywa usta, czeka, aż mu się odbije. Wygląda na zadowolonego. To jego kraj, jego wojna.

– Co za wspaniałe brednie – mówi. Powoli się przeciąga, a na jego ustach pojawia się słaby uśmiech. Nie odpowiadam. – Bush na pieprzonym okręcie. Cudowne, bezsensowne brednie.

Rzuca butelkę po piwie, żeby trafić w stojący dziesięć metrów od nas kontener na śmieci. Butelka spada z brzękiem na ziemię, ale nie tłucze się.

Kiwam lekko głową na znak, że się z nim zgadzam.

– Chcesz jeszcze jedno piwo? – rzuca przez ramię.

Kręcę przecząco głową.

– To się nie trzyma kupy – mówię.

Wstaje i odwraca się do mnie. Unosi brwi i z udanym lub prawdziwym zdziwieniem pyta:

– Co się nie trzyma kupy?

Nie patrzę na niego, tylko na wieczorne słońce. Jego promienie odbijają się od zakurzonych szyb dżipów.

– Wiesz, co mam na myśli. Metody prowadzenia przesłuchań. Sposób traktowania więźniów w pomieszczeniach, gdzie są przesłuchiwani. To się nie trzyma kupy.

Odchodzi od drzwi i podchodzi od mnie. W kącikach jego ust pojawia się słaby uśmiech.

– Nawet jeśli te metody dają określone wyniki, to i tak są zbyt brutalne – kontynuuję. – Ci ludzie zeznają wszystko, żeby tylko uniknąć bólu. Przyznają się do każdego zarzutu. Takim przesłuchaniom nie ma co ufać.

– Bzdury – odpowiada, patrząc mi prosto w oczy. – Widziałeś rezultaty. Od kiedy stosujemy wzmocnione techniki przesłuchań, nasza wiedza zwiększyła się czterokrotnie. Zdobyliśmy więcej broni, wiemy więcej o ich przywódcach i o tym, co planują.

Robi krok do tyłu i mierzy mnie wzrokiem.

– Czyżbyś przestał sobie z tym radzić? – pyta.

– Nie, nie przestałem sobie z tym radzić. Twierdzą tylko, że te metody są niehumanitarne i nie są stuprocentowo skuteczne. To wszystko. Udaje nam się ich złamać, ale w zamian nie otrzymujemy nic, czemu moglibyśmy zaufać. Każde śledztwo na to wskazuje.

– Śledztwo? – syczy. – Jakie, kurwa, śledztwo? Doktoryzowałeś się z technik prowadzenia przesłuchań? Tu toczy się wojna, chyba to zauważyłeś. Bez względu na to, co prezydent powie w telewizji. Wojna, jasne? Zjesz albo ciebie zjedzą. Jeśli to do ciebie nie dotarło, to wsiądź w pierwszy lepszy samolot i zabieraj się do domu, a już jutro będziesz mógł poczytać sobie w Langley ostatni wstępniak w „New York Timesie”. Tutaj robimy to, co daje wyniki, co się sprawdza. I okazuje się, że to działa. Nietrudno to chyba zrozumieć.

– Przeciwnie, to w ogóle nie działa!

Nie chciałem podnosić głosu, ale jego bazyliżkowate oczy i żądza krwi wzmagają moją złość. Tacy jak on mają teraz przewagę. Specjaliści od akumulatorów i elektrod. Od czasu, gdy byłem w Kurdystanie, wszystko się zmieniło.

Mój towarzysz przygląda mi się uważnie, więc nawet nie staram się zapanować nad

gniewem. Kopię w ziemię, a w moim spojrzeniu trudno byłoby doszukać się empatii. Oboje uważnie się sobie przyglądamy. Słysząc szum telewizora i hałas dobiegający od strony wiwatującego tłumu. Czuć zapach wiosny i smażonego jedzenia.

On odpuszcza pierwszy.

– Lepiej wracaj do domu – mówi. – Twój czas się skończył, jeśli nie potrafisz już podejmować trudnych decyzji. Spakuj się i wracaj.

Nie odzywam się, tylko patrzę na niego spokojnym wzrokiem.

– Chyba sam rozumiesz, że mam rację?

Robi krok w moją stronę, czuję na twarzy jego oddech. Czuć go piwem, kurzem i tytoniem.

– Zawsze byłeś zwykłą ciotą – syczy. – Zauważyłem to już w Iraku. Zwykłą ciotą. Lepiej zarezerwuj sobie miejsce w najbliższym samolocie z Kabulu. Nic tu po tobie.

Splunął na ziemię, odwrócił się i odszedł w stronę tłumu, nie oglądając się za siebie. Czy właśnie tak się to kończy?

20 grudnia 2013

Sztokholm

Gabriella wysiadła z taksówki przed wejściem do Albert and Jack's Bakery and Deli na Skeppsbron. Firma sąsiaduje przez ścianę z kancelarią adwokacką Lindblad & Wiman. W połowie drogi na trzecie piętro, gdzie mieściła się kawiarnia, Gabriella się rozmyśliła. Było po trzeciej, a ona nie jadła jeszcze lunchu. Uznała jednak, że nie jest już głodna. Niepokój, który ją ogarnął, zdawał się tłumić wszystkie inne funkcje życiowe.

Mahmoud, pomyślała, co tu jest grane?

Bronzelius poprosił ją, żeby się z nim skontaktowała, jeśli Mahmoud da o sobie znać. Twierdził, że może to ułatwić całą sprawę. Powiedział, że policja bezpieczeństwa jest przekonana, iż doszło do nieporozumienia. Wystarczy więc, że Mahmoud się zgłosi i dokładnie opowie, co się stało. Dzięki temu być może uda się załatwić sprawę w sposób nieformalny.

Gabriella westchnęła. Sama już nie wie, co o tym myśleć. Poczowała ulgę, słysząc, że zdaniem policji Mahmoud jest niewinny.

Śnieg wymieszany z deszczem padał na jej grubą czerwoną kurtkę. Wyszła na ulicę. Ciemne chmury wisiały nad Djurgården i kanałem prowadzącym w głąb Sztokholmu. Jak na razie grudzień był bezlitosny.

Usiadła przed komputerem z westchnieniem i zaczęła odpisywać na e-maile, których nie miała wcześniej czasu przejrzeć w swoim blackberry, gdy wracała taksówką z sądu. Nie mogła się jednak skupić, więc odsunęła się od ekranu. Wysokie okna w jej pokoju wychodziły na czerwoną fasadę stojącego po drugiej stronie ulicy Ferkens Gränd budynku z osiemnastego wieku.

Wyjęła telefon, żeby w końcu dodzwonić się do Mahmouda. Próbowwała już kilkanaście razy, ale bez powodzenia. Tym razem też nie odebrał. Zadzwoiła więc do Klary, ale efekt był podobny.

Cholera. Co tu się dzieje?

– Dlaczego siedzę tu głodna, z telefonem przy uchu, w policyjnej bluzie? – powiedziała na głos.

Drgnęła i oderwała wzrok od ekranu monitora. W drzwiach stał Hans Wiman. Wpatrywał się w nią swoimi inteligentnymi szarymi oczami, znanymi jej z licznych konferencji prasowych i porannych zebrań. Wiman lubił używać słowa „bluzaki”. Nazywał tak osoby wykonujące zawody, w których noszenie garnituru albo przynajmniej marynarki nie jest konieczne.

On sam zawsze chodził w garniturach od Zegny albo Armaniego. Gabriella musiała od czasu do czasu przyjść do pracy w sobotę albo w niedzielę. Zauważyła wtedy, że ubierał się tak także w weekendy.

Pierwszym sygnałem, że czyjaś kariera w Lindblad & Wiman dobiega końca, było nazwanie kogoś przez Wimana „bluzakiem”. Po kilku tygodniach albo miesiącach

nieszczęśnik dowiadywał się, że już nie pracuje w kancelarii. Nie było to oficjalne wypowiedzenie, bo zarząd kancelarii nie był aż tak pozbawiony taktu. Należało to po prostu potraktować jako wyraźny sygnał, iż trzeba zacząć szukać sobie nowego zajęcia.

– Policja bezpieczeństwa? – spytała Gabriella.

Na coś takiego nie była przygotowana. W ciągu kilku sekund przeprowadziła w myślach błyskawiczną analizę. Jeśli ktoś z Säpo rozmawiał z Wimanem, to na pewno już wiedzą, że ona zna poszukiwanego „terrorystę” albo „żołnierza jednostek specjalnych” – w zależności od gazetowej terminologii – Mahmouda Shamosha. Lepiej będzie wyłożyć karty na stół.

– Chodzi o Shamosha? – spytała.

– Chodzi o ciebie – odparł Wiman. Nie spuszczał z niej wzroku.

– O mnie?

Gabriella przełknęła ślinę. Jeśli coś może zrujnować jej karierę, to na pewno śledztwo prowadzone przez policję bezpieczeństwa. Wiman potwierdził skinieniem głowy. Miał taką minę, jakby jej zdenerwowanie sprawiało mu przyjemność. Czy to jakiś test?

– Rozmawiałem z niejakim Bronzeliusem. Wspomnił, że spotkał się z tobą w sądzie.

Gabriella chrząknęła. Dlaczego czuje się winna? Przecież nie zrobiła nic złego.

– To prawda. Zaczepił mnie dziś rano i wypytywał o mojego znajomego, Mahmouda Shamosha. Podobno jest poszukiwany za zabójstwo w Belgii.

– Doktorant Zabójca – powiedział Wiman i słabo się uśmiechnął. Najwidoczniej popołudniówki opublikowały jakieś nowe, zdobyte w ciągu ostatnich godzin informacje o sprawie Mahmouda.

– Zdarza się, że gazety docierają do źródeł – dodał.

Gabriella nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

– Masz ciekawych przyjaciół – kontynuował Wiman. – Na przykład terrorystę.

Słowo to wypowiedział tak, jakby się nim rozkoszował.

– Czego jeszcze dowiem się o twojej przeszłości? Czy są w niej jacyś kasiarze, złodzieje, gwałciciele?

Gabriella się zaczerwieniła. Nie dlatego, że było jej wstyd z powodu Mahmouda, tylko z powodu braku taktu Wimana. Oburzył ją jego szyderczy ton. Z trudem się powstrzymywała, żeby mu nie przerwać.

– Chodzi mi o to, że im bardziej ciekawą masz przeszłość, tym lepiej dla naszych interesów. Ktoś, kto jest podejrzany o terroryzm, stanowi potencjalną kopalnię złota dla początkującego adwokata. Zwłaszcza w takim wypadku. Adwokat i terrorysta, przyjaciele ze studenckiej ławy. Poszli innymi drogami, aż w końcu spotkali się na procesie, w którym pojawiają się wątki międzynarodowe. Media oszaleją. Bez względu na to, jak zakończy się sam proces, staniesz się po nim sławna. A znane nazwisko w naszej branży jest ważniejsze niż cokolwiek innego.

– Okej – odparła Gabriella. – Nie jestem pewna, czy pana rozumiem. Do czego pan właściwie zmierza?

Czuła się zagubiona. Wiman na pewno jest błyskotliwym adwokatem i biznesmenem. Tak jak inni błyskotliwi adwokaci i ludzie interesu sprawia wrażenie kogoś nieprzewidywalnego. Bije od niego emocjonalny chłód.

– Chcę powiedzieć, że zarówno w naszym, jak i twoim interesie leży to, żebyśmy

nawiązali kontakt z tym terrorystą. A jak ci się to już uda, zrób wszystko, żeby ci od razu zaufał, bo inaczej Säpo będzie ci zadawać kłopotliwe pytania. Klauzula zobowiązująca adwokata do milczenia nie ma zastosowania wobec kogoś, kto nie jest klientem prawnika. Pewnie pamiętasz to ze studiów.

Gabriella była już naprawdę poirytowana. Wiman nie musi jej przypominać podstawowych zasad regulujących wykonywanie zawodu. Z drugiej strony poczuła ulgę. Jak widać, kontakty z policją bezpieczeństwa niekoniecznie muszą źle się dla niej skończyć. Być może dzięki Wimanowi będzie mogła pomóc Mahmoudowi.

– Kiedy już nawiądziesz z nim kontakt – kontynuował Wiman – a uważam, że stanie się to w bardzo niedalekiej przyszłości, namów go, żeby przyjechał do Szwecji. To podstawowy warunek. Chyba że należysz do Belgijskiego Stowarzyszenia Adwokatów? Kiedy już się tu znajdzie, postaramy się na pewien czas go ukryć, żeby podgrzać trochę atmosferę, zanim pokażemy go światu. Po tym wszystkim zostanie oczywiście wydany do Belgii, a wtedy pomożemy mu za pośrednictwem jakiejś kancelarii w Brukseli...

– Użył pan określenia: „podgrzać atmosferę” – przerwała mu Gabriella, bo nie mogła się już powstrzymać. – Wydaje się panu, że tu chodzi wyłącznie o reklamę naszej kancelarii? Rozmawiamy o moim niewinnym przyjacielu. I właśnie na tym powinniśmy się skupić. Nie mam racji?

Wiman pokręcił głową i znowu słabo się uśmiechnął.

– Doceniam twój... jak by to ująć...? Idealizm? Lojalność? – odparł. Ostatnie dwa słowa zabrzmiały tak, jak gdyby Wiman nie do końca rozumiał ich znaczenie. – Istnieją różne przypadki. Takie, kiedy musimy wygrać, żeby nas zauważono i żebyśmy zyskali odpowiednią reputację. Są też sprawy, których się podejmujemy, ale być może lepiej by było, żebyśmy ich nie wygrali. Wtedy lepiej jest, gdy wynik pozostaje nierozstrzygnięty, jeśli tak to mogę ująć. Nazywasz to PR-em. Może masz rację. Kancelaria adwokacka to taka sama firma jak inne. Ma zarabiać pieniądze. Jeśli chcesz się zajmować wymierzaniem sprawiedliwości, to chyba lepiej ci będzie w towarzystwie bluzaków w sądzie.

Gabriella nabrała powietrza. Za chwilę ją też nazwie bluzakiem. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Poza tym nie chodzi tylko o reklamę naszej firmy. To także wielka szansa dla ciebie. Całkiem możliwe, że to rozstrzygający moment w twojej karierze. To właśnie w takich okolicznościach wschodzą gwiazdy. Na dodatek masz okazję pomóc przyjacielowi. Obowiązuje zasada *win-win*. Nie ma przegranych.

Czy powinna dalej protestować? To, co proponuje jej szef, oznacza, że będzie mogła oficjalnie pomóc Mahmoudowi. Nie powinno mieć dla niej znaczenia, że Wiman chce przy okazji rozreklamować kancelarię. *Win-win*. Gabriella przełknęła ślinę. Przydługi monolog Wimana sprawił, że czuła gorycz w ustach.

– Brzmi to całkiem sensownie – odparła. – Pod warunkiem, że Mahmoud się odezwie.

– Na pewno to zrobi. Informuj mnie na bieżąco o tej sprawie. Chcę się jej przyjrzeć bliżej. Jeśli trzeba go będzie ukryć, zajmiemy się tym. A jeśli zrobi się gorąco, twoje sprawy przejmą inni pracownicy kancelarii. Ucieszą się, bo na tym zarobią.

Gabriella skinęła głową i doszła do wniosku, że jej koledzy z kancelarii już wkrótce znieawidzą ją jeszcze bardziej.

20 grudnia 2013

Paryż

Pociąg pospieszny z Brukseli wyhamował prawie bezdźwięcznie na Gare du Nord w Paryżu, najbardziej obciążonym dworcu kolejowym w Europie. Klara odwróciła się do Mahmouda, który pogrążony był w głębokim śnie. Wysunęła dłoń spod jego ręki. Uczucie intymności, które powstało godzinę wcześniej, nadal unosiło się nad nimi jak obcy cień.

Mahmoud obudził się i rozejrzał po przedziale.

– Dojechalіśmy? – spytał, wyglądając przez okno na peron. Wyglądało na to, że sen dobrze mu zrobił.

– Tak. Zaraz się dowiemy, czy nasze przypuszczenia są słuszne.

– Widzę policjantów na peronie. Mówiłaś, że zazwyczaj nie przeprowadzają tu rutynowej kontroli dokumentów.

– Chyba że ktoś wyda im się podejrzany. Czy w państwach strefy Schengen takie kontrole nie są już zabronione?

– Przecież to ty jesteś czołową specjalistką Parlamentu – stwierdził Mahmoud, wzruszając ramionami. – Miejmy jednak nadzieję, że się nie mylisz, bo inaczej będę miał kłopoty.

– Bo jesteś poszukiwany za zabójstwo? – szepnęła Klara, spoglądając na niego z miną niewiniątka swoimi wielkimi oczami.

– Czy mogłabyś przestać używać określenia „poszukiwany za zabójstwo”? – syknął Mahmoud. – Szczerze mówiąc, to bardzo kiepski dowcip.

Klara zachichotała nerwowo. Cała ta sytuacja była zbyt absurdalna, żeby sobie z niej nie żartować. Wstali z siedzeń i ruszyli w tłumie innych pasażerów w stronę wyjścia.

Poczuła nagły przypływ adrenaliny. Na razie wszystko szło zgodnie z planem. W Paryżu kontrole paszportowe zdarzają się dość rzadko, była tu już z dziesięć razy i nigdy jej nie sprawdzano. Strefa Schengen funkcjonuje więc jak należy. Każdego dnia między Brukselą a Paryżem podróżuje mnóstwo ludzi. Nigdy jednak nie robiła tego w towarzystwie kogoś poszukiwanego za zabójstwo. Zauważyła, że Mahmoud jest zdenerwowany, mięśnie ma napięte, a szczęki ruszają mu się tak, jakby żuł gumę.

Wysiedli z pociągu i razem z innymi pasażerami skierowali się ku wyjściu z peronu. Klara bardzo się starała, żeby nie patrzeć na obu policjantów, którzy obserwowali przechodzących ludzi. Stali nieruchomo i zachowywali się tak, jakby nic ich nie obchodziło.

Dotarli już prawie do wyjścia, gdy nagle usłyszeli za sobą wołanie. Ktoś biegł po peronie.

– *Monsieur! Monsieur! Arrêtez!* – usłyszała Klara.

Poczuła się tak, jakby serce przestało jej bić i uwolnione z piersi wypadło na peron. Ogarnęła ją panika. Zerknęła na Mahmouda, a gdy spojrzała mu w oczy, ujrzała w nich taką stanowczość, że się przeraziła. Odwróciła się powoli.

Szybko się okazało, że nie chodziło o Mahmouda. Konduktor dogonił jednego z pasażerów i podał mu torbę, którą ten najwidoczniej zapomniał zabrać z przedziału. Gdyby nie to, że Klara czuła dławienie w gardle, na pewno odetchnęłaby z ulgą.

Za to Mahmoud wyglądał na podenerwowanego. Chwycił ją mocno za ramię i wyprowadził z dworca.

– Rób dokładnie to, co ci każe – powiedział. – Nie oglądaj się. Jesteśmy śledzeni.

Maj 2003 – grudzień 2010

Północna Wirginia, USA

Czy tak wygląda koniec? Dziesięć godzin samolotem, tydzień urlopu, klepięcie w ramię i puste szare biurko oświetlone bezlitosną jarzeniówką w beznadziejnym krajobrazie biurowym?

– Potem znajdziemy ci inny pokój – mówi Susan, nie patrząc mi w oczy.

Niestety, mijają kolejne dni, a pokoju jak nie ma, tak nie ma. Nie określono też nowego zakresu moich obowiązków. Są tylko spojrzenia i szept przy automacie do kawy. Nie znają mnie – wszyscy są tu młodszy – ale plotki na mój temat dotarły tu przede mną.

Jestem tym dawnym agentem działającym w terenie, którego odesłano do domu, bo nie potrafił podporządkować się rozkazom, co jest konieczne podczas wojny. Dlatego nie mógł pozostać w Afganistanie. Nie dziwi mnie to. Wszyscy jesteśmy szpiegami. Co innego nam zostaje, jak nie plotki, półprawdy, okruchy wyjęte z kontekstu?

Nie znam tu nikogo z wyjątkiem kolegów, którzy przez ten czas zdążyli awansować. Pogodzili się z konwenansami i opanowali sztukę wchodzenia w sojusze. Cały czas się z kimś sprzymierzają. Zawsze czuli się lepiej w swoich *town houses* niż gdzieś w cieniu. To ci, których celem od samego początku były śniadania z doradcami prezydenta i kolacje z jakimś ambasadorem. Wtedy mnie nie interesowali, teraz zresztą też nie. Mimo to z obowiązku zjawiają się w moim pokoju, żeby popatrzeć na wysprzątane biurko. Nie patrzą mi w oczy, tylko bębnią palcami o blat.

– Twoja ekspertyza będzie dla nas nieoceniona – mówią, a przy okazji liczą w pamięci, ile lat będą musieli mnie jeszcze trzymać, zanim odejdę na emeryturę.

Ktoś proponuje mi pracę w prywatnej firmie w Iraku. Teraz wszystkie firmy są prywatne. *Contractors*. Praca w terenie, duże pieniądze.

– Twoje doświadczenie będzie tam bezcenne.

Nie potrafię się jednak zmusić, żeby złożyć podanie o przyjęcie mnie do nowej pracy. Stać mnie tylko na to, żeby po dwunastu godzinach picia whisky i tabletki na sen zwlec się z łóżka. Czasem i tego nie jestem w stanie zrobić. Nie patrzę nawet na basen, gdy jadę do pracy. Może zapomniałem, jak się pływa? Bóg jeden wie, że bardzo chciałem zapomnieć o wszystkich innych rzeczach.

Przestało mi się cokolwiek śnić, chociaż kiedyś nie miałem z tym problemu. Zniknęły nawet nocne koszmary, po których budziłem się w gorączce, z kołdrą zrzuconą na podłogę i dłońmi, które w panicznym strachu szukały na piersi wyimaginowanych ran po pociskach albo sprawdzały, czy nie mam połamanych nóg. Brakuje mi tych koszmarów. Jeśli już coś mi się śni, zazwyczaj są to góry. Niebieskie niebo, pokryte śniegiem szczyty, drogi, które prowadzą donikąd, dalej i dalej. Budzę się i żałuję, że już nimi nie pojedę.

I tak mijają dni i noce. Niekończące się chwile, które zamieniają się w tygodnie, a potem

w lata. Kiedy media zaczęły rozpisywać się o Abu Ghraib, znowu sobie o mnie przypomnieli. Ni stąd, ni zowąd. To rodzaj zadośćuczynienia. Ledwo słyszalny szept. Gest pojednania albo próba przekupstwa. Tak to postrzegam. Jakby sami nie mieli pojęcia, jak mnie wykorzystać. A przecież bardzo dobrze wiedzą. Zawsze wiedzieli. No bo kto, jeśli nie ktoś tak ślepo lojalny jak ja, tkwiłby nadal w tym miejscu?

Mamy nowego prezydenta, więc naturalną konsekwencją tego faktu jest reorganizacja naszej instytucji. Ale po pewnym czasie wszystko i tak wraca w stare koleiny, jest tak, jak było na początku. Tak nam się wydaje, ale to nieprawda. Świat się zmienia. Szaleństwo unosi się w końcu w postaci chmury pary i znowu jesteśmy tacy jak kiedyś: racjonalni, do bólu pragmatyczni. Zamiast głosić ewangelię, zaczynamy posługiwać się twardymi metodami. Siadamy wygodnie w fotelu i czytamy w „Washington Post” o tym, cośmy stworzyli: o alternatywnej, prywatnej, przynoszącej zyski maszynie wojennej. O licznych podwykonawcach. Rozmiary procederu są szokujące nawet dla tych, którzy tkwią w środku tego wszystkiego i powinni się dobrze orientować.

Powoli zmuszam się do wejścia do basenu, stopniowo przypominam sobie, jak się pływa. Pokonuję kolejne długości, aż w końcu przestaję je liczyć, bo ramiona tak mnie boją, że prawie nie jestem w stanie unieść pilota i zmienić kanału w plazmowym telewizorze w moim mieszkaniu, które jest umeblowane jak pokoje drogiego pięciogwiazdkowego hotelu.

Powoli, prawie niezauważalnie zamieniam whisky na herbatę, a tabletki nasenne na sto pompek wykonywanych w seriach pięć razy po dwadzieścia na pokrytej miękką wykładziną podłodze sypialni. Dwunastogodzinne seanse bezsenności w łóżku zamieniam na siedmiogodzinne chaotyczne nocne koszmary wypełnione troską o różne rzeczy. W końcu przestaję pić. Rezygnuję nawet z kawy.

Langley, basen i spotkania w grupie wsparcia w deprymującej, oświetlonej migającą jarzeniówką sali lekcyjnej w Palisades albo Bethesdzie. Niewiele mi już zostało. Wieczory przed telewizorem i przyrządzane w domu gotowe jedzenie ze sklepu. Mijają kolejne dni. Tyle zostało mi z życia. To niewiele. Prawie nic.

Nadal noszę w breloczku fotografię z Damaszku. Kiedyś zdjęłaś go z szyi i po prostu mi dałaś. Nie rozstaję się z nim nawet na chwilę. To wszystko, od czego uciekłem. Wszystko, co pozostawiłem i poświęciłem. Wszystko to wypełnia mnie jak pustka. W każdy piątek przeszukuję nasze bazy danych, by znaleźć nazwisko mojej córki. Przeglądam rejestry, obejmując breloczek dłonią, i modlę się w intencji poszukiwań, wypowiadając słowa jedynej modlitwy, na której mi jeszcze zależy i która nadal coś dla mnie znaczy: Boże Wszchemogący, żebym tylko niczego nie znalazł.

Do Bożego Narodzenia został jakiś tydzień. Kupiłem migające lampki, które zamontuję na balkonie. To taka niezdarna próba nawiązania do normalnego życia. Karton z lampkami jest duży, ale chwytam go jedną ręką, podczas gdy drugą szukam w kieszeni kluczyków do mazdy. Szare, przytłumione światło w podziemnym garażu centrum handlowego. Moje kroki odbijają się echem od betonowych ścian.

Obok samochodu stoi jakiś mężczyzna. W jednej chwili wraca czujność. Toczę ze sobą

błyskawiczną walkę, wahając się między chęcią starcia a ucieczką. Nieznajomy prostuje się, odwraca ku mnie i przeciąga jak ktoś, kto przez długi czas stał w tej samej pozycji. Wykonuje gest mający pokazać, że ma przyjazne zamiary, że nie należy się go obawiać. Robię kilka kroków i zatrzymuję się dziesięć metrów od samochodu. Na parkingu słyszę jedynie szum wentylatora i uliczny hałas. Ulica jest trzy piętra niżej.

Mężczyzna stoi nieruchomo, a potem unosi długie ręce w pokojowym geście. Chce pokazać, że ma przyjazne zamiary. Rozpoznaję go jednak dopiero wtedy, gdy podchodzi bliżej. Dwadzieścia pięć lat zawiązywania i zrywania sojuszy. Wiem, kim jest.

Wąsy ma krótsze niż kiedyś. Twarz starszą i poorly zmarszczkami. Ale to nie wygląda go zdradza, tylko wspomnienie pewnej chwili z przeszłości. Kontekst, okoliczności.

– *Salam alejkum* – mówi.

Chrząkam i wyciągam kluczyki od samochodu. Wciskam pilota, otwieram drzwi.

– *Wa `alejkum salam.*

Wsiadamy do samochodu. Dwaj dawni szpiedzy w japońskim wozie, w amerykańskim centrum handlowym, w świecie, który całkowicie się zmienił. Znaleźli się pośród tego, co nieprzewidywalne, czego nie rozumiemy i nie wiemy, jak się do tego odnieść. Z początku milczymy i tylko siedzimy obok siebie. Nawet na siebie nie patrzymy. W końcu postanawiam się odezwać.

– Jak mnie znalazłeś? – pytam po arabsku.

Zerka na mnie jakby z góry. W jego oczach pojawia się lekkie rozczarowanie.

– Jak cię znalazłem? Jestem w Ameryce od dość dawna. Mam swoje kontakty. Z dawnych czasów, sam wiesz. Jak ktoś chce kogoś znaleźć, to znajdzie.

Robi mi się głupio. Nie powinienem był pytać. Zraniłem go, podważyłem jego kompetencje, jego dawne umiejętności nabyte w życiu, z którym, być może, nie ma już nic wspólnego.

– Rozumiem. Mieszkasz tu?

Skinął głową, westchnął i rozłożył ręce.

– Po jedenastym września wiedziałem, czym to wszystko się skończy. To była tylko kwestia czasu. Twój koledzy podali mi pomocną dłoń.

– A czym się teraz zajmujesz?

Uśmiecha się krzywo i rozsiada wygodniej na siedzeniu.

– Uczę arabskiego w Community College w hrabstwie St. George. Moja żona znowu jest pielęgniarką.

Kręci głową, jakby opowiadanie o tym etapie życia sprawiało mu kłopot. W końcu wzrusza ramionami.

– Moja żona jest teraz Amerykanką i chyba jej się to podoba. Szybko jej to przyszło. Amerykański sen. Ciężka praca, dwa samochody i domek w Millersville.

Znowu się uśmiecha. Tym razem z ironią, ale na jego twarzy nie widać ani zgorzknienia, ani rezygnacji. To uśmiech człowieka, który od dawna potrafi płynąć z głównym nurtem, nie stara się zrozumieć ani nie skarży się na zmiany w życiu. To uśmiech uciekiniera.

– Wszystko poszło inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy – mówię. – Wszystko się zmieniło.

Skinął głową.

– Od Sztokholmu minęło już dużo czasu.

W końcu przeszedł do sedna sprawy, do tego, co skłoniło go, żeby mnie odszukać. To musi być coś o wiele ważniejszego, niż gotów jest pokazać. Kiwam głową.

– To już dwadzieścia pięć lat – stwierdzam. – A ja mam wrażenie, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

– Pamiętasz, o co mnie poprosiłeś przed naszym spotkaniem? Chciałeś, żebym coś sprawdził. To miała być przysługa. Szpieg szpiegowi.

– Oczywiście, że pamiętam.

Czuję, jak puls mi przyspiesza. Chcę przełknąć ślinę, ale zaschło mi w ustach.

– To był odważny krok. Ryzykowałeś. Nawiązałeś kontakt z kimś, kogo nie znałeś. Na oficjalnym spotkaniu przedstawiłeś prywatną prośbę. To dość niezwykle, prawda?

Odwraca się ku mnie i patrzy mi w oczy.

– Ktoś, kto zadaje takie pytania, jest niemądry albo sam chce się oszukać. Mam rację?

– O co ci chodzi? – pytam.

– Nie jesteś niemądry. Miałeś pewne podejrzenia, uzasadnione podejrzenia. Ale wiedziałeś, że nigdy nie będę mógł ich zweryfikować, bo to nie działa w ten sposób. Wiedziałeś, że moja odpowiedź będzie mało konkretna, że nie będzie ani prawdą, ani kłamstwem. Mimo to spytałeś. Chciałeś się dowiedzieć, kto zamordował twoją kobietę, matkę twojej córki. Spytałeś mnie o to, chociaż nawet nie wiedziałeś, kim jestem.

– Byłem zdesperowany – odpowiadam ostrożnie. – Gotowy na wszystko.

Znowu kręci głową, otwiera plecak, wyjmuje z niego beżowy skoroszyt i kładzie go na kolanach. Zamykam oczy. Opieram się o siedzenie i czuję, jak krew zaczyna szybciej krążyć mi w żyłach.

– Spytałeś, bo wiedziałeś, że i tak nic konkretnego ci nie powiem. Odpowiedź będzie otwarta, żebyś mógł wypełnić ją własnymi podejrzeniami. Chciałeś mieć możliwość wyboru łatwej drogi. Kłamstwa albo prawdy. Poszedłeś po linii najmniejszego oporu. Kim jestem, żeby cię krytykować?

Nie odzywam się, prawie nie oddycham.

– Może powinienem dać sobie spokój. Jaki sens ma teraz wracanie do starych spraw? To było tak dawno temu. Ale życie zamieniło nas w narzędzia, w nic więcej. Mamy być ciągle gotowi do działania w sprawie, o której nas informują. Gotowi do ciągłej zmiany stron, ideologii i metod.

Nadal siedzę z zamkniętymi oczami, kiwam głową. Niczym się nie różnimy. Jesteśmy tacy sami.

– A teraz wszystko się skończyło, także dla nas. Może nadszedł czas, żebyśmy przestali się okłamywać?

Bierze skoroszyt i kładzie mi go na kolanach. Prawie nic nie waży. Prawda prawie nigdy nic nie waży. Otwieram oczy dopiero w chwili, gdy słyszę trzaśnięcie drzwi i echo jego kroków na pustym parkingu. Nie muszę nawet zaglądać do dokumentów. Wiem, co zawierają.

20 grudnia 2013

Paryż

Mahmoud nie miał najmniejszych wątpliwości. Kiedy nagle się odwrócił, zauważył kobietę, którą widział wcześniej na lotnisku w Brukseli. Szła spokojnie peronem dwadzieścia metrów za nimi.

Chwycił Klarę za łokieć i wyprowadził ją przez barierki z peronu. Przy wejściu na terminal dostrzegł strzałkę, która pokazywała drogę do przechowalni bagażu, piętro niżej, obok biura firmy wynajmującej samochody. Poczul, jak zalewa go fala gorąca. Mimo to starał się zachowywać tak, jakby nie zauważył śledzącej ich kobiety.

– Jak płaciłaś za bilety w Brukseli? – szepnął do Klary.

– Hm... chyba kartą.

Mahmoud kiwnął głową.

– Niech to szlag. Powinienem był cię ostrzec. Wygląda na to, że jakimś sposobem mogą nas śledzić na odległość. Widzieli, jak kupowałaś bilety, a potem weszli za nami do pociągu.

Klara nie odpowiedziała, tylko skinęła głową. Nie miała wystraszonej miny, wyglądała na skupioną.

– Czy masz telefon, który kupiliśmy w Brukseli? – spytał Mahmoud.

Kiedy wróciła z biletami, kupił dwa tanie aparaty telefoniczne na kartę, na wypadek, gdyby się rozdzielili i musieli nawiązać kontakt.

– Tak. Mam go w torebce.

– To dobrze. Będziemy musieli zaryzykować. Najlepiej, jeśli się rozdzielimy.

Mahmoud odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Okej – odparła spokojnie.

W czasie pierwszych tygodni wojskowego szkolenia nauczył się, że nigdy nie wiadomo, jak ktoś zareaguje w ekstremalnej sytuacji. Niektórzy ludzie tracą rozum i zachowują się nieracjonalnie. Ktoś, kto wyglądał na przywódcę, zaczyna nagle zachowywać się jak sparaliżowany. Inni uspokajają się i skupiają na problemie. W głębi duszy zawsze wiedział, że nie musi się martwić o Klarę. Mimo to sprawiło mu to ulgę. Był wyraźnie wzruszony.

– Masz przy sobie kwit bagażowy? – spytał.

– W portfelu.

– To dobrze. Zrobimy tak: normalnym krokiem pójdziemy na postój taksówek. Jeśli będzie kolejka, spokojnie poczekamy. Kiedy pojedzie taksówka, wsiądziesz pierwsza, a potem od razu wysiądziesz przez drugie drzwi. Zrozumiałaś?

Klara przełknęła ślinę. Poczula gwałtowny przyływ adrenaliny.

– Zrozumiałam.

– Pojadę tą taksówką i pociągnę za sobą ludzi, którzy nas śledzą. Ty odczekasz jakiś czas, zabierzesz bagaż z przechowalni i pojedziesz metrem jak najdalej stąd. Za godzinę do

ciebie zadzwonię i się umówimy.

– A jeśli nie uda mi się urwać tym, którzy nas śledzą? Co mam wtedy zrobić?

– Wymyślimy coś innego. Ale zacznijmy od mojego planu. Na razie nic innego nie mamy.

– Przypomnij mi potem, żebym już nigdzie z tobą nie wyjeżdżała.

Zatrzymał się, spojrzął na nią i przytulił Klarę, jakby całował ją w policzek.

– Poradzisz sobie – szepnął. – Razem sobie poradzimy. Jak to mawiał twój dziadek? Skały i proch? Z tego jesteś stworzona, prawda?

Doszli już prawie do postoju. Mahmoud poczuł, że krew zaczyna krążyć mu w żyłach jeszcze szybciej. To decydująca chwila. Teraz albo nigdy.

– Poczekaj – powiedział.

Zdjął plecak, pochylił się i udając, że czegoś w nim szuka, zerknął przez ramię. Jasnowłosa kobieta obeszła ich łukiem, ale przez cały czas zmierzała w tym samym kierunku co oni. Przy przeciwległej ścianie Mahmoud zauważył mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę, który poruszał się w podobny sposób. Wyglądał na wysportowanego, ubrany był w klasyczne „bojówki” i narciarską kurtkę. Przez ramię przewieszony miał marynarski worek, na uszach słuchawki. Wyglądał na Amerykanina. Mahmoud nie zauważył nikogo więcej.

– Jest ich co najmniej dwoje – szepnął, nie patrząc na Klarę. – Blondynka z końskim ogonem w granatowej puchowej kurtce i facet w bojówkach i szaro-czerwonej kurtce narciarskiej. Oboje mają na uszach słuchawki. Udawaj, że się przeciągasz, ja zajmę się plecakiem.

Klara się przeciągnęła, a przy okazji rozejrzała po terminalu.

– Widzę ich – szepnęła. – Poznają tę dziewczynę. To ona była w moim mieszkaniu.

Powiedziała to podenerwowanym głosem, twarz jej zeszywniała. Nagle ogarnął ją strach.

– Skup się – szepnął Mahmoud. – Skup się. To tylko kwestia techniki. Nie czas teraz na emocje, rozumiesz? Żadnych emocji. Trzymaj się planu. Wsiadasz do taksówki i od razu z niej wysiadasz.

Klara skinęła spokojnie głową. Zdążyła się opanować.

– W porządku – powiedział Mahmoud. – Ruszamy.

Zdecydowanym krokiem podeszli do pierwszej taksówki.

– Wiesz, co masz zrobić? – syknął Mahmoud.

– Nie bój się. Rób swoje, a ja zrobię to, co do mnie należy.

Mahmoud otworzył jej drzwi i Klara usiadła na tylnym siedzeniu. Przesunęła się na miejsce obok i otworzyła drugie drzwi, ale tylko na tyle, żeby szybko wysiąść po drugiej stronie taksówki. Nawet na niego nie spojrziała.

– Do Luwru – powiedział Mahmoud do kierowcy.

Tylko na tyle było go w tym momencie stać. Taksówkarz odwrócił się i spojrzął na niego przez ramię. Był zdumiony, widząc, że pasażerka wsiadła do jego samochodu i od razu z niego wysiadła, a teraz kuca przy tylnym lewym kole.

– Ruszaj! Natychmiast! – powiedział Mahmoud po angielsku.

Kierowca mruknął coś pod nosem, wzruszył ramionami i wrzucił bieg. Chwilę później samochód włączył się do ruchu ulicznego. Mahmoud odwrócił się i ujrzał, że mężczyzna

w bojówkach wsiada do niewielkiego granatowego volkswagena gólf. Samochód widocznie czekał na niego po drugiej stronie ulicy. A więc jest ich kilku, pomyślał Mahmoud. Kobieta z końskim ogonem stała w kolejce na postoju, przyciskając do uszu słuchawki. Nigdzie nie było widać Klary, ale jeśli kobieta jej nie zauważyła – a wszystko na to wskazywało – mogło to znaczyć tylko tyle, że Klarze udało się ją zgubić.

20 grudnia 2013

Paryż

Pobiegła skulona wzdłuż rzędu taksówek, aż uznała, że znalazła się poza zasięgiem wzroku swoich prześladowców. Kątem oka zauważyła, jak mężczyzna w bojówkach przebiega przez ulicę. Widząc to, wcisnęła się między dwa parkujące wozy. Serce dudniło jej w piersiach. Z drugiego końca ulicy nadjechał granatowy golf. Mężczyzna wsiadł do niego i samochód ruszył za taksówką, którą odjechał Mahmoud.

Klara wyjrzała ostrożnie zza aut. Kobieta z końskim ogonem nadal stała przed wejściem do budynku dworca. Wyglądało na to, że komunikuje się z kimś przez ukryty mikrofon. Nie przerywając rozmowy, rozglądała się czujnie dokoła. Klara rozpoznała w niej kobietę, którą widziała przed swoim domem w stroju do biegania. Zrobiło jej się niedobrze i o mało nie zwymiotowała. Od kiedy ją obserwują? Zmusiła się, żeby równo oddychać. Żadnych emocji. Żadnych uczuć. Żadnych myśli.

Wiedziała, że musi się dostać na teren dworca, bo inaczej nie będzie mogła dotrzeć do skrytki bagażowej. Skuliła się i pod osłoną taksówek zaczęła posuwać się do przodu. Obejrzała się, gdy znalazła się przy końcu dworca. Kobieta z końskim ogonem zniknęła. Klara wyjęła z torebki czerwoną czapkę z włóczki i założyła ją na głowę. Bardzo dokładnie ukryła pod nią długie włosy. Potem zdjęła granatowy płaszcz i przewiesiła go przez ramię. Trzęsła się z zimna. Szara kamizelka, za którą zapłaciła w Antwerpii majątek, na niewiele jej się przyda przy takiej pogodzie. Po prostu nie trzymała ciepła. W Paryżu był równie zimno jak w Brukseli, ale nie miała innego wyjścia. Musiała choć trochę zmienić wygląd.

W końcu zdobyła się na odwagę i ruszyła w stronę wejścia. Przez stację przewalał się tłum pasażerów. Klara szła z prądem. Orientowała się według tabliczek informujących, gdzie znajdują się skrytki bagażowe. Ruchomymi schodami zjechała na niższy poziom.

Żeby dostać się do skrytek, musiała najpierw przejść coś w rodzaju kontroli bezpieczeństwa. Ponury ochroniarz prześwietlał wszystkie torby i walizki. Do stanowiska kontroli utworzyła się krótka kolejka. Kiedy przyszła kolej na Klarę, położyła na taśmie torbę i płaszcz.

– Przepraszam – powiedziała, zwracając się do ochroniarza – czy może mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się skrytka numer C193?

Z trudem zachowywała spokój. Ochroniarz spojrział na nią uważnie i odparł:

– W Sekcji C, mademoiselle. To tam.

Klara podziękowała mu i zdjęła rzeczy z taśmy. Kto wie, może szczęście rzeczywiście jej sprzyja?

Już po minucie udało jej się znaleźć skrytkę. Była niewielka, kwadratowa, pół na pół metra.

Pochyliła się i wbiła w klawiaturę kod wydrukowany na kwicie. Wstrzymała oddech.

Obok drzwiczek rozbłysła czerwona lampka. Na wyświetlaczu pojawił się jakiś komunikat w języku francuskim. Błędny kod. Klara poczuła, jak podłoga usuwa jej się spod nóg. Błędny kod. Ponownie rozwinęła kwit i powoli wbiła sześć cyfr.

Tym razem już po sekundzie zapaliła się zielona lampka, a chwilę później drzwi schowka się otworzyły, wydając przy tym metaliczny trzask. Klara się pochyliła, żeby zajrzeć do szafki.

W środku ujrzała ciasny nylonowy pokrowiec. Wyjęła go z szafki, kucnęła i uniosła pod światło, żeby mu się przyjrzeć. Otworzyła zamek błyskawiczny. W pokrowcu znajdował się niewielki laptop firmy Apple, MacBook Air. Klara zasunęła zamek i na chwilę przymknęła oczy. A to niespodzianka. Wyprostowała się i ruszyła w stronę wyjścia. Nagle coś zwróciło jej uwagę; jakiś ruch za szklaną szybą, między stanowiskami zajmowanymi przez firmy wynajmujące samochody a przechowalnią bagażu. Odwróciła głowę i w tym samym momencie dostrzegła kobietę z końskim ogonem.

– Niech to szlag! – syknęła.

Niestety, nie mogła się już cofnąć. Ze wzrokiem wbitym przez cały czas w szklaną ścianę zaczęła przeciskać się przez grupę pasażerów, którzy kierowali się do przechowalni, żeby zostawić w niej walizki i plecaki. Niczego niezwykłego tam jednak nie zauważyła. Może sobie wmówiła, że ta kobieta tam jest? Zarzuciła pasek od pokrowca przez ramię i wyszła z poczekalni. Tylko bez emocji, pomyślała. Musi się wydostać na ulicę, złapać taksówkę, a potem zadzwonić do Mahmouda. W tej kolejności.

I właśnie wtedy to poczuła. Zapach był słaby, ale wyczuwalny. Słodka woń sztucznego cynamonu. Błyskawicznie się odwróciła, żeby sprawdzić, skąd dolatuje. Nie dalej niż trzy metry od niej stała kobieta z końskim ogonem.

Instynktownie poczuła, że to, co za chwilę zrobi, nie jest zbyt dobrym rozwiązaniem, ale nie mogła się powstrzymać. Przecisnęła się przez grupę japońskich turystów i ogarnięta paniką pobiegła w stronę ruchomych schodów. Nie oglądała się za siebie, tylko jak najszybciej przemierzyła poczekalnię i ruszyła w górę po schodach. Jak najdalej od tego miejsca.

20 grudnia 2013

Paryż

Zbliżała się godzina szczytu. Taksówka, którą jechał Mahmoud, i golf trzymający się za nią w pewnej odległości stały zakleszczone w korku. Mahmoud starał się opanować zdenerwowanie. Nie ma nic gorszego niż sytuacja, kiedy człowiek nie ma wpływu na rozwój wypadków i jest uzależniony od decyzji podejmowanych przez innych. Szybko przebiegł w myślach wszystkie dostępne rozwiązania. Mógłby pobiec do metra i zniknąć, bo jeżdżąc różnymi trasami, łatwo ucieknie prześladowcom. Ale to oznaczało dużą stratę czasu, a on martwił się o Klarę. Po co wysłał ją na dworzec i kazał sprawdzić, co jest w skrytce?

Nie przewidział, że dziewczyna z końskim ogonem tam zostanie. Działał szybko, pod wpływem impulsu. Zaczęło go to niepokoić. Może tamci zauważyli, jak Klara wymyka się z taksówki, i zmienili plany? Próbował się do niej dodzwonić, ale za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka. Prawdopodobnie Klara jest teraz w przechowalni i po prostu nie słyszy telefonu. Z drugiej strony nie mógł powstrzymać czarnych myśli, że zdarzyło się coś o wiele gorszego.

Odwrócił się. Samochody posuwały się w ślimaczym tempie. Golf jechał jakieś dwadzieścia metrów za nim. Najwyższy czas, żeby podjąć konkretną decyzję. Musi pozbyć się ogona i odnaleźć Klarę. Zaryzykować. Nie ma innej możliwości.

– Jaka to ulica? – spytał kierowcę taksówki.

Ten się odwrócił i spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem.

– Rue La Fayette – odparł.

– A konkretnie? Które skrzyżowanie?

– Dojeżdżamy do Rue de Châteaudun. Ale z powodu korków będziemy tam nie wcześniej niż za dwadzieścia minut.

Kierowca wypowiedział te słowa zrezygnowanym tonem. Mahmoud jeszcze raz się odwrócił. Samochody nadal stały. Przez chwilę się nad czymś zastanawiał, a potem wyjął z kieszeni telefon na kartę, wcisnął trzy klawisze i czekał.

Niecałe dwadzieścia minut później z tyłu rozległ się dźwięk syren. Chwilę potem pojawiły się dwa policyjne motocykle. Mahmoud spojrzał wstecz, żeby popatrzeć przez tylną szybę. Policjanci lawirowali w kolumnie pojazdów, aż w końcu zatrzymali się koło granatowego golfa. Taksówkarz opuścił boczną szybę i wychylił się, żeby sprawdzić, co się stało. Samochód wypełniło zimne powietrze. Zmęczeni kierowcy pojazdów stojących w korku ze znużeniem obserwowali całą scenę. Mahmoud pochylił się w stronę taksówkarza i trącił go lekko w ramię. Mężczyzna odwrócił się do niego poirytowany.

– Wsiądę tutaj – powiedział Mahmoud i podał mu banknot o nominale dziesięciu euro. Kierowca spojrzał na niego zdumiony. – Reszty nie trzeba.

Mahmoud się obejrzał. Policjant w grafitowogranatowym mundurze zsiadał właśnie z motocykla. Położył dłoń na kolbie pistoletu i podszedł powoli do golfa.

Zrozumiał, że to jego szansa. Teraz albo nigdy. Otworzył drzwi taksówki i wysiadł ostrożnie na ulicę. Poczł zapach spalin. Kuląc się, biegł między samochodami, aż dotarł do chodnika. Niebo było szare, jak gdyby nie zdecydowało się jeszcze, jaką pogodę zafundować mieszkańcom Paryża. Temperatura utrzymywała się w okolicy zera, co zwiastowało deszcz albo śnieg. Zanim zbiegł schodami do stacji metra Cadet, jeszcze raz się obejrzał. Samochody ruszyły, ale golf stał w miejscu na światłach awaryjnych. Policjanci kazali wyjść z samochodu mężczyźnie ubranemu w bojówki i kierowcy. Rozgorzała gwałtowna dyskusja. Mężczyzna w bojówkach stanął na palcach, żeby sprawdzić, co się dzieje z taksówką. Czy zauważył, że Mahmoud ją opuścił? Nieważne, Amerykanie i tak będą potrzebować przynajmniej kilku minut, by przekonać policjantów, że doszło do pomyłki, bo przecież nikomu nie grozili pistoletem. Potem nic już nie będą mogli zrobić. Mahmoud się uśmiechnął. Postąpił jak Houdini. Nikt go nie złapie. W chwili, gdy zjeżdżał schodami, odezwał się jego telefon. Dzwoniła Klara.

20 grudnia 2013

Paryż

Zmarzła tak bardzo, że zaczęła podskakiwać w miejscu, chociaż po zejściu na stację metra znowu założyła płaszcz. Dłonie wsunęła głęboko w kieszenie i rozejrzała się po raz setny. Na dworcu Gare du Nord naprawdę myślała, że to koniec. Przestraszyła się i wpadła w panikę. Kobieta z końskim ogonem też ją zauważyła. Na szczęście dzielił je tłum i tamta nie zdołała się do niej precyzyjnie. Klara pokonała ruchome schody, biorąc po dwa stopnie, dzięki czemu w poczekalni zyskała znaczną przewagę. Nie oglądając się, ruszyła w stronę najbliższych schodów prowadzących do metra. Potem wskoczyła do pierwszego składu, który wjechał na peron, i dotarła aż do stacji końcowej. Naprawdę mało brakowało, żeby źle się to skończyło.

– Zachowujesz się tak, jakby ktoś cię ścigał – powiedział Mahmoud. – Czy to naprawdę ty?

Klara się wzdrygnęła, czując jego chłodną dłoń na policzku.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała.

Kwadrans wcześniej ustalili miejsce spotkania. Dla niej był to kwadrans wypełniony paranoicznym strachem. Mahmoud uśmiechnął się lekko, ale zachował czujność. Przez cały czas rozglądał się po stacji.

– Jestem tu już od jakiegoś czasu – odparł. – Chciałem przed naszym spotkaniem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Co takiego? Kazałeś mi tu stać i potraktowałeś mnie jak przynętę, bo chciałeś sprawdzić, czy wszystko gra?

Klara poczuła nagle, jak jej zdenerwowanie zamienia się w irytację. Za kogo on się uważa? Ale Mahmoud wzruszył tylko ramionami.

– *Sorry* – odparł. – Na pewno byłoby lepiej, gdybyśmy mogli się spotkać w innym miejscu. Ale tu też jest bezpiecznie.

Przez cały czas czujnie rozglądał się po stacji. Klara dojrzała w jego oczach niecierpliwość. Jego spojrzenie emanowało mądrością i inteligencją. Ktoś mógłby uznać to za arogancję, ale prawda była inna. Mahmoud zawsze był o krok przed wszystkimi, wyprzedzał ich posunięcia. Właśnie to od samego początku ją w nim pociągało, a od czasu do czasu irytowało.

– Znalazłaś coś w skrytce? – spytał.

Klara uniosła ramię, żeby pokazać mu pokrowiec.

– Laptopa – odparła. – Ale nie obyło się bez problemów.

Pokrótce opowiedziała mu o kobiecie z końskim ogonem i ucieczce z dworca. Wysłuchał jej spokojnie i skinął głową.

– Przykro mi, że wplątałem cię w tę sprawę.

Klara pokręciła głową.

– No cóż, to tylko moja wina. À propos, jak im uciekłeś?

Mahmoud uśmiechnął się z dumą.

– Zadzwoń na policję i powiedz, że facet jadący golfem wymachiwał pistoletem. Pięć minut później policja była na miejscu, a tamci nie mogli już za mną pobiec. Prawdziwy ze mnie geniusz.

Zerknęła na niego. Po raz pierwszy zaczął jej przypominać dawnego Mahmouda. Był pełen inicjatywy i czarującej arogancji.

– Podobno masz jakiś plan? – spytał Mahmoud.

Klara wolała nie opowiadać mu o niczym przez telefon. Czowała, że z różnych powodów łatwiej będzie to omówić w cztery oczy. Ujęła go ostrożnie za łokieć i ruszyła w stronę wyjścia ze stacji. Na dworze padał śnieg, z nieba leciały wielkie, wilgotne płatki, które topniały, zanim jeszcze spadły na ziemię. W powietrzu unosił się zapach spalin.

– Moja propozycja jest następująca – zaczęła. – Mam faceta w Paryżu, coś w tym stylu, choć właściwie nic nas nie łączy. Taki tam facet. A właściwie mężczyzna.

Mahmoud się uśmiechnął i odwrócił wzrok.

– Nie facet, tylko mężczyzna? Rozumiem. Ile ma lat?

Klara zignorowała pytanie.

– Mieszka przy Avenue Victor Hugo. Może nam pomoże.

– Może?

Na twarzy Mahmouda pojawiła się troska.

– Tak. Być może będzie mógł nam pomóc. Jest teraz w domu. Sam.

– Sam?

Mahmoud spojrział na Klarę. W jego oczach pojawiła się jakaś czułość. Wspomnienie z przeszłości. Obietnice wypowiedane szeptem na galerii w Carolina Rediviva, na zmoczonych porannym deszczem mostach nad Fyris, gdy spacerowali po bezsennych nocach spędzonych na jednym wąskim łóżku w zwykłym pokoju studenckim. Zapomniała, że go kiedyś kochała i że już nigdy potem nikogo nie kochała tak jak jego. Jak można o czymś takim zapomnieć? Uniosła głowę i poczuła wilgotne płatki śniegu na twarzy.

– Jest żonaty i ma córkę – odparła.

Od razu pożałowała tego, co powiedziała. Wiedziała, że nie będzie umiała tego wyjaśnić. Nie potrafiła znaleźć właściwych słów na określenie tego, co znalazła w mieszkaniu Cyrila. W tym momencie było to tylko odległym, nierzeczywistym wspomnieniem. Mahmoud pokiwał głową.

– A w jaki sposób mógłby nam pomóc? – spytał.

– Nie wiem. Może nas na przykład przenocować albo sprawdzić, co jest w laptopie Lindmana. Nie wiem. Jeśli masz lepszy pomysł, od razu się zgodzę. Oficjalnie nic nas nie łączy.

– Czy można mu zaufać? Zadawanie się z byłym facetem podejrzanym o zabójstwo może być dla ciebie niebezpieczne.

– Byliśmy ostrożni.

Klara westchnęła i pokręciła głową. Najwyższy czas uspokoić myśli.

– Ufałam mu do dzisiejszego ranka, gdy w jego mieszkaniu znalazłam pewną fotografię. Był na niej z rodziną. Teraz uważam, że zachowanie w tajemnicy naszego związku leży bardziej w jego interesie niż w moim.

– Dobrze słyszę? Dopiero dziś rano się dowiedziałas, że facet ma rodzinę?

Klara skinęła głową. Czowała się mała, głupia i naiwna. Mahmoud nie skomentował jej słów. Po prostu objął ją ramieniem i przygarnął. Klara poczuła bijące od niego ciepło.

– Przykro mi – powiedział Mahmoud. – Naprawdę. Tak czy inaczej musimy zajrzeć do tego laptopa i zachować spokój. Czy jesteś w stanie pójść do niego do domu?

– Tak. Oczywiście. Przecież prośba o pomoc dla mojego poszukiwanego przez policję byłego faceta, do tego homoseksualisty, to minimum, czego można wymagać od konserwatywnego polityka, prawda?

20 grudnia 2013

Bruksela

George połknął ostatni kawałek kurczaka *vindaloo* i z grymasem odłożył plastikowy widelec do plastikowego pojemnika. Wsunął do ust kawałek chleba *naan* i zaczął go powoli żuć, żeby choć trochę zaspokoić głód. Czy Reiper i jego banda nie mogli zamówić dla niego porządnego jedzenia? Coś z *Deuxième Element* albo sushi? Czuł się zmęczony i pełny. Kiedy ostatni raz był na siłowni?

A dlaczego nie pozwolili mu iść do domu? Kazali mu sięść do komputera, zarezerwować bilety na podróż i hotel w Paryżu. Jakby był ich sekretarką. Nawet nie próbował pytać, co się dzieje. Josh tylko na niego spojrział i uśmiechnął się z poczuciem wyższości, a potem oznajmił, że chodzi o *need-to-know*. Josh to zwykły dupek.

Ciekawe, że nie zadzwonili do niego z Merchant & Taylor. Zbliżają się święta, ktoś mógłby mu złożyć życzenia, choć nie liczył na to, że zadzwoni do niego sam Appleby. To wykluczone. A przecież tak bardzo się stara, tak bardzo chce być kimś ważnym w firmie. Pierwszy raz w życiu naprawdę wypruwa sobie żyły. Jest kimś, komu można ufać, zajmuje się ważnymi klientami, opracowuje wielkie strategie. Czy Appleby sam mu tego nie powiedział podczas kolacji w *Comme Chez Soi*? A on tylko siedział i chłonał jego pochwały. Ma wyłączność na realizację pewnych zleceń. Przysługuje ona jedynie pracownikom, przed którymi otwiera się dalsza kariera, z widokami na przyszłość, z dostępem do najważniejszych tajemnic. Czy ta kolacja naprawdę odbyła się zaledwie wczoraj? Teraz czuje się tak, jakby został od wszystkiego odsunięty, jakby nie zasługiwał nawet na to, żeby zadzwonił do niego ktoś z firmy. Zastanawiał się, czy nie wysłać kolejnego esemesa, tym razem do Appleby'ego, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Nie może się zachowywać jak jakiś frustrat.

Uniósł się z fotela, żeby zapalić lampkę w klitce, do której go zaprowadzili. Resztki indyjskiego jedzenia przyprawiały go o mdłości, podobnie jak zapach kminku i chili. Złożył foliowe tacki i wcisnął je do cienkiej reklamówki, którą dostał od Josha. W kuchni powinien być pojemnik na śmieci.

W korytarzu było ciemno, a on nawet nie wiedział, gdzie znajduje się włącznik światła. Z salonu dobiegały przytłumione głosy. Spod zamkniętych drzwi biła wąska smuga. George poruszał się na palcach. Wstrzymał oddech, gdy podłoga zaskrzypiała. Podeszedł do drzwi i ostrożnie przyłożył do nich ucho.

– Czy wszyscy wiedzą, o co chodzi? Obowiązuje czarny kod. Nie zostawiamy żadnych śladów. Nikt nie ma prawa przeżyć. Podkreślam to wyraźnie. Nie stać nas na kolejne błędy.

Głos należał do Reipera. Był suchy i rzeczowy. George poczuł przez moment, że za chwilę zemdleje i upadnie na podłogę. Miał wrażenie, że wokół nagle zabrakło tlenu, a on będzie musiał walczyć, żeby zaczerpnąć tchu.

„Nikt nie ma prawa przeżyć”.

Chyba się przesłyszał. Odsunął się od drzwi, bo nie chciał, by dotarło do niego jeszcze

choć słowo. Żałował, że w ogóle cokolwiek usłyszał. Ta przeklęta ciekawość. Najchętniej by stąd zniknął.

„Nikt nie ma prawa przeżyć”.

Chwiejnym krokiem wrócił do swojego pokoju, rzucił reklamówkę na podłogę. Wypłynęła z niej strużka obrzydliwego sosu. Drżącą dłonią wyjął z kieszeni marynarki portfel z cielejącej skóry i zaczął czegoś szukać w przegródkach. Zapasowa działka. W końcu znalazł plastikową torebkę. Drżącymi palcami wysypał kokainę na stolik i wciągnął ją nosem na dwa razy. Zamknął oczy i natychmiast poczuł, że prawie unosi się z krzesła.

„Nikt nie ma prawa przeżyć”.

20 grudnia 2013

Paryż

Okazało się, że pięciopiętrowy budynek przy Avenue Victor Hugo 161 w XVI dzielnicy jest dokładnie taki, jak wyobrażał go sobie Mahmoud. Biała fasada, wysokie szczeblinowe okna i pomalowane na zielono wnętrza. Cała okolica sprawiała wrażenie, jakby składała się z zarobionych dawno temu pieniędzy i skrzynek z wypielęgnowanymi kwiatami. Klara nacisnęła dzwonek przy drzwiach.

– To ja – powiedziała po angielsku, gdy w domofonie rozległy się trzaski.

Drzwi zaskrzypiały i oboje weszli na klatkę schodową. Ściany pokrywały malowidła przedstawiające kwiaty i girlandy. Z sufitu zwisała wielka lampa, rozświetlająca klatkę ciepłym blaskiem. Klara podeszła do staromodnej windy i wcisnęła guzik.

– Tylko nie windą – zaprotestował Mahmoud, wskazując schody. – Muszę sprawdzić, czy ktoś się tam nie czai i na nas nie czeka.

Skinęła głową.

Cyril mieszkał na najwyższym piętrze. Ruszyli na górę bez słowa. Drzwi do mieszkania były uchylone. Mahmoud spojrzął na Klarę, która tylko wzruszyła ramionami. Na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. W chwili, gdy chciała szerzej otworzyć drzwi, jej telefon wydał z siebie dwa charakterystyczne dźwięki. Esmes. Mahmoud nie wierzył własnym uszom.

– Co jest grane? – syknął. – Nie wyłączyłaś telefonu?

Poczuł, że ogarnia go panika.

– Czy używałaś go w jakikolwiek sposób od momentu, gdy tu weszliśmy?

Klara pobladła. Drżącą dłonią zaczęła szukać telefonu w torebce.

– Musiałam sprawdzić numer telefonu Cyrila, ale zadzwoniłam do niego z mojego zwykłego telefonu. Zapomniałam go wyłączyć.

Wyglądała na przerażoną.

– Czy uda im się nas namierzyć? – spytała.

– Nie mam pojęcia, ale nie możemy tu zostać.

W tym momencie w drzwiach stanął Cyril. Jak zwykle był elegancko ubrany, w świetnie skrojone chinosy i koszulę od Ralphi Laurena. Miał wilgotne włosy, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznica.

Mahmoud spojrzął na niego i od razu się domyślił, że stało się coś strasznego. Cyril był blady i omijał ich wzrokiem, patrzył gdzieś za nich, na schody. Najwidoczniej nie wiedział, co zrobić z rękami. Wyciągnął dłoń do Klary, ale od razu ją cofnął. Lewą wsunął na chwilę do kieszeni, ale potem ją wyjął. Widać było, że mężczyzna, który przed nimi stoi, nie jest już młodym obiecującym politykiem, tylko cieniem załamane go czymś człowieka.

– Co ty tu robisz, Klaro? – powiedział Cyril z drżącym uśmiechem na twarzy. – Przez telefon byłaś taka tajemnicza. Kim jest twój przyjaciel?

Mahmoud spojrzął na zajętą swoim telefonem Klarę. Oczy miała zwężone.

– Klara – powtórzył Cyril. – Nie stój tak w progu, na miłość boską!

Klara oderwała wzrok od aparatu i spojrzała mu w oczy. Dopiero po chwili odpowiedziała.

– Na miłość boską!

W oczach miała kompletną pustkę, jakby przestała cokolwiek czuć. Mahmoud znał to spojrzenie. Widział je już raz w życiu, trzy lata wcześniej, na lotnisku Arlanda. Zanim Klara podniosła walizkę i poszła do odprawy bagażowej.

– Coś ty narobił? – spytała.

Cyril przełknął ślinę. Mahmoudowi zrobiło się go żal. Wyglądało na to, że Cyril nie lubił, gdy ktoś miał nad nim przewagę.

– Nie rozumiesz! Powiedzieli mi, że jesteś zakładniczką terrorysty i że mam się z nimi skontaktować, gdybyś tu przyszła.

Klara pokręciła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

– Mówili, że mają zdjęcia i nagrania z podsłuchów, twoje i moje, i że nagrali nas razem w twoim mieszkaniu. Powiedzieli, że mnie wykończą, jeśli nie będę z nimi współpracował. Rozumiesz? Przecież sama wiedziałaś, że nasz związek jest przelotny. Mam rodzinę, dzieci. Chyba to rozumiałaś?

Mahmoud nie zdążył nawet zareagować, gdy Cyril padł na podłogę. Klara wymierzyła mu silny, celny kopniak w krocze, a potem pochyliła się nad nim.

– Gdzie oni są? – szepnęła. – W mieszkaniu? Na ulicy? Odpowiadaj, bo cię zabiję. Przysięgam, że to zrobię.

Cyril spojrzał na nią wilgotnymi oczami, a potem odpowiedział głosem przypominającym skomlenie psa:

– Tu ich nie ma. Nie wiem, gdzie są. Może na ulicy? Nie wiem, naprawdę.

– Gdzie twój samochód? – spytała spokojnym, ostrym jak nóż głosem.

– Na podwórku.

– Daj mi kluczyki i portfel.

Cyril zawahał się i spojrzał na nią.

– Daj spokój – zaczął. – Przecież możemy to jakoś rozwiązać...

Klara uciszyła go mocnym policzkiem. Cyril zaklął i chciał ją chwycić za rękę, a jednocześnie próbował przekręcić się na drugi bok. Mahmoud nie pozwolił mu na to i wymierzył mu celny kopniak pod lewe kolano. Mężczyzna zawył z bólu i wrócił do poprzedniej pozycji.

– Daj jej te kluczyki – powiedział Mahmoud. – Chyba nie zrozumiałaś, że nie żartuje?

– Leżą na stoliku w przedpokoju – odparł Cyril. – Kluczyki i portfel.

Mahmoud przeszedł nad nim i zniknął w mieszkaniu.

– Podaj nam kod do twojej karty – zażądała Klara. – No, już!

Cyril wybełkotał czterocyfrowy kod.

– Lepiej, żeby się zgadzał – ostrzegł go Mahmoud, wracając z kluczykami i portfelem.

Klara się wyprostowała i strzepnęła brud z kolan. Mahmoud wziął ją za rękę i odciągnął od Cyrila. Zanim jednak skierowali się na schody, Klara wróciła na chwilę do klęczącego na podłodze mężczyzny. Pochyliła się nad nim, wzięła go pod brodę, uniosła mu głowę i zmusiła, żeby spojrzał jej w oczy.

– A tak przy okazji, to już koniec, dupku – powiedziała pozbawionym emocji głosem.

20 grudnia 2013

Paryż

Odgłos ich kroków odbijał się echem na klatce schodowej. Mahmoud otworzył prowadzące na podwórze drzwi. Niewielki parking oświetlała pojedyncza lampa. Padał coraz gęstszy śnieg. Pokrył cienką warstwą kilkanaście samochodów stojących ciasno obok siebie na placu.

– Który jest jego? – spytał Mahmoud.

– Niebieski jaguar.

– Zróbmy to dyskretnie.

Odnalezienie samochodu zabrało im kilka sekund. Mahmoud otworzył drzwi i usiadł na skórzanym siedzeniu. Klara zajęła miejsce obok.

– A teraz mi powiedz, co było w esemesie, który dostałaś – odezwał się Mahmoud. – Tam na górze przypominałaś przez chwilę Lisbeth Salander.

Klara wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła telefon. Wiadomość była krótka: „Chcą cię zabić. Ukryj się. George”.

– George? – spytał Mahmoud.

– Znam tylko jednego George’a. To Szwed, którego od czasu do czasu spotykam na różnych imprezach w Brukseli. Pracuje dla jakiejś firmy lobbystycznej. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co ma z tym wszystkim wspólnego.

Klara pokręciła głową, jakby chciała dopasować elementy skomplikowanej układanki albo wybudzić się ze snu.

– Przecież to chore – stwierdziła. – Już w chwili, gdy Cyril otworzył drzwi, wiedziałam, że coś jest nie tak.

Mahmoud skinął głową. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

– Musimy stąd zniknąć – powiedziała Klara. – Nie wiemy, ile czasu nam zostało.

Mahmoud przekręcił kluczyk i włączył silnik. Wycieraczki usunęły śnieg z szyby. W schowku Klara znalazła pilota do bramy. Mahmoud wyjechał z parkingu i zbliżył się do bramy. Zatrzymał się i spojrzał na Klarę.

– Za tą bramą ktoś może na nas czekać – ostrzegł.

Skinęła głową. Siedziała w milczeniu, ze wzrokiem wbitym przed siebie. W jej zimnych oczach pojawiło się coś całkiem nieokiełzanego.

– No to sprawdźmy, co nas tam spotka – odparła, wciskając czerwony guzik na pilocie.

Brama zaczęła się powoli otwierać. Mahmoud spojrzał na nią jeszcze raz.

– Jesteś twardsza, niż wyglądasz – powiedział.

– Tylko poczekaj – odparła. – *You ain't seen nothin' yet.*

Zanim jeszcze brama rozwarła się na całą szerokość, Mahmoud wcisnął pedał gazu i puścił sprzęgło. Sześciocylindrowy silnik zawył, koła zabuksowały i dopiero po chwili złapały przyczepność. Kiedy przejeżdżali przez bramę, od jej krawędzi dzieliły ich centymetry. Przednią częścią podwozia zawadzili lekko o chodnik, aż posypały się iskry.

Opony ślizgały się na po mokrym asfalcie, Mahmoud walczył z kierownicą. Samochody zaczęły na nich trąbić. Kilku przechodniów wyrzało spod parasoli, żeby sprawdzić, co się dzieje. W końcu wyjechali na ulicę i ruszyli z dużą prędkością.

– Czy ktoś za nami jedzie? – krzyknął Mahmoud.

Klara się odwróciła, żeby spojrzeć przez tylną szybę.

– Nie wiem. Pada gęsty śnieg. Nic nie widzę. Tak, czarny van! Stał zaparkowany na chodniku, gdy tam przyszliśmy. Jedzie za nami. Niech to szlag!

Ruch uliczny nie był już taki duży. Mahmoud przez cały czas jechał na drugim biegu. Skręcił na lewy pas i przyspieszył. Minał dwa pojazdy i wrócił na prawy pas. Nie zwracał uwagi na trąbienie kierowców ani na ich pełne złości gesty. Najważniejsze, żeby udało im się uciec.

– No i jak? – krzyknął do Klary.

Klara znowu się odwróciła.

– Nie widać ich.

Z dala dobiegł ich dźwięk syren. W tylnym lusterku Mahmoud ujrzał migoczące światło policyjnego radiowozu.

– Jadą za nami? – spytała Klara.

Mahmoud wzruszył ramionami i skupił się na drodze. Asfalt nadal był mokry, śnieg ciągle padał.

– Kto wie? Może twój facet zgłosił na policji, że ukradliśmy mu samochód?

– Nie jest moim facetem. Już nie.

Zbliżali się do skrzyżowania. Zapaliło się żółte światło. Mahmoud zmienił pas i wcisnął gaz do dechy. Wóz albo przewóz. Nawet nie zauważył samochodu, który gwałtownie wjechał na chodnik, żeby się z nimi nie zderzyć. Z tyłu nadal słychać było syreny. Minęli czarny wóz meblowy. Mahmoud zjechał na lewy pas i przejechał na czerwonym świetle. Jadące z naprzeciwka samochody zatrzymały się, jakby kierowców sparaliżował strach na widok ich szaleńczej jazdy. Kolejne skrzyżowanie było coraz bliżej. Po prawej stronie zauważył wąską uliczkę, która przypominała tunel. Stały przy niej domy z balkonami. Postanowił postawić wszystko na jedną kartę i gwałtownie w nią skręcił. Opony zapiszczały na asfalcie, ale Mahmoud nie odpuszczał. Dźwięk syren ustał.

– Gdzie są? Widzisz ich?

Prawie krzyczał na Klarę. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, co robi.

– Jedź tam! – odparła, wskazując na lewo. – Sklep spożywczy, na dole jest parking.

Mahmoud zauważył szyld z napisem Supermarché Casino. Podziemny parking wskazywała strzałka. Zostało im pięćdziesiąt metrów. W pewnej chwili samochód odbił się na chodniku i podskoczył. Wyglądało na to, że sklep nadal jest otwarty. Drogę na parking zagrażał im szlaban. Mahmoud zatrzymał wóz, opuścił szybę i nacisnął czerwony guzik. Upłynęła cała wieczność, zanim szlaban się podniósł. W końcu wjechali do środka.

– Widzisz ich? Widzisz?

Mahmoud wpatrywał się w tylne lusterko.

– Na razie nie – odparła Klara.

Podziemny parking to zupełnie inny świat. Wnętrze oświetlały zwykłe rtęciówki. Klienci sklepu pchali do samochodów wózki wypełnione zakupami. Dzieci i rodzice. Spokój, jaki

tu panował, był wprost szokujący. Mahmoud zdążył już zapomnieć, że istnieje zwykły, prawdziwy świat, w którym nikt nie poszukuje go za zabójstwo, nie grozi mu bronią, nie masakruje obiecujących polityków, a on nie musi oglądać śmierci swoich kumpli z wojska. Spokojnie zaparkował samochód na wolnym miejscu, jakby był zwykłym mieszkańcem Paryża, który przyjechał na zakupy. Wyłączył silnik i położył głowę na kierownicy. Pomyślał, że musi się trochę uspokoić. W końcu zdjął obolałe dłonie z kierownicy. Klara chciała otworzyć drzwi, ale ją powstrzymał.

– Przestań, do cholery! – krzyknął. – Przecież nie wiemy, ile mamy czasu.

20 grudnia 2013

Paryż

Nie wiedzieli, gdzie znajdują się schody prowadzące na górę, więc pojechali windą. Stali wciśnięci między wózki a klientów. Z głośnika dobiegały dźwięki piosenki. Bing Crosby śpiewał *Cichą noc*. Ściana windy była oblepiona ulotkami z ofertami cenowymi na *foie gras*, ostrygi i szampana, tradycyjne paryskie przysmaki świąteczne. Klara zerknęła na Mahmouda. Stał z zaciśniętymi zębami i wzrokiem wbitym w drzwi windy.

Ona też była skupiona i spięta. Wydawało jej się, że czuje każdy mięsień. Myśli miała jasne i proste, jakby całą uwagę skupiła na tym, żeby jak najszybciej stąd uciec i przeżyć.

Drzwi windy się otworzyły i klienci zaczęli powoli ją opuszczać. Po chwili Klara i Mahmoud zostali sami. Popatrzyli po sobie. Wzruszyła ramionami.

– *Let's go.*

Wyszli z windy i znaleźli się w sklepie. Minęli kasy i ruszyli do wyjścia. Nic się nie działo. Klientów było niewielu. Nic dziwnego, piątek wieczór.

– Czyżby nam się udało? – spytała Klara.

Mahmoud się rozejrzał. Widać było, że jest spięty, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Na to wygląda – odparł. – Pewnie ich zgubiliśmy na czerwonym świetle.

Ostrożnie zaczęli przesuwac się w stronę wyjścia.

– Nie widzę czarnego meblowozu – powiedział Mahmoud, patrząc przez okno.

Niestety, kiedy otworzyły się przed nimi automatyczne drzwi, Klara od razu zauważyła kobietę z końskim ogonem. Stała po drugiej stronie ulicy, w słabym blasku latarni. Dzieliło ich od niej nie więcej niż trzydzieści metrów. Kobieta też ich dostrzegła.

– Są tam! – krzyknęła Klara. Odwróciła się i chwyciła Mahmouda za ramię, żeby pociągnąć go z powrotem do sklepu.

W tym samym momencie poczuła, że jego ręka robi się dziwnie ciężka. To on pociągnął ją za sobą, ale nie w głąb sklepu, tylko na podłogę. Automatyczne drzwi się zamknęły.

– Wstawaj, musimy uciekać! – krzyknęła, szarpiąc go za ramię.

Nagle rozległ się trzask i szklane drzwi rozleciały się na tysiące drobin. Czas zatrzymał się w miejscu. Klara rzuciła się na podłogę przed kasami. Tuż za nią rozpadł się stojący przy wejściu regał z musującym winem. Butelki rozprysły się na kawałki i wymieszały z okruchami szkła na podłodze. Klara poczuła słodki zapach alkoholu. W sklepie zapanował chaos. Ludzie krzyczeli przerażeni i rzucali się na podłogę. Bing Crosby śpiewał *Jingle bells*. Klara znowu szarpnęła Mahmouda za rękę.

– Wstawaj! – krzyknęła. – No, wstawaj!

W końcu odwróciła się i spojrzała na niego. Leżał na plecach wśród okruchów szkła. Oczy miał szeroko otwarte, pozbawione życia. Na jego czole, tuż nad prawym okiem, Klara ujrzała niewielki, czarny otwór.

Dopiero później pojawiła się krew.

Popłynęła kleistym czerwonym strumieniem, tworząc wokół głowy Mahmouda kałużę

i mieszając się z rozlanym winem.

– Moody, Moody, wstawaj wreszcie!

Szarpała Mahmouda za rękę i próbowała zaciągnąć go za stanowiska kasowe, żeby jakoś osłonić, jakby rzeczywiście było to jeszcze możliwe. Wokół niej kryli się przerażeni ludzie, na podłodze leżały powywracane wózki i towary miażdżone stopami spanikowanych klientów. Ale Mahmoud był zbyt ciężki. Nie mogła go ruszyć z miejsca.

Pochyliła się więc nad twarzą, którą dawno temu tyle razy całowała. Krew wsiąkała w jej džinsy, kleiła się do kolan. Dłonie miała poranione od szkła. Przyłożyła policzek do ust Mahmouda, dotknęła palcami jego szyi. Niestety, nie wyczuła pulsu. Nie żył, choć jego ciało nadal było ciepłe. Dopiero teraz Klara uświadomiła sobie, że ona też może tu zginąć.

Uniosła głowę i przez rozbite drzwi ujrzała, że ich prześladowcy biegną przez ulicę. W rękach trzymali coś ciężkiego, czarnego. Broń.

– Moody! Moody!

Panika, szok. Pierwsze, trudne do opisania uczucie żalu, które przeraziło ją o wiele bardziej niż zabójcy na ulicy. W ułamku sekundy Klara zrozumiała, że nie chce jeszcze umierać. Uświadomiła też sobie, że nigdy nie przestała kochać Mahmouda. Wyparła z pamięci uczucie, ale nie zapomniała o nim. Dlatego nie mogła przestać kochać go tutaj, kiedy tak leżał na brudnej podłodze jak zabity pies, morderca albo terrorysta. To nie mogło się tak skończyć.

– Kocham cię, Moody – szepnęła, przyciskając wargi do jego ust.

Potem puściła męskie ramię, wstała z podłogi i przebiegła obok kas i skulonych klientów, kierując się w głąb sklepu. Na ulicy słychać było dźwięki syren.

Biegła po rozsypanym szkłe, wśród przerażonych ludzi. Nie słyszała ich płaczu ani krzyków. W głowie miała całkowitą pustkę. Mijała kolejne regały i nie oglądała się za siebie.

Tymczasem w głębi sklepu nadal panował spokój. Ludzie szli w stronę kas, ale rozglądali się niepewnie. Jeszcze nie wiedzieli, co się stało. Na samym końcu znajdowało się stoisko z wyrobami wędliniarskimi, ale nie było na nim nikogo z obsługi. Wyglądało na to, że cały personel ruszył do wyjścia. Klara minęła stoisko i przez ruchome drzwi wpadła na zaplecze. Stał tam mężczyzna w białym fartuchu i siatce na głowie. Najwidoczniej nie wiedział, że w sklepie coś się dzieje, bo zaczął na nią krzyczeć. Klara nie zwracała na niego uwagi, wpatrzona w zieloną tabliczkę z napisem „Wyjście ewakuacyjne”.

Klamkę nacisnęła łokciem, żeby okruchy szkła w dłoniach nie wbiły jej się głębiej. Drzwi prowadziły na rampę na tyłach sklepu. Ziemia pokryta była grubą warstwą śniegu, który padał nieprzerwanie od kilku godzin. Zeskoczyła z rampy i znalazła się na wewnętrznym podwórzu. Brudne podeszwy zostawiały na śniegu krwawe ślady. Przebiegła przez podwórze, bramę wjazdową ze szlabanem i wypadła na boczną ulicę, gdzie śnieg częściowo stopniał. Skręciła w lewo. Dopiero po stu metrach obejrzała się za siebie. Nikt jej nie ścigał.

20 grudnia 2013
Północna Wirginia, USA

Płynę. Biorę oddech, później drugi i trzeci. Zamykam oczy i całkowicie się wyłączam. Żadnych myśli, żadnych wspomnień.

To dzień, w którym pływam. Oddech, później drugi i trzeci. Jestem jak torpeda pozbawiona ładunku albo ślepy nabój.

Zmieniam rytm, płynę bez oddechu przez cztery uderzenia ramionami. Potem pięć, sześć.

Po drugiej stronie basenu robię nawrót, przez moment dotykam stopami kafelków. Odbijam się i czuję przyływ nowych sił. Czuję to w stawach, w udach. Zostaję pod wodą dłużej, niż powinienem. Najpierw przez pół basenu, potem dłużej. Pokonuję barierę, poza którą energię odrzutu pochłania opór. I jeszcze dalej.

Zanurzam się, daję odpocząć nogom i rękom. Wypuszczam powietrze. Czuję ucisk w skroniach, słyszę bąbelki wypuszczane przez nos i usta. Powoli opadam na dno, dotykam go piersiami. Płuca kurczą się, spragnione powietrza.

Ale to nie pomaga. Nawet to. Myśli. Wspomnienia. Odmawiam modlitwę. Jedyłą, jaką znam. Nic nie pomaga.

Kiedy jest już po wszystkim, kładę się na brzegu basenu. Hiperwentylacja. Oczy mi błyszczą z braku tlenu i wyczerpania. Przez wiązki nerwowe przemykają mi jakieś gwiazdki. Trzy godziny temu dowiedziałem się, jak nazywa się moja córka. Od trzech godzin nie mogę się już ukrywać przed przeszłością.

Siedzę w mojej maździe i czekam, aż coś na nią spadnie z nieba. Cokolwiek. Dłonie na kierownicy zaciskam z taką siłą, że aż zbielały mi kostki. Czuję, że jeśli ją puszcę, to natychmiast się rozkleję. Dochodzę do wniosku, że moc, która sprawia, że człowiek nie chce o czymś wiedzieć, jest naprawdę potężna, czasem nie do pokonania. Mój wstyd jest tak silny, że wciska mnie w fotel.

Siedziałem w Langley przed ekranem monitora i czytałem informacje na temat mojej córki, jej życia w Paryżu i Brukseli. Przeczytałem wszystko, do czego miałem dostęp. Niewiele tego było. Nic o nas, o przeszłości, o rodzinie. Zero informacji o tym dlaczego. Ani słowa o cieniach przeszłości. Znalazłem za to coś o jej arabskim facecie i broni z tłumikiem. W naszej bazie są pliki, do których nie mam dostępu. Hasła i dokumenty są chronione. Tajemnica na tajemnicy.

W schowku w moim samochodzie leży cienki beżowy skoroszyt, którego jeszcze nie otworzyłem. Jest moją jedyną szansą na uratowanie nie tylko jej, ale i siebie samego. To moja opowieść o jej przyszłości.

Idę po skutej lodem trawie i wsłuchuję się w chrzęst butów. Reflektory oświetlają granitową fasadę, pomalowane na biało drewno, wklęsłe kolumny imitujące styl kolonialny

nad schodami z łupków. To prefabrykowany amerykański sen. Potiomkinowskie domy dla dolnego szczebla klasy średniej, którego na więcej nie stać. Symbol sukcesu, sprawiający wrażenie, że rozpadnie się pod wpływem pierwszego silniejszego podmuchu wiatru.

Stoję u podnóża schodów i wpatruję się w ciemne okna. W rękę trzymam beżowy skoroszyt. Jeszcze do niedawna byłem martwy jak złamana gałąź w nurcie historii. Uginałem się pod ciężarem przeciwności losu. Ale to już przeszłość. Ogarnia mnie dziwny spokój. Naciskam dzwonek.

Susan otwiera zaskakująco szybko, chociaż zbliża się północ. Nadal ma na sobie ubranie, w którym chodzi do pracy, spódnicę i bluzkę. Jest równie anonimowa jak każdy inny szef średniego szczebla zarządzania. Twarz ma spiętą, niezgłębioną, wyraźnie maluje się na niej napięcie. Ta twarz nie pasuje do tego domu. Może przed chwilą wróciła z biura?

Susan nalega, żebyśmy pojechali jej samochodem. Jedziemy więc w milczeniu szerokimi ulicami przedmieść, mijamy opadłe z liści klony, boiska do futbolu i baseballu, domy z pogaszonymi światłami i pozamykane budynki kompleksu McMansion, które uginają się pod ciężarem świątecznych ozdób.

Droga jest pusta, jedziemy w milczeniu, zahipnotyzowani dźwiękiem opon sunących po asfalcie. Ktoś dzwoni do radia i obwinia za wszystko prezydenta, muzułmanów, Sąd Najwyższy. Susan wciska jakiś przycisk na tablicy rozdzielczej i głosy w odbiorniku milkną. Jedziemy drogą 245 na południe, w kierunku Waszyngtonu. Susan siedzi wpatrzona w snop światła reflektorów. W jej gestach i zachowaniu wyczuwam coś ambiwalentnego. Może zмага się z tajemnicami, kłamstwami, prawdą? Przerzuca je z jednej strony na drugą, żeby zachować równowagę?

W końcu zjeżdża z autostrady w kierunku Potomac Park i zatrzymuje się przy pomniku prezydenta Roosevelta. Wsiadamy z samochodu. Dźwięk zatraskiwanych drzwi niesie się echem po parku, dociera aż nad wodę. Powoli podchodzimy do pomnika. Sztuczne oświetlenie sprawia, że siedzący na wózku inwalidzkim prezydent przypomina upiora. Oboje trzęsiemy się z zimna, chłód bije od zatoki. Wokół nas stoją inne pomniki, które błyszczą i odbijają się w cichej, czarnej wodzie. Narcyz. Czy my też stajemy się takimi narcyzami?

– No to słucham – mówi w końcu. – O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Susan to drobna kobieta. Stoi przede mną wpatrzona w zatokę. Przychodzi mi na myśl, że uginamy się pod ciężarem wszystkich naszych kompromisów, nierozumnych decyzji. Ona może bardziej niż ja. Objęła kierownicze stanowisko, zanim jeszcze zaczęliśmy zatrudniać kobiety. Po ilu trupach musiała przejść, ilu przeciwników pokonać i rzucić na ofiarny stos, żeby wykorzystać nadarżającą się szansę?

Jestem opanowany, spokojny. Zdumiewa mnie to. Przechodzę do rzeczy.

– Kogo zamordowałem w Bejrucie?

20 grudnia 2013

Paryż

Klara nie protestowała, kiedy fryzjer obcinał jej gęste włosy. Kilka szybkich ruchów i fryzura, za którą niedawno zapłaciła osiemdziesiąt pięć euro w salonie TONI & GUY w głównej siedzibie Parlamentu Europejskiego w Brukseli, stała się wspomnieniem.

Kręciła głową na wszystkie strony, żeby przejrzeć się w brudnym hotelowym lustrze. Należność za pokój uregulowała pieniędzmi, które wypłaciła kartą Cyrila w zupełnie innej dzielnicy. Okazało się, że kod do bankomatu jest poprawny. Cyril był jednak zwykłym tchórzem. Wypłaciła dwa tysiące euro, żeby nie przekroczyć dziennego limitu. To niewielka cena za zdradę, której się wobec niej dopuścił. Potem złamała kartę i wrzuciła ją do kosza na śmieci.

Potrzebowała zaledwie piętnastu minut, żeby obciąć długie, sięgające ramion włosy. Teraz ma krótką, chłopięcą fryzurę. Pochyliła się i zwilżyła włosy lodowatą wodą z kranu. Potem wylała na dłoń prawie całą zawartość środka do rozjaśniania włosów i dokładnie go w nie wtarła.

Z trudem powstrzymywała się od płaczu. Marzyła, żeby w końcu położyć się do twardego łóżka z wytartą kwiecistą pościelą, zasunąć firany i zasnąć. Spać, spać, spać i nigdy więcej się nie obudzić. Chciała tylko uciec, zostawić to wszystko, zamknąć oczy i zamienić się w nicość. Przestać istnieć. Niestety, łzy same płynęły jej po policzkach. Na domiar złego za każdym razem, kiedy zamykała oczy, widziała Mahmouda wpatrującego się przed siebie martwym wzrokiem, czuła zapach taniego wina i słyszała świst kul przelatujących koło jej głowy. Właściwie dlaczego nie może sobie popłakać?

Kiedy poczuła, że środek zaczął działać, zdjęła z głowy wytarty hotelowy ręcznik i weszła do poźółkłej wanny, żeby splukać włosy. W łazience nie znalazła szamponu, więc umyła się kawałkiem mydła, które ktoś po sobie zostawił. Potem się wytarła i przejrzała w lustrze. Stwierdzenie, że zmieniła się w blondynkę, byłoby przesadą. Jej czarne wcześniej jak smoła włosy były teraz jasnobrażowe. I krótko obcięte. Może uda jej się na jakiś czas przywdziać nową maskę? Podjęła odważną próbę, zdecydowała się na metamorfozę. Być może to śmieszne, bardziej rytualne niż zwykłe przebranie. Nie mogła uratować Moody'ego, ale uratuje pamięć o nim.

Odwróciła się od lustra, wyszła z łazienki i podeszła do MacBooka, który leżał rozłożony na łóżku. Dostępu do jego zawartości bronił niemożliwy do złamania kod. Elektroniczny sfinks. W binarnym labiryncie kryły się informacje, za które ktoś gotów jest zabić.

Przez chwilę chciała się do niego włamać siłą, roztrzaskać twardego dysk i wyrwać z niego zawartość. Gotowa była zrobić cokolwiek, żeby tylko wejść w posiadanie tego, co się w nim kryje. W końcu jednak zamknęła oczy i usiadła na krześle. Ale już w następnej chwili zerwała się na równe nogi.

Jörgen! Oczywiście! Przecież zna hakerów. Może jej pomoże? Spojrzała na zegarek.

Dochodziło wpół do dziewiątej. Nie namyślając się dłużej, ubrała się i zbiegła schodami na dół.

Za stolikiem, który pełnił funkcję recepcji, siedział zaspany hiszpański student. Miał przed sobą komputer i surfował po Internecie. Z początku jej nie poznał.

– Mieszkam w pokoju numer dwanaście – wyjaśniła Klara. – Przefarbowałam włosy.

Wyjęła kartę do rozmów z zagranicą i poszła do automatu telefonicznego na rogu. Kupiła ją specjalnie po to, żeby móc dodzwonić się do Gabrielli. Czowała, że student śledzi ją wzrokiem, ale nie zwracała na niego uwagi. Jörgen odebrał już po pierwszym sygnale.

– Jörgen? Mówi Klara Walldéen. Obudziłam cię?

Jörgen chrząknął do słuchawki.

– No, no! – odparł.

– Co to znaczy: „No, no”? O co ci chodzi?

A może nie powinna do niego dzwonić?

– Widziałem twoje zdjęcie w „Aftonbladet”. Jesteś... – Przerwał i znowu chrząknął. – Jesteś poszukiwana przez policję – dokończył.

Klara zamknęła oczy i przeciągnęła dłonią po włosach. Poszukiwana przez policję. Zauważyła, że student macha do niej zza stolika. Dała mu znak ręką, że zaraz do niego podejdzie.

– Muszę cię prosić o przysługę – powiedziała. – Ale zrozumiem, jeśli odmówisz.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Mów, o co chodzi – odezwał się w końcu. – Czego ci potrzeba?

– Potrzebny mi jest ktoś, kto złamie hasło do komputera. Do maca. Ktoś dyskretny. Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

– Ktoś, kto złamie hasło do komputera? – spytał Jörgen. Zadał to pytanie takim tonem, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nieważne – odparła Klara. – Przepraszam, że w ogóle zadzwoniłam. To był głupi pomysł, nie chciałam cię wciągać w moje sprawy.

– Gdzie jesteś? W Brukseli?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Ale jeśli znasz kogoś takiego w Brukseli, to też dobrze.

– Jak cię znajdę?

Klara podała mu numer telefonu na kartę, który kupiła w Brukseli.

– Tylko proszę cię, nie podawaj tego numeru nikomu innemu.

Rozmowa dobiegła końca. Idąc do pokoju, podziękowała gestem studentowi, ale udała, że nie widzi, że znowu daje jej znaki. W pokoju zdjęła dzinsy, bo chociaż wcześniej próbowała usunąć z nich plamy krwi, nadal były mokre. Potem położyła się do łóżka. Było twarde, a od okna wiało chłodem, ale nie miało to znaczenia. I tak nie mogła zasnąć.

W końcu przeniosła się na parapet i usiadła na nim z głową opartą o szybę. Siedziała tak przez pewien czas, obserwując, jak opady śniegu zaczynają zmieniać się w deszcz. Nagle usłyszała kliknięcie telefonu leżącego na łóżku. Zeskakując z parapetu, spojrzała na swoje odbicie w szybie. Źle ufarbowane krótkie włosy, zmęczone oczy. Takie same zmiany, jakie dostrzegła u Mahmouda. Kontakt z przemocą, paraliżujący strach, a do tego coś głębszego, bardziej mrocznego od otaczającej ją nocy, coś, z czym wcześniej zetknęła się tylko pobieżnie – niezgłębiony smutek. W końcu odpędziła od siebie takie myśli. Nie rzuci się

w kuszącą ciemność, nie będzie się nad sobą użalać, chociaż pozwoliłoby jej to odciąć się od świata zewnętrznego.

– Jeszcze nie teraz – szepnęła. – Nie dziś wieczorem. Najpierw musi się to skończyć.

Wiadomość została wysłana z nieznanego numeru. To dobrze, pomyślała, nadawca nie posłużył się własnym telefonem. Czy mimo to tamci będą mogli ją namierzyć? Być może, ale trudno to stwierdzić. Esmes był krótki: „Prinsengracht 344, Amsterdam. Jutro po 10.00. Nazywa się Blitzworm97. Pozdrowienia od SoulXsearcher. Żadnych imion, żadnych telefonów. 200 euro. Okej?”

I tylko tyle. Brzmiało to jak potwierdzenie wizyty u lekarza, tyle że o dziwnym imieniu.

„Tak, dzięki” – odpisała Klara.

Wysłała esemes, wyłączyła telefon i wyjęła z niego baterię. Potem włożyła dzinsy. Nogawki nadal były mokre, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Postanowiła, że nie zostanie tu dłużej, bo jeśli jakimś cudem namierzyli jej telefon, mogą się zjawić w każdej chwili. Wychodząc z pokoju, wrzuciła telefon i baterię do kosza. Zatrzymała się przy znajdującym się w lobby brudnym komputerze dla gości. Autobusy do Amsterdamu odchodziły z drugiego krańca Paryża. Najbliższy odjeżdżał o jedenastej wieczorem. Zerknęła na zegar w komputerze. Wpół do dziesiątej. A więc do Amsterdamu.

20 grudnia 2013
Waszyngton, USA

Susan odwraca się powoli. Patrzymy sobie w oczy. Wzrok ma pusty, w jej niebieskich oczach widać samotność.

– Czy po to mnie tutaj ściągnąłeś? – pyta. – Żeby grzebać się w przeszłości?

Nie odpowiadam.

– Przecież minęło prawie trzydzieści lat. Wiesz, kto był sprawcą. Nazywał się Basil el Fahin i był konstruktorem bomb dla Hezbollahu. Widziałeś jego...

– Wiem, kim był – przerywam jej gwałtownie. – Wiem, kim był!

Mój głos jest pełen adrenaliny i siarki, ale nagle całkowicie się załamuje. Przeraza mnie to. Muszę nad nim zapanować. Zmusić go, żeby był mi posłuszny. Przeciągam dłońmi po twarzy.

– Wiem, co mówiliście, ale to nie on zamordował Louise. Okłamujesz mnie.

W jej wyglądzie coś nagle się zmienia. Napina plecy, które zaczynają przypominać łuk, ściąga na chwilę twarz, a potem znowu ją rozluźnia. Te znaki, te kłamstwa.

– Opanuj się – mówi Susan. – Co się z tobą dzieje? Dzwonisz do mnie w środku nocy, żeby mi opowiadać jakieś niestworzone historie?

A jednak w jej udawanym poirytowaniu pojawia się pęknięcie, rysa w odgrywanej przez nią frustracji. To coś innego, głębszego. Widzę to w jej oczach. Nagle robią się rozbiegane. Może kłamcom trudno jest kłamać? Ale zauważam coś jeszcze. Czuję, że Susan chce mi coś zdradzić, ale instynkt podpowiada jej, że jeszcze na to nie czas. Ma dwie możliwości do wyboru. To jej decyzja.

Wyjmuję skoroszyt, otwieram go i kładę przodem do niej. Za chwilę Susan poczuje się tak, jakbym wsunął ostry nóż w szczelinę, żeby ją poszerzyć.

– Daj spokój – odpowiadam. – Ja naprawdę wszystko wiem. Sama popatrz. Wszystko tu jest.

Mówię spokojnym, opanowanym głosem. Podaję jej skoroszyt, ale Susan stoi z opuszczonymi rękami. Oboje tak stoimy, każde na swojej szali. Niewiele wystarczy, żeby tę równowagę zburzyć. W końcu Susan bierze ode mnie skoroszyt. Trzyma go, ale nie zagląda do środka.

Nie wiem, jak długo trwa ta chwila niezwyklej intymności. Sekundę? Przerywa ją odległy dźwięk alarmu samochodowego. Czekam, aż ucichnie.

– To wy zamordowaliście Louise – mówię szeptem. – To ty ją zabiłaś.

Susan robi krok do tyłu i siada na pokrytej szronem ławce. Nawet nie sprawdza, czy jest brudna. Kładzie skoroszyt na kolanach i zaczyna wpatrywać się w czarną wodę, która rozpościera się przed nami.

Podchodzę bliżej i kucam przed nią. Brakuje mi tchu. Susan odwraca się i patrzy na mnie. Jej oczy stają się nagle czyste, niewinne. Przez chwilę nie widać w nich oznak

zdrady, kręctw. Wyciąga z torebki chusteczkę. Odwraca głowę, wyciera oczy i nos.

– Przecież musiałeś o tym wiedzieć – mówi.

Jej głos robi się nagle cienki, przypomina głos ptaka. Nie odpowiadam. Jej zachowanie to dla mnie wstrząs. Nagle zrobiła się taka wrażliwa i młoda, jakby była dziewczynką, dzieckiem. Ona też, tak jak ja, odbyła podróż wśród cieni w zupełnej samotności. Jesteśmy jak dwa pociski tego samego kalibru, każdy o innej trajektorii. Ona zawsze celowała w górę i do przodu. Ja w siebie samego. Susan i ten jej straszliwy umysł, niewymuszony, naturalny autorytet. Ile brudu ma jeszcze na sobie? Jak głęboka jest pustka, która ją wypełnia? Zaczyna mówić, ale nie do mnie, tylko do siebie, do pomnika, do historii.

– Nie chcieliśmy, żeby sprawy potoczyły się w tym kierunku. I nie planowaliśmy tego. To oczywiste. Nie wiedziałam o tym, przynajmniej nie wtedy. Nikt z nas nie wiedział, że operacja w Damaszku przypominała rosyjską matrioszkę, a ty byłeś tylko pierwszą z nich. Byłam wtedy nowa i niedoświadczona. To była pierwsza akcja, za którą odpowiadałam, a ty pierwszym agentem, którego prowadziłam. Wcześniej pracowałam w terenie tylko w Paryżu, ale to się nie liczy. Nie wiem, dlaczego nikt mnie nie poinformował, że dostarczamy Syryjczykom broń. To, że niczego się nie domyśliłam, było naiwnością z mojej strony. Wiedziałam za to, że istnieją odpowiednie poziomy decyzyjne, że decyzję podejmuje zawsze ktoś inny, w innym kontekście. Popełniono błędy, ktoś musiał za nie odpokutować. Spłacić długi. Nasze dostawy broni dla rządu syryjskiego stanowiły część zapłaty z tytułu zawartej wcześniej umowy. To był kolejny fatalny kompromis. Na tym chyba polegała zimna wojna. Jedna ręka nigdy nie wiedziała, co robi druga. Z czasem to do mnie dotarło.

Prostuję się ostrożnie, boję się jej tym przerwać to wyznanie, tę spowiedź. Siadam obok niej na ławce.

– Kiedy dowiedziałeś się o dostawach broni, zrozumiałam, że to wszystko dzieje się naprawdę. Poszłam spytać o to Daniela, który był wtedy szefem operacyjnym. Powiedział tylko: „Dobra robota, dziewczyno, zajmiemy się tym”. Kiedy tacy jak on mówią: „Zajmiemy się tym”, od razu wiadomo, że jest źle. A teraz ja tak mówię.

Susan uśmiecha się krzywo i kręci lekko głową. Spogląda na ciemną taflę wody, na widoczne po drugiej stronie kolumny.

– To nie ja podjęłam decyzję, żeby cię zlikwidować, aby w ten sposób ukryć tajemnicę. To nie był mój rozkaz. Teraz pewnie nie ma to już znaczenia, ale o całej sprawie dowiedziałam się już po wszystkim. Szczerze mówiąc, nie wiem, kto o tym zdecydował. Może Daniels? Albo ktoś wyżej? Nie wiem też, kto podłożył bombę, ale na pewno był to ktoś od nas.

W końcu prawda wyszła na jaw. Siedzimy tu razem i rozmawiamy o czymś, o czym zawsze wiedziałem, co zawsze leżało przede mną jak na dłoni. Mimo to z jakichś względów postanowiłem o tym nie wiedzieć. Teraz tkwimy w środku tego, od czego przez połowę życia próbowałem uciec. Czuję nagły zawrót głowy, muszę się oprzeć o poręcz ławki. Moje własne tchórzostwo jest wyraźne, tak straszne w świetle tego, co być może jest prawdą. Zmuszam się jednak i odpędzam uczucie nienawiści do samego siebie. Musimy brnąć dalej, aż do sedna sprawy.

– Dlaczego po nieudanym zamachu pozwoliliście mi dalej żyć?

„Dlaczego pozwoliliście mi dalej żyć?” Dziwnie to brzmi. Słowa prawie przywarły mi do języka. Susan wzrusza ramionami.

– A co mieliśmy zrobić? Załatwić cię w Langley? Albo zaaranżować wypadek samochodowy w Delaware? To by było zbyt oczywiste, gdybyś po zamachu bombowym zginął w taki sposób. Sprawa na pewno by się wydała. Nie wiedzieliśmy, czy znasz kontekst. Poza tym po zamachu mogłeś się zabezpieczyć na wypadek nagłej śmierci. W końcu ktoś na górze uznał chyba, że jeśli nasi agenci należycie wypełniają swoje obowiązki, to nie możemy ich zabijać. Cała ta sprawa była od samego początku jednym wielkim błędem. Straszny błędem. Potem się okazało, że jesteś lojalny.

W jednej chwili serce mi zamiera. Oczyma wyobraźni widzę beton i okruchy szkła, twoje zmęczone oczy, twoje rozwichrzone włosy w samochodzie. Czuję słabiotki oddech dziecka, które tuliłem do piersi. A więc to była pomyłka. Błąd. Nagle uświadamiam sobie cały banał tego, że przez całe życie unikałem podobnych myśli. Czuję, jak wycieka ze mnie czas, jak rodzi się we mnie straszna złość, która z każdą chwilą narasta. Ale to przeszłość. To, co się wydarzyło, należy do historii. Może znajdzie się jeszcze jakieś miejsce dla przyszłości?

– A Bejrut? Kogo zabiłem w Bejrucie?

– Konstruktora bomb pracującego dla Hezbollahu. Tego, który występował w naszej wersji wydarzeń. Długo go szukaliśmy i nagle dotarły do nas informacje, że przebywa w Bejrucie. Sfabrykowaliśmy wersję, według której to on był autorem zamachu, w którym zginęła twoja przyjaciółka. Nadarzyła się okazja, żeby jednocześnie zrealizować cel operacyjny i zrewidować historię. Rozwiązało to nasz problem, a ty dostałeś to, czego chciałeś: zemstę. Było to równanie z samymi plusami, nie licząc czynnika moralnego. Chyba to rozumiesz?

Susan uśmiecha się niepewnie. Ma zatroskaną twarz. Może tak jak ja uważa, że zło równoważy zło, że właśnie owo równanie doprowadziło do tego, że kierował nami relatywizm. Wszystko wydawało się całkiem racjonalne do chwili, gdy ktoś zdarł powłokę i uświadomiliśmy sobie, że tkwi pod nią szaleństwo, nic więcej. Susan odwraca się w moją stronę.

– Dlaczego teraz? – pyta. – Dlaczego właśnie teraz postanowiłeś zobaczyć to, co mogłeś dostrzec przez całe życie?

Nie czuję nic oprócz pustki. Marzę o drinku.

– Muszę się napić – odpowiadam.

– Myślałam, że przestałeś pić.

No tak, przecież nie ma takiej rzeczy, której by o mnie nie wiedzieli.

20 grudnia 2013

Sztokholm

– Należy się dwieście siedemdziesiąt pięć koron – powiedział kierowca taksówki, po czym się pochylił, żeby się przyjrzeć starej willi z błyszczącą od dyskretnego oświetlenia fasadą. – Ten dom przypomina prawdziwy pałac.

Gabriella wyjęła portfel i podała kierowcy kartę firmową. Klara dzwoniła do niej pół godziny wcześniej. Była przerażona, miała żaloszny głos. To jakiś koszmar, dziwna historia, która wymknęła się spod kontroli. Klara twierdziła, że ktoś zastrzelił Mahmouda na jej oczach w Paryżu, że jest poszukiwana przez policję, a jej zdjęcie opublikowały wieczorne gazety.

– Czy mogłabyś mnie reprezentować? – spytała na koniec. – Doradź mi, co mam zrobić.

Gabriella zaczęła gorączkowo myśleć. Ona też czuła się zagubiona i przestraszona. Najważniejsze, żeby nie spanikować. Przypomniała sobie, co powiedział jej Bronzelius: to, co przydarzyło się Mahmoudowi, było wynikiem nieporozumienia i policja bezpieczeństwa już o tym wie. Jeśli tak, to kto ścigał Klarę i Mahmouda w Paryżu?

– Wracaj do domu – powiedziała Gabriella. – Znajdziemy jakieś wyjście.

Ale nawet ona nie wiedziała, czy to dobra rada. Może Klara powinna skontaktować się z francuską policją? Media twierdzą, że policja chce ją tylko przesłuchać. Przez chwilę zastanawiała się nad tym rozwiązaniem, ale uznała, że nie warto ryzykować. Rozłączyła się i zadzwoniła do Wimana.

Kierowca taksówki oddał jej kartę. Wsiadła z wozu i spojrzała na zegarek. Dwanaście minut po północy. Dość nietypowa godzina jak na wizytę w domu przełożonego. Ale to on zaproponował jej spotkanie. Gabriella poczuła się pewniej. Jeśli sam Wiman interesuje się tą sprawą...

Jego dom wywarł na niej imponujące wrażenie. Krążyły o nim różne historie. Stał się legendarny wśród młodych prawników, którzy doznali zaszczytu i zostali tam zaproszeni. Dwupiętrowy budynek miał kształt sześcianu, frontowa ściana była kremowa, a powierzchnia całkowita wynosiła około trzystu metrów kwadratowych. Dom stał na wzgórzu, przez co sprawiał wrażenie, że znajduje się na uboczu, jakby jego mieszkańcy byli zbyt ważni, aby kojarzono ich z całym Djursholmem.

Gabriella nacisnęła dzwonek i rozległ się gong. Chwilę później drzwi się otworzyły.

– Dobry wieczór – powiedział Wiman. – Wejdz, proszę.

Mimo późnej pory ubrany był w swój tradycyjny strój: ciemny garnitur z czerwoną wypustką w kieszeni marynarki i białą koszulę. Brakowało tylko krawata. W ręce trzymał szklaneczkę z zaokrąglonym dnem. Połyskiwał w niej bursztynowy napój, whisky.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze – zaczęła Gabriella. – Nie miałam takiego zamiaru, możemy omówić to rano. Ale chciałam, żeby był pan o wszystkim poinformowany.

Wiman machnął niecierpliwie ręką i ruszył przed nią po marmurowej podłodze

w przedpokoju.

– To ja cię tu zaprosiłem – odparł. – Gdybym chciał o tym porozmawiać rano, powiedziałbym ci o tym.

Zaprowadził ją do pokoju, który pełnił funkcję gabinetu albo biblioteki. Czy w Szwecji nadal istnieją prywatne biblioteki? Gabriella rozejrzała się ze zdumieniem. Trzy wysokie okna na dłuższej ścianie wychodziły na wodę, podobnie jak okno na krótkiej ścianie. Pozostałe pokrywały regały z książkami, które sięgały od podłogi po sufit. Obok drzwi znajdował się kominek. Ogień w nim dogasał. Ile może kosztować taki dom? Dwadzieścia milionów? Więcej? Czy każdy, kto staje się współnikiem w kancelarii adwokackiej, kiedyś doczeka się takiej chaty?

– Ma pan fantastyczny dom – powiedziała z uznaniem Gabriella.

– Z przełomu wieków – odparł niewzruszony komplementem Wiman. – W latach dwudziestych został przebudowany we włoskim stylu. Później ja też wprowadziłem pewne zmiany. Napijesz się czegoś? Koniaku? Czerwonego wina?

Mówiąc to, wskazał na stojący w rogu pokoju przy oknie, dobrze zaopatrzony mahoniowy barek na kółkach.

– Poproszę whisky – odparła Gabriella. Poczowała, że w aktualnej sytuacji akurat ten alkohol podziela na nią najlepiej.

Wiman podszedł do wózka i nalał porządną porcję whisky do takiej samej szklanki, jaką trzymał w ręce. Zanim odstawił butelkę, zrobił sobie dolewkę.

– Z wodą? – spytał.

Gabriella pokręciła przecząco głową. Wiman podał jej szklankę, po czym oboje usiedli w skórzanych fotelach przed kominkiem. W pokoju było ciemno, rozświetlał go tylko dogasający ogień i lampa stojąca przy wózku z alkoholem.

– Zmartwiło mnie to, co przydarzyło się twojej przyjaciółce. Jest mi naprawdę przykro – zaczął, popijając whisky.

Gabriella łyknęła porządnie i rozsiadła się wygodniej w fotelu. Nie będzie płakać, przynajmniej nie teraz i nie tutaj.

– Tak, to straszna historia. Wprost szokująca. Ciągle to do mnie nie dociera.

Poczowała, że w kącikach oczu zbierają jej się łzy, które powoli spłynęły po policzku. Nie mogła się powstrzymać. Wszystko było zbyt świeże, całkiem niepojęte.

Wiman siedział w fotelu, wpatrzony w ogień. Nagle wydał jej się postarzały, zmęczony życiem. Jakby coś mu ciążyło. Gabriella nigdy go takiego nie widziała. Zazwyczaj miał pozbawioną wyrazu twarz i trudno było wyczytać na niej jakiegokolwiek uczucia.

– A więc rozmawiałaś z Klarą Walldéen? Tą samą, która według mediów towarzyszyła Shammoshowi, gdy został zabity w Paryżu?

Wiman podniósł się z fotela i dołożył do ognia brzoźową szczapę. W górę trysnął snop iskier. Gabriella wsłuchiwała się w wiatr świszczący w gałęziach starych drzew. Otarła łzy z twarzy i przeciągnęła dłonią po rudych włosach. Skinieniem głowy potwierdziła to, o co spytał ją Wiman.

– A gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Nie chciała powiedzieć mi tego przez telefon. Poprosiłam ją jednak, żeby wróciła do Szwecji. Uznałam, że tak będzie najlepiej. Usiądziemy wtedy razem

i zastanowimy się nad wszystkim, a potem pójdziemy na policję. Klara była w szoku.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał Wiman. Głos miał suchy, prawie niecierpliwy.
– Dlaczego ktoś zabił Shammosha i tego drugiego Szweda? To bardzo ważne. Musimy wiedzieć, co się za tym kryje.

– Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Ale jestem pewna, że Klara też nic nie wie.

– Czy właśnie takie odniosłaś wrażenie? Że nie wie, dlaczego ktoś ich ściga?

– Właśnie tak. Chyba nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. W każdym razie mnie tego nie powiedziała.

Wiman skinął powoli głową.

– A co dokładnie powiedziała przez telefon? Spróbuj jak najściślej powtórzyć mi waszą rozmowę.

Gabriella zastanawiała się przez chwilę, a potem postarała się jak najwierniej przytoczyć treść rozmowy. Pytania, które zadawał jej Wiman, uspokajały ją. Poczła się bezpieczniej. Wiman zachował spokój i skupił się na szczegółach, dzięki czemu mogła spojrzeć na sprawę z pewnego dystansu.

– A jak już wróci do Szwecji, to co? – spytał Wiman, gdy Gabriella skończyła mówić. – Jaki masz plan?

– Klara twierdzi, że zna pewne miejsce na szkiecach, gdzie mogłaby się ukryć. W tym czasie my się dowiemy, co w trawie piszczy. To gdzieś koło Arkösund. I właśnie dlatego do pana zadzwoniłam. Co powinnam zrobić? Co jej powiedzieć? Rano cała ta historia pojawi się w mediach.

Gabriella wypła resztę trunku. Poczła rozchodzące się po całym ciele ciepło.

– Media możemy olać – odparł Wiman. Wziął od Gabrielli pustą szklankę i podszedł do barku, żeby nalać jej kolejną porcję.

– Skup się teraz tylko na tym, żeby ściągnąć ją do Szwecji. Niech się gdzieś ukryje, a my się w tym czasie zastanowimy. Powiadom mnie tylko, gdzie będziecie, dobrze? To ważne, żebyśmy mogli się ze sobą kontaktować.

Wiman podał Gabrielli szklankę z whisky.

– Informuj mnie o wszystkim, czego się dowiesz. I nie rób nic na własną rękę. Mówię poważnie.

Gabriella skinęła głową i wypła jednym haustem całą zawartość szklanki.

– Powinnam chyba zamówić taksówkę – powiedziała, sięgając po telefon.

20 grudnia 2013
Waszyngton, USA

Dwadzieścia minut później siedzimy w zadymionym barze w Georgetown. Można tu dostać porządny alkohol. Pierwszy kieliszek Rusty Nail wprawia mnie w nostalgiczny nastrój. Po wypiciu drugiego pewniej trzymam się na nogach, a przeszłość mieni się przez chwilę niejasnymi barwami. Odstawiam szklankę na ciemny, zniszczony stół.

Susan popija napój gazowany. Kiedy porusza szklanką, kostki lodu uderzają o brzegi. Dźwięk miesza się z *These mist covered mountains are a home now for me*. Znam tę piosenkę. Przy słabym świetle Susan wygląda jak upiór. Na razie przyszła ze mną do tego lokalu. Co potem?

– Pytam jeszcze raz: dlaczego teraz?

W końcu znaleźliśmy się u kresu drogi. Podążaliśmy krętymi ścieżkami historii, które doprowadziły nas do miejsca, gdzie wszystko polega na zapomnieniu, wybaczeniu i ratowaniu tego, co da się jeszcze uratować.

– Z powodu córki – wyjaśniam. – Chodzi o moją córkę.

Susan siedzi z niewzruszoną miną. Wypija trochę napoju.

– Klara Walldéen. Jej nazwisko figuruje w naszej bazie. Chcę się o niej dowiedzieć wszystkiego. Chcę dotrzeć do wszystkich naszych raportów, dat, do wszystkiego. I to od razu. Bez czekania. Dziś w nocy.

Susan patrzy na mnie dalej. Obojętność czająca się w jej wzroku jest paraliżująca.

– A jak już uzyskasz dostęp do tych danych? – pyta. – Do tego, na czym ci zależy? Co to zmieni?

Jednym haustem opróżniam szklankę, kostki lodu dzwonią mi o zęby. Opieram się o krzesło i czuję, jak sala kurczy się na moich oczach, a świat za oknami rośnie. Robi mi się ciepło od alkoholu, przepelnia mnie żal z powodu przeszłości. Przypominam sobie strach i pełne emocji chwile związane z pościgiem. Czuję, jak siłę zawartą w każdej błędnej decyzji równoważy inna siła, dzięki której wszystko wraca na właściwe tory. To chwila, gdy relatywizm przestaje ratować ludzką duszę. Moje zadośćuczynienie musi być ogromne.

– O co tu chodzi? – pytam. – W co ona się wplątała?

Susan patrzy na mnie tak, jakby chciała mnie przeszyć wzrokiem.

– Dlaczego nigdy nie wspomniałeś, że masz córkę?

Wiem, że nie powinienem więcej pić, że przekroczyłem czerwoną linię. Mimo to daję znak kelnerowi, który kiwa głową, sięga po szklankę i napełnia ją kolejną porcją whisky z lodem. Drambuie.

– To ja zadałem ci pytanie.

– Wydaje ci się, że mógłbyś ją ochronić? Ukryć? – pyta Susan.

W jej głosie pojawiła się nutka smutku, żalości. Błada karnacja kobiety kontrastuje z czerwonymi oparciami boksów, w których siedzimy. W lokalu jest dość ciemno. Pod jej

oczami zauważam pierwsze sińce, których nie zdołał ukryć dyskretny makijaż. Jest już późno, ale oboje przywykliśmy do bezsennych nocy.

– Chyba się domyślasz, że wiedzieliśmy o wszystkim już wtedy, gdy przed trzydziestu laty wróciłeś z Damaszku? Wiedzieliśmy, że dwa dni po tamtym zamachu bombowym zostawiłeś córkę przy wejściu do ambasady szwedzkiej. I że dorastała u swoich przybranych rodziców, a właściwie dziadków, gdzieś na szwedzkich szkiełach. Wiem, że szukałeś jej w naszych bazach danych. Wiedziałam o tym od dnia, w którym zrobiłeś to po raz pierwszy przed dziesięciu laty. My naprawdę wiemy o wszystkim.

To coś bezcielesnego. Wywołuje zamęt w głowie. Gdy człowiek zostaje skonfrontowany z faktem, że sam siebie oszukiwał. W końcu stoi nagi przed samym sobą. Unosi się wysoko nad sobą i skonstruowanym przez siebie światem. Czuję, że drżą mi palce, i walczę z impulsem, który każe mi wychylić do dna szklankę alkoholu, którą przed chwilą postawił przede mną kelner. Wychylić mały łyk, poczuć lód między zębami. Właściwie wiem o wszystkim, o czym opowiada Susan. Wypijam kolejny łyk. Odchylam głowę i poddaję się, opróżniam szklankę do dna. Słodki napój rozlewa się po moim wnętrzu. Daje mi złudne poczucie siły. Biorę do ręki beżowy skoroszyt, który Susan położyła na stoliku.

– To nieważne – odpowiadam. – Gówno mnie obchodzi, co o mnie wiedzieliście. Daj mi jakieś informacje o Klarze. Dla mnie jest już po wszystkim. To koniec. Zamierzam iść do „Washington Post”. Opowiem im wszystko, o czym wiem, a na dodatek to udowodnię. Przysięgam, że tak zrobię. Mam już tego dosyć. Daj mi szansę naprawienia tego, co jeszcze da się naprawić.

Susan odstawia szklankę na stół i kładzie dłoń na skoroszytu. Spokojnie go otwiera. Nagły przeciąg rozwiewa kartki po blacie. Dziesięć, dwadzieścia, a może trzydzieści stron. Są puste. Żadna z nich nie zawiera jakiegokolwiek treści. To zwykłe kartki formatu A4. Nic więcej.

Wychodzimy z lokalu i wsiadamy do samochodu. Czuję, że jestem porządnie wstawiony. Susan krąży po śpiącym mieście, opowiada o Klarze i Mahmoudzie. O popełnionym błędzie i o tym, że stracili nad tym kontrolę. O zwykłej, beznadziejnej codzienności w naszym świecie i o kolejnej akcji bez ładu i składu.

Po skończonej rozmowie do kogoś dzwoni. Prosi anonimowego rozmówcę, który akurat pełni dyżur, żeby zarezerwował dla mnie bilety. W końcu zatrzymuje samochód niedaleko mojego domu. Zerka na drogi zegarek.

– Samolot startuje za cztery godziny – mówi. – Weź prysznic i napij się kawy. Czy masz w domu jakieś fałszywe dokumenty?

Potwierdzam skinieniem głowy. Od razu przychodzą mi na myśl trzymane w sejfie dwa kanadyjskie paszporty na różne nazwiska. A przecież to miał być koniec. Myślałem, że gra się skończyła. A chyba będzie trzeba rozegrać jeszcze jedną partię. Zawsze istnieje ostatnia szansa.

– Dlaczego to dla mnie robisz? – pytam.

Silnik samochodu nadal pracuje na wolnych obrotach. W blasku ulicznych latarni widać płatki śniegu.

– Może jestem ci to winna? Może to najlepsza okazja, żeby całą tę sprawę w końcu wyjaśnić? Zresztą... czy to ważne?

Wypiłem mnóstwo alkoholu. Otwieram drzwi samochodu. Wydaje mi się, jakbym z niego nie wysiadał, tylko wypływał. Nic nie jest już ważne. Nic oprócz ostatniej partii, która pozostała jeszcze do rozegrania.

21 grudnia 2013

Amsterdam

W końcu zmęczenie dopadło Klarę w wypełnionym do połowy i niedokładnie wysprzątanym nocnym autobusie firmy Euroline do Amsterdamu. Było to chyba najlepsze rozwiązanie. Nie trzeba było legitymować się żadnym dokumentem tożsamości i nie należało się raczej obawiać kontroli paszportowej w Amsterdamie. Euroline to coś w rodzaju systemu krwionośnego dla biednych, który przecina Europę wszerz i wzdłuż. Siatka połączeń kolejowych i lotniczych jest odzwierciedleniem tradycyjnych potrzeb komunikacyjnych przedstawicieli klasy średniej. Te same miasta docelowe, ale inni ludzie. Zamiast biznesmenów z walizkami firmy Samsonite i szczęśliwych rodzin autobusy przewożą polskich stolarzy wiozących alkohol i skrzynki z narzędziami; jeżdżą też nimi mużmańskie kobiety w chustach na głowie, ze szczelnie wypełnionymi tanimi torbami. Czasem trafi się jakiś student mający czasowe problemy z wypłacalnością, podróżujący dzięki stypendium Erasmusa na drugi kraniec kontynentu. Klara rozciągnęła się na dwóch fotelach. Pod głowę wsunęła torebkę zamiast poduszki, torbę z laptopem przywiązała sobie natomiast do lewego ramienia, obwiązując je kilka razy paskiem. Zasnęła, zanim jeszcze autobus opuścił centrum Paryża.

Obudziła się przed przyjazdem na dworzec Amstel w Amsterdamie. Na dworze nadal było ciemno, a gdy kierowca otworzył drzwi, do środka wdarła się fala zimnego powietrza. Klara założyła płaszcz i naciągnęła głębiej czapkę. Przecierając oczy, wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, czy nie czeka na nią patrol policji. Swoje szanse oceniała pół na pół. Na szczęście dokoła było prawie pusto, nie licząc miejskiego autobusu, który stał z wygaszonymi światłami pod zniszczoną latarnią uliczną. Klara wmieszała się w barwny tłum pasażerów i ruszyła w stronę dworca. Zegar wiszący na fasadzie budynku wskazywał siódmą. Zostały jej trzy godziny.

Ruszyła przez opustoszałe o tej porze miasto. Ulice i kanały były puste. Wiatr wiał jej prosto w twarz. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża do Amsterdamu, wieje, jak gdyby wiatr lodowatymi podmuchami chciał jej przypomnieć, że Holandia to płaski kraj.

Czuła zniecierpliwienie. Całą energię skupiła na tym, żeby odpędzić od siebie myśli o Mahmoudzie, krwi i smutku, jaki niedawno ją ogarnął. Co pewien czas odnosiła wrażenie, że jej głowa, klatka piersiowa i serce zaraz eksplodują, a wiatr rozniesie ich szczątki po całej Europie. W pewnym momencie musiała się nawet zatrzymać i zamknąć oczy. Ze wszystkich sił zmuszała się, aby nie myśleć o strasznych wydarzeniach, do których doszło w Paryżu. Woląca przenieść się w myślach do miejsca, gdzie czuje się bezpieczna, bo o szczęściu nie mogło być na razie mowy. W salonie stoi fotografia babci, w żelaznym piecyku płonie ogień, stół jest przykryty koronkowym obrusem, a na kredensie znajduje się piękna, oryginalna porcelana z Gustavsbergu. Wszędzie czuć zapach

szafranowego chleba, z daleka dobiegają odgłosy nadchodzącej burzy. Pograżona w takich myślach, zdawała sobie jednak sprawę, że tego rodzaju rozwiązanie ma charakter tymczasowy, jak założony na amputowaną nogę tymczasowy opatrunek, który ma chwilowo powstrzymać krwawienie.

Miała nadzieję, że osoba używająca pseudonimu Blitzworm97 mieszka w bardziej obskurnej dzielnicy niż Prinsengracht. Na przykład w garażu w blokowisku na przedmieściach, gdzie nie zwraca na siebie uwagi, ubiera się w koszulkę z nadrukiem „Star Trek”, pije jolt colę i snuje plany zniszczenia światowego centrum finansowego za pomocą precyzyjnie wymierzonego ataku cybernetycznego. Jej rozmówca na pewno nie mieszka wśród malowniczych kanałów albo na jednej z udekorowanych świątecznymi ozdobami ulic w centrum miasta. Czy na pewno ma właściwy adres? Zanim pozbyła się telefonu, sprawdzała go dziesiątki razy. W Amsterdamie jest tylko jedno miejsce o nazwie Prinsengracht.

Numer 344 znajdował się na domku jednorodzinnym. Duże, czyste okna wychodziły na kanał. W środku domu widać było sterylnie czystą kuchnię. Przy stole siedział mężczyzna ubrany w nieskazitelnie czysty granatowy garnitur. Mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat. Pił kawę i czytał poranną gazetę. Klara uznała, że ma przed sobą klasyczny obraz odnoszącego sukcesy Europejczyka, jakby wycięty z dodatku do „Financial Timesa” pod tytułem *How to spend It*. Poczowała, że ogarnia ją lęk. Cholera, przecież ten facet nie może być kimś, kto używa ksywki Blitzworm. To absolutnie niemożliwe. Coś tu nie gra.

Szybko minęła budynek i weszła do kawiarni położonej kilka przecznic dalej. Zamówiła cappuccino i dwa croissanty. Musiała to zrobić, bo była głodna. A propos, kiedy ostatni raz jadła? Czowała się zagubiona i niespokojna. Mężczyzna, którego widziała przez okno, na pewno nie należy do tych, którzy połasiliby się na dwieście euro. Sam jego krawat kosztował więcej. Niestety, w tej chwili nie miała innego wyboru.

Pięć minut po dziesiątej przełknęła ślinę i zadzwoniła do drzwi domu pod numerem Prinsengracht 344. Na dworze było zimno, a mimo to się pociała. Nad miastem zalegały chmury, twarz zraszał jej uporczywy kapuśniaczek. Po kilkunastu sekundach usłyszała kroki na schodach. Dziesięć sekund później drzwi lekko się uchyliły.

W progu stała mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna. Miała wysokie kości policzkowe i jasnoniebieskie oczy, wąską twarz, która przypominała pysk charta, i zbyt duże usta. Do tego długie, zwieszane ręce, workowate džinsy i o wiele na nią za dużą koszulkę z podobizną Justina Biebera. Wyglądała dość nieproporcjonalnie i niezgrabnie. Klara wiedziała jednak, że za kilka lat zupełnie się zmieni. Dziewczyna żuła gumę. No tak, jakżeby inaczej.

– Cześć – rzuciła Klara po angielsku i zamilkła, bo nie wiedziała, co więcej może powiedzieć.

Dziewczyna popatrzyła na nią. Na jej twarzy pojawił się arogancki dziecięcy uśmiech.

– Słucham? – spytała. – Kogo pani szuka?

Dziewczyna mówiła po angielsku z amerykańskim akcentem.

– Przepraszam, ale musiałam chyba pomylić adres – odparła Klara.

Ale dziewczyna nadal jej się przyglądała. Nie wykonała żadnego ruchu, który wskazywałby, że chce zamknąć drzwi.

– Przepraszam – powtórzyła Klara i już chciała się odwrócić, gdy dziewczyna w końcu zareagowała.

– Niech pani wejdzie – powiedziała. – Jest pani koleżanką SoulXsearchera?

Klara odwróciła się do niej.

– Tak – odparła. – Tak przypuszczam. To ty jesteś Blitzworm97?

– Spodziewała się pani kogoś innego? – spytała dziewczyna, zapraszając ją gestem w głąb jasnego przedpokoju urządzonego w stylu Philippe’a Starcka. Na białym stoliku w stylu rokoko stał wysoki wazon ze świeżo ściętymi białymi różami. Nad stolikiem wisiał obraz, który przypominał prawdziwego Miró.

– Nie wiem – odparła Klara.

– Pewnie chłopaka? Przykro mi, że panią rozczarowałam.

Mówiąc to, wskazała schody na końcu korytarza.

– Mój pokój jest na samej górze.

Dziewczyna zaprowadziła Klarę aż na poddasze. Po chwili znalazła się w dużym, sprawiającym lekko schizofreniczne wrażenie pokoju ze skośnym dachem i dwoma wykuszami. Pierwotnie był on urządony ze smakiem, tak jak pomieszczenia na parterze. Ściany pomalowano na biało, podłoga z desek wyglądała na zadbaną. Do tego belki pod sufitem i marmurowe parapety. Klara podejrzewała jednak, że ktoś – najprawdopodobniej Blitzworm97 – zrobił wszystko, żeby nadać pomieszczeniu mniej wyszukany charakter.

Większą powierzchnię ścian pokrywały afisze i plakaty takich wykonawców jak The Notorious B.I.G., Tupac, Bob Marley. Duże canvasowe spodnie spryskane sprejem, fotografie przedstawiające liście marihuany. Spod łóżka wystawała podniszczona deska do skateboardu. Tę część pokoju wypełniała imponująca liczba komputerów i monitorów. Łóżko było niezaścielone. Po podłodze poniewierały się stringi, rajstopy i talerze z resztkami jedzenia.

– Domyślam się, że ta koszulka z Bieberem ma ironiczny wydźwięk? – spytała z uśmiechem Klara.

– Bingo – odparła dziewczyna.

Usiadła na łóżku, wysunęła szufladkę nocnej szafki i wyjęła z niej niewielką torebkę marihuany i bibulek. Bez słowa zaczęła sobie robić skręta. W jej zachowaniu było coś buntowniczego. Klara z trudem powstrzymywała uśmiech.

– Blitzworm – zaczęła Klara. – Chcesz, żebym cię tak nazywała, czy mam się do ciebie zwracać po imieniu?

– Może być Blitz albo Blitzie. Jak pani woli. *Whatever*.

Zapaliła jointa i kilka razy głęboko się zaciągnęła.

– Chce pani jednego? – spytała, podając gościowi skręta.

– Jasne – odparła Klara.

Już nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz paliła marihuanę. Pewnie kiedy mieszkała w Brukseli. Nigdy jej zbyt nie lubiła. Ale teraz, o dziesiątej rano, w towarzystwie zbuntowanej nastolatki z Amsterdamu, uznała, że to dobra okazja.

– Czy nie jesteś zbyt młoda na takie rzeczy? – spytała Klara, wydmuchując dym.

Dziewczyna zabrała jej skręta i chciwie się zaciągnęła.

– Jesteśmy w Amsterdamie, jasne? Tutaj nikogo to nie obchodzi.

Klara skinęła głową. Dziewczyna ma pewnie rację.

– Macie ładny dom.

– Kogo to interesuje? Moi rodzice to przebrzydli kapitaliści. Nienawidzę ich.

Tym razem Klara nie potrafiła ukryć uśmiechu. Marihuana sprawiła, że poczuła się wyluzowana i prawie całkowicie spokojna. Miała ochotę przysunąć się do dziewczyny i ją objąć.

– Przejdzie ci to – powiedziała.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Skąd pani zna SoulXsearchera? – spytała.

– Pracujemy razem. Myślę, że jesteśmy kumplami. A ty?

– Z sieci – odparła Blitzie, wskazując głową na komputery. – Znamy tych samych ludzi. Hakerów. Tych prawdziwych. Ufają mu, więc ja ufam jemu.

– To znaczy, że ty też jesteś hakerką?

Blitzie skinęła głową, wypuściła powoli dym i rozsiadła się wygodniej.

– To ja stworzyłam Blitzworma – odparła i popatrzyła na Klarę, jakby oczekiwała uznania.

– Niestety, ja nie jestem hakerem i nie rozumiem, o czym mówisz.

Dziewczyna była wyraźnie rozczerowana.

– Włamałam się do serwera MIT, Massachusetts Institute of Technology. To najlepsza na świecie szkoła kodowania. Na ich intranecie zostawiłam swoje CV. To był taki *kind of a deal*. Zaproponowali mi miejsce u siebie, gdy tylko skończę szkołę. Ale mam to gdzieś.

– Super! – zawołała Klara. – Ale dlaczego masz to gdzieś? Czy nie o to ci chodziło, gdy zostawiłaś im swoją wizytówkę?

– Mam gdzieś ich pieprzoną szkołę. Za dużo w niej Koreańczyków.

Klara pokręciła głową. Narkotyk trochę ją otumanił.

– Rozumiem – odparła. – Przejdźmy do rzeczy. Mam tu laptopa, do którego nie mogę się zalogować. Jürgen... to znaczy SoulXsearcher, powiedział, że mogłabyś mi pomóc.

Klara wyjęła z pokrowca MacBooka.

– A dlaczego nie pójdzie pani do serwisu? Na pewno pani pomogą – odparła z lekkim uśmiechem Blitzie.

Klara westchnęła.

– Daj spokój, chcesz te dwie stówki czy nie?

– Cena wzrosła – odparła dziewczyna, zapalając jointa, który w czasie ich rozmowy zgasł. – Teraz kosztuje to trzysta euro.

21 grudnia 2013
Arkösund, Szwecja

Powrót do Szwecji sprawił, że sytuacja nabrała jeszcze bardziej ponurych barw. Stała się niezrozumiała i coraz bardziej przypominała nocny koszmar. Niewielki prywatny samolot tylko na chwilę poprawił George'owi humor, bo ogólnie rzecz biorąc, jego położenie było okropne. Spod budynku, w którym mieściła się siedziba Digital Solutions, zabrali go czarnym vanem i podwieźli bezpośrednio pod oczekujący na pasie startowym samolot. Nie przeszedł jakiegokolwiek kontroli paszportowej ani osobistej. Po prostu wysiadł z samochodu, wszedł po schodkach i usiadł w skórzanym fotelu. Josh, Kirsten i pozostali członkowie bandy Reipera zachowywali się tak, jak gdyby nie było w tym nic nadzwyczajnego. Może podróżują tak na co dzień?

Ale przecież zawsze marzył o kliencie, który będzie miał odpowiedni styl i środki. Jego koledzy z biura opowiadali mu czasem o pracy dla banków i firm z branży informatycznej. Zdarzało się, że latali z kierownictwem tych firm. George marzył o dniu, kiedy i jego spotka takie szczęście. Prywatny odrzutowiec. Jaskrawy dowód sukcesu. W tej chwili jednak, w towarzystwie zbirów Reipera, nie mógł się dłużej oszukiwać. Zdenerwowanie nie ustępowało. Na dodatek skończyły mu się prochy, a właśnie teraz chętnie by sobie ulżył.

Po spotkaniu w Paryżu atmosfera zrobiła się naprawdę nieprzyjemna. Reiper chyba oszalał. George z niedowierzaniem śledził wieści na temat zabójstwa Shammosha i pościgu za Klarą. O mało nie zwymiotował. Wiedział, że jest w to zamieszany. Jak to się mogło stać?

Na szczęście wyglądało na to, że Klara zapadła się pod ziemię. Tyle przynajmniej zrozumiał ze strzępów informacji, które do niego docierały. Nie korzystała z komórki, nie podejmowała pieniędzy z bankomatów. Reiper kazał mu przetłumaczyć jej rozmowę ze znajomym, jakimś adwokatem, którego nie znał. Pewnie jego aparat też mieli na podsłuchu.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien ich oszukać. W końcu tego nie zrobił. Zabrakło mu odwagi. Po tym, co widział w Paryżu, wolał nie ryzykować. Już wiedział, że Digital Solutions to banda morderców. Bezwzględnych, profesjonalnych zabójców. I dlatego sprzedał Klarę po raz drugi. Powiedział im, że dziewczyna wraca do Szwecji. A potem oskarżał się w myślach, że jest pozbawionym skrupułów kutasem. Zwykłym dupkiem.

Na polecenie Reipera wynajął dom w Arkösund. Reiper był pewien, że Klara w końcu się tam zjawi. Czynsz wynosił trzydzieści pięć tysięcy tygodniowo. To spora sumka, ale Reiper miał to gdzieś, bo dom był po generalnym remoncie. Zbudowano go na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, ściany i węgly miał pomalowane na biało-żółto. Weranda wychodziła na morze i przystań. Chłopcy Reipera ustawili dwie duże lornetki i przez całą dobę na zmianę obserwowali port. Żaden z nich nie zdradził mu, czego tam

szukają, ale on i tak się domyślał. Szykowali coś paskudnego.

Czuł się przy nich jak więzień. Wprawdzie Reiper nic mu nie powiedział, ale sam wiedział najlepiej, że nie wolno mu się oddalać. Zamknęli drzwi na klucz i wyjęli go z zamka. Rzadko zostawał sam, bo przez cały czas jeden z nich był w pobliżu. Na dodatek w związku z incydem w Paryżu Reiper odebrał mu telefon komórkowy. O niczym mu nie mówił, ale George żył w stałym napięciu. Bał się, że Reiper w końcu się domyśli, że to on ostrzegł Klarę.

George chciał włączyć telewizor, ale nie mógł już słuchać niekończących się doniesień o Shammoshu i Klarze. Przejrzał więc jedyny w domu regał z książkami, na którym było trochę wymiętych szwedzkich kryminałów w wydaniu kieszonkowym, jak w prawie każdym domku letniskowym. Na stoliku z gazetami, który stał w salonie przy piecu, leżała kompletna, jak się wydawało, zszywka gazety „Amelia”. George sięgnął po ostatni numer. Nagłówek na pierwszej stronie brzmiał: *Malou von Sivers – mój codzienny luksus*. Z westchnieniem pełnym rezygnacji odłożył gazetę na stolik, usiadł na kanapie i zamknął oczy.

– Robienie niczego to ciężka praca. Każdego może zmęczyć.

George otworzył oczy i odwrócił głowę. Kirsten na wpół leżała na kanapie naprzeciwko niego. W szarym świetle poranka George widział tylko zarys jej sylwetki. Chyba się zdrzemnął, bo nie słyszał, jak weszła do pokoju.

– Faktycznie – odparł z uśmiechem. – Chyba zasnąłem.

Podniósł się z kanapy i poprawił granatową bluzę, którą pożyczył mu Josh. Reiper nie pozwolił mu pojechać do domu, więc nie zabrał ze sobą żadnych rzeczy. Musiał się zadowolić tym, co miał na sobie. Reiper rzucił mu niechętnie parę dżinsów i kilka koszulek. Jeden z jego ludzi kupił mu w pobliskim sklepie kilka par majtek i skarpet. George czuł się jak przybłęda, ale musiał to jakoś przełknąć. Zauważył, że ludzie z Digital Solutions ubierają się jak studenci z amerykańskiego college’u i chodzą w dresach albo dżinsach.

– Lepiej niestety nie będzie – poinformowała go Kirsten. – Sytuacja jest niewygodna dla nas wszystkich. Długie czekanie, bezczynność. Ale to też stanowi część naszej pracy.

– Część pracy?

George starał się jak najdyskretniej uczesać włosy. Kirsten nie była w jego typie. Miała zbyt cienkie i zbyt anonimowe usta. Prawie w ogóle nie stosowała makijażu, a włosy wiązała w koński ogon. Faktem jest, że była wysportowana, ale wynikało to chyba bardziej z potrzeb zawodowych niż estetycznych. W oddziale Reipera była jedyną kobietą.

– A co to za praca?

Kirsten się uśmiechnęła. Na jej prawym policzku pojawił się niewielki dołeczek. Dzięki niemu wyglądała naprawdę uroczo. Nie przypominała płatnego zabójcy.

– *Damage control* – odparła. – Na razie to *damage control*. Twoja znajoma miała pecha, bo weszła w posiadanie informacji, z którymi nie jest w stanie zrobić tego, co należy. Nie wolno nam ryzykować. Istnieje zbyt duże prawdopodobieństwo, że pojawią się negatywne konsekwencje, które mogą wymknąć się spod kontroli. Niestety.

– Negatywne konsekwencje, które wymkną się spod kontroli? – spytał George, patrząc

w jej stronę. – Czy zawsze się tak wyrażasz?

Kirsten wzruszyła ramionami.

– A co mam powiedzieć? Że jeśli te informacje zostaną ujawnione, to ktoś nas wydyma, *and not in a good way*? Czy coś takiego do ciebie trafia?

Kirsten spojrzała na niego spokojnym, pewnym siebie i pełnym wyższości wzrokiem, który zdawał się graniczyć z politowaniem. Jak gdyby reprezentowała wyższą formę życia i musiała sobie stale przypominać, że istoty znajdujące się na niższym szczeblu rozwoju nie mają takiego samego dostępu do informacji.

– Tak, tak. Reiper próbował mi to wyjaśnić – mruknął George. – Ale żeby ich od razu mordować? Boże!

– My nikogo nie mordujemy – odparła spokojnie Kirsten. – Jesteśmy w stanie wojny, jasne? Żołnierze nie mordują, oni walczą o przetrwanie. Jesteśmy właśnie takimi żołnierzami. To, co robimy, utrzymuje świat w ruchu. To, co poświęcamy, sprawia, że ty i twoi anemiczni koledzy możecie każdego dnia iść do pracy i zajmować się tymi waszymi głupstwami. Mordowanie? A kim ty jesteś, żeby mi mówić o mordowaniu? Robimy wszystko, żeby inni nie musieli ryzykować życia. Pewnie mi nie wierzysz? Albo wydaje ci się, że sprawia nam to przyjemność?

Kirsten spojrzała na George'a swoimi inteligentnymi oczami. Na jej czole pojawiła się drobna zmarszczka. Jej pewność siebie miała charakter czysto fizyczny. Mogłaby brać udział w zawodach albo być wysportowaną młodą lekarką. Kimkolwiek, ale nie tym, kim jest. Kim właściwie jest? Żołnierzem? Szpiegiem? Zabójcą?

– Na tym właśnie polegają nasze operacje – kontynuowała. – Przypominają typową bitwę. Trzeba opracować taktykę, zaplanować wszystko w najmniejszych szczegółach. Zazwyczaj jest jednak tak, że po oddaniu pierwszego strzału wszystkie plany biorą w łeb.

– A co ze mną? – spytał niepewnym głosem George. – Przecież mamy Boże Narodzenie. Jak długo jeszcze będę tu musiał tkwić?

Kirsten przekrzywiła głowę, a w jej oczach pojawiła się odrobina ciepła, jak gdyby rozumiała, że to nie wojna George'a i że wcale się tutaj nie pchał.

– Przykro mi – odparła. – Na razie musisz z nami zostać. Reiper doszedł do wniosku, że w czasie operacji nie powinniśmy spuszczać cię z oczu.

Kirsten przeciągnęła się i mrugnęła.

– Lepiej więc będzie, jak się tu trochę urządzisz. Możesz nam na przykład ugotować szwedzkie klopsiki. No ale teraz moja kolej. Muszę zmienić kumpla.

Znowu się uśmiechnęła i wyszła na werandę, żeby zająć stanowisko przy lornetce.

21 grudnia 2013

Amsterdam

Klara położyła na nocną szafkę trzy banknoty o nominale stu euro.

– Jak chcesz – powiedziała. – Tylko bez zbędnej gadaniny, dobrze?

Blitzie zgarnęła pieniądze i wsunęła je do kieszeni džinsów.

– Naprawdę potrzebujesz tych pieniędzy? – spytała Klara. – Przecież masz bogatych rodziców.

Mówiąc to, uśmiechnęła się lekko do dziewczyny, która ściągnęła usta.

– Oni chcą, żebym wyrosła na tak zwane normalne dziecko – odparła. – Dają mi czterdzieści euro na tydzień. Za takie pieniądze trudno być normalnym.

Odwróciła się do komputerów i na chwilę pochłonęła ją jakaś dyskusja na forum internetowym. Klara się domyśliła, że dziewczyna nie kupiła tego całego sprzętu za kieszonkowe w wysokości czterdziestu euro tygodniowo. Może więc istnieją różne poziomy normalności?

– No dobrze – powiedziała w końcu Blitzie. – Sprawdźmy, co tam jest.

Klara wyjęła laptopa z pokrowca i podała go dziewczynie. Blitzie zaczęła stukać w klawiaturę.

– Czy potrafisz się do niego dostać? – spytała Klara.

Blitzie spojrzała na nią wzrokiem otumanionym od marihuany.

– Potrafię się dostać do każdego kompa, jasne? To tylko kwestia czasu.

– A w tym przypadku? Jak sądzisz, ile ci to zajmie?

Klara zaczęła się niecierpliwic, chciała posunąć się o krok dalej. Nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie panować nad coraz silniejszym zdenerwowaniem.

– Jezu! Niech się pani uspokoi. Zaraz się tym zajmę i zobaczymy.

Dziewczyna zaczęła studiować minę Klary badawczym wzrokiem. Uśmiech zniknął jej z ust.

– Ma pani na imię Klara, prawda? To pani jest poszukiwana za zabójstwo w Paryżu czy jakieś inne sprawy? Można powiedzieć, że jest pani ścigana.

Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Blitzie była geniuszem, a przy tym osobą całkowicie nieprzewidywalną. Klara skinęła głową.

– Być może.

– To znaczy, że kogoś pani zabiła?

Klara poczuła nagle, jak strach chwilowo ustępuje, a w jego miejsce pojawia się złość. Co takiego zrobiła, że musi siedzieć z tą rozpieszczoną nastolatką i odpowiadać na pytania dotyczące czegoś, o czym najchętniej wolałaby nie myśleć?

– Nikogo nie zabiłam – odparła. – I nie jestem poszukiwana za zabójstwo. Prawda jest taka, że ktoś zastrzelił mojego byłego faceta, a ja nie wiem, kto to zrobił. Umarł na moich rękach.

Klara nawet nie zauważyła, że zaczęła mówić podniesionym głosem, a po twarzy

spływają jej łzy.

– Tak właśnie było: ktoś do niego strzelił, a on umarł na moich rękach. Nagle stał się ciężki, pociągnął mnie na ziemię. A ja go tam zostawiłam. Kompletnie samego.

Nie mogła mówić dłużej. Odwróciła wzrok, słowa uwięzły jej w gardle. Nie zamierzała się rozpląkać ani myśleć o tym, co się stało. Chciała się tylko dowiedzieć, jak brzmi hasło do komputera, żeby móc działać i nie tkwić w miejscu.

Blitzie położyła laptopa na podłodze i usiadła koło Klary. Objęła ją swoim chudym ramieniem, drugą ręką zaczęła ją gładzić po policzku.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam pani urazić. Nie jestem niestety taka uczuciowa. Kto wie, może nawet cierpię na autyzm?

Klara otarła łzy i spojrzała na Blitzie.

– To nie żaden autyzm – odparła. – Jesteś po prostu nastolatką.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i dodała:

– Czy możemy już przestać się mną zajmować? Skupmy się na laptopie.

Blitzie zdjęła rękę z jej ramienia i wyjęła MacBooka. Po krótkich poszukiwaniach w szufladzie biurka znalazła to, czego szukała: pendrive. Wsunęła go w jedno z wejść USB i włączyła komputer. Jej wąskie palce przesuwaly się błyskawicznie po klawiaturze.

– Zrobione – powiedziała po dłuższej chwili. – Teraz poczekamy. Posługuję się programem, który trochę zmodyfikowałam. Znajdziemy hasło, ale zajmie to trochę czasu. Napije się pani piwa?

Wypiły drugiego heinekena, wypaliły kolejnego skręta, a potem oglądały telewizję, skacząc z kanału na kanał. Na MTV trafiły na program przypominający *Warsaw Shore*. Blitzie twierdziła, że go nie znosi, ale mimo to nalegała, by go obejrzeć. Wyglądało na to, że ma w telewizorze niezliczoną liczbę kanałów. Ranek przeszedł powoli w popołudnie.

„Kapitalistyczne świnię” – jak o swoich rodzicach wyrażała się Blitzie – prowadziły jakiś fundusz i były uzależnione od informacji. To dlatego mieli tyle programów informacyjnych. Wszystko wskazywało na to, że zabójstwo Mahmouda przestało być tematem numer jeden w większości europejskich mediów. Kiedy jednak Blitzie wyszła do kuchni, żeby przynieść coś do jedzenia, Klara jeszcze raz przeleciała kanały i ku swemu zdumieniu znalazła szwedzki SVT24. Czuła się lekko otumaniona marihuaną i piwem. Uznała jednak, że to w danej chwili lepsze niż zachowanie świadomości.

Kiedy Blitzie wróciła do pokoju z tacą pełną nachos i salsy, w telewizji leciał właśnie program informacyjny.

– ...naszym gościem jest dzisiaj deputowana do Parlamentu Europejskiego, pani Eva-Karin Boman z Partii Socjaldemokratycznej. Witam panią.

Klarze opadła szczęka. Usiadła na kanapie, podkreśliła głos i starała się skupić na rozmowie. Kamera zrobiła zbliżenie na pokrytą makijażem twarz Boman. Kobieta wyglądała na podenerwowaną.

– Przez ostatnie dni śledziliśmy rozwój wypadków związanych ze szwedzkim doktorantem, którego Interpol poszukiwał za terroryzm – zaczął prowadzący, patrząc poważnie wprost w kamerę. – W ostatni piątek został zastrzelony na ulicy przez nieznanego sprawcę. W towarzystwie zabitego przebywała Szwedka Klara Walldén. Poszukuje jej francuska policja.

Prowadzący zrobił krótką przerwę, a kamera oddaliła się trochę, żeby obiektyw mógł objąć także Boman.

– Klara Walldéen współpracuje z panią od wielu lat. Jak pani sądzi, gdzie teraz jest?

Po tym pytaniu kamera zrobiła najazd na twarz eurodeputowanej.

– Tego niestety nie wiem – odparła Boman. – Uważam jednak, że w tych okolicznościach byłoby rzeczą całkiem naturalną, gdyby Klara oddała się w ręce policji. Jeśli tego nie uczyni, sytuacja stanie się dziwna i trzeba będzie postawić sobie różne pytania.

– Na przykład jakie?

– Na przykład o jej kontakty ze skazanymi terrorystami. Nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałam. W moim biurze pełniła tylko funkcję sekretarki...

Klara wstała z kanapy. Aż trzęsa się z oburzenia.

– Ze skazanymi terrorystami! Sekretarka! – krzyczała po szwedzku. – O czym ty gadasz?

Wyglądało na to, że prowadzący pomyślał to samo, bo zadał kolejne pytanie:

– Z tego, co wiem, zastrzelony Szwed nie był skazanym za przestępstwa terrorystą.

– Z tego, co wiem? – powtórzyła Boman. – Przecież nie wiemy, czy nie należał do jakiejś przestępczej siatki. Nie wiemy też, jakie powiązania miała z nim Klara. W tej chwili mogę powiedzieć tylko jedno: apeluję do niej, aby oddała się w ręce francuskiej policji.

Klara wyłączyła telewizor i rzuciła pilotem o ścianę. Baterie posypały się na ciemną podłogę. Nie oczekiwała od Boman zbyt wiele, ale nie spodziewała się, że sama zgłosi się do mediów, żeby ją oczernić.

Blitzie była pod wrażeniem zachowania swego gościa. Usiadła przy komputerze. Klara nawet tego nie zauważyła.

– Głupia cipa – mruknęła dziewczyna, stukając w klawiaturę. – Złamanie tego hasła zajmie chyba tygodnie.

Klara poczuła nagle dławienie w gardle. Poczła piekące klucie w skroniach i za oczami. Tak samo jak przed laty, gdy była małą dziewczynką i nagle doznawała jakiejś przykrości. Pochyliła głowę, żeby powstrzymać atak płaczu. Na złamanie kodu potrzeba tygodni. Jak zdoła się ukryć przez tak długi czas? Szeroko otwarte oczy Mahmouda, krew, zdjęcie rodziny Cyrila i cienie przed sklepem w Paryżu pośród spadających z nieba płatków śniegu. Wszystko zawirowało jej nagle przed oczami i poczuła, jak przepływa przez nią potężna fala. Nie była w stanie dłużej tego wytrzymać. Rozpłakała się, a po policzkach popłynęły jej ciężkie, ciepłe łzy.

W tej samej chwili poczuła, jak Blitzie ujmuje ją swoją chudą dłonią za rękę. Klara zmusiła się, żeby unieść wzrok i spojrzeć na nią załzawionymi oczami. Blitzie wyglądała na zaniepokojoną.

– Niech pani nie beczy – powiedziała. – Mam pewien pomysł. Ale to dość skomplikowana sprawa.

23 grudnia 2013

Sztokholm i Arkösund

Gabriella trzęsa się z zimna, więc jeszcze bardziej naciągnęła czapkę na oczy. Rozgrzewała się, uderzając dłońmi jedną o drugą i skacząc w miejscu. Kiedy to nie pomogło, wyjęła z kieszeni paczkę papierosów Benson & Hedges i zapalki. Potarła jedną, drugą, ale dopiero trzecią udało jej się zapalić papierosa. Nie miała po prostu wprawy. Nie pamiętała, kiedy paliła tak wcześnie rano. Tak naprawdę to żaden z niej palacz. Sięgała po tytoń tylko w towarzystwie Klary i Mahmouda, gdy szykowali się do egzaminów, albo w londyńskich pubach. Teraz jednak czuła, że to nieuniknione. Zaciągnęła się szybko dwa razy i spojrzała na miasto.

Mimo panujących ciemności i wczesnej godziny widok, który rozpościerał się z Windy Katarzyny, był fantastyczny. Sztokholm iskrzył się światełkami, całe miasto pokrywały kryształki śniegu. Na ulicach przybywało pojazdów, z dołu dobiegał ją głuchy szum. Wagony metra pokonującego odcinek między stacjami Söder a Gamla Stan przypominały rozjaśnione dekoracje świąteczne. Chociaż mieszkała niecały kilometr stąd i prawie widziała swoje biuro przy Skeppsbron, rzadko jeździła tą windą. Odnosiła wrażenie, że korzystają z niej głównie turyści, pijaczkowie albo nastolatki. Odwróciła się i spojrzała na mostek dla pieszych. Pusto. Była zupełnie sama. Za pięć ósma.

Zostało jej jeszcze pięć minut. Od chwili, gdy otrzymała wiadomość na e-mail princephillipmitchell777@gmail.com, upłynęła doba. Klara zadzwoniła do niej, żeby założyła sobie taki adres. Nawiązała w ten sposób do piosenki Prince'a Phillipa Mitchella pod tytułem *I'm so happy*. Ileż to razy słuchały razem tego singla. Klara znalazła kiedyś ten krążek na samym dnie skrzyni z płytami na rynku Vaksala, gdy były na pierwszym semestrze na uniwerku w Uppsali. Zapłaciły dziesięć koron. Na internetowej aukcji płyta była warta pewnie z tysiąc koron, pod warunkiem, że miałyby niewiarygodne szczęście i w ogóle na nią trafiły. Wystarczyło więc, że Klara kazała jej przez telefon utworzyć adres e-mailowy z imieniem i nazwiskiem najlepszego piosenkarza świata i dodać do niego trzy siódemki. Gabriella od razu się domyśliła, o co chodzi. Ale jeśli ktoś podsłuchiwał ich rozmowy, na pewno nie zorientował się, co jest grane.

Wiadomość, którą otrzymała, przyszła z anonimowego konta o końcówce „hotmail”. Była niepodpisana i zawierała szczegółowe instrukcje. Nadawca kazał jej pojechać metrem, przesiąść się na taksówkę, objechać pół miasta i wrócić do Windy Katarzyny. Przez cały czas miała się rozglądać, czy ktoś jej nie śledzi. Spotkanie miało się odbyć o ósmej rano.

Gabriella zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest punkt ósma. W chwili, gdy uniosła wzrok, usłyszała, jak winda zjeżdża, a jej drzwi się otwierają. Odwróciła się w stronę wyjścia i poczuła rosnące zdenerwowanie. Jednak zamiast Klary w windzie stała jakaś szczupła nastolatka w luźnym ubraniu. Na głowie miała czapkę z daszkiem, spod zbyt dużej czarnej kurtki wystawała bluza z kapturem. Gabriella pomyślała, że dziewczyna jest

skejtem. Westchnęła i odwróciła się w stronę poręczy, jak gdyby podziwianie widoków z wysokości trzydziestu ośmiu metrów nad ziemią o tak wczesnej porze, i to na dzień przed Wigilią, było najzwyczajszą rzeczą na świecie.

– O rany, albo jesteś na mnie zła, albo moje przebranie jest lepsze, niż się spodziewałam – powiedziała dziewczyna.

Gabriella się odwróciła i spojrzała prosto w jasnoniebieskie oczy, którymi nieznajoma patrzyła na nią spod naciągniętej na czoło czarnej czapki z napisem MIT. Klara! Jej przyjaciółka była bez makijażu, policzki miała zapadnięte, oczy zmęczone, twarz poszarzała, wargi węższe niż zwykle i pozbawione koloru. W kącikach jej ust czaił się zbolały, słaby uśmiech.

– Klara!

Gabriella z trudem się powstrzymała, żeby nie krzyknąć. Wyciągnęła ręce i objęła koleżankę. Poczowała na twarzy jej zimny policzek.

– Klaro, Klaro – szeptała Gabriella.

Tylko tyle potrafiła z siebie wydobyć. Wszystko, co mogła powiedzieć, zabrzmiałoby błaho. Dlatego z całej siły obejmowała Klarę i milczała, jakby chciała, żeby choć przez chwilę stały się jedną osobą. Łzy przyjaciółki zmoczyły jej policzki. W końcu odsunęły się od siebie. Klara zdobyła się na wielki wysiłek, żeby otrzeć oczy, ale i tak nie mogła powstrzymać płaczu.

– Przepraszam – szepnęła. – To były naprawdę długie dni.

Gabriella pogłaskała ją po twarzy.

– Co się stało z twoimi włosami? – spytała. – Wyglądasz jak k.d. Lang³.

Klara spojrzała na nią i wybuchnęła śmiechem. Najpierw było to pojedyncze parsknięcie, potem cała seria, ale trudno było określić, czy to rzeczywiście śmiech, czy raczej płacz.

– K.d. Lang – powtórzyła Klara. Łzy nadal płynęły jej po policzkach. – Czy tylko na tyle cię stać? K.d. Lang? Czy ktoś ją w ogóle jeszcze pamięta? Boże!

Gabriella też się roześmiała.

– Tak, i to w pozytywnym znaczeniu – odparła.

– W pozytywnym znaczeniu? Czy można wyglądać tak jak ona w pozytywnym znaczeniu?

W końcu przestały się śmiać. Rozejrzały się, jakby nagle przypomniały sobie, gdzie się znajdują.

– Postąpiłaś zgodnie z instrukcjami? – spytała Klara.

Gabriella skinęła głową.

– Twoimi szpiegowskimi instrukcjami. Oczywiście. Jeżdżę po całym mieście od szóstej rano.

Klara rozejrzała się wokół. W jej oczach ponownie pojawił się niepokój i strach ściganego zwierzęcia.

– Mam nadzieję, że naprawdę jesteśmy tu same – powiedziała. – Załatwiłaś samochód?

Gabriella skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem pożyczyłam od kolegi. Powiedziałam mu, że jadę do Ikea. Mogę go zatrzymać na całe święta.

– Czy wyjęłaś baterię z telefonu?

– Tak. Przejrzałam też ubranie, żeby sprawdzić, czy nie jest w nim ukryty nadajnik albo to, o czym pisałaś w e-mailu.

Klara skinęła głową.

– Zjedźmy – powiedziała.

Kiedy w drodze na ulicę Hornsgatan, gdzie Gabriella zaparkowała saaba, przechodziły przez Slussen, na Söder nadal było pusto. Gabriella wzięła Klarę za rękę i przyciągnęła ją do siebie. Mają sobie tyle do powiedzenia, tyle spraw będą musiały próbować zrozumieć, podzielić się ze sobą niezrozumiałym smutkiem, odpowiedzieć na wiele pytań. Żadna z nich nie potrafiła się zmusić, żeby je zadać. Na razie.

– Jak się tu dostałaś? – spytała Gabriella.

– Autobusem. Zabrało mi to trochę czasu.

– A gdzie skombinowałaś to skejtowskie wdzianko?

Klara zerknęła przez ramię, jej wzrok błędził po ulicy.

– To długa historia. Dała mi je pewna nastolatka, hakerka z Amsterdamu. O wszystkim ci opowiem, gdy tylko wsiądziemy do samochodu.

Wcisnęła pilota i otworzyła drzwi pojazdu, który zamigotał światłami. Przednia szyba była pokryta grubą warstwą szronu. Gabriella nawet nie próbowała go zdrapywać. Po prostu włączyła wycieraczki.

– Ja poprowadzę – powiedziała Klara. – Wiem, dokąd jechać. Po drodze dowiesz się wielu rzeczy.

Żeby dotrzeć do Arkösund, potrzebowały dwóch i pół godziny. Klara jechała powoli i prawie cały czas mówiła: o Mahmoudzie i innych strasznych rzeczach. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie chciała oddać kierownicy Gabrielli. Zachowywała się tak, jakby chciała się skoncentrować na jeździe. Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Prawdziwy koszmar. Zabójstwo Mahmouda, afera z Cyrilem, pościg i komputer, sprytny plan hakerki.

– A więc nie wiesz, co znajduje się w komputerze? – spytała w końcu Gabriella. – Nie wiemy nawet, dlaczego to wszystko się dzieje?

Klara pokręciła głową.

– I wszystkiego dowiemy się tylko wtedy, jeśli zastosujemy się do planu wymyślonego przez jakąś naćpaną hakerkę z Amsterdamu?

Klara znowu skinęła głową, a na jej twarzy pojawił się pełen rezygnacji uśmiech.

– To bardzo sprytna dziewczyna – odparła. – Blitzie naprawdę jest mądrą, naćpaną szesnastoletnią hakerką. Jasne?

Gabriella się uśmiechnęła.

– Tak – odparła. – Rozumiem, że na razie musi nam wystarczyć to, co mamy. Może powinniśmy skontaktować się z tym Bronzeliusem z Säpo?

Klara pokręciła głową z uśmiechem.

– Do cholery! Faktycznie niewiele mamy.

W końcu Klara zaparkowała samochód na parkingu w niewielkiej wiosce. Gabriella doszła do wniosku, że to Arkösund. Na samym końcu drogi zauważyła nabrzeże, a za nim czarne skały i morze. Klara wyłączyła silnik, wyjęła kluczyk i oddała go Gabrielli.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła. – To Arkösund.

Przez chwilę siedziały w milczeniu i obserwowały coraz bardziej zacinający śnieg. Po zetknięciu z szybą samochodu od razu topniał, ale obie wiedziały, że po pewnym czasie pokryje ją gruba warstwa białego puchu.

– Będę z tobą szczerą: zrozumieć, jeśli będziesz chciała wrócić do domu jeszcze dziś wieczorem – powiedziała Klara. – Nie mogę cię prosić, żebyś tu ze mną tkwiła, jeśli sama nie wiem, o co chodzi. Poza tym mamy Boże Narodzenie.

Gabriella popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby się przesłyszała. Potem pokręciła głową.

– O czym ty mówisz? Mam wracać? Teraz? Dajże spokój.

Otworzyła drzwi i wysiadła z auta. Wilgotne płatki śniegu spadały jej na twarz i włosy. Pochyliła się i spojrzała wyzywająco na Klarę, która nadal siedziała w samochodzie.

– Daj spokój. Jedźmy. Gdzie mamy się spotkać z twoim starym kumplem?

Klara szła za nią. Słyszając pytanie, wskazała na przystań.

– Tam. Za kwadrans. A dokładnie za dwanaście minut.

– Dwanaście minut? Jesteś bardzo dokładna.

– Punkt jedenasta. Podpłyń do nabrzeża i będzie czekał tylko dwie minuty. Jeśli nas nie będzie, wróci o szóstej wieczorem.

Klara zarzuciła laptopa na ramię i skinęła w stronę portu.

– Chodźmy – powiedziała. – Pobiegnijmy, bo zaraz zamrznie.

Dotarcie do pustej przystani zabrało im niecałe pięć minut. Od morza dał lodowaty wiatr. Klara zaprowadziła Gabriellę do zamkniętej stacji benzynowej. Od tej strony wiatr był słabszy. Stały tam, trzęsąc się z zimna.

– Zostały dwie minuty – powiedziała Klara.

– Widzę, że całkowicie ufasz Bossemu.

Klara kiedyś jej o nim opowiadała. Niezły oryginał. Wychowywali się nad morzem i przez całą szkołę jeździli razem na zajęcia. Gabriella uświadomiła sobie nagle, że młodość przyjaciółki była dla niej zawsze taka obca, egzotyczna: łodzie dowożące dzieci do szkoły, poduszkowce, polowania, wędkowanie. Takie to wszystko romantyczne, w barwach sepii, jak serial *My na wyspie Saltkråkan*. Dzieciństwo Klary było zupełnie inne od jej bezpiecznego i nudnego dorastania w rodzinnej willi w sztokholmskiej dzielnicy Bromma. Zresztą Klara niezbyt często opowiadała o latach, które spędziła na szkieletach. Gabriella wiedziała tylko, że przyjaciółka z wielkim samozaparciem próbowała się stamtąd wyrwać, ale zawsze ciągnęło ją z powrotem. Po wyjeździe do Brukseli chyba jeszcze bardziej.

– Przygotuj się – powiedziała Klara. – Będzie za dwie minuty.

23 grudnia 2013

Arkösund

George ugryzł kawałek słodkiej bułki z ostrym wiejskim serem i zaczął pocieszać się faktem, że może przynajmniej skosztować swojego ulubionego śniadania. Kirsten zabrała go wczoraj na zakupy do jakiejś zabitej dechami dziury, która nazywała się Östra Husby. Domyślił się, że Amerykanie woleli, aby to on rozmawiał z kasjerką, bo inaczej zwróciliby na siebie uwagę. A Amerykanie dość rzadko pojawiają się w tak odludnych miejscach w czasie świąt Bożego Narodzenia. Podczas jazdy marzył o tym, żeby spotkać jakiegoś miejscowego rolnika i poprosić go, aby zadzwonił na policję. Niestety, Kirsten go przejrzała. Kiedy z bijącym sercem zaparkował samochód i zaczął się za kimś rozglądać, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Lubię cię, George – powiedziała.

Wyglądało na to, że nie kłamie. Może jest nawet trochę podniecona?

– Pamiętaj: żadnych głupich zagrywek. Możesz być pewien, że w razie czego nie zawaham się i strzelę ci w plecy.

Mówiąc to, rozchyliła kurtkę, spod której wystawał duży, szary pistolet automatyczny. George poczuł, że serce забиło mu mocniej. Myśli o jej podnieceniu wymieszały się natychmiast z myślami o ucieczce. Ta kobieta jest płatnym zabójcą. Nie powinien o tym zapominać. Skupił więc całą uwagę na zakupach. Świeżo wyciskany sok z pomarańczy, chleb, wiejski ser, piwo, mrożona pizza, potrawka z siekanego mięsa i kartofli.

W domu, który wynajęli, przez cały czas trząsał się z zimna. Bez względu na to, jak bardzo podkręcał ogrzewanie, w całej willi i tak panował lodowaty chłód. Kawa wystygła w kubku, a jeden z Amerykanów wypił resztę z dzbanka, który wstawił zaraz po przebudzeniu. Zresztą „przebudzenie” było zbyt mocnym słowem. Przecież prawie nie spał. Niepokój i wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Przeciągnął się, żeby rozprostować zeszywniałe członki. Gdyby choć na chwilę zostawili go samego, wybiłby szybę, wyskoczył przez okno i tyle by go widzieli. Ma w nosie ich szantaż i przestępstwa, których się dopuścił. Ucieknie bez względu na to, czy strzelą mu w plecy. Jest mu to obojętne. Chce stąd tylko uciec. Niestety, w pokoju na piętrze, w którym przebywa, okno zamknęli na kłódkę. Na domiar złego śpi z nim Josh albo inny dupek. Na dole okna też są pozamykane na kłódkę, a drzwi wyjściowe zaryglowane. Zawsze ktoś jest w pobliżu. To prawdziwi zawodowcy, bez wątpienia.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wrócić do sypialni, włączyć xboxa, którego mu zainstalowali, żeby się nie nudził, i znowu zagrać w *Halo 4* albo *Modern Warfare 3*. Nie może ciągle o tym wszystkim myśleć. Ani o tym, co było, ani o przyszłości. Będzie tak operował „spustem”, żeby jego wirtualny przeciwnik poczuł strach.

Właśnie włączył konsolę i jak zwykle przebrnął przez pierwszy poziom *Halo 4*, gdy nagle usłyszał, jak Kirsten, która pełniła ranny dyżur na werandzie przy lornetce, woła na cały głos:

– Kod pomarańczowy! – Wykrzyknęła to mocnym, opanowanym tonem do mikrofonu sprzężonego ze słuchawkami. W takie zestawy była wyposażona cała grupa, oczywiście z wyjątkiem George’a. – Powtarzam: kod pomarańczowy. Identyfikacja: siedemdziesiąt procent. Podejrzany obiekt plus jeden wchodzi na niewielką łódź przy nabrzeżu. Zająć pozycje.

Ledwo Kirsten skończyła, cały dom jakby ożył. Zadudniły schody, ludzie Reipera zaczęli zbiegać na parter. Większość z nich była już ubrana i przygotowana do akcji albo walki. W przedpokoju założyli koreksowe swetry i zimowe buty. George wstał z krzesła, zszedł na werandę i ostrożnie podszedł do Kirsten. Stała z lornetką lekko pochylona i beznamiętnym głosem informowała przez mikrofon o tym, co widzi.

– Łódź odbija od nabrzeża. Dwa obiekty na dziobie, chyba leżą na pokładzie. Łódź ma około osiemdziesięciu koni mechanicznych. Orientacyjna maksymalna prędkość: dwadzieścia węzłów. Jedna osoba w sterówce. Brak śladu broni. *Stand by* na zamiar i kurs.

Z początku George nie zauważył, że Reiper wyszedł na werandę przez drugie drzwi. On też szykował się do założenia grubego czarnego swetra. Na głowie miał już zwiniętą do wysokości brwi czarną czapkę z włóczki.

– Nie jesteś na sto procent pewna, że to była Walldéen? – spytał spokojnym tonem.

– Na sto nie – odparła Kirsten, nie odrywając wzroku od lornetki.

Drzwi prowadzące na dwór otworzyły się z hukiem. George ujrzał przez szybę werandy dwóch ubranych na czarno mężczyzn z długimi gumowymi pokrowcami. Biegli przez trawnik w stronę pomostu. Stała przy nim niewielka kryta motorówka, zacumowana od dnia, w którym wprowadzili się do domu. Chwilę potem zaskoczył silnik.

– Ale prawie? – spytał Reiper.

– Jak powiedziałam: siedemdziesiąt procent. Obiekt był przebrany za młodego chłopaka, ale ze względu na padający śnieg trudno dojrzeć szczegóły. Obiektowi towarzyszy osoba, którą może być Gabriella Seichelman. Oba obiekty ukrywały się wcześniej za budynkiem stacji benzynowej. Łódź zauważyłam dopiero w ostatniej sekundzie. Przyplłynęła pod jakimś dziwnym kątem ze zgaszonymi światłami.

Reiper zastanawiał się tylko przez krótką chwilę.

– Nie możemy sobie pozwolić na kolejne błędy. Musimy mieć stuprocentową pewność, zanim ruszymy do akcji – powiedział, naciskając jakiś guzik przy swoim zestawie. – Ogłoś plan B i czekaj na przybycie dowódcy grupy. Pod żadnym pozorem nie przystępować do akcji, aż dokonamy pełnej identyfikacji obiektu.

Po tych słowach ponownie zwrócił się do Kirsten.

– Zrobimy tak – powiedział. – Namierzmy ich za pomocą radaru i zobaczymy, dokąd popłyną. Na pewno są na tyle sprytni, że nie ukryją się u dziadków tej Walldéen. To nie była chyba ich łódź. Czy wiemy coś o osobie, która ich stamtąd zabrała?

Kirsten pokręciła głową.

– Zero. Jak wiesz, nie dostaliśmy w tej sprawie żadnych danych.

Reiper skinął głową, a gdy się odwrócił, żeby zejść do łodzi, ujrzał George’a. Nie zwracając na niego uwagi, zwrócił się do Kirsten:

– Pamiętasz, żeby mieć na oku naszego Szweda? Według Josha sypialnia jest

przygotowana.

– Możesz być spokojny – odparła Kirsten, nie odrywając oczu od lornetki. – Trzymamy się zasad.

Po tych słowach Reiper ruszył w stronę motorówki. George obserwował go do momentu, aż zniknął w ciemnościach. Minutę później domyślił się, że łódź odbiła od pomostu i odpłynęła ze zgaszonymi światłami.

– George – powiedziała Kirsten. – Rozpoczynamy fazę operacyjną, więc będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie będziesz wiedział, co się dzieje. Uwierz mi. Muszę cię zamknąć na klucz w sypialni.

George westchnął, ale nawet nie chciało mu się kłócić. Strach odebrał mu chęć do walki.

– Czy to konieczne? – spytał na wszelki wypadek.

Kirsten się wyprostowała i wskazała mu drzwi prowadzące do przedpokoju.

– Nie wyobrażaj sobie za wiele – odparła spokojnym głosem, przekrzywiając głowę. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. – Nie mamy dla siebie całego dnia.

– *Whatever* – powiedział George, wzruszając ramionami.

23 grudnia 2013

Arkösund

Dopiero kiedy łódź wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęła się oddalać od nabrzeża w Arkösund, Gabriella odważyła się odwrócić i spojrzeć na Klarę. Obie leżały płasko na pokładzie. Gabriella prawie czuła pod sobą żywe morze. Łódź zwiększyła nagle prędkość i podskoczyła na fali. Mokry śnieg sypał im prosto w twarz.

Klara, która leżała kilkadziesiąt centymetrów od przyjaciółki, spojrzała jej w oczy. Poruszała wargami, ale jej głos tonął w hałasie wydawanym przez silnik.

– Co mówisz? – krzyknęła Gabriella.

Klara uniosła rękę, wskazując na sterówkę.

– Wchodzimy, bo inaczej zamarzną! – zawołała w odpowiedzi.

Uniosły się na kolana i skulone zrobiły kilka kroków po pokładzie. Drzwi otworzyły się od środka, a wtedy, potykając się, weszły do sterówki. Potężnie zbudowany mężczyzna, ubrany w znoszony podbijany płaszcz przeciwdeszczowy, chwycił Klarę w swoje niedźwiedzie łapy, zanim jeszcze zdążyła przekroczyć próg. Wyglądał na starszego przynajmniej o dziesięć lat, ale Gabriella wiedziała, że są od niego młodsze zaledwie o rok. Być może wydawał się starszy z powodu ogolonej głowy, na której zostały po bokach kępki włosów. Jak na obecne czasy była to dość niezwykła fryzura, świadcząca o próżności właściciela. Mężczyzna miał prawie dwa metry i ważył ponad sto kilogramów. Klara po prostu utonęła w jego objęciach.

– Dziewczyno! – zawołał. – Niech to diabli! W co ty się wpakowałaś?

Klara uwolniła się z jego ramion i pochyliła, żeby wyrzeć przez otwór od strony rufy.

– Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię. Ale potem. Najpierw muszę się gdzieś ukryć. Czy zauważyłaś jakąś inną łódź, która cumowała, gdy się zjawiliśmy?

– Nie – odparł Bosse. Łódź wypłynęła już na zatokę, więc przyspieszył. Skakali po niewielkich falach jak po pofałdowanej blasze. – Ale przy takiej pogodzie trudno cokolwiek zobaczyć.

Klara skinęła głową. Śnieg nie przestawał padać.

– Bosse – powiedziała – to moja najlepsza przyjaciółka, Gabriella.

Gabriella otarła twarz ze śniegu i deszczu i wyciągnęła rękę, starając się jednocześnie utrzymać równowagę. Zanosilo się na sztorm.

– Gabriella – przedstawiła się. – Miło mi.

Miło mi? Gabriella wypowiedziała te słowa takim tonem, jak gdyby znajdowała się na imprezie z dawnymi kumplami Klary, a nie smaganej falami i wiatrem łodzi, uciekając Bóg wie przed kim albo przed czym.

Bosse przyciągnął ją do siebie i objął w taki sam sposób jak Klarę.

– Mam nadzieję, że to nie ty wciągnęłaś Klarę w to bagno? – spytał.

– Nie, to nie ja. Powiedziałabym raczej, że odwrotnie.

– Cholera – rzucił, odwracając się do Klary. – Przez całe życie podążałaś za

wskazaniami radaru. Ani jednej kłótni w szkole, najlepsze oceny na świadectwach, potem studia prawnicze i tak dalej. A teraz zadajesz się z terrorystami? Ty, która zawsze mnie krytykowałeś, że handlowałem bimbrem w Sanden?

– Chyba jednak straciłam moralną przewagę nad tobą – odparła Klara. – À propos radaru: masz tu jakiś?

Mówiąc to, rozejrzała się po niewielkiej kajucie.

– Radar? Sugerujesz, że mógłbym zabłądzić między wyspami? Ile razy wypływałem w morze? Przecież sama mogłabyś tu pływać, i to we śnie. Po co mi radar?

– Nie chodzi mi o nawigację. Chcę tylko sprawdzić, czy ktoś nas nie śledzi.

– Co takiego?

Bosse uniósł krzaczaste brwi i pokręcił z niedowierzaniem potężną głową. Potem spojrzał uważnie na Klarę.

– À propos: co się stało z twoimi włosami? – spytał.

– Najwidoczniej zostawiła je w Amsterdamie – odparła Gabriella. – Właściwie dokąd płyniemy?

– W jego rodzinne strony – wyjaśniła Klara. – Mówią na to miejsce Wyspa Przemysłowców, ale nie wiem, jak naprawdę się nazywa. Jego rodzina ma tam niewielki domek. Można powiedzieć, że kiedyś byli przemysłowcami, co, Bosse? I właśnie tam zawozili bimber. Jego rodzina nigdy nie była zwolennikiem państwowego monopolu spirytusowego.

Bosse uśmiechnął się z dumą.

– Przeciwnie – odparł. – Gdyby nie państwowy monopol, nie istniałby wolny rynek, a wtedy ani ja nie mógłbym handlować bimbrem, ani dziadek przemycaną wódką. Nazywał to miejsce magazynem. Czasem latem pływamy tam z Klarą na ryby, prawda?

Klara skinęła głową.

– A ja kułam tam do egzaminów na drugim semestrze, gdy studiowałam w Uppsali. Nic mnie tam nie rozpraszało. To zwykła skalista wysepka. Każdemu, kto tam przy pływa, wydaje się, że ma stamtąd bliżej do Finlandii niż do Sztokholmu.

– Kłopot w tym, że na wyspie nie ma ani słodkiej wody, ani prądu – dodał Bosse. – Ale wczoraj zawiozłem tam trochę zapasów, więc nie powinno być źle.

Im bardziej zapuszczali się między szkiery, tym bardziej surowe i dzikie stawało się otoczenie. Wyspy wchodzące w skład wewnętrznego pierścienia szkiarów zaczęły ustępować miejsca stalowoszarym wysepkom porośniętym niskimi krzakami. Znikły czerwone domki, zostało tylko zimne, surowe morze i granitowe bloki skalne.

Klara przez długi czas stała przy okienku i obserwowała zarysy lądu od prawej burty.

– Jesteś tu w domu, prawda? – spytała Gabriella, biorąc ją za rękę.

W oczach Klary pojawiły się łzy, ale szybko je otarła i skinęła głową.

– A może wolałabyś popłynąć na Aspöję? – spytał Bosse.

– Lepiej nie ryzykować – odparła Klara. – Jeśli obserwują jakieś miejsce, to na pewno dom dziadków. Za to na Wyspie Przemysłowców nikt nie będzie nas szukał. Telefony komórkowe tracą tam zasięg, nie ma internetu i nawet GPS nie działa jak należy. Będziemy mieli sporo czasu, żeby się nad wszystkim zastanowić.

Dalsza podróż upłynęła im w milczeniu. Gabriella usiadła na ławce i oparła się o ścianę

kajuty. Dziwiło ją, że Bosse nie zadaje Klarze szczegółowych pytań. Sprawiał wrażenie, jakby sama jej obecność sprawiała mu przyjemność. Gabriella doszła do wniosku, że czuje się przy nim bezpieczna. Z trudem walczyła ze snem. Wygrywana przez silnik hipnotyzująca melodia w połączeniu z chybotaniem łodzi na falach coraz bardziej ją usypiały.

Z drzemki wyrwał ją nagle głos Klary:

– Bosse, cała wstecz. Z komina unosi się dym.

Gabriella natychmiast oprzytomniała. Klara stała obok przyjaciela z lornetką przy oczach. Rzeczywiście, z komina domku na wyspie unosił się dym.

23 grudnia 2013

Arkösund

Zamknięty w sypialni na klucz jak jakieś zwierzę. Tygrys w klatce. Nawet nie. Raczej oswojony pies, który robi wszystko, żeby przypodobać się panu, bo inaczej nie dostanie nic do jedzenia albo nie wyjdzie na spacer. Takie to wszystko pokręcone. George położył się w ubraniu na łóżku, okrył kołdrą i ukrył głowę pod poduszką.

Po raz pierwszy od wielu lat chciało mu się płakać. Jak do tego doszło? Niecały tydzień temu sprawdzał pogodę w Brukseli. Jediną rzeczą, jaka go niepokoiła, było to, że Boże Narodzenie w Sztokholmie będzie deszczowe.

A teraz? Dałby sobie rękę uciąć, żeby tylko móc zadzwonić do staruszka. Gdyby miał telefon, zrobiłby to od razu i o wszystkim opowiedział. O Reiperze i jego bandziarach, o kokainie, Gottliebie i głupim błędzie, który popełnił w pogoni za szybkimi, łatwymi pieniędzmi. Pieniądze! A to mi żart!

– Wracam do domu – powiedziała by do telefonu, szlochając w rękaw. – Wracam do domu, wszystko naprawię i sam też się poprawię.

Staruszek będzie pewnie rozczarowany, bo przecież postąpił wbrew ideałom rodziny Lööwów. Ale na pewno by go zrozumiał. A jeśli nie, to może przynajmniej wybaczyć? Tylko czy na pewno? George zaszlochał głośno i rozdzierająco.

– Kurwa! – zawył w poduszkę. – Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Jak długo to jeszcze potrwa? Reiper i jego bandziory są gdzieś na szkiełach i ścigają kogoś, kto według Kirsten „w siedemdziesięciu procentach jest Klarą Walldéen”. Nie wątpił, że ją dopadną, a jeśli to rzeczywiście Klara, na pewno też zabiją. Wszystko wskazuje na to, że zamordowali już dwoje ludzi. O tylu przynajmniej wie. Spływa to po nich jak po kaczce. Zabici to *collateral damage*. Potencjalne ofiary wojny, o której nic nie wiedział: kto ją toczy i jaki jest jej cel. Ilu ludzi już zamordowali? Ilu stało się takim *collateral damage*?

A co się stanie później, kiedy wróca? Uścisną mu rękę i podziękują za udaną współpracę, a potem przeleją należność na konto firmy Merchant & Taylor, dodając do tej kwoty dwadzieścia procent dla niego? Bzdura! Jego też zamordują. Czy wiedzieli o tym od początku? Czy Appleby też miał świadomość ryzyka i tego, że posłał go w paszczę lwa? Przypomniała mu się kolacja w Comme Chez Soi. Ostatni posiłek skazańca, który idzie na spotkanie ze śmiercią.

Podniósł się z łóżka z ciężką głową. Cały się trząsał, ogarnięty strachem przed śmiercią. Na kolanach podszedł do parapetu i zaczął ciągnąć za haczyki, na których wisiała solidna kłódka. Na dworze padał śnieg, płatki spadały na szyby, zamieniając się w wąskie strumyczki wody. Czy uda mu się stłuc szybę? Pochylił się, żeby wyjrzeć na dwór. Trzecie piętro. Jakieś pięć, sześć metrów. Jeśli jakimś cudem uda mu się wydostać na zewnątrz i zawisnie na parapecie, do ziemi pozostaną mu cztery metry. Kirsten usłyszy brzęk tłuczonego szkła i bez chwili wahania go zabije, gdy kulejąc, będzie biegł przed siebie ze

zwichniętą albo złamaną stopą. Westchnął, dał sobie spokój z haczykiem i ukrył twarz w dłoniach.

W domu panowała całkowita cisza. Słysząc było tylko coraz silniejsze uderzenia wiatru o dach. George otworzył oczy i rozejrzał się po niewielkiej kwiecistej sypialni. Dwa niepościelone łóżka. Skrzynia, do której Josh wpakował stopy bielizny, dresów i dżinsów. George zerwał się z łóżka i zaczął przeglądać szuflady. Sam nie wiedział, czego szuka. Na pewno jednak nie spodziewał się tego znaleźć wśród majtek Calvina Kleina albo koszul marki Abercrombie & Fitch.

Niskie, cienkie drzwi prowadzące do wbudowanej w ścianę garderoby nie były zamknięte. George otworzył je i zajrzał do środka. W twarz uderzyło go zimne, stęchłe powietrze. Już chciał zamknąć drzwi, gdy nagle usłyszał jakieś trzaski i coś, co przypominało cichy ludzki głos. Otworzył szerzej, zajrzał do środka i przez chwilę przyzwyczajał oczy do ciemności. Po lewej stronie, tuż za progiem garderoby, zauważył słabe zielone światło.

Kucnął i dotknął palcami nieoheblowanej podłogi. Zielone światełko emitowała dioda umieszczona na niewielkiej elektrycznej ładowarce. Podłączony był do niej zestaw złożony z niewielkiego nadajnika i zestawu słuchawek *bluetooth*. Podobnego sprzętu używali ludzie z bandy Reipera. George nie wierzył wprost własnym oczom. Musieli opuścić dom w takim pośpiechu, że zapomnieli o dodatkowym zestawie w garderobie. W słuchawce znowu coś zatrzeszczało. Przypominało to serię krótkich komend, po których rozległy się następne. George zerknął na zamknięte na klucz drzwi sypialni. W domu jest dobra akustyka. Jeśli Kirsten zacznie wchodzić po schodach, usłyszy ją. Drżącymi palcami nałożył słuchawkę na ucho i usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi.

23 grudnia

Wyspa pośród szkierów

Klarze nic się nie przywidziało. Zła pogoda ograniczała widoczność, ale z komina domku na wyspie rzeczywiście unosił się dym. Odwróciła się sparaliżowana strachem. Jak ich tutaj znaleźli? Przecież to była jedyna bezpieczna kryjówka. Tymczasem Bosse nawet nie zwolnił. Popatrzył na nią spokojnym wzrokiem. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Spokojnie – powiedział. – Byłem tu, zanim jeszcze spotkaliśmy się w Arkösund, i napaliłem w kominku. Przecież nie mogłem pozwolić, żebyście zmarzły.

– Cholera! – powiedziała Klara. – Napędziłeś nam stracha.

Odwróciła się do Gabrielli, która całkowicie się rozbudziła.

– Widzę, że jesteś spięta – powiedziała. – Mało brakowało, a dostałabym ataku serca.

Klara westchnęła głęboko i od razu poczuła, że jej serce znowu zaczyna bić w normalnym tempie.

– Ile drewna włożyłeś do kominka, jeśli nadal się pali? – spytała.

– Tyle, żeby wystarczyło – odparł rozradowany Bosse.

Kilka minut później łódź przybiła do skalistej wyspy. Klara, która stała na dziobie, bez problemu zeskoczyła na ląd. Kuliła się z zimna, bo nadal padał deszcz. Osłaniając oczy dłonią, ruszyła w stronę domku. Kiedyś był pomalowany na charakterystyczny czerwony kolor, jak wszystkie inne zabudowania w tej okolicy, ale burze i słońce sprawiły, że farba wyblakła. Teraz nic już nie chroniło stuletnich desek. Na cud zakrawał fakt, że szyby w oknach były wciąż całe. Widać, że Bosse nie za bardzo się troszczy o tę część rodzinnej spuścizny.

Łódź przybiła do zniszczonego pomostu zbudowanego w naturalnym porcie, który wchodził w głąb lądu. Od domku dzieliło ich jakieś pięćdziesiąt metrów. Klara przyglądała się, jak o brzeg po drugiej stronie uderzają potężne, spienione fale. Po południu i nocą pogoda jeszcze się pogorszy. Za skałami szalało bezlitosne morze. Fale sięgały aż do linii horyzontu. Kiedy Bosse przywiózł ją tu po raz pierwszy, pomyślała, że tak właśnie wygląda kraniec świata.

Obejrzała się i zobaczyła, że Bosse pomaga Gabrielli wysiąść z łodzi. Jej przyjaciółka wyglądała na zmęczoną i lekko rozkojarzoną. Przez chwilę Klarą targały wyrzuty sumienia, że wciągnęła ją w swoje sprawy. Nie wiedziała jednak, jak by sobie bez niej poradziła.

– Nie zaśniecie pewnie tej nocy – zawołał Bosse, próbując przekrzyczeć wiatr. – Spadnie śnieg. Będę o was myślał, leżąc u siebie pod ciepłą pierzyną.

Roześmiał się głośno i objął Gabriellę ramieniem.

– Tutaj wszystko wygląda inaczej niż w twojej kancelarii w stolicy, prawda? – spytał rozbawiony.

Spojrzała na niego poirytowanym wzrokiem, ale Klara uśmiechnęła się pod nosem. Nikt nie powinien lekceważyć jej przyjaciółki. Bez względu na okoliczności. Klara wzięła ją

pod ramię.

– Gabriella nie jest zwykłym adwokatem – stwierdziła. – To moja kumpela.

– No, proszę. Ale przecież ty też kształciłaś się na prawnika. A teraz na dodatek nie musisz płacić podatków od tego, co zarabiasz w Parlamencie Europejskim.

Bosse pokręcił głową i ruszył w stronę domku.

– Polubisz go, jak go lepiej poznasz – szepnęła Klara do Gabrielli.

– Na pewno – odparła z uśmiechem przyjaciółka. – Łatwo jednak zauważyć, że poszliście w dwóch różnych kierunkach.

Bosse otworzył drzwi i weszli do środka, chroniąc się przed deszczem i wiatrem. Dom składał się z jednego pokoju o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych, otwartego aż po kalenicę. Na jednym końcu pomieszczenia znajdowała się niewielka antresola, na którą prowadziła drabina. Koło żelaznego piecyka stała podniszczona zielona kanapa. Ściany i podłoga były zrobione z nieheblowanych sosnowych desek. Pod antresolą urządzono prostą kuchnię, w której stał piecyk na gaz i dwie przenośne lodówki. Bosse podszedł do żelaznego piecyka i wrzucił do niego kilka szczap.

– Przyniosłem wam drewna, powinno wystarczyć – powiedział. – Dołożyłem do pieca. W obu przenośnych lodówkach jest mleko i ser, potrawka z siekanego mięsa z ziemniakami, buraczki i jajka. Do tego wędzony łosoś i trochę ziemniaków. Macie tyle jedzenia, że starczy wam na dwa dni. No i jeszcze to.

Po tych słowach wyjął dwuipółlitrową butelkę po coca-coli. W środku znajdował się jakiś jasny płyn.

– Co to? – spytała Gabriella.

Klara pokręciła głową.

– Niech cię diabli, Bosse – powiedziała, a potem odwróciła się do przyjaciółki. – To bimber jego roboty. Mam rację?

– Całkowitą – odparł Bosse. – Lokalna specjalność. Lepszej wódki nigdzie nie dostaniesz. Żadne tam siki z państwowego monopolu. Przecież mamy święta! Coś wam się od życia należy, prawda?

Zerknął na zegarek.

– Myślę, że macie wszystko, czego wam trzeba. Wpadnę jutro rano, jeśli pogoda dopisze. Teraz wracam, muszę coś jeszcze załatwić.

– Tak, wracaj – powiedziała Klara. Na myśl o tym, że wreszcie zostanie sama z Gabriellą, poczuła ulgę. – Poradzimy sobie.

Podeszła do Bossego i mocno go uścisnęła.

– Dzięki za wszystko – powiedziała. – Znowu uratowałeś mi życie.

Był wyraźnie zmieszany. Wzruszył ramionami.

– Daj spokój. Chciałbym zrobić dla was coś więcej.

– I tak zrobiłeś wystarczająco dużo.

Podszedł do drzwi, ale zatrzymał się z ręką na klamce.

– Tak na wszelki wypadek... Przywiozłem też strzelbę.

Mówiąc to, wskazał w stronę piecyka. Obok leżała dubeltówka Klary i kilka pudełek naboju. Klara poklepała go po policzku.

– To miłe z twojej strony – powiedziała. – Ale jeśli się okaże, że potrzebuję broni, na jej

użycie może być za późno.

23 grudnia 2013

Arkösund

George siedział na podłodze oparty plecami o drzwi i zastanawiał się, dlaczego w znalezionych przez niego słuchawkach panuje cisza. W chwili, gdy wyjmował je z garderoby, słyszał w nich głosy, ale od tamtego momentu nikt się nie odezwał. Kilka razy sprawdzał, czy baterie znajdują się na właściwym miejscu, kręcił potencjometrem do regulacji głośności, ale wszystko wydawało się w porządku. Miał nadzieję, że ludzie Reipera nie przeszli na inną częstotliwość.

Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Przecież nawet nie wie, co mógłby zrobić z pozyskanymi informacjami. Był więźniem, a na dodatek tchórzem. Brakowało mu cywilnej odwagi i instynktu samozachowawczego. No bo jak inaczej wytłumaczyć, że coraz bardziej gmatwał się w tę sprawę, nie reagował, nie próbował się z niej wycofać ani nawet ograniczyć skutków tego, co może spotkać Klarę? Tak się zaplątał, że nie wiedział nawet, jak mógłby wydostać się z tego pokoju. Ponownie ukrył twarz w dłoniach i wydał z siebie przeciągły, żaloszny jęk.

W tym momencie usłyszał w słuchawkach głos Reipera. Był tak czysty i wyraźny, że aż podskoczył w miejscu. Serce zabiło mu mocniej, zaczął rozglądać się po pokoju i dopiero po chwili dotarło do niego, że Reiper nadal jest gdzieś daleko od domu.

– Beta one do Alfa one – powiedział Reiper.

Po sekundzie rozległ się głos Kirsten:

– Tu Alfa one.

– Przejdź na kanał piąty. Odbiór.

– Przechodzę na kanał piąty. Odbiór.

– Wykonać. Bez odbioru.

– Zrozumiałam. Bez odbioru.

George zaczął nerwowo szukać w odbiorniku kanału piątego. W końcu zauważył potencjometr, pod którym znajdowało się słowo *Channels*. Chwilę później na wyświetlaczu ukazał się komunikat, że znajduje się na kanale piątym. Po kilku sekundach usłyszał głos Reipera:

– Beta one do Alfa one.

Potem rozległ się głos Kirsten:

– Tu Alfa one. Odbiór.

– Znajdujemy się koło wyspy, podaję pozycję.

Reiper podyktował jej szereg cyfr. George zerwał się z podłogi i podbiegł do nocnej szafki stojącej przy łóżku Josha. Przypominał sobie, że przed zaśnięciem Josh rozwiązywał *sudoku*. Na szafce powinien więc leżeć długopis.

– Powtarzam – powiedział Reiper i jeszcze raz podyktował Kirsten te same dane.

George powtarzał je sobie na głos, aż w końcu znalazł w kieszeni długopis reklamowy swojej własnej firmy. Uniósł brwi. Skąd Josh go ma? Przecież nie od niego. Nieważne.

Skoncentrował się na tym, co mówił Reiper, i udało mu się zapisać całą kombinację cyfr pod krzyżówką, którą rozwiązywał Josh.

– Powtarzam – powiedziała Kirsten i jeszcze raz odczytała cyfry podane przez Reipera. George porównał je ze swoim zapisem i z satysfakcją stwierdził, że się nie pomylił.

– Potwierdzam – powiedział Reiper. – Obiekt przebywa na następujących koordynatach.

I znowu posypała się kombinacja cyfr, a za nią potwierdzenia odbioru. George zapisał je pod pierwszą kombinacją.

– Poczekamy do zmroku i przystąpimy do pierwszej części operacji, żeby zidentyfikować obiekt. Jeśli nam się to uda, rozpoczniemy realizację właściwego planu. Odbiór.

– Zrozumiałam. Odbiór.

– Wszystko u ciebie pod kontrolą? Odbiór.

– Tak. Bez odbioru.

– Potwierdzam. Bez odbioru.

George usiadł na łóżku. Spojrzał na zapisane cyfry. Teraz już wie, gdzie jest Reiper. Wie też, gdzie przebywa obiekt, którym na siedemdziesiąt procent jest Klara. Ale co z tego? Kiedy zrobi się ciemno, Reiper dokona identyfikacji, a potem ją zamorduje. Zabije też jej przyjaciółkę, która przypląnęła z nią z Arkösund. A on tu siedzi, zamknięty na klucz w brzydkiej sypialni, i też czeka na śmierć. Na to przynajmniej wygląda.

Tym razem nie ukrył twarzy w dłoniach, chociaż nadal czuł się zupełnie bezradny. Odłożył nadajnik i słuchawki do garderoby i podszedł do drzwi prowadzących na półpiętro. Postanowił, że nie będzie dłużej czekać. Nadszedł czas działania. Nabrał głęboko powietrza i zawołał na cały głos, waląc przy tym w drzwi:

– Kirsten! Kirsten! Muszę do toalety! Wypuść mnie!

Mniej więcej po minucie na schodach rozległy się kroki, więc przestał hałasować. Odwrócił się i wyjrzał przez okno na szary trawnik i gałęzie jabłoni. Za nimi widać było spienione fale uderzające o skały. Zapadał zmierzch. Zerknął na zegarek firmy Breitling. Dochodziła trzecia. Serce waliło mu w piersiach. Ponownie zawołał na całe gardło:

– Kirsten, do cholery! Muszę do toalety!

– Uspokój się – usłyszał głos Kirsten.

Dwie sekundy później George usłyszał, jak kobieta wkłada klucz do zamka.

– Zanim otworzę, usiądź na łóżku – powiedziała przez drzwi. – Odejdź od drzwi.

George jęknął głośno.

– Daj spokój! Co mógłbym ci zrobić? Zaatakować cię?

George podszedł do łóżka i poczuł, jak ogarnia go fala ulgi i rozczarowania. Zamierzał zaskoczyć Kirsten, gdy tylko otworzy drzwi; chciał się na nią rzucić, przewrócić na podłogę i zanim Kirsten zrozumie, co się dzieje, odebrać jej pistolet. Plan nie był zbyt przemyślany i nie rokował szans na powodzenie. Kirsten jest na pewno silniejsza i sprawniejsza od niego. Na pewno potrafi się bić. Uznał więc, że zrezygnuje z tego pomysłu.

– Siedzę na łóżku – powiedział.

Drzwi się otworzyły i kobieta stanęła w progu. Wyglądała na skoncentrowaną, jej usta przypominały wąską kreskę.

– Trzymaj ręce tak, żebym je widziała – powiedziała. – I załóż to.

Mówiąc to, rzuciła mu na nieposłane łóżko parę ciemnych kajdanek. Sama została w drzwiach.

– To jakiś żart? – spytał George. – Kajdanki? Nie wystarczy, że zamykacie mnie na klucz? Nie pamiętasz, że do niedawna byliście moimi klientami?

– Przestań narzekać – odparła Kirsten. – Po prostu je załóż. I ciesz się, że traktuję cię tak łagodnie. Według zasad z chwilą, gdy wyprowadzam cię z *area of confinement*, powinieneś mieć kaptur na głowie i zatyczki w uszach. Jak widzisz, robię ci przysługę.

– Według zasad? Jakich zasad? Od kiedy to jesteśmy w Guantanamo?

Kirsten nie odpowiedziała, tylko dała mu znak ręką, żeby się pospieszył. George westchnął i założył kajdanki. Zacisnęły się na nadgarstkach bezdźwięcznie i niepokojąco ciasno.

– Panowie pierwsi – powiedziała Kirsten. – Wiesz, gdzie jest toaleta. Idę kilka kroków za tobą. Przykro mi, George. Nie sądzę, żebyś wpadł nagle na jakiś głupi pomysł, ale obowiązują nas zasady, których musimy w takich sytuacjach przestrzegać.

George skinął w milczeniu głową i zaczął schodzić ostrożnie po schodach. W głowie mu szumiało. Może to jedyna szansa? Dlaczego zachował się tak impulsywnie? Dlaczego nie wymyślił czegoś innego? Dlaczego zachował się jak zwykły idiota?

W przedpokoju, tuż obok schodów, znajdowała się toaleta dla gości. Właśnie tam Kirsten chciała go zaprowadzić. Może pozwoli mu posiedzieć trochę w salonie? W pokoju się po prostu nudzi. Mógłby się zastanowić nad tym, co powinien zrobić. Ostrożnie postawił stopę na trzecim stopniu, powoli, żeby zyskać na czasie.

W momencie, gdy zszedł niżej, dostrzegł swoją szansę. Niewielką, ale jednak. Nagle poczuł, że ze strachu i nadziei kręci mu się w głowie. Na parapecie koło schodów ujrzał podłączonego do ładowarki czarnego iPhone'a. Kirsten szła kilka kroków za nim i jeszcze go nie zauważyła.

George w jednej sekundzie postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Udając, że się potknął, krzyknął głośno, zrobił dwa szybkie kroki, jak gdyby chciał odzyskać równowagę, a potem rzucił się w dół, starając się upaść w taki sposób, aby wylądować tuż koło ostatniego stopnia.

– Aaaaaajjj! – krzyknął.

Poczuł, jak uderza biodrem o wyslizgane schody, a barkiem o podłogę przedpokoju. Przed oczyma miał jednak tylko telefon i ładowarkę. Zamiast chronić rękami głowę, udało mu się je zarzucić na parapet. Chwycił palcami za kabel ładowarki i z całej siły pociągnął go w swoją stronę. Telefon spadł na podłogę. George uderzył głową o kaloryfer i w tej samej chwili poczuł, jak coś wilgotnego i kleistego spływa mu do oczu. Domyślił się, że się zranił, ale przez cały czas miał przed oczami telefon leżący na podłodze. Wyciągnął po niego rękę.

– Co ty wyprawiasz! – zawołała ostrym tonem Kirsten i szybko zbiegła po schodach. George oparł się jednym ramieniem o podłogę, a drugą ręką wsunął telefon do spodni. Poczuł, jak aparat wpada mu do majtek. Bluzę naciągnął maksymalnie w dół, żeby zakryć nią krocze.

Kirsten błyskawicznie znalazła się tuż za nim. Teraz mnie zabije, pomyślał George. To

już koniec.

– Co się stało? – spytała.

W jej głosie pojawiła się nutka szczerego niepokoju.

– Potknąłem się – odparł George. – To przez te pieprzone kajdanki.

Kirsten kucnęła przy nim, a George obrócił się na plecy z rękami skrzyżowanymi na kroczu.

– Krwawisz – zauważyła Kirsten. – Rozbiłeś sobie łuk brwiowy. To nic groźnego. Idź już do tej toalety, naklej sobie plaster z opatrunkiem i zadbaj o siebie.

George podniósł się na kolana. Bolało go całe ciało, huczało mu w skroniach. Czyżby mu się udało? Kirsten nie zauważyła, że ukradł telefon? Z trudem oddychał, ale zdobył się na uśmiech.

– Przykro mi – powiedział. – Wcale nie chciałem się przewrócić i zranić.

– Całe szczęście, że nie założyłam ci kaptura, bo mógłbyś wypaść przez okno – odparła oschle. – Wstawaj.

George podniósł się ostrożnie na nogi. Zacisnął krwawiącą ranę i ruszył w stronę toalety. Czuł na skórze chłód telefonu. Czy właśnie tak czuje się człowiek, który ma przed sobą ostatnią szansę?

23 grudnia 2013

Sztokholm i Arkösund

To samo lotnisko, ale inne czasy. Drewno i szkło, a w środku Starbucks. Pewność siebie, której nie było widać ćwierć wieku wcześniej. *Welcome to the capital of Scandinavia*. Uśmiechnięci ludzie. To już nie pogrzeb, chociaż jest tak samo ciemno jak wtedy. Wsiadam do volvo i wyjeżdżam na autostradę, słyszę nad sobą huk samolotowych silników. Zmienił się nawet kształt samochodów. Nie są już tak kanciaste, tylko opływowe, mają zaokrąglone linie i przyciemniane szyby. Jestem w Szwecji, zamierzam się poruszać moimi dawnymi śladami. Niewykluczone jednak, że udam się dalej.

Jadę tym samym asfaltem przez ten sam gęsty las, przejeżdżam po tych samych mostach wśród wilgotnych pól. Wszystko jest tu takie samo, jak zapamiętałem, tylko ja jestem inny. To tutaj poniosę ostateczne konsekwencje swoich czynów. Podporządkuję sobie historię, nie stanę się jej niewolnikiem, narzędziem, cyfrą na nieskończonej macyrycznej zmiennej.

Jechałem tą drogą tylko jeden raz, przed dwudziestu pięciu laty, a mimo to ją zapamiętałem. Nie muszę nawet zerkać na GPS. Zaraz pewnie spadnie śnieg, więc zatrzymuję się i zamawiam kawę, żeby nie zasnąć. Jestem na stacji Shella, z ust wydobywa mi się para wodna, bułeczki cynamonowe są większe i słodsze. Kawa nie smakuje już jak lura, jest wymieszana ze spienionym mlekiem. Połowę wylewam do nowoczesnego pojemnika na śmieci, do którego wolno wrzucić tylko ten konkretny rodzaj odpadów. Na pojemniku znajdują się pisemne instrukcje dotyczące recyklingu. Wsiadam do samochodu i odjeżdżam prawie pustą o tej porze drogą. Z trudem zachowuję dozwoloną prędkość. Niecierpliwość, strach, brak czasu. Jestem ścigany, jakbym był jakimś przestępcą. Zaczynam wszystkiego żałować. Zastanawiam się, czy jest coś, czego nie żałuję.

Gdzieś na wysokości Norrköping zjeżdżam z autostrady na lokalną drogę. Pochłania mnie ciemność, która jest tak gęsta, że muszę zwolnić. Światła reflektorów z trudem przebijają się przez mrok. Każdy samochód, który mijam, to prawdziwa eksplozja wstrząsająca moim światem w chwili, gdy się mijamy. Nie powinno mnie to dziwić, ponieważ widywałem to już wcześniej. Ale moja historia jest nieprawdziwa, pełna konstrukcji, tłumaczeń i usprawiedliwień. Nawet moje wspomnienia dotyczące ciemności nie zgadzają się z rzeczywistością.

Tym razem skręcam przed Arkösund. Unikam tego, co oczywiste, co samo się narzuca. Nie jestem pewien, ile wiedzą o mnie moi wrogowie. Las robi się coraz rzadszy, potem jego miejsce zajmują skały i poskręcane krzaki. W świetle reflektorów błyszczą czarne okna w pustych o tej porze roku domkach lotniskowych. Wiatr śpiewa w zetknięciu z karoserią, wycieraczki usuwają z szyby deszcz albo płatki śniegu. Gdyby zegar na desce rozdzielczej nie wskazywał, że jest późne popołudnie, mógłbym pomyśleć, że to środek nocy. W końcu kończy się asfalt i wjeżdżam na szutrową drogę, która prowadzi do pomostu. Powinna być do niego zacumowana łódź, uderzająca pod wpływem wiatru o drewniane pale.

Zwalniam i zatrzymuję samochód koło suchych trzcin. Naciągam kaptur na głowę i wysiadam. Pogoda jest naprawdę paskudna. Pochylam się nad bagażnikiem i otwieram zamek błyskawiczny torby, która leżała w środku i czekała, aż ją wyjmę. Ponownie sprawdzam stan pozbawionego numerów seryjnych szwajcarskiego karabinu automatycznego. Sprawdzam też magazynek. Wszystko jest w należytym porządku, więc zaczynam się ubierać – zakładam ciepłe spodnie, czapkę i wodoszczelne rękawiczki – i wyjmuję GPS, zawierający między innymi aplikację z mapą morską. Mam już w nim wytyczoną trasę.

Gumowa łódź znajduje się dokładnie tam, gdzie miała na mnie czekać. Leży wyciągnięta na ląd, w krzakach, dziesięć metrów od pomostu. Susan zadziałała szybko. Dobrze się spisała.

Kładę swoje rzeczy na dnie, a GPS mocuję przed sobą, przy drążku sterowniczym. Ściągam łódź na brzeg, śnieg drażni mnie w oczy. Wiatr hula nade mną i nad całą zatoką. Nawet tutaj fale są nocą spienione. Potem będzie jeszcze gorzej.

Patrzę na elektroniczną mapę i dokonuję korekt we wprowadzonej wcześniej trasie, żeby nie wypłynąć na otwarte morze. Dopiero za drugim razem udaje mi się wejść do łódki, która kręci się na wietrze. Zdejmuję rękawiczkę i wsuwam rękę pod kurtkę. Zmarzniętymi palcami szukam zamka błyskawicznego. Rozsuwam go i czuję w palcach srebrny wisiołek. Ma już tyle lat. Na chwilę nachodzi mnie pokusa, żeby go wyjąć i jeszcze raz nań spojrzeć. Dawno tego nie robiłem. Niestety, jest zbyt ciemno, a na dodatek wieje porywisty wiatr. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby go zgubić. To mój talizman. Zapinam kurtkę i odbijam od brzegu. Na morzu panuje taka sama ciemność jak na lądzie. Widzę tylko wyświetlacz GPS, na którym pojawiają się kolejne odcinki trasy.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkierów

Kiedy burza obudziła Klarę, na dworze było już ciemno. Usiadła na cienkim materacu i rozejrzała się w słabym, ciepłym świetle bijącym od żelaznego piecyka, w którym powoli dogasał ogień. Przez chwilę nie była pewna, co to za miejsce. Wiatr siekł dom, okręcał się wokół niego i przeciskał przez ściany, sunął z sykiem nad blaszanym dachem i obok podniszczonych węglów. Morskie fale uderzały o skały niecałe dwadzieścia metrów dalej. Klara przetarła oczy i dopiero w tym momencie przypomniała sobie, gdzie jest.

Jak długo spała? Ledwo Bosse odpłynął z wyspy, ogarnęła ją tak przemożna senność, że nie umiała się przed nią obronić. Poczła się bezpiecznie: jest na wyspie, na morzu, pośród szkierów. Bosse i Gabriella. Gabriella? Klara wygramoliła się spod kołdry. Przyjaciółka leżała na kanapie i spała koło żelaznego piecyka. Stopy miała owinięte kocem w czerwoną kratę. Widok ten miał w sobie coś, co napawało spokojem, tchnął codziennością.

– Śpisz? – spytała ostrożnie Klara.

Gabriella coś mruknęła, przewróciła się na bok i zamrugała oczami.

– Na to wygląda – odparła, kuląc się pod kocem. – Ależ tu zimno. Która godzina?

Klara spojrzała na zegarek.

– Prawie ósma – odparła. – Czyżbym przespała aż sześć godzin?

– Tak, zasnąłaś dość szybko.

Gabriella jakby czegoś nasłuchiwała.

– Co za wiatr! – powiedziała.

– Tak. Bosse nie przesadził, mówiąc, że będzie wiało.

Nagle Klara poczuła, że jest okropnie głodna. Ostatni jej posiłek składał się z suchego chleba, który kupiła na stacji benzynowej po wyjeździe ze Sztokholmu. Odszukała na podłodze dzinsy i kamizelkę, założyła je i przesunęła się pod drabinę, po której można było zejść na dół.

– Może chcesz kanapkę z łososiem? – spytała.

Reszta słów zamarła jej na ustach. Zatrzymała się na drabinie w pół kroku, ostrożnie odwróciła głowę i spojrzała w szeroko otwarte oczy Gabrielli. Ona też coś usłyszała.

Może to nagły podmuch wiatru uderzył o dach domu, może jakiś morski ptak krzyknął przerażony... A jednak brzmiało to jak ludzki głos. Dźwięk trwał przez bardzo krótką chwilę, bo zaraz zagłuszył go wiatr. Rozległ się całkiem blisko. Klara ze strachu dostała gęsiej skórki. Tętno jej przyspieszyło, poczuła nagły przypływ adrenaliny.

– Co to było? – szepnęła Gabriella.

Klara odzyskała kontrolę nad ciałem i zeszła z drabiny.

– Nie wiem – odparła bez tchu. – Może to tylko burza?

Przeszła kilka kroków i znalazła się w części domku, która pełniła funkcję kuchni. Jej dubeltówka była oparta o ścianę za prowizorycznym zlewozmywakiem. Na podłodze leżały dwa kartony z nabojami. Klara sięgnęła po broń i poczuła w ręku znany jej chłodny kształt.

Kucnęła i otworzyła jeden z kartonów, złamała broń i załadowała obie lufy. Potem złożyła broń, która zamknęła się z trzaskiem.

Dała znać Gabrielli, żeby zeszła z kanapy i podeszła do niej. Słaby blask bijący od piecyka nie sięgał do części kuchennej, więc Klara tylko usłyszała, że jej przyjaciółka szybko przeszła przez pokój i stanęła za nią. Poczowała jej dłoń na swoim łokciu i szybki oddech na karku.

– Co o tym myślisz? – szepnęła Gabriella. – To był ludzki głos, prawda?

Klara wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Trudno powiedzieć.

Ale sama dobrze wiedziała, że to rzeczywiście był ludzki głos. Krótki rozkaz wydany zbyt głośno w chwili, gdy burza na chwilę ucichła.

– Co robimy?

Klara wyczuła w tonie przyjaciółki nutkę niepokoju. Taki niepokój może wzrastać aż do momentu, gdy człowiek przestaje nad nim panować. W ten sposób zaczyna się panika. W ciągu ostatniego tygodnia Klara nieraz doświadczyła tego na własnej skórze. Dlatego wiedziała, że należy natychmiast przejąć nad nim kontrolę. Odwróciła się do Gabrielli i na chwilę odstawiła dubeltówkę, żeby wziąć swoją przyjaciółkę za rękę.

– Posłuchaj – szepnęła. – Nie wolno nam się teraz zdekoncentrować, rozumiesz? Musimy myśleć tylko o tym, co dzieje się tu i teraz. Nie o tym, co było wczoraj ani co będzie jutro, ani nawet za dziesięć minut. Liczy się tylko to, co teraz. Następny ruch, następny krok. Rozumiesz? Czy potrafisz wziąć się w garść?

Klara usłyszała, że Gabriella przełyka głośno ślinę.

– Jak cholera – syknęła. – Co ty sobie myślisz? Że wpadnę w panikę? Daj spokój.

Oczywiście, nie powinna była lekceważyć Gabrielli. To głupie. Przyjaciółka na pewno poradzi sobie w tej trudnej sytuacji tak samo jak ona.

– Świetnie – szepnęła. – Czy mogłabyś podejść do okna i sprawdzić, co to było? Ja zajmę się drzwiami.

Klara usłyszała, że Gabriella idzie w kierunku jednego z dwóch okien wychodzących na szkiery. Jeśli ktoś wylądował na wyspie, na pewno zrobił to od strony, gdzie wiatr jest słabszy, a nie tam, gdzie fale z całych sił uderzają o brzeg i uniemożliwiają zbliżenie się do niego. Na dworze nadal szalała burza, fale przelewały się przez skały, padał deszcz i wiał silny wiatr.

Dziesięć sekund później usłyszała szept Gabrielli:

– Podejdź tutaj, lepiej, żebyś sama to zobaczyła.

Klara chwyciła dubeltówkę, podczołgała się pod okno i kucnęła obok Gabrielli.

– Co jest? – spytała.

Gabriella nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo na ścieżce, którą poprzedniego dnia szły z Bossem, Klara spostrzegła słaby blask latarki.

23 grudnia 2013

Arkösund

George zamknął się na klucz w toalecie i zapalił światło. W niewielkim pomieszczeniu nie było okna i dlatego Kirsten bez problemu wpuściła go do środka. Przejrzał się w małym lusterku wiszącym nad umywalką. Faktycznie, wyglądał okropnie. Całą twarz i górną część bluzy miał poplamioną krwią, która nadal sączyła się z rany nad okiem. Zrobiło mu się niedobrze, ale opanował się i nie zwymiotował. Nie znosił widoku krwi, zwłaszcza własnej, ale w tym momencie nie mógł o tym myśleć. Zacisnął brzegi rany i pochylił się nad umywalką, żeby opłukać twarz.

– Fatalnie wyglądasz – powiedziała Kirsten, gdy chwilę później wyszedł z toalety.

Uśmiechnęła się do niego przepaszająco i podała mu okrągłe pudełko. George wyciągnął po nie drżącą dłoń.

– To specjalny plaster na rany – wyjaśniła Kirsten. – Żebyś nie zapaćkał całego domu.

– Dzięki – odparł George.

Kirsten wskazała mu ręką schody.

– Niestety, muszę cię znowu zamknąć na klucz – powiedziała.

Tym razem George nie protestował. Przeciwnie, musiał się pilnować, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo zależy mu na szybkim powrocie do swojej klatki.

Siedząc na łóżku, nasłuchiwał, jak Kirsten idzie po schodach. Z pewnym trudem udało mu się w końcu otworzyć pudełko i założyć prowizoryczny opatrunek, który zahamował upływ krwi. Nie rozpięła mu kajdanek, a gdy jej to zaproponował, tylko pokręciła głową. Z obawy, że Kirsten może się czegoś domyślić, nie nalegał.

Wstał z łóżka, wyjął ze spodni telefon i wyciągnął zza kaloryfera krzyżówkę, pod którą zapisał położenie wyspy. Upewnił się, że Kirsten jest już na dole, usiadł na łóżku i włączył aparat. Drżącymi palcami wybrał trzycyfrowy numer.

Jeden, dwa, trzy, cztery sygnały. George czekał, aż ktoś odbierze, a zarazem nasłuchiwał, czy Kirsten nie idzie na górę po schodach. W końcu usłyszał spokojny kobiecy głos.

– Numer alarmowy sto dwanaście. Co się stało?

George poczuł, jak nagle robi mu się sucho w ustach. Dlaczego nie zadzwonił na policję w Brukseli na długo przed tym, jak cała ta historia wymknęła mu się spod kontroli?

– Nazywam się George Lööv i zostałem porwany.

– Gdzie pan jest?

Kobieta mówiła spokojnym głosem. Dramatyzm sytuacji i słowo „porwany” nie zrobiły na niej wielkiego wrażenia.

– Jestem w Arkösund, tak mi się zdaje. Czy istnieje jakieś miejsce o tej nazwie? To gdzieś wśród szkierów na wysokości Norrköping. Siedzę zamknięty w żółtym domu, pilnuje mnie kilku Amerykanów.

– Pomoc w drodze – przerwała mu kobieta. – Proszę zostać na linii. Przełączę pana dalej. Proszę się nie rozłączać.

W słuchawce rozległ się trzask, a po nim szum. Dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści. George przez cały czas nasłuchiwał kroków na korytarzu. Na razie w domu panowała cisza. Po chwili zgłosił się mężczyzna. On też rozmawiał z nim spokojnie.

– Nazywam się Roger – zaczął. – Pracuję w policji bezpieczeństwa Säpo, w jednostce antyterrorystycznej.

– Dzień dobry – odparł niepewnym głosem George.

– Gdzie pan teraz jest? – spytał mężczyzna.

Säpo. *That's more like it*, pomyślał George, a potem opowiedział swojemu rozmówcy o wszystkim, zwłaszcza o tym, że jest więziony w żółtym domu w Arkösund. Próbował też określić położenie domu w stosunku do portu.

– Niech się pan stamtąd nie rusza – powiedział mężczyzna. – Niech pan nie próbuje uciekać. Proszę się zachowywać spokojnie, my zajmiemy się resztą. Ile osób pana pilnuje?

– W tej chwili tylko jedna. Jestem zamknięty na klucz. Pozostali wypłynęli w morze i ścigają Klarę Walldéen. To ta, której poszukuje policja.

– Ilu ich jest?

– Chyba pięciu.

– Czy pan wie, gdzie teraz są? Gdzie jest Walldéen?

George wyczuł napięcie w jego głosie, ale nie potrafił dokładnie określić, jakiego rodzaju. Z telefonem wciśniętym między ramię a policzek sięgnął drżącą dłonią po *sudoku* i podyktował koordynaty.

– Bardzo dobrze – powiedział mężczyzna. – Niech pa ma ten telefon pod ręką, na wypadek, gdybyśmy musieli się z panem znowu skontaktować. Proszę jednak z niego nie dzwonić, jeśli będzie to dla pana niebezpieczne. Niewykluczone, że mogą go namierzyć.

– Oczywiście – potwierdził George. – Co teraz? Musicie mi pomóc.

– Zajmiemy się tym – odparł pewnym siebie głosem mężczyzna.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkierów

– Co to takiego? – spytała Gabriella. Wiatr był tak potężny, że ledwo było ją słyszeć.

– Latarka?

Klara poczuła, jak jej ciało nagle sztywnieje. Zrobiło jej się gorąco.

– To mi przypomina latarkę – powtórzyła. – Może to Bosse?

Klara wzruszyła ramionami.

– Przypłynie dopiero jutro rano. Poza tym bez względu na pogodę i tak zna wyspę jak własną kieszeń.

– No to co robimy?

Klara popatrzyła na przyjaciółkę. W oczach Gabrielli ujrzała swój własny strach.

– Nie wiem.

Jedną dłonią chwyciła za lufę dubeltówki, drugą ją odbezpieczyła. Nabrała głęboko powietrza. Minęła minuta. Czowała, jak drżą jej palce i pulsują skronie. Czekwała. Napięte mięśnie, gotowość do ucieczki.

Nagle rozległo się głośnie stukanie do drzwi. Kilka szybkich, mocnych uderzeń. Potem w oknie rozbłysło światło latarki. Jego strumień zaczął przesuwac się po podłodze. Za drzwiami rozległ się czyjś głos, ale z powodu burzy nie zrozumiały ani słowa. Klara oparła się o ścianę i dała znak Gabrielli, żeby przy niej kucnęła. Palec wskazujący prawej dłoni położyła na cynglu. Po chwili znowu rozległo się mocne stukanie do drzwi. W pewnym momencie burza ucichła i ponownie usłyszały ten sam głos.

23 grudnia 2013

Arkösund

George drgnął. Usłyszał, że ktoś przekręca klucz w drzwiach jego więzienia. Uniósł wzrok i ujrzał Kirsten. W jednej chwili zawładnął nim potężny strach. Jak to możliwe, że nie usłyszał jej kroków na schodach? W pokoju było ciemno, ale od razu zauważył, że jest zdeterminowana i skoncentrowana. Po niedawnym współczuciu nie pozostało ani śladu. Przyglądała mu się tak chłodno, że musiał spuścić wzrok. Poczuł, jak zaczynają mu drżeć ręce. Co takiego zrobił? Kątem oka zauważył w jej dłoni duży, szary pistolet z przykręconym do lufy tłumikiem.

– Oddaj mi go – powiedziała Kirsten cichym, spokojnym głosem. Powoli podeszła do George’a.

– Co mam ci oddać? – spytał.

Kirsten zatrzymała się metr od niego.

– Telefon, ty idioto. Sądziłeś, że tak po prostu weźmiesz sobie telefon i zadzwonisz na policję? Naprawdę nic nie kapujesz?

Uniosła pistolet i prawie dotknęła tłumikiem jego czoła. Otwór w lufie wydał mu się po prostu olbrzymi.

– I tak już za późno. Przed chwilą dzwoniłem na policję. Już tu jadą. Bez względu na to, co mi zrobisz, dla was i tak jest już za późno.

George przestał mówić szeptem. Kirsten przełknęła głośno ślinę.

– Po co to zrobiłeś? Co sobie w ogóle wyobrażałeś? Że pałętamy się po tych szkiełkach jakby nigdy nic? Bez osłony? Naprawdę tak myślałeś? Czy naprawdę jesteś aż tak cholernie naiwny?

Kirsten pokręciła głową, jak gdyby ogrom jego głupoty był dla niej zbyt trudny do ogarnięcia.

– Nasza operacja została zatwierdzona na najwyższym szczeblu, a szwedzka policja otrzymała polecenie, aby nie interweniować. Po twoim telefonie zadzwonił do nas ktoś z Säpo. Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Tak właśnie wygląda wojna z terrorystami. A teraz oddaj mi ten pieprzony telefon.

George poczuł, że cała jego nadzieja wyparowuje w jednej chwili, ustępując miejsca poczuciu paraliżującej bezradności. Jednocześnie coś się w nim zbuntowało. Poczuł złość, wściekłość. Było to nie tylko nieoczekiwane, ale także uwalniające.

Ciągle jakieś kłamstwa i tajemnice. Miał z nimi do czynienia przez cały ostatni tydzień. Czy te gnojki rzeczywiście mogą się tu tak rządzić? Czy nie obowiązują ich żadne zasady? Nikt nie pociągnie ich do odpowiedzialności? Nie spyta, co wy tu, kurwa, robicie?

Kirsten pomachała niecierpliwie ręką.

– Oddaj mi go.

– Nie – odparł George, kręcąc głową.

– Co takiego? Co to znaczy „nie”?

– Nie oddam ci tego telefonu.

George ledwo oddychał. Kirsten na pewno go zabije. Reszta tej bandy też by to zrobiła. Nagle poczuł, że powinien natychmiast wycofać się z tej gry. Musi stanąć okoniem, bez względu na to, czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Przełknął ślinę, odwrócił wzrok od ogromnego otworu lufy i spojrzał Kirsten prosto w oczy. Ujrzał, że pod lewym okiem zaczął jej drgać jakiś mięsień. Usta przestały przypominać wąską kreskę. Zmrużyła oczy i wbiła w niego wzrok.

– Jesteś o wiele większym idiotą, niż można to sobie wyobrazić. Myślisz, że ten telefon jest taki ważny? Wyrok śmierci na ciebie jest już od dawna podpisany. Naprawdę tego nie rozumiesz?

Kirsten wypowiedziała te słowa drżącym głosem. Gwałtownie zamrugała oczami. Ale George postanowił, że nie ustąpi. Widząc, że jej dłoń zacisnęła się mocniej na kolbie, poczuł nagły przypływ energii. Położyła palec na cynglu. Poczuł na policzku chłodną stal lufy, a w kroczu dziwną wilgoć. Zrozumiał, że po prostu się posikał.

– Zamknij oczy – powiedziała Kirsten.

Tym razem jej głos zabrzmiał ostro, a na skroni pojawiła się wąska strużka potu. George nie spuszczał z niej oczu, wytrzymał jej wzrok. Wiedział, że to ważna chwila. Czuł to przez skórę pomimo śmiertelnego strachu. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczał. Było to coś w rodzaju zwątpienia, pęknięcia. Nawet doświadczony myśliwy wie, że zabijanie domowych zwierząt to żadna przyjemność.

– Zamknij, kurwa, oczy! – krzyknęła Kirsten.

– Nie – szepnął George.

Ta krótka chwila trwała całą wieczność. Słyszał tylko burzę za oknem i bicie własnego serca. Nagle w słuchawce Kirsten rozległy się trzaski, które wyrwały ich z tego transu. Kirsten uniosła dłoń, żeby wcisnąć przycisk.

Na moment spuściła George'a z oczu.

To, co wydarzyło się chwilę później, przypominało instynktowną reakcję na zagrożenie, będącą wynikiem nieodpartej woli życia.

George chwycił skutymi kajdankami dłońmi lufę pistoletu i rzucił się w bok, w stronę łóżka. Pociągnął za lufę i odsunął ją od siebie. W tej samej chwili rozległ się huk i George poczuł piekący ból od kuli, która oderwała mu koniuszek prawego ucha. Zaszumiało mu w głowie, a jednocześnie usłyszał wrzask Kirsten. Oboje rzucili się na podłogę. Wyglądało to tak, jak gdyby uprawiali zapasy pod wodą, gdzie ciało niewiele waży. George sam nie wiedział, czy jest na Kirsten czy pod nią, czy walczy dobrze czy źle, co robi z rozmysłem, a co instynktownie. Interesowała go wyłącznie lufa pistoletu. Przez cały czas miał ją przed oczami.

Po chwili rozległ się kolejny strzał. Lufa pistoletu była już lekko rozgrzana. George uderzał uzbrojoną w broń ręką o podłogę. A może o sufit? Albo o ścianę? Świat stanął nagle na głowie. Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie.

W końcu pistolet wypadł Kirsten z ręki. Wydała z siebie długi, przeraźliwy krzyk. Drapała go po twarzy, rękach i klatce piersiowej, próbowała wyłupić mu oczy. George uwolnił w końcu ramiona z uchwytu i unióśł je nad sobą. Lufa pistoletu była nadal ciepła. Chwycił za nią i z całej siły uderzył Kirsten kolbą w twarz. Raz, drugi, trzeci. Usłyszał

trzask łamanej kości.

Kirsten przestała atakować. Jej ramiona zwiotczały. George znowu uniósł pistolet. Zachowywał się jak ślepy i głuchy. Skoncentrował się na jednym: fizycznym unicestwieniu przeciwnika. Zanim uderzył kolejny raz, chwilowe zamroczenie ustąpiło. Siedział okrakiem na Kirsten. Miał przed oczami jej zmasakrowaną twarz. Słyszał, jak pociąga złamanym nosem i płytko oddycha. Odwrócił wzrok, nie chciał patrzeć na to, co zrobił. Jęcząc, uniósł się na kolana. Drżącą dłonią przyłożył Kirsten lufę pistoletu do czoła.

– Kluczyk – powiedział. – Daj mi kluczyk do kajdanek.

Kirsten włożyła rękę do kieszeni spodni i wyrzuciła na podłogę pęk kluczy.

– Gdzie są kluczyki od tej drugiej łodzi, która cumuje przy pomoście?

Kirsten pokręciła głową.

– Co chcesz zrobić? – spytała chropowatym głosem. – Zamierzasz ratować swoją księżniczkę? Za kogo ty się uważasz? Za Rambo?

George nie wahał się ani przez chwilę. Odsunął pistolet od jej twarzy, wycelował w udo i wystrzelił. Odrzut był tak silny, że o mało sam nie poleciał do tyłu. Kirsten krzyknęła z bólu.

– Kluczyki od łodzi – powtórzył.

Kirsten potrząsała z bólu głową i wyła jak zwierzę.

– Są w szafce przy drzwiach – syknęła. – I tak byś je znalazł.

George wyprostował się i w końcu zdjął kajdanki. Nie miał odwagi spojrzeć na Kirsten, która leżała na podłodze, jęcząc z bólu, ciężko pobita i postrzelona. Czy naprawdę to zrobił? Działał pod wpływem adrenaliny, choć jednocześnie było mu wstyd. Pobił kobietę. A przecież kilka minut temu ich stosunki były prawie przyjazne. Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Zerwał z łóżka prześcieradło i podarł je na długie pasy o szerokości około dziesięciu centymetrów. Nie patrząc na Kirsten, położył je na podłodze.

– Opatrz sobie rany – powiedział. Potem wstał, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na klucz.

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkierów

Łomotanie do drzwi było coraz bardziej natarczywe. Z dworu dobiegał je czyjś głos i świst wiatru. Z początku niczego nie mogły zrozumieć, ale nagle wszystko stało się jasne. Klara poczuła, jak opuszcza ją uczucie paraliżującego strachu.

– Dziadek! – zawołała i odwróciła się do Gabrielli z uczuciem ulgi. – To dziadek! Nie wierzę!

Oparła dubeltówkę o podłogę i przeciągnęła dłonią po twarzy.

– Boże, mało brakowało, a... Myślałam, że już po nas... Właściwie to sama nie wiem, co myślałam.

Klara podeszła do drzwi, a gdy je otworzyła, do środka wpadł podmuch zimnego powietrza i tuman śniegu.

– Dziadku! – zawołała Klara, przekrzykując wiatr. – Co ty tu robisz?

Mężczyzna ubrany był w żółto-czerwony płaszcz przeciwdeszczowy. Na czoło miał naciśniętą znoszoną czarną zydwestkę. Tuż za nim pojawiło się jakieś światło. Latarka. Klara zerknęła mu przez ramię i ujrzała zarys postaci. Z powodu panujących ciemności nie potrafiła jednak rozpoznać kto to. Poczuła tylko, że dziadek chwyta ją za ramię i wpycha ostrożnie z powrotem do środka.

– Klaro – powiedział spokojnym głosem. – Myślałem, że wpadniesz do nas na święta.

Na jego ustach pojawił się zmęczony uśmiech. Zdjął czapkę i położył ją obok piecyka. Boże Narodzenie. Zupełnie zapomniała, że już grudzień.

– Słucham? A jaki mamy dzień?

– Jutro Wigilia. Usiądź.

Klara odwróciła głowę i ujrzała, jak do środka niepewnym krokiem wchodzi nieznany jej mężczyzna. On też miał na sobie przeciwdeszczowy płaszcz, ale bardziej nowoczesny niż płaszcz dziadka. Położył przy drzwiach długi futerał i stał w milczeniu.

– Kto to? – spytała Klara.

Zacisnęła dłoń na kolbie dubeltówki i położyła palec na cynglu. Dziadek rozpiął płaszcz i rzucił go na podłogę.

– Nie wiem, czy mogę być całkiem szczerzy, ale mam pewną teorię.

Usiadł na stołku i dał Klarze znak, żeby zajęła miejsce na kanapie. Klara zrobiła to, nie spuszczać z mężczyzny wzroku.

– Sądzę, że jest Amerykaninem. Zjawił się na Aspöji jakąś godzinę temu.

Klara poczuła, że znowu ogarnia ją panika. Wzięła broń i położyła ją na kolanach.

– Na pewno nie wiesz... – zaczęła, ale dziadek przerwał jej, kręcąc głową.

– Powiedział, że znał twoją matkę. Udowodnił mi to na wiele sposobów. Prędzej bym umarł, niżbym go tutaj przyprowadził, gdybym powziął choć cień podejrzenia, że kłamie.

– Ale skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Dziadek spojrzał na nią uważnie.

– Mam swoje sposoby, sama wiesz najlepiej.

– A jednak Bossemu nie wolno ufać – odparła Klara.

Dziadek odwrócił się z uśmiechem w stronę Gabrielli.

– Witaj, dawno się nie widzieliśmy.

Klara już go nie słuchała. Wpatrywała się w mężczyznę stojącego przy drzwiach. Zdecydowanym ruchem strzepnął śnieg z kaptura i ściągnął go z głowy.

Mężczyzna wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat i był wysportowany. Włosy miał krótko przystrzyżone, ale gęste. Policzki i brodę pokrywała mu siwa szczecina. Można było odnieść wrażenie, że jego przodkowie pochodzili z basenu Morza Śródziemnego lub jednego z państw arabskich. Klara spojrzała mu w oczy, ale mężczyzna odwrócił głowę. Nie budził w niej strachu. Nie wiedziała dlaczego, ale zrobiło jej się go żal. Wyglądał jak ktoś, kto samotnie musiał stawić czoła wielu przeciwnościom.

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkierów

Stoję w wilgotnym śniegu, wokół szaleje burza, czuję na twarzy uderzenia wiatru, kulę się w śnieżnej zadymce. Zamykam oczy, podczas gdy stary człowiek stuka do drzwi i woła coś na głos w swoim śpiewnym dialekcie. Odgłosy burzy zagłuszają jego słowa, rozganiają je na wszystkie strony, dzielą samogłoski i spółgłoski na atomy, które osiadają na płatkach śniegu i niesione wiatrem spadają do morza.

Kiedy drzwi się otwierają, czuję się niczym ślepiec, jak gdyby moje oczy przez krótką chwilę przestały odbierać sygnały wysyłane przez mózg. Może to też forma obrony? Pojawia się to, co pozostało, co jest ostateczne, doskonałe... Mechanika zamiast psychologii. To rodzaj tarczy, która mnie chroni przed świadomością, ilu zdrań dopuściłem się w życiu. W końcu jednak nie mam się gdzie ukryć. Oczy się poddają.

Przez gęsty śnieg dostrzegam w drzwiach słabo podświetlony czworokąt. Ktoś stoi w progu i walczy z wiatrem, który próbuje wedrzeć się do środka. Ma przewieszoną przez ramię dubeltówkę, która jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do całej postaci. Sposób, w jaki trzyma broń – a właściwie jej nie trzyma – sprawia, że od razu widać, iż potrafi się z nią obchodzić.

Patrzę na nią i szukam jej oczu. W ciemnościach błyszczą jak woda. To twoje oczy. Nie mogę się obronić przed świadomością, że w jej sercu krąży moja krew. Ta myśl mnie przytłacza. Burza wdiera mi się do głowy i przybiera na sile. Jest w niej wszystko, o czym myślałem. Na przykład słowa, których nie potrafiłem powiedzieć nawet sobie samemu, chociaż tkwiły we mnie przez całe dorosłe życie. Teraz to już tylko strzępy przeszłości. Wszystko zabrała burza. Zostawiłem ją na pastwę losu. Czy mi wybaczy? Ulituje się nade mną?

Widzę, jak stary człowiek bierze ją ostrożnie za rękę, wprowadza z powrotem do domu i siada na kanapie przed piecykiem. Zdejmuje z głowy zaśnieżoną zydwestkę. Buty zostawiają wilgotne ślady na nieheblowanych deskach. Ostrożnie poruszam się po pokoju. Zdejmuję kaptur, odstawiam na podłogę futerał. Śnieg zsuwa się z płaszcza.

Przy piecyku stoi inna młoda kobieta. Obserwuje uważnie mnie i Klarę i co jakiś czas przesuwając dłoń po gęstych rudych włosach. Domyślam się, że jest podenerwowana moją obecnością. Widzę, że z całych sił stara się zapanować nad strachem. Pewnie myślała, że przyszlismy je zabić.

Stary człowiek mówi coś głośno w swoim dziwnym języku. Nie wiem, ile zrozumiał, a ile się domyśla. Rozmawiałem z nim wcześniej, ale była to garść słów, których nauczyłem się przed spotkaniem z nim i z jego żoną.

Znałem twoją córkę. Klarze grozi wielkie niebezpieczeństwo. Jestem tu po to, żeby pomóc. Potem pokazałem jego żonie wisiołek ze zdjęciem jej córki. Spojrzała mi prosto w oczy. Są jasnoniebieskie, jak zimowe niebo. Takie same jak tamte, których nigdy nie

zapomnę. Dlaczego mi zaufali? Pewnie instynkt podpowiedział im, kim jestem. Jakby na mnie czekali; nawet nie zdziwili się na mój widok.

Stary człowiek przestał mówić. Młoda kobieta, która jest moją córką – jeśli w ogólnie wolno mi użyć tego słowa – odwraca się w końcu ku mnie. Słyszę szalejący wiatr i huk fal uderzających w granitowe skały. Oko cyklonu. Nigdy nie przypuszczałem, że dotrę aż tutaj. To punkt kulminacyjny. Pozostaje tylko chaos, przypadek, prawda. Moja córka ma niższy głos, niż się spodziewałem. Mówi po angielsku z brytyjskim akcentem w naturalny sposób.

– Dziadek powiedział, że znał pan moją mamę. Wybrał pan dziwny dzień na wizytę.

23 grudnia 2013

Arkösund

George potknął się na schodach i prawie upuścił ciężki pistolet. Na szczęście chwycił się poręczy i odzyskał równowagę. Zrobiło mu się niedobrze. Szok i krew, widok zmasakrowanej twarzy Kirsten i świadomość, że to on ją tak załatwił. W toalecie o mało nie zwymiotował.

Pochylił się nad sedesem i poczuł rwanie w żołądku. Łzy napłynęły mu do oczu, dotarł do niego smród wymiocin, moczu i krwi. Dudnienie w głowie, twarzy i w całym ciele. Krwawił.

Kiedy poczuł, że już więcej niczego nie zwróci, opadł na podłogę przy sedesie, opierając się plecami o piękną ścianę z naturalnego kamienia. Nad sobą słyszał hałas. To Kirsten szarpała z całej siły za klamkę. Na chwilę wstrzymał oddech. Zamknął drzwi na klucz i zabrał z pokoju nadajniki, żeby nie porozumiała się ze swoimi kumplami. Po minucie zapadła cisza. Czyżby ją zabił? Chyba nie. Wygląda na to, że Kirsten go wołała, a teraz chodzi po pokoju. Ale i tak jej milczenie przyprawiało go o strach. Może się wykrwawiła?

Nie wiedział, jak długo siedział w tej pozycji. Nagle poczuł, że jest okropnie przemarznięty, z zimna zaczął dzwonić zębami. Z wysiłkiem wstał z podłogi i założył sweter, który też był poplamiony krwią. Zdjął zasikane spodnie i majtki, wyprostował się i stojąc nago, spojrział w lustro. Boże! Wszedł do kabiny prysznicowej i puścił ciepłą wodę. Spływała mu po twarzy i mieszała się ze łzami.

Po dwóch minutach wyszedł spod prysznic. Nie miał czasu do stracenia. Teraz przynajmniej trzymał się pewniej na nogach. Sięgnął do kieszeni po opakowanie z opatrunkiem, które dała mu Kirsten, i nałożył świeży kawałek na ranę nad okiem. Więcej plastra zużył na ucho. Przejrzał się w lusterku i doszedł do wniosku, że wygląda jak jakaś pieprzona mumia.

Nagi i drżący z zimna wszedł do jednej z eleganckich sypialni, które zajmowali ludzie Reipera. Chaotycznie otwierał i zaglądał do szuflad i szaf, aż w końcu znalazł jakieś ubrania. Były to głównie dzinsy, koszulki i bluzy. Nieodpowiedni rozmiar, ale za to czyste i ciepłe. Założył podwójną warstwę, ale nadal szczął zębami. Pod parą majtek znalazł dodatkowy magazynek, który pasował do pistoletu Kirsten. Schował go do kieszeni i zszedł po schodach.

Szumiało mu w głowie. Uciekać, za wszelką cenę uciekać. Tylko o tym myślał. Ubrać się, otworzyć drzwi i wybiec na dwór. Uciec jak najdalej od bezwzględного Reipera i zmasakrowanej twarzy Kirsten.

Tylko co potem? Dokąd ma pójść? Gdzie się ukryć? A co, jeśli szwedzka policja rzeczywiście chroni Reipera? Tak właśnie twierdziła Kirsten. Jeśli to prawda, nie będzie pewien dnia i godziny nawet w samym centrum Sztokholmu.

Jest jeszcze Klara. Prawie jej nie zna. Nie ma obowiązku jej ratować. Niech każdy martwi się o siebie. No tak, ale to przecież on ją zdradził. On ją w to wciągnął. I chociaż chciał jak najszybciej uciec, to jednak czuł, że coś go przed tym powstrzymuje. Wiedział, gdzie jest Klara. Może powinien ją ostrzec? Zresztą czy ma inny wybór?

W przedpokoju wisiał olejak – ciężki płaszcz przeciwdeszczowy impregnowany parafiną. Narzucił go na ramiona i włożył pistolet do kieszeni. Płaszcz był na niego o jeden numer za mały. Ale jakie to miało znaczenie? Na wieszaku znalazł też rękawiczki i czapkę. Działał szybko, jakby się bał, że nagle coś go zatrzyma, że jeśli choć na chwilę odpuści, ogarnie go strach albo zwątpienie.

Klucze faktycznie wisiały w szafce obok drzwi. Wyjął iPhone'a i nagle naszła go ochota, żeby do kogoś zadzwonić. Do kogokolwiek. Najchętniej do staruszka. Uznał jednak, że nie powinien ryzykować, bo znowu mogą go namierzyć. Kilkoma ruchami zeszywniałych z zimna palców wybrał na wyświetlaczu znaną mu aplikację.

Kilka sekund później wprowadził do niej koordynaty, które podsłuchał w czasie rozmowy Reipera. Nawigowanie za pomocą Google Maps? Przy takiej burzy? To prawdziwe szaleństwo. Niestety, nie miał innego wyjścia. Z mapy wynikało, że chodzi o niewielką wyspę na morzu. Zrobił zbliżenie, żeby wyświetlił się obraz satelitarny. Na ekranie pojawiła się wyspa, a na niej coś, co przypominało niewielki domek. Czy to właśnie tam powinien popłynąć? Bateria w telefonie była naładowana. Chyba wystarczy.

Otworzył drzwi i do przedpokoju wpadła chmura śniegu. Naciągnął czapkę na czoło i pobiegł przez trawnik w stronę pomostu. Śnieg momentalnie zasypywał jego ślady. Wskoczył do łodzi i włączył kranik paliwowy. Na szczęście w czasie wakacji w Roslagen nauczył się pływać łodzią. Mimo to dopiero przy trzeciej próbie udało mu się zapuścić silnik.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkierów

Nie odpowiadam na jej pytanie. Nie znam odpowiedzi. Nie potrafię odnaleźć właściwych słów. Myślę tylko o tym, że prawda mnie w końcu dopadła, że kłamstwo nigdy nie jest doskonałe. Jej twarz nosi ślady tego, co przeżyła, ale jest piękna. Dostrzegam w niej też coś nieubłaganego, ostrego i zdecydowanego, co wprawia mnie w zakłopotanie. Rodzaj bezkompromisowości, której nie odnajduję nawet u siebie. To najwidoczniej wyłącznie jej cecha. Za wszelką cenę staram się unikać jej wzroku.

Nie mam nic do powiedzenia, więc podchodzę do okna, z którego widać szkiery. Wpatruję się w ciemność. Nie mamy pojęcia, gdzie są nasi wrogowie.

– Kto wie, że tutaj jesteście? – pytam, nie odwracając się od okna.

Moje własne odbicie w szybie miesza się z jej odbiciem. Włosy ma krótkie, byle jak przystrzyżone i źle ufarbowane. Amatorskie przebranie i dlatego widać, że jej włosy mają taki sam ciemny odcień, jak kiedyś moje, a jej skóra jest moją skórą.

Kręci głową, odsuwa z czoła kosmyk włosów, wzrok ma rozbiegany. Obserwowanie jej nerwowych gestów sprawia mi ból. Tak zachowują się ludzie ścigani, ogarnięci paranoją. Czy znam lepiej jakiegokolwiek inne zachowanie?

– Nikt – odpowiada. – Nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Odwracam się do niej. Nie czas teraz na takie filozofowanie.

– Naprawdę? Przecież was znalazłem. Twój dziadek też wiedział, gdzie jesteście. Skup się i pomyśl. Kto wie, że tu jesteś?

Moje słowa brzmią zbyt twardo. Używam tonu, którym posługujemy się w czasie przesłuchań. Twarz jej tężeje, głos robi się spokojny, ale daje się w nim wyczuć jakiś żar.

– A kim pan, do cholery, jest, żeby zadawać mi takie pytania? Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

Jej słowa sprawiają mi taki ból, że prawie się cofam. A więc nadal nie wie, kim jestem.

– Przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy. Ale nie mamy zbyt wiele czasu. Wszystko wyjaśnię, ale teraz musicie mi uwierzyć, że jestem specjalistą od takich problemów. Poza tym gdybym nie chciał wam pomóc, wszyscy już bylibyście martwi.

Widzę, że spogląda na swoją rudowłosą przyjaciółkę. Wymieniają między sobą spojrzenia, tamta kiwa ostrożnie głową.

– Zgoda – odpowiada Klara. – Jeszcze tylko mój przyjaciel wie, że tu jestem. Przywiózł mnie swoją łodzią, a potem odpłynął. Wróci o świcie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. To on opowiedział o mnie dziadkowi.

– Komu jeszcze?

– Nikomu więcej. Jestem tego pewna.

– Przykro mi, ale nie mogę w tym momencie ufać nikomu.

– Ja mu ufam. Tak samo jak ufam sobie.

– Mimo że opowiedział o tobie dziadkowi?

Klara nie odpowiada. Jej koleżanka chrząka znacząco. Wodzi wzrokiem po pokoju, kręci głową, unosi ręce.

– A pani? – pytam. – Komu pani o tym opowiedziała?

Znam wszystkie te znaczące gesty i miny. Język ciała jest bardzo wymowny. To on nas zdradza.

– Wspomniałam o tym mojemu szefowi – odpowiada. – Jest adwokatem, a Klara to nasza klientka. Mogę zagwarantować, że nikomu innemu o tym nie powie, bo inaczej zostałby usunięty z palestry.

– Pani Gabriella Seichelman, prawda? Pracuje pani w kancelarii adwokackiej Lindblad & Wiman w Sztokholmie?

– Skąd pan to wie?

Nie odpowiadam. To nieistotne. Nie mamy czasu.

– Oni wiedzą, że tu jesteście.

Odwracam się do Klary.

– Ci, którzy cię ścigają, wiedzą, że tu jesteś. To, że na razie wstrzymują się z atakiem, to kwestia taktyki. Czekają, aż zrobi się ciemno albo ustanie burza. Myślę, że na morzu radzą sobie gorzej niż twój dziadek.

Zerkam w stronę okna. Sam nie wiem po co. Zwyczajny odruch. Prześladowcy są zawsze niewidocznymi.

– Jak to możliwe? – pyta pełnym zwątpienia głosem Klara.

– Ja was znalazłem – wyjaśniam. – Tamci ludzie są tacy sami jak ja. Informacja o tym, gdzie jesteście, trafiła na niejedno biurko. Udało mi się ustalić, kim jest twoja przyjaciółka.

Mówiąc to, wskazuję na Gabriellę.

– Jeśli ja wiem, oni też wiedzą. I uwierz mi, potrafią wydobywać od ludzi potrzebne informacje. Nawet od adwokatów. Zwłaszcza od nich.

Czuję, jak rośnie we mnie napięcie, zmuszam się, żeby nad nim zapanować. Wciskam je głęboko, na samo dno żołądka. Nawet jeśli żadna z nich nikomu nie powiedziała, dokąd się wybierają, to i tak wiem, że nasi wrogowie już tu są. Podpowiada mi to szósty zmysł. Zapach. Wibracje w powietrzu, które nie mają nic wspólnego z burzą.

– Trzymajcie się z dala od okna – ostrzegam.

Kucam przed Klarą i unoszę jej głowę. Zmuszam się do zrobienia czegoś, przed czym się do tej chwili wzbriałem. Patrzą jej prosto w oczy. W blasku ognia, który bije od piecyka, są bardziej niż niebieskie. Jest w nich jakaś oczywistość, coś w rodzaju kategorycznego żądania. Takie oczy nadają się do ideałów, nie do kompromisów. Zapamiętałem tylko oczy, nic więcej.

– Klaro – mówię.

Po raz pierwszy zwracam się do niej po imieniu.

– To bardzo ważne, żebyś była ze mną szczerą i powiedziała całą prawdę. Ty, ja, my wszyscy znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie. Może uda nam się znaleźć sposób na uratowanie życia, ale musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Patrzy na mnie jasnym wzrokiem, ale widzę, że mnie nie poznaje. Za to jej niespokojne

dłonie świadczą o tym, jak bardzo jest zdenerwowana. Te drgania i nerwowe tiki.

– A niby dlaczego mam panu zaufać?

– Bo przybywam z bardzo daleka, żeby ci pomóc. W grę wchodzi wiele ważnych interesów, a tylko mnie na tobie zależy.

– Dlaczego? Dlaczego panu na mnie zależy?

Wstrzymuję oddech. Nie mamy czasu na takie rozmowy.

– Znałem twoją mamę. Dawno temu coś poszło nie tak i dlatego teraz chcę to naprawić. Nie wiem, czy mi się uda. Muszę jednak coś zrobić, żeby odkupić moje winy.

Klara się nie odzywa. Wzrok ma rozbiegany, porusza dłońmi. Jej przyjaciółka usiadła obok mnie i wzięła ją za rękę. Kątem oka widzę, że dziadek Klary patrzy przez okno.

– Poproś dziadka, żeby odszedł od okna – mówię.

Wypowiada kilka słów po szwedzku i znowu odwraca się do mnie.

– Czy macie tu jakiś komputer? – pytam.

Obie kobiety wymieniają szybkie, ledwo zauważalne spojrzenia. Klara kiwa głową.

– Mamy – odpowiada.

– Gdzie jest? – pytam. – Sprawdzaliście jego zawartość?

W jej niebieskich oczach pojawia się nagle coś nowego. Jakaś twardość i obojętność. Rzeczywiście, nie ma powodu mi ufać. Mimo to sprawia mi to ból.

– A jak pan myśli, co w nim może być? – pyta Klara. – Powinien pan wiedzieć. Kto, jeśli nie pan? Czy jest jakiś inny powód, dla którego chcielibyście nas zabić?

– Co ja myślę? – powtarzam. – Mogę zacząć od tego, co wiem.

Widzę, że Klara jest coraz bardziej skoncentrowana. Może faktycznie o niczym nie ma pojęcia? Opowiadam więc o tym, czego dowiedziałem się od Susan. Mówię prawdę. A właściwie to, co może być prawdą.

– Przyjaciel Mahmouda Shamosha, Lindman, pracował dla poddostawców zatrudnionych przez amerykański rząd w Afganistanie. To firma pilnująca terrorystów i przesłuchująca ich za pomocą tak zwanych niekonwencjonalnych metod.

Na samą myśl o tym, co mówię, robi mi się niedobrze. Chodzi o dobór słów. Zaczynam jeszcze raz:

– Chcę powiedzieć, że Lindman pracował dla firmy, która działała na pośrednie zlecenie amerykańskich służb wywiadowczych. Nazwaliśmy ją Digital Solutions. Właściwie nie ma w tym niczego dziwnego. To nieodłączna część naszej roboty. Dzięki temu nie zostawiamy śladów. W takich firmach pracują często byli agenci, którzy kiedyś działali w terenie, a potem się wycofali. Działają pod przykrywką stworzonych przez nas spółek. Akurat ta...

Przerywam, żeby się zastanowić, jak sformułować następne zdania. Chcę, by właściwie mnie zrozumiała.

– Digital Solutions miała za zadanie przesłuchiwać namierzonych przez nas terrorystów. Kazaliśmy im posługiwać się bardziej brutalnymi metodami, takimi jak na przykład szczucie psami, pozorowane egzekucje czy podtapianie. To wszystko tortury, chociaż oficjalnie nie używa się tego słowa. Podobnych metod CIA używało w Abu Ghraib. Coś jednak poszło nie tak. Nie wiemy co, ale ludzie z Digital Solutions zaczęli sobie pozwalać na o wiele więcej, niż im było wolno. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero po pewnym czasie. Stosowali elektrowstrząsy, zabijali ludzi. Robili straszne rzeczy. Dopuszczali się

nieopisanych okrucieństw.

– Dlaczego? – przerywa Klara. – Jeśli nie mieli na to zgody, dlaczego to robili?

Oczy jej błyszczą. Widzę, że jest zdenerwowana i targają nią wątpliwości. Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Może stosowali takie metody wcześniej i po prostu zdziczeli? Może zdawało im się, że wydobędą ze swoich ofiar więcej informacji? Albo że zrobią to szybciej? Są ludzie, którzy nie potrzebują rozkazów. To zwykli sadyści.

Wspomnienia z Iraku i Afganistanu. Akumulator w samochodzie i pobici irakijscy jeńcy w Kurdystanie. Prowizoryczne pokoje przesłuchań w Bejrucie i Kabulu. Jest wiele podobnych przykładów. Są wyjaśnienia i mnóstwo cierpień. Za wiele z tych czynów należałoby odpowiedzieć przed sądem.

– Z tego, co wiem, gdy tylko dotarło do nas, co ci ludzie wyprawiają, natychmiast zakończyliśmy operację. Stało się to przed kilkoma tygodniami. Niestety, wielu z tych, którzy odpowiadają za takie działania, pracowało w amerykańskich służbach wywiadowczych. Mają kontakty i własne kanały informacji. Wiedzą zbyt dużo o zbyt wielu sprawach i o zbyt wielu ludziach, którzy są na wysokim szczeblu w hierarchii. Zamiast odwołać ich do kraju, postawiono przed nimi inne zadanie: po tym wszystkim, co zrobili, mieli po sobie posprzątać. I właśnie wtedy wszystko się posypało. Sądzymy, że Lindman wszedł w posiadanie pewnych informacji i zamierzał je opublikować. Wiemy, że pracował dla Digital Solutions w Afganistanie. Nie mam pojęcia, dlaczego skontaktował się akurat z Shammoshem. Spytałaś mnie o laptopa. Uważam, że są w nim dowody na to, iż cała ta operacja nie miała podstaw prawnych, i jeśli informacje na jej temat zostaną opublikowane, wyrządzą niepowetowane szkody.

Na dworze nadal szaleje burza. Być może trochę ucichła. Wiatr wieje chyba z mniejszą siłą, tumany śniegu uderzają słabiej w okna. Ale fale nadal przelewają się przez skały.

– Nie muszę chyba wyjaśniać, co się stanie, jeśli te informacje zostaną upublicznione. Jakie to będzie miało konsekwencje. Akurat teraz, gdy Amerykanie szykują się do opuszczenia Afganistanu. Jeśli te rzeczy wyjdą na jaw, wybuchnie chaos.

– Ale przecież pan nie wie, co znajduje się w laptopie? – pyta Klara.

– Ktoś mnie poinformował, co zawiera.

– Powiedział pan, że może wybuchnąć chaos.

– Tak, jeśli te informacje zostaną upublicznione.

Klara przestała mrugać. Ustały jej nerwowe gesty i tiki. Uspokoila się.

– A może taki chaos byłby uzasadniony? – pyta.

– Czy właśnie tego chciał twój przyjaciel Mahmoud?

Nie zdążyłem nawet zareagować, gdy z całych sił uderzyła mnie pięścią w lewe oko. Czuję piekący ból, oczy wypełniają mi się łzami. Unoszę ramię i chwytam ją za rękę, zanim wymierzy kolejny cios. Jest niewiarygodnie silna.

– Klaro, uspokój się! Co ty wyprawiasz?

Jej przyjaciółka zrywa się z podłogi i chwytą ją za ramiona. Stary człowiek głaska ją po głowie, szepcze coś do niej.

– Niech pan nie wypowiada jego imienia! – mówi Klara. – Jeśli pan jeszcze raz o nim wspomni, zabiję pana. Zginął przez was, przez pana i całą waszą bandę. To wy jesteście

winni. Bandyti! Zbrodniarze! Nie ma pan prawa wypowiadać jego imienia. Zrozumiano?

Klara syczy. Jej głos przypomina głos zwierzęcia. Oczy ma pełne nienawiści. Odwracam głowę, żeby na nią nie patrzeć. Unoszę ręce w przeproszającym geście.

– Wybacz – mówię. – Rozumiem, że jesteś mocno zdenerwowana.

– To nie ma nic wspólnego ze zdenerwowaniem – syczy Klara. – Niech pan to w końcu zrozumie! Chodzi po prostu o to, że go zamordowaliście. Zabiliście Mahmouda na moich oczach, gdy trzymałam go za rękę. Umarł w kałuży taniego, paskudnego wina w jakimś obskurnym sklepie. A ja go tam zostawiłam. Rozumie pan? Zdenerwowanie? *Fuck off!*

Nigdy nie przeklinałaś. Konsekwencje mojej zdrady nigdy nie miną.

– Chcę ci tylko pomóc.

– Mam gdzieś Afganistan. Olewam to. Zwisa mi, ilu zginie Amerykanów, ile szkół albo szpitali nie powstanie. Mam to gdzieś! Czy w ten sposób wrócimy do momentu sprzed jego śmierci? Zastrzeliliście go jak psa. Czy to w jego przypadku coś zmieni? Albo w moim?

Kręcę przecząco głową.

– Możesz zmniejszyć ogół cierpienia.

Klara przez chwilę milczy. Mierzymy się wzrokiem. Czynię nadludzki wysiłek, żeby nie spuścić oczu. W końcu Klara mówi spokojnym głosem:

– Ale ja właśnie chcę je stale zwiększać. W tej chwili mam ochotę wysadzić całe to gówno w powietrze. Chciałabym widzieć, jak umieracie. Rozumie pan?

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkieł

George potrzebował dziesięciu minut, żeby przyzwycząić oczy do ciemności. Spojrzał na wyświetlacz z mapą i blask bijący od ekranu znowu lekko go oślepił, postanowił więc, że nie będzie tego robił zbyt często, tylko wytyczy kurs na podstawie wciśniętej pod pulpit sterowniczy foliowanej mapy morza. Kucał przy sterze, na którym leżała rozłożona mapa. Łódź podskakiwała na falach. Burza zagłuszała warkot silnika.

Starał się utrzymać stałą prędkość, żeby łódź się nie wywróciła i żeby wszystko mieć pod kontrolą. Płynął w tumanach śniegu z deszczem, był przemoczony do suchej nitki. Ale nie zwracał na to uwagi. Zachowywał się tak, jakby przebywał w innym świecie, gdzie burza nie może mu zaszkodzić.

Nie miał żadnego planu, a mimo to odczuwał dziwną ulgę. Był też spokojniejszy niż wcześniej, gdy przebywał z Reiperem i jego ludźmi. Było to zaledwie dwa dni temu, ale jemu się wydawało, że upłynął rok albo i cała wieczność. Może wreszcie sterować własnym losem. Przeszedł na drugą stronę. Nie jest już najemnikiem w bandzie Reipera. Teraz im się zrewanżuje.

– Skurwysyny! – zawołał na cały głos, przekrzykując burzę.

Po jakichś trzydziestu minutach zwiększył prędkość, aż znalazł się za niewielką wyspą porośniętą jałowcami. Na pokładzie znalazł małą zardzewiałą kotwicę. Wyrzucił ją za burtę, żeby woda go nie zniosła, i wyjął telefon, żeby sprawdzić swoje położenie. Łódź podskakiwała na falach. Płatki śniegu spadały mu na twarz i od razu topniały. Zero zasięgu. Jeszcze trochę i telefon będzie bezużyteczny.

Porównał mapę na wyświetlaczu z mapą na łodzi i poczuł, że przyspiesza mu tętno. Jeśli dobrze odczytał koordynaty, znajdował się nie więcej niż o milę morską od wyspy, na której według Reipera ukrywała się Klara. Jego banda była gdzieś w pobliżu. Wprowadził do telefonu koordynaty przekazane przez Reipera i igła na elektronicznej mapie przesunęła się trochę bardziej na wschód.

George zaczerpnął powietrza. Dopiero teraz coś do niego dotarło: był tak dumny z własnej przedsiębiorczości, że nie pomyślał, że może się dostać w ręce Reipera i jego ludzi.

Co teraz? Co powinien zrobić? Przypomniały mu się słowa wypowiedziane przez Kirsten i jej szydarcy uśmiech.

„Za kogo ty się uważasz? Za Rambo?”

Starał się nie myśleć o jej zmasakrowanej twarzy, ale te słowa utkwily mu w świadomości i sprawiały ból. To prawda, żaden z niego Rambo. Nadal trzymał w zmarzniętej dłoni telefon i zastanawiał się, czy nie powinien do kogoś zadzwonić. Tyle że ostatnia rozmowa miała dla niego fatalne konsekwencje. Jeśli nawet policja nie stoi po jego stronie, to z kim mógłby o tym wszystkim porozmawiać?

Ma jednak tę przewagę, że zdaniem Reipera nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Na

pewno zachodzą w głowę, dlaczego stracili kontakt z Kirsten. Wątpił jednak, żeby podejrzewali go o cokolwiek. Uważali go przecież za zwykłego nieudacznika, pożytecznego idiotę. I właśnie na tym polegała jego przewaga. Wóz albo przewóz.

Z głębokiej kieszeni płaszcza wyciągnął pistolet Kirsten. Był tak czarny, że zdawał się pochłaniać niewielką ilość światła, która odbijała się od świeżego śniegu. Wyjął zużyty magazynek, a w jego miejsce wsunął ten, który znalazł w willi. Potem z powrotem włożył broń do kieszeni i wyłączył telefon.

Czas na działanie.

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkierów

– Nie mamy na to czasu – stwierdził mężczyzna.

W jego głosie słyhać było coś w rodzaju błagania. Nutka braku nadziei w czymś, co jeszcze do niedawna było zrozumiałe, pewne.

Klara nie spuszczała go z oczu. Wypełniająca ją pustka nie chciała zniknąć, ale przez krótką chwilę jej miejsce zajęła adrenalina i złość. Bolała ją prawa dłoń – ta, którą go uderzyła. Wyrzuciła z siebie wszystko, co tłumiła od chwili śmierci Mahmouda. Wspomnienia napłynęły jak potężna fala i dlatego straciła panowanie nad sobą.

Teraz czuła, jak złość powoli opada, a świat wokół niej odzyskuje normalny kształt. Podjęła nieśmiałą próbę, żeby zachować to cudowne uczucie gniewu, starała się skupić na tym, żeby jej nie opuścił, zostawiając ją w środku pustki, twarzą w twarz ze smutkiem. Niestety, nie zdołała okiełznać przygnębienia. Złość przesyłała się przez nią jak piasek przez palce.

Usiadła na kanapie. Głowa zrobiła jej się nagle ciężka, ważyła teraz tysiące kilogramów, musiała ukryć twarz w dłoniach. W pewnym momencie poczuła zapach Gabrielli, rękę dziadka na ramieniu. Po chwili, która trwała całą wieczność, spojrzała na nieznajomego.

– Twierdzi pan, że chce nam uratować życie – powiedziała. – Jeśli tak, to proszę nam opowiedzieć, jak pan to zrobi.

Mężczyzna kucnął przed nią. Na jego twarzy, w miejscu, gdzie uderzyła go pięścią, pojawiło się zaczerwienienie.

– Masz naprawdę mocny prawy sierpowy – powiedział.

Uśmiechnął się. Było w nim coś znanego. Aż za bardzo. Klara chciała mu zadać mnóstwo pytań, ale wiedziała, że to nie najlepsza pora.

– Co mamy robić? – spytała.

– Muszę zajrzeć do tego laptopa – odparł mężczyzna.

Na chwilę się zawahał, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Mam go przejąć i upewnić się, że nie skopiowaliście zawartości. Z upoważnienia mojego szefa mogę was zapewnić, że w tym momencie uzna sprawę za zakończoną. Oddacie laptopa i na tym koniec.

Klara wyczuła w jego słowach coś w rodzaju niepewności, jakby się zawahał.

– Niestety, nie ufam mu – kontynuował mężczyzna. – Nikomu nie ufam. Jeśli oddacie mu laptopa, straciecie jedyny argument, a wtedy staniecie się bezbronni. Już tyle osób zginęło. Jeśli wy też zginiecie, nikogo z nich to nie wzruszy. Prawda jest taka, że waga tych informacji jest przeogromna. Jeśli oddacie to, co macie, wtedy wszystko, co widzieliście, a raczej co wiecie...

Mężczyzna umilkł i odwrócił głowę. Coś przykuło jego uwagę i dlatego spojrzał w stronę okna. Przez chwilę siedział nieruchomo, a potem wstał i szybkim krokiem

przeszedł przez pokój. Z futerału wyjął karabin automatyczny pokryty maskującą farbą. Włożył do niego magazynek, a potem przymocował do lufy lunetę. Rozległo się kliknięcie. Zapiął kurtkę i naciągnął kaptur na głowę.

– Poczekajcie tutaj – powiedział. – I trzymajcie się z dala od okna.

Po tych słowach otworzył drzwi i zniknął w mroku.

– Co teraz? – szepnęła Gabriella i chwyciła kurczowo Klarę za rękę.

– On też usłyszał ten dźwięk – odparł dziadek Klary. – Warkot silnika. Wygląda na to, że ktoś do nas płynie.

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkierów

Sztorm rozpętał się na dobre. George krążył wokół wyspy i próbował znaleźć miejsce osłonięte od wiatru, żeby przybić do brzegu. Zwiększył prędkość i poczuł, że fale unoszą łódź. Słyszał warkot silnika, ale nic nie widział, bo wokół panowała zupełna ciemność.

Był coraz mocniej przekonany, że traci kontrolę nad łodzią. W pewnej chwili ją zatrzymał i zostawił silnik na jałowym biegu. Woda przelewała się przez pokład. Łódź stanęła w poprzek fali i została odepchnięta. George wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo. Dodał gazu, odczekał, aż silnik nabierze mocy, i obrócił ster we właściwą stronę. Łódź przechylała się i zarzucała, ale płynęła dalej.

W pewnej chwili, kiedy znalazł się na szczycie jednej z fal, zauważył wyspę, na której prawdopodobnie była Klara. Okno stojącego tam domku rozjaśniało słabe światło. Łódź z każdym uderzeniem fali coraz bardziej zbliżała się do wyspy. Było tak ciemno, że niczego nie widział. Przed nim rozciągała się jedna wielka ciemność.

Dopiero kiedy wyspa wyłoniła się tuż przed nim, dostrzegł pewne szczegóły. Przełączył silnik na wsteczny bieg i z całej siły pociągnął w swoją stronę drążek. Nagle usłyszał, jak kadłub szoruje o dno. Silnik przestał słuchać steru. Fale przechylały łódź na bok i pchały ją w stronę czarnych jak smoła skał.

– Kurwa! – krzyknął George.

Łódź uderzała o skały i odbijała się od nich. Przez szum wichru przebił się dźwięk śruby zgrzytającej o granitowe ściany.

– Kurwa! – zawołał George.

Puścił ster i rzucił się na dno. Pełzał na czworaka przez zalaną część dziobową. Wiedział, że pod dnem z włókna szklanego znajdują się skały. Przez cały czas słyszał, jak kadłub się o nie ociera. W pewnej chwili uzmysłowił sobie, że jest tylko kwestią czasu, gdy któraś z nich przebije łódź. Na czworaka przełożył jedną nogę przez niski reling. Prawą stopę wsunął w spienioną falę i poczuł pod podeszwą nagą skałę. Woda była lodowato zimna. Morze szalało, a wokół panowała zupełna ciemność. Łodzią sterował teraz prąd morski. W pewnym momencie George stracił grunt pod nogą. Chwilę później fale ponownie rzuciły łódź w stronę skał.

Jeszcze raz udało mu się wesprzeć na gładkim kamieniu, ale poślizgnął się i stracił oparcie. Mimo to udało mu się przenieść ciężar ciała przez burtę. Kurczowo uchwycił się relingu, przerzucił drugą nogę i znalazł się w wodzie. Czuł, jak bezradnie osuwa się w stronę stromych skał. Prąd wsysał łódź i ściągał ją na otwarte morze. George na przemian zanurzał się w wodzie i wynurzał, a jednocześnie obiema rękami starał się odepchnąć od siebie łódź. Wokół słyszał huk fal, wicher był przeraźliwie. Udało mu się postawić prawą stopę na płaskim występie. Rzucił się na skałę i upadł na brzuch. Rozpaczliwie drapał zmarzniętymi palcami i walczył, aby się na niej utrzymać. Czuł, jak ostre kamienie rozcinają mu skórę.

Po chwili odbił się lewą nogą i znalazł szczelinę na wysokości linii wody. Leżąc płasko na brzuchu, podciągał się coraz wyżej. Szukał miejsca, o które mógłby zaczepić palce. Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego łódź z całej siły uderzała o skałę. Czuł, jak spieniona woda obmywa mu nogi. W końcu udało mu się chwycić mocno i wciągnąć wyżej. Łódź tonęła. Jedna ze skał przebiła dno i woda zalewała wnętrze kadłuba.

George położył się płasko na brzuchu obok smaganego porywami wiatru krzewu jałowca. Głęboko oddychał. Żył, ale nic więcej. Uniósł głowę, żeby spojrzeć na domek.

Chwilę później zrozumiał, że nie ma dla niego żadnej nadziei.

Tuż przed nim na śniegu siedzieli skuleni dwaj mężczyźni. Mieli na sobie ciemne ubrania i czarne kominiarki. Mierzyli do niego karabinami automatycznymi.

– George – odezwał się jeden z nich. – Kiepsko wyglądasz.

Rozpoznał głos Josha.

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkieł

Łódź przyływa od niewłaściwej strony, to znaczy od północy. Widzę przez lornetkę, jak chowa się za wysokimi falami, aby potem wyłonić się na ich grzbietach. Warkot silnika przebija się przez szum wiatru. Prawdziwa amatorszczyzna. Więcej, czyste szaleństwo, samobójstwo. Jeśli łódź wpadnie na skały, rozbije się. Wykluczone, aby płynęli nią nasi wrogowie. Może to ten przyjaciel Klary? Ale przecież zna miejscowe szkiery, wie, jak radzić sobie ze sztormem. Ktoś taki na pewno nie przypląnąłby od tej strony.

Kucam, serce bije mi niespokojnie. Wraca pragnienie, chętnie wypiłbym drinka. Za to, co zamierzamy. Za nasze strategie i dalekosiężne plany. Za to, co nas chroni i broni. Za wszystko, dzięki czemu minimalizujemy ryzyko albo potrafimy je przewidzieć. Przecież zawsze niszczy nas to, czego nie da się wyjaśnić ani w żaden sposób przewidzieć.

Coś wisi w powietrzu, coś więcej niż tylko śnieg i sztorm. Kieruję lornetkę w stronę skał, gdzie stary człowiek przybił łodzią; zrobił to bez najmniejszego wysiłku w najstraszliwszą burzę. Widzę tylko rufę. Pozostała część znajduje się za skałą. Ale jest tam coś jeszcze. Jakiś cień, zarysy postaci. Pontony albo kadłuby. Może kolejna łódź? Może nasi wrogowie już tam są?

Kładę się płasko na ziemi i czołgam wzdłuż skały, jak najdalej od domku. W prawej ręce trzymam karabin. Ocieram go ze śniegu. Od strony skał dobiega jakiś hałas. To łódź rozbija się o granitowe bloki skalne. Ktoś krzyczy dwa razy, jak ptak podczas burzy.

Czołgam się, robiąc koło. Jeśli nasi wrogowie już tu są, na pewno też obserwowali tę łódź. Czekam, żeby zobaczyć, jak się to wszystko rozwinie. Wyspa jest płaska i surowa. Pojedyncze skały, kilka krzaków. Daje pewne schronienie. Kieruję noktowizor w stronę, z której dobiegał ów dźwięk. Widzę łódź wstrząsaną przez fale. I jakiegoś człowieka, który z całych sił walczy, aby chwycić się skały.

– Kim jesteś? – szepczę do siebie.

W końcu mężczyzna chwytą się czegoś i wynurza z wody. Jest bezpieczny. Kładzie się płasko na ziemi, próbuje złapać oddech. Jest mokry i przemarznięty. Typowy morski rozbitek. Po chwili unosi głowę i zastyga w tej pozycji. Dzieli nas niecałe dwadzieścia metrów. Widzi coś, czego nie widzę ja? Unoszę lornetkę i przesuwam ją w kierunku płaskiej skały. Rosną na niej dwa krzaki. W ziemi jest szczelina. Dostrzegam jakiś ruch, po chwili znowu. Zaciskam mocniej dłoń na karabinie.

Nagle z ciemności wyłania się ubrany na czarno człowiek. Na głowie ma kominiarkę. Walczy z wiatrem, przez ramię ma przewieszoną broń. Za nim dostrzegam kolejną postać. Jest ich tylko dwóch? Powinien być jeszcze jeden.

Na razie widzę tylko tych dwóch. Jest też trzeci, którego nie znam. Może to właśnie okazja, na którą czekam? Szansa na przeżycie. Mogę liczyć tylko na efekt zaskoczenia. Gdyby nie ten człowiek na łodzi, wpadliby do chaty i już by nas mieli. Jak wykorzystać tę okazję? Ciągłe kalkulacje, wyliczenia, przypuszczenia.

Przyciągam karabin i przykładam go do ramienia. Od dawna nie byłem w takiej sytuacji. Robię wydech i mrugam, żeby lepiej widzieć na śniegu. Ubrany na czarno mężczyzna unosi broń i kieruje ją w stronę tego, który przyplłynął łodzią. Rozbitek leży płasko na ziemi, jest zupełnie bezradny. Odgłos strzału odbija się echem od skał, cichnie i ginie wśród porywów wiatru.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkierów

George zamknął oczy. Przykłada głowę do skały, czuje jej chłód na policzku. Z nieba lecą na niego płatki śniegu. Przegrał. Wszystko na próżno. Zjawił się zbyt późno.

– Dobry Boże – szepnął. – Wybacz mi, proszę. Wybacz.

Oczyrna wyobraźni ujrzał Klarę, a potem zmasakrowaną twarz Kirsten i jej złamany nos. Dlaczego nie zrobił czegoś wcześniej? Kątem oka zauważył, jak Josh podnosi się z ziemi i rusza w jego stronę. Przez ramię ma przewieszony karabin. Josh na pewno nie popełni tego samego błędu co Kirsten.

– Widzę, że udało ci się uciec? – pyta Josh. – Niewiarygodne. Nie sądziłem, że cię na to stać. Co z Kirsten?

George nie odpowiedział. Prawie nie słyszał, co Josh do niego mówi. Teraz to i tak nie ma znaczenia.

– Nieważne – powiedział Josh. – Nie mam teraz czasu na takie rozmowy. *Bye, bye*, George.

Odgłos strzału. Cichszy niż zwykle, bo stłumiony szumem wiatru. George ujrzał błysk, czekał na ból. Cekał na światło i wszechogarniający spokój. Cekał, aż świat przestanie istnieć.

Ale słyszał tylko burzę. Czuł tylko śnieg padający mu na twarz i wilgoć skały, na której leżał. Kompletnie zagubiony otworzył oczy i odwrócił głowę w stronę Josha.

Josh leżał na ziemi. Martwy. Z jego głowy sączyło się coś ciemnego, co spływało na wilgotny śnieg. Krew. Drugi z mężczyzn rzucił się do tyłu, żeby schronić się za skałą. Stał tam w chwili, gdy on czołgał się po skale na ląd. Mężczyzna przyłożył dłoń do ucha i coś krzyknął. Może kontaktuje się przez radio z Reiperem?

Co tu się właściwie stało? Ktoś strzelił do Josha. George uniósł się i odczołgał na czworaka w inne miejsce. A więc jednak żyje.

Drugi z mężczyzn stał odwrócony do niego plecami i obserwował okolicę. George wsunął dłoń do kieszeni olejaka. Zaczął w niej grzebać, aż w końcu znalazł to, czego szukał: pistolet. Palce miał tak zeszywniałe, że ledwo mógł nimi poruszać. Z trudem zacisnął je wokół tłumika. Zaczął wyciągać broń z kieszeni, ale zaplątała się w materiał. George szarpnął tak mocno, że płaszcz się rozerwał, a pistolet wypadł na skałę. Chwycił go w ostatniej chwili, zanim spadł do morza. Czuł się dość niezręcznie z bronią w ręku. Wszystko wydawało mu się takie nierzeczywiste.

Było tak ciemno, że tylko domyślał się obecności drugiego mężczyzny, chociaż dzieliło ich nie więcej niż kilkanaście metrów. Który to? Chuck? Sean? Na pewno się tak nie nazywają. Mężczyzna odwrócił głowę. Podobnie jak George nie był pewien, co się przed chwilą stało. Pistolet ciążył George'owi w dłoni. Palce nadal miał sztywne z zimna. Uniósł broń i wymierzył w stronę ciemnej sylwetki. Nie myślał teraz o winie ani konsekwencjach. Skupił się na tym, by przeżyć. Tylko na tym. I dlatego pociągnął za spust.

Jeden, dwa, trzy strzały. Ledwo je słyszał przy szalejącym wietrze. Mężczyzna krzyknął, skulił się i upadł za krzakiem na ziemię. George usłyszał jęki i przekleństwa.

Drżąc z zimna, zaczął się czołgać po ziemi. Mężczyzna leżał za kamieniem, zwrócony twarzą w stronę domku.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkieł

Ostatecznie o wszystkim i tak zdecydował przypadek. Kucam i kieruję noktowizor w stronę skał. Widzę człowieka leżącego na śniegu. Nie daje znaku życia. Mężczyzna, który przyплыwał łodzią, strzela z pistoletu i podnosi się na kolana. Jest uzbrojony. Wróg czy przyjaciel? Podnoszę się, ale wciąż jestem pochylony. Nie mogę mu pozwolić, żeby dotarł do domku. Nie wolno mi ryzykować. Wstaję więc, robię trzy szybkie kroki. Jestem zbyt niespokojny i zachowuję się nieostrożnie.

Dociera to do mnie, zanim jeszcze poczuję ból. Wiem o tym ułamek sekundy wcześniej. Zawsze tak było. Człowiek umiera z powodu więzi łączących go z innym człowiekiem. Zagrozeniem jest dla nas nie kłamstwo, lecz prawda. Dopiero potem pojawia się ból. Najpierw w okolicach żołądka, potem w plecach. Intensywny i śmiertelny. Ślizgam się na śniegu i padam na ziemię. Ponownie czuję ból, tym razem w ramieniu i w dłoni. Czas się zatrzymuje.

I tak to się właśnie kończy.

Leżę na plecach. Twarz mam zasypaną śniegiem. Otwieram oczy i widzę jego cień. Pochyliła się nade mną. W ciemnościach lśni tylko blizna na jego policzku. Karabin położył na kolanach. Nie jest nawet zdziwiony.

– Myślałem, że pracujesz przy biurku – mówi.

Nie odpowiadam. Czuję, że krew wypełnia mi usta. Wypluwam ją. Wiedziałem, że to on, chociaż Susan nie chciała wyjawić mi jego nazwiska, jednego z wielu. Patrzymy na siebie. Jesteśmy w tym momencie w Kurdystanie, w Afganistanie. Tak to się właśnie kończy.

– Czy to Susan cię przysłała? – pyta.

Nie odpowiadam.

– Zabiłeś jednego z moich ludzi.

Nie mam już nic do stracenia. Ani do wygrania. Kiwam głową. Wypluwam krew, ale za chwilę znowu wypełnia mi usta. Pozwalam, żeby swobodnie spływała mi po brodzie.

– Nie musisz tego robić – mówię w końcu.

Głos mam przytłumiony, charczę i krwawię, czuję zbliżającą się śmierć. Ale on umie słuchać tych, co umierają. Pochyliła się nade mną.

– Czego nie muszę robić? – pyta.

Moje ciało robi się ciężkie. Tak ciężkie, że spada przez śnieg, przez skałę. A przecież jest takie lekkie. Tak lekkie, że kiedy zamykam oczy, unoszę się, mieszam ze śniegiem i burzą. Znikam. Robię się lżejszy niż płatki śniegu, lżejszy od wiatru. Jak wodór. Ciało z ołowiu. Ponad chmurami niebo jest bladobłękitne. Wybrałem ucieczkę, a teraz jest już za późno. Nic nie uratuje mojej duszy.

Kiedy otwieram oczy, zamierza się podnieść. W ciemnościach wydaje się ogromny. Nic już dla niego nie znaczą. Nie jestem już częścią jego zadania. Jestem przypadkiem. Czymś

nieprzewidywalnym. Załatwił sprawę i ma ją z głowy. Kaszłę. Zmuszam się, żeby jeszcze coś powiedzieć, chociaż krew zalewa mi usta.

– Nie musisz jej zabijać.

To dla mnie nadludzki wysiłek. Topię się we własnej krwi. Z oddali słyszę jego głos.

– Nic się nie zmieniłeś – mówi. – Zawsze stwarzałeś problemy. To twoje litościwe serce.

Zmuszam się, żeby odwrócić głowę i spojrzeć na niego. Z ogromnym trudem otwieram oczy. W tym samym momencie słyszę strzał. Stłumiony i odległy niekontrolowany wybuch. Dziwne, zimne światło. Obserwuję, jak odrywa się od ziemi, jak przez chwilę unosi się pośród burzy, jakby nic nie ważył. Potem spada na ziemię i zastyga w bezruchu.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkierów

– Załóż to ubranie, żebyś nie zmokła – powiedziała Klara.

Ze starej drewnianej skrzyni, która stała przy drzwiach, wyjęła trochę pachnących terpentyną żółtych ubrań i rzuciła je Gabrielli. Założyła wysokie buty i parę rybackich spodni. Były na nią za duże i wyglądała w nich jak dziecko. Gabriella rozłożyła ubrania i zaczęła wciągać podniszczone spodnie.

– To na pewno łódź – stwierdził kategorycznym tonem dziadek Klary.

Wbrew radzie udzielonej mu przez obcego mężczyznę klęczał przy parapecie i patrzył przez okno. Warkot silnika stawał się coraz wyraźniejszy.

– Diabeł jeden wie, co za szaleniec płynie w taką pogodę. Na dodatek ma wiatr od rufy.

Odwrócił się i spojrzał na Klarę, która właśnie zapinała płaszcz. Kaptur miała już naciągnięty na głowę.

– Co chcesz zrobić? – spytał. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz iść za naszym amerykańskim przyjacielem?

Klara dopasowała długość rękawów płaszcza, pochyliła się i otworzyła tekturowe pudełko. Wyjęła z niego garść śrutu i włożyła go do kieszeni.

– Nie wiem – odparła. – Ale lepiej się przygotować. Myślę, że musimy się stąd ewakuować i nie mamy na to za dużo czasu.

Złamała dubeltówkę i sprawdziła, czy jest naładowana. Odwróciła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale na moment się zawahała.

– Dziadku? – powiedziała w końcu. – Mówiłeś, że jesteś pewien, że ten obcy znał moją mamę.

Mężczyzna odwrócił się do niej. Miał zmęczone oczy. Warkot silnika był coraz wyraźniejszy.

– Skąd ta pewność? – spytała Klara.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przed domem rozległy się jakieś trzaski. Podeszedł z powrotem do okna. W tym momencie rozległy się dwa krótkie krzyki, jakby ktoś przeklinał.

– Co to było? – spytała Gabriella.

– Łódź uderzyła o skały – odparł.

Klara skulona zbliżyła się do okna. Widziała padający śnieg, skałę i kilka krzaków przed domem. Na brzegu zauważyła jakiś ruch. A może jej się tylko zdawało? Wiatr trochę się uspokoił, ale nadal wiał z dużą siłą. Znowu rozległ się odgłos uderzenia łodzi o skały, a potem dało się usłyszeć ludzki głos. Gabriella chciała to skomentować, ale nie zdążyła, bo w tym samym momencie rozległ się głuchy strzał.

– Co to? – spytała.

Czuła, jak serce wali jej w piersi. Dobiegł ich jakiś głos, który od razu ucichł. Gabriella odwróciła się w stronę Klary, ale zobaczyła tylko zamykające się za przyjaciółką drzwi.

23 grudnia 2013

Wyspa pośród szkieł

Wiatr trochę zelżał, za to śnieg padał coraz gęściej. Klara stała oparta plecami o ścianę domu, w rękę trzymała dubeltówkę. Myśli kłębiły jej się w głowie. Co się stało? Ostrożnie wyjęła znalezioną w kuchni latarkę.

W tym samym momencie usłyszała tamten dźwięk, przytłumiony szumem wiatru. Najpierw szybkie kroki, a potem coś jak gdyby zważyło się głucho na ziemię. Przykłękała, przyłożyła kolbę do ramienia. Latarkę i lufę ujęła lewą dłonią. Usłyszała, jak ktoś kaszle, rzezi, pluje. Przypominało to ludzki głos. Niedaleko, jakieś dziesięć metrów od niej, za węgłem. Potem rozległ się drugi głos. Wyczuła w nim napięcie, ale usłyszała tylko pojedyncze słowa. Nie ruszała się z miejsca, oddychała. W końcu postanowiła postawić wszystko na jedną kartę.

Włączyła latarkę i wyszła za węgł domu. Przykucnęła na lewe kolano, z kolbą dubeltówki przy ramieniu. Lufę skierowała w stronę, z której dobiegały dźwięki. Czas zatrzymał się w miejscu.

W pewnej chwili ujrzała trzy ubrane na czarno postacie. Pierwszy z mężczyzn stał, drugi kuczał, a na ziemi, w kałuży krwi, leżał Amerykanin.

Jeden z nich coś powiedział. Słowa i dźwięki docierały do niej jakby z oddali. Były wyjęte z kontekstu, nie można ich było ze sobą powiązać. Stojący mężczyzna, oślepiiony światłem latarki, uniósł rękę. Wszyscy poruszali się powoli, jakby znajdowali się pod wodą. Klara skupiła uwagę na mężczyźnie, który kuczał obok Amerykanina. Na twarzy miał bliznę, spod kominiarki wystawały mu siwe włosy.

Upłynęła cała wieczność, zanim mężczyzna z blizną skierował w stronę Klary lufę karabinu. Taka sama wieczność upłynęła do chwili, kiedy drugi z mężczyzn również uniósł broń. Klara nacisnęła spust.

W następnym momencie świat wrócił do normalnego tempa. Odgłos wystrzału był ogłuszający. Mężczyznę z blizną odrzuciło, upadł na ziemię, koło niskiego jałowca.

Za sobą Klara usłyszała czyjś kaszel. Potem rozległ się trzask. Kiedy skierowała w tamtą stronę światło latarki, zauważyła, że mężczyzna, który przed chwilą stał, leży teraz na śniegu. Usłyszała czyjś oddech i słabe jęki. Ktoś się do niej zbliżał. Odwróciła się ostrożnie w tamtą stronę. Odgłosy dobiegały od strony domu. Oświetliła latarką ścianę i ujrzała jakiś dziwny kształt. Był to wysoki, szczupły mężczyzna. Twarz miał poranioną, gdzieś zaklejoną plastrem, usta zaś sine z zimna. W rękę trzymał ciemnoszary pistolet z przykręconym tłumikiem. Mężczyzna rzucił go i oparł się plecami o ścianę. Zamknął oczy i osunął się na ziemię. Klara zacisnęła dłonie na dubeltówce. Nie bardzo wiedziała, w którą stronę skierować lufę.

– Kim jesteś? – spytała.

Skierowała lufę w jego stronę, wycelowała, ale nie mogła się zdecydować, jak powinna zareagować. Nie wiedziała, czy ma do czynienia z wrogiem, czy z przyjacielem. Spojrzała

uważnie na mężczyznę. Kogoś jej przypominał. Zrobiła krok w jego stronę. Mężczyzna uniósł ręce w obronnym geście.

– To ja, George Löow – powiedział słabym głosem.

Klara zatrzymała się i pokręciła głową. W uszach nadal dzwoniło jej od huku wystrzału. Wiatr zawiewał jej śnieg prosto w twarz. Löow? Chyba się przesłyszała.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała.

George wzruszył ramionami i spojrział na nią pustym wzrokiem. Klara się zawahała, spojrziała na Amerykanina leżącego na śniegu.

– Wszystko w porządku? – spytała, idąc w jego stronę.

– Tak – odparł słabym głosem George. – Chyba tak.

Klara pochyliła się nad Amerykaninem i oświetliła go latarką. Wszędzie było mnóstwo krwi. O wiele za dużo. Ściekała mu z ust. Miał zamknięte oczy i z trudem poruszał wargami. Klara zbliżyła uszy do jego ust, poczuła zapach krwi. Nie, nie zapach. Krew nie pachnie. Ona cuchnie.

– Nie udało mi się cię ochronić – wyszeptał słabym głosem mężczyzna. – Nie oddawaj im tego, co chcą zdobyć.

Po tych słowach umilkł. Prawie przestał oddychać. Zamknął oczy, a potem znowu je otworzył. Klara milczała. Niepewnym ruchem pogłaskała go po czole.

– Nie oddawaj im tego, co chcą zdobyć. Nie wolno im ufać.

Klara z trudem powstrzymywała się od płaczu.

– Wszystko będzie dobrze.

Tylko tyle mogła z siebie wyrzucić, ale były to słowa bez znaczenia. Oboje wiedzieli, że nic już nie będzie dobrze.

– Twoja mama cię kochała – zaczął mężczyzna. – Ponad wszystko.

I znowu zapadła cisza. Słyszać było tylko wiatr, nadal sypał śnieg. Klara wzięła mężczyznę za rękę. Miał zaciśniętą pięść. Za chwilę umrze. Otworzył usta, jego oczy zrobiły się puste i szkliste. Klara ujęła jego zaciśniętą i zmarzniętą pięść i w tej samej chwili coś wypadło mu z dłoni. W czerwonym od krwi śniegu zobaczyła srebrny wisiołek. Nadal był ciepły. Klara rozpięła zameczek zmarzniętymi palcami.

23 grudnia 2013
Wyspa pośród szkierów

George usiadł na dziobie niewielkiej, otwartej łodzi i rozejrzał się. Wokół nadal panowały egipskie ciemności. Burza trochę ucichła, ale łódź i tak podskakiwała na falach. Słabo pamiętał, jak dostał się w to miejsce. Docierały do niego strzępy wspomnień, jak we śnie. Od momentu, gdy wylądował na skałach, w jego świadomości utkwiły pojedyncze, fragmentaryczne obrazy, kojarzące mu się ze strachem i chłodem. Ze zdziwieniem stwierdził, że ma na sobie suche ubranie i jest opatulony dwoma dużymi kocami. Nadal było mu zimno, ale nie tak strasznie, jak przedtem.

– Najważniejsze, że żyjesz.

Odwrócił głowę i ujrzał Klarę. Siedziała obok niego, pochylona nad pulpitem sterowniczym. Miała na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

Musiał się zdobyć na wysiłek, żeby przekrzyczeć wiatr i warkot silnika. Wokół nich tańczyły płatki śniegu i mieszały się ze wspomnieniami, które co jakiś czas wracały z siłą błyskawicy. Lufa pistoletu. Zmasakrowana twarz Kirsten. Wszechobecny ziąb. Huk wystrzałów. Wolał nie myśleć o konsekwencjach swoich czynów, na przykład o upadających ludzkich ciałach. Pokręcił głową.

– To łódź mojego dziadka – odparła Klara. Pochyliła się ku niemu, żeby nie krzyczeć. – Byłeś wykończony. Dziadek dał ci swoje ubranie. Wypłynęliśmy w morze, a ty zasnąłeś. Nie pamiętasz?

George pokręcił głową.

– Co teraz? – spytał.

Klara wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Będziesz musiał się wytłumaczyć.

Popatrzył na nią uważnie. Wydarzenia ostatniego tygodnia całkowicie go przytłoczyły. Wszystko to zdawało mu się nierzeczywiste. Ukrył twarz w dłoniach.

– Przepraszam – powiedział. – Wybacz mi.

– Wybaczyc? Myślę, że uratowałeś mi życie. Nam wszystkim. Gdybyś nie przypląnął na wyspę, wszystkich by nas zabili.

George pokręcił głową. Otulił się szczelniej kocem i znowu spojrzął na Klarę. W ciemnościach ledwo widział jej twarz.

– Ale to nie wszystko – odparł. – To przeze mnie znalazłaś się w tej sytuacji. Współpracowałem z tymi Amerykanami. I zainstalowałem urządzenie do podsłuchu w twoim biurze. I...

– To ty wysłałeś do mnie esemesa w Paryżu? – przerwała mu Klara.

George skinął głową.

– Tak, to ja. Ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, na co cię naraziłem. Siebie zresztą też.

Klara splunęła przez reling.

– To się nie liczy. Co się stało, to się nie odstanie. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się z tego wszystkiego wygrzebać.

W tym momencie jakaś ciemna postać ruszyła w ich kierunku od strony rufy. Była to kobieta, ubrana w zbyt duży na nią płaszcz przeciwdeszczowy. George się odwrócił i ujrzał starszego mężczyznę, który siedział tuż za nim przy sterze. Mężczyzna uniósł rękę w geście pozdrowienia. George'owi się wydało, że nawet się do niego uśmiechnął.

– Widzę, że doszedł już pan do siebie? – powiedziała kobieta.

– Tak mi się zdaje – mruknął.

Chwyliła się ręką relingu i kucnęła przed nim.

– Mam na imię Gabriella – powiedziała. – Jestem koleżanką Klary, a teraz także jej adwokatem. Zanim powiem, o co chodzi, proponuję, żeby i pan powierzył mi swoją sprawę.

Na twarzy George'a pojawił się lekki uśmiech.

– Adwokaci... Prawdziwi z was spryciarze – odparł. – Nie pominiecie żadnej okazji, żeby zaproponować swoje usługi.

George nie był pewien, ale wydawało mu się, że Gabriella odwzajemniła uśmiech.

– Moje honorarium jest umiarkowane. Właściwie to pracuję *pro bono*. Ale prawda jest taka, że oboje z Klarą potrzebujecie kogoś, kto będzie was reprezentował. Jeśli zostanę pana adwokatem, nikt nie będzie miał prawa wymóc na mnie, żebym na przykład wyjawiała policji, gdzie przebywacie. Dziadek Klary zabierze was teraz w inne miejsce. Znam kogoś w Säpo, spróbuję się dowiedzieć, jak sprawy stoją. Co pan o tym sądzi?

George skinął głową.

– A czy mam inne wyjście?

– Świetnie. Formalności załatwimy później. Wiem, że jest późno i że sporo pan przeszedł, ale muszę się dowiedzieć jak najwięcej o osobach, które was ścigały. Całkiem możliwe, że oboje zostaniecie oskarżeni o kilka innych spraw. Może wam grozić wydalenie do USA albo coś innego. Myślę, że to, co wiecie, jest naszą jedyną szansą, żeby was z tego wyciągnąć.

George chrząknął i spojrzał na Klarę.

– A co wiesz? – spytał. – O co w tym wszystkim chodzi?

Gabriella położyła jej dłoń na ramieniu, zanim jeszcze Klara otworzyła usta.

– Niech mi pan wierzy – powiedziała. – Lepiej będzie, jeśli nie pozna pan pewnych szczegółów. Ale jeśli mam wam pomóc, musicie mi o wszystkim opowiedzieć.

George skinął głową. Wysunął spod koca dłoń, żeby zetrzeć śnieg z policzków, i spojrzał na Gabriellę.

– Zgoda – powiedział głośno, żeby przekrzyczeć silnik i wiatr. – Niech będzie i tak.

Zaczął opowiadać. O Reiperze, o swojej firmie, o kolacji w Comme Chez Soi, o domu na Avenue Molière i o tym, jak Reiper zmusił go do współpracy. Opowiedział o pracy dla firmy Gottlieb i o tajnej umowie, którą jakimś cudem zdobył Reiper. Przyznał się do włamania do biura Klary, wspominał o Kirsten i Joshu. Nie zapomniał o prywatnym samolocie, o Arkösund i o telefonie pod numer 112. Opowiedział, jak o mało co nie został zastrzelony, o tym, jak udało mu się obezwładnić Kirsten, i o strasznej nocy, która wydawała mu się odległym wspomnieniem, chociaż jeszcze się nie skończyła.

Gabriella przerywała mu co jakiś czas. Pytała go o różne szczegóły, nazwiska i o to, o której godzinie dzwonił pod numer alarmowy. Zachowywała się jak rasowy adwokat.

Po rozmowie George poczuł prawdziwą ulgę. Po raz pierwszy od dnia, w którym to wszystko się zaczęło, nie czuł się samotny. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w pracę silnika i szum morza. Płatki śniegu spadały im na twarze i od razu topniały. George przełknął ślinę i spytał z wahaniem:

- Tam, na wyspie... Reiper, Josh i cała banda... Wszyscy nie żyją?
- Nie sprawdzaliśmy – odparła Klara. – Ale mam nadzieję, że tak.

Kilka minut później dziadek Klary zwiększył prędkość, pochylił się nad pulpitem sterowniczym i krzyknął:

- Dopływamy na miejsce. Jesteście gotowi?

Klara skinęła głową i spojrzała na George'a.

– Gabriella przesiądzie się tutaj na inną łódź – powiedziała. – Ty zostaniesz ze mną, dobrze?

George skinął głową.

- Jasne – odparł. – Zasadniczo nie mam teraz innych planów. Dokąd jedziemy?

Klara zerknęła na Gabriellę, która pokręciła przecząco głową.

– Porozmawiacie sobie o tym, jak się pożegnamy – powiedziała Gabriella. – Lepiej, żebym nie wiedziała.

Dziadek Klary wprowadził łódź między dwie wyspy od zawietrznej. Morze było tu dziwnie spokojne i w ogóle nie przypominało tego, co się tu działo poprzedniego wieczora. W oddali rozbłysło nagle silne pojedyncze światło. George poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej.

– Patrzcie! – syknął i klęknął, żeby wskazać to palcem. Spadł mu przy tym z pleców koc, ale w ogóle tego nie zauważył. – Ktoś tam jest! Widziałem światło!

Klara wzięła go za rękę i pociągnęła na miejsce, które przed chwilą opuścił.

– Spokojnie! To znak – wyjaśniła.

Uniosła czworokątną lampę służącą do wysyłania sygnałów alfabetem Morse'a i odpowiedziała na znak przesłany przez niewidzialną postać. Jej dziadek zmienił kurs i skierowali się w stronę światła.

Klara przesunęła się na dziób i chwyciła linę do cumowania. Minutę później zatrzymali się obok starej łodzi, która swoje najlepsze dni miała już za sobą. Stał na niej rosły mężczyzna. Miał ogoloną czaszkę i ubrany był w płaszcz przeciwdeszczowy.

– Klaro! – zawołał. – Co się z wami działo?

– Wszystko w porządku – odparła Klara. – Teraz nie mam czasu ci tego wyjaśniać. Zabierzesz stąd Gabriellę?

– Jasne – odparł olbrzym. – A dokąd się wybieracie?

Bosse posługiwał się lokalnym dialektem. George musiał zadać sobie wiele trudu, żeby go zrozumieć. Przez chwilę się zastanawiał, co to za dialekt. Ostrogocki? Tak się nazywa?

– Później ci o tym opowiem. Gabriella musi jak najszybciej dostać się do Sztokholmu. Możesz to jakoś załatwić?

Bosse pochylił się nad relingiem, chwycił Gabriellę w pól i szybkim ruchem wciągnął ją

do swojej łódki.

– Witaj na pokładzie – powiedział.

– Cześć – odparła Gabriella.

Klara wzięła do ręki futerał z laptopem i podała go przyjaciółce.

– Dzięki – powiedziała Gabriella. – Skontaktuję się z wami jak najszybciej.

Po tych słowach zaczęła odpychać łódź Klary.

– Nie tak szybko – zawołał Bosse. – Ja też coś dla was mam. Jest uparta jak osioł.

Z kajuty na dziobie wyszła starsza kobieta z długimi, prawie białymi włosami związanymi w koński ogon i pogłaskała Gabriellę po policzku.

– Jak się masz? – spytała.

Gabriella objęła ją serdecznie i skinęła głową na znak, że u niej wszystko w porządku.

– Całkiem nieźle – powiedziała. – A będzie jeszcze lepiej.

– To dobrze – odparła stara kobieta. – Pilnuj się i bądź ostrożna.

Kobieta trzymała w ręku koszyk, który podała Klarze. Potem – nieoczekiwanie dla wszystkich – zwinnie wskoczyła do łodzi.

– Moja mała księżniczka Klara – powiedziała. – Chyba nie myślałaś, że pozwolę ci świętować Boże Narodzenie beze mnie? Przygotowałam to, co najbardziej potrzebne: sałatkę śledziową, szynkę i brzeczkę piwną. Do tego, oczywiście, świąteczną nalewkę dziadka.

– Bardzo dobrze, że o niej nie zapomniałaś! – powiedział dziadek.

Klara postawiła koszyk ostrożnie na pokładzie, wstała i objęła kobietę.

– Babcia – zaszlochała. – Moja kochana babcia.

23 grudnia 2013

Norra Rinnö

Klara podciągnęła pod brodę nowy wełniany koc i położyła głowę na kolanach babci. Biała kanapa była tak miękka, że przez chwilę się zastanawiała, czy się w niej nie zapadną. Żar bijący od kominka rozgrzał jej policzki do czerwoności.

Babcia głaskała ją po czole i włosach. George poszedł od razu do jednej z trzech sypialni, rzucił się na łóżko i zasnął kamiennym snem. Na wyspę Norra Rinnö dotarli bez kłopotów. Domek stał przy jej wschodnim brzegu. Babcia otuliła George'a dodatkowym kocem i ostrożnie zamknęła drzwi.

Domek należał właściwie do pewnej rodziny ze Sztokholmu, która kupiła go przed dwoma laty i włożyła w jego urządzenie nie tylko wiele trudu, ale i mnóstwo pieniędzy. Piętro domu zostało urządzone w stylu New England: bejcowane na biało ściany, granatowe poduszki i koce od Lexingtona. Na ścianie wisiały dwa skrzyżowane wiosła. Brakowało tylko zdjęcia rodziny Kennedych w ramce.

Właściciele domu powierzyli go opiece jednego ze znajomych dziadka. Miał go doglądać przez pięćdziesiąt tygodni w roku, to znaczy w okresie, gdy rodzina nie przebywała na wyspie. Teraz służył za kryjówkę i miało to trwać aż do... No właśnie, jak długo? Klara wołała o tym nie myśleć. Nie chciała też myśleć o tym, co się stało i jak się to wszystko skończy. Pragnęła tylko leżeć na pięknej kanapie, grzać się w ciepłe bijącym od kominka i czuć na czole delikatne dłonie babci. Gdyby przyszłe życie miało się składać właśnie z takich chwil, to naprawdę go pragnęła.

Mimo to nie udało jej się ani zasnąć, ani odprężyć, ani tym bardziej pozbyć niepokoju. Przez cały czas dręczyły ją pytania i wątpliwości. To, co wydarzyło się przez ostatni tydzień, przekroczyło wszelkie granice. W jej życiu dokonała się nieodwracalna zmiana. Na zawsze. Wszystko stało się zdradą i śmiercią. Pojawiły się tak wielkie tajemnice, że nie dało się ich objąć umysłem. Mahmoud nie żyje. Jego śmierć nie dawała jej spokoju. No i ten Amerykanin. Serce zabiło jej mocniej. Zbyt wiele rzeczy naraz jak na nią.

Ostrożnie otworzyła oczy i wysunęła się z objęć babci. Koc spadł na podłogę. Klara usiadła na kanapie.

– Babciu – zaczęła.

Kobieta odwróciła się w jej stronę. W pokoju było ciemno, ale żar bijący od kominka sprawił, że jej skóra zaczęła wyglądać inaczej, jakby była oświetlona od wewnątrz.

– Słucham?

– Tamten Amerykanin... Skąd dziadek jest taki pewien, że znał mamę? Czy tylko dlatego, że miał wisiołek? Przecież mógł go od kogoś dostać.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko wstała z kanapy i podeszła do kosza ze świątecznymi przysmakami. Pochyliła się i wyjęła coś, co przypominało starą, pożółkłą kopertę. Usiadła obok Klary, wzięła ją za rękę, a potem ostrożnie wsunęła jej kopertę w dłoń.

– Moja mała, kochana Klara – powiedziała.

Nabrała głęboko powietrza. Klara spojrzała jej w oczy i pomyślała, że nic się w nich nie ukryje.

Powoli puściła rękę babci i otworzyła kopertę. W środku była fotografia. Sztywna i błyszcząca, jakby wywołano ją w dawnych czasach i przechowywano w próżni.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę siedzącego w cieniu na dużym balkonie. Na rękach trzymał zawinięte w jasnoniebieski koc niemowlę. Patrzył w górę z uniesioną ręką, jakby chciał zasłonić twarz. Ale fotograf był od niego szybszy.

Ciemne, gęste włosy, oliwkowa cera. Pełna górna warga i wysokie kości policzkowe. Wyglądał na człowieka wrażliwego, ale i władczego. Na stoliku przed nim stała wypełniona do połowy popielniczka, a obok niej leżała paczka papierosów z rosyjskimi napisami. W tle widać było szereg prostych domów w kolorze piasku, które przy tak intensywnym słońcu wydawały się prawie przezroczyste.

Klara nie miała wątpliwości, że mężczyzna ze zdjęcia jest młodszą kopią człowieka, który nocą umarł jej na rękach. Spojrzała na babcię. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Odwróć zdjęcie – powiedziała starsza kobieta.

Klara się zawahała. Przez chwilę nie była pewna, czy rzeczywiście chce dowiedzieć się całej prawdy. W końcu odwróciła fotografię. Na odwrotnej stronie znajdowało się jedno zdanie, napisane wyraźnym odręcznym charakterem pisma: „Klara i jej tata, Damaszek, 25 lipca 1980 roku”.

24 grudnia 2013

Sztokholm

Gabriella wyszła ze stacji metra Östermalmstorg. Jeden z kolegów Bossego podwiózł ją do Sztokholmu. W oddali słychać było uderzenia kościelnego dzwonu. We wszystkich oknach stały adwentowe lampki. Ulice zdobiły świąteczne dekoracje. Na chodniku zalegała gruba warstwa śniegu. Miała wrażenie, że przebywa w zupełnie innym świecie, w którym panuje spokój, wszystko jest pięknie oświetlone, nie ma w nim konfliktów ani śmierci. Ulice były prawie puste, od czasu do czasu przejechała tylko pojedyncza taksówka.

– Wesołych świąt – powiedział kierowca taksówki, gdy Gabriella usiadła na tylnym siedzeniu.

No tak, to przecież Boże Narodzenie, pomyślała. Skinęła w podziękowaniu głową i podała adres.

Już po dziesięciu minutach dojechali do Djursholmu. Na całej trasie minęło ich siedem taksówek i autobus. Chyba właśnie tego dnia na ulicach jest najmniej ludzi. W Wigilię, tuż przed siódmą rano.

Gabriella zapłaciła za kurs i rzuciła tradycyjne „Wesołych świąt”, bo odniosła wrażenie, że jeśli tego nie zrobi, kierowca nie wypuści jej z taksówki. Na ulicy zalegał niesprzątnięty śnieg, samochód pozostawił w nim świeże ślady. Po chwili odjechał ulicą Strandvägen.

Kiedy dwa dni wcześniej Gabriella zjawiała się w willi Wimana, dom wywarł na niej upiorne wrażenie. Teraz doszła do wniosku, że wygląda prawie przytulnie. Na ziemi zalegała warstwa świeżego śniegu, który leżał też na równo przystrzyżonym żywopłocie, na trawniku i na alejce prowadzącej do furtki. Kiedy ostrożnie ją otworzyła, na rękę spadło jej trochę białego puchu. Był lekki i czysty jak powietrze. Fasada domu była oświetlona tylko od strony ulicy. W oknach nie było światła, ale na parapetach stały zapalone lampki adwentowe.

Gabriella była zupełnie spokojna, skoncentrowana na tym, co przyszła załatwić. Obserwowała, co działo się wokół, ale była całkowicie skupiona na czymś innym. Od tej chwili nie będzie drogi odwrotu, żadnego innego wyjścia. Musi to załatwić właśnie teraz.

Zauważyła, że światła palą się na krótszej ścianie budynku, tam, gdzie znajdowała się kuchnia i salon. Kiedy szła alejką w stronę wejścia, śnieg chrząścił jej pod nogami. Zadzwoiła i już po chwili drzwi się uchyliły. Stała w nich może pięcioletnia dziewczynka z długimi, jasnymi włosami, w różowej piżamie. Światło w przedpokoju było zapalone.

– Kim pani jest? – spytała.

– Mam na imię Gabriella. Czy dziadek jest w domu?

– Tak, ale jeszcze się nie ubrał.

Dziewczynka zachowywała się tak, jakby nie zamierzała poinformować o wizycie Gabrielli kogoś z dorosłych albo przynajmniej wpuścić jej do środka.

- Czy pani wie, że jest Wigilia?
- Tak, wiem, ale muszę porozmawiać z twoim dziadkiem. To ważne.
- Nie śpię już od piątej. A wie pani, skąd o tym wiem? Znalazłam w skarpecie zegarek od świętego Mikołaja. Chce pani zobaczyć?

Mówiąc to, wyciągnęła rękę. Rzeczywiście, na nadgarstku miała czerwony plastikowy zegarek.

- Mario? – usłyszała Gabriella znany głos. – Czy to ty dzwoniłaś do drzwi?
- Nie, to jakaś pani z rudymi włosami – odparła dziewczynka.

W przedpokoju pojawił się Wiman. Gabriella poznała go dopiero po chwili. Włosy miał potargane, a nie jak zwykle gładko zaczesane do tyłu. Na dodatek cały posiwiał. Zamiast mało sympatycznych okularów w stalowych oprawkach miał na nosie prostą parę szkieł w okrągłych oprawkach z żółtego pancerza. Nie był ubrany w swój tradycyjny garnitur marki Zegna, tylko w wystrzępiony ciemnoczerwony ranny szlafrok z literą „W” wyszytą na piersiach. Spod szlafroka wystawały mu gołe białe nogi.

- Gabriella? – spytał na jej widok. Przesunął dłonią po włosach, aby choć trochę doprowadzić je do porządku. – Mamy Wigilię. Co ty tu robisz?

Głos miał jak zwykle powściągliwy. Bił od niego autorytet i pewność siebie, ale unikał jej wzroku, a jego ręce poruszały się tak, jakby prowadziły odrębne życie. Wiman raz za razem przesuwał nimi po włosach albo grzebał przy pasku.

- Musimy porozmawiać – odparła. – I to zaraz.

Kiedy Wiman wszedł do biblioteki, przyniósł na tacy dwie filiżanki parującej kawy i trochę ciastek. Na dworze zaczęło się przejaśniać. Gabriella siedziała nieruchomo na krześle przed kominkiem. Palił się w nim ogień, po pokoju rozchodziło się przyjemne ciepło. Z głębi domu dobiegały fragmenty telewizyjnego programu dla dzieci.

- Będę szczerzy – zaczął Wiman. – Zaryzykuję stwierdzenie, że jeśli młody prawnik z kancelarii adwokackiej odwiedza w wigilię świąt Bożego Narodzenia jednego ze współników prowadzących tę kancelarię, to tym samym pokazuje, że nie nadaje się do roli przyszłego współnika.

Znowu ten sam ton, ironiczny paternalizm. Ale tym razem nie wywarło to na niej żadnego wrażenia. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła, że boi się Wimana, a zarazem zależy jej na zdobyciu jego szacunku. Wydawało się jej, że zmieniła się nie do poznania, jakby ktoś zdjął z niej klątwę. Powoli odwróciła się w jego stronę.

- Pewnie się pan zastanawia, dlaczego tu przyszłam – zaczęła. – Szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Nie mogę uwierzyć, że pan to zrobił. Właśnie pan!

Wiman położył spokojnie tacę na stoliku przed kominkiem. Siedzieli przy nim także ostatnim razem, gdy świat wydawał jej się zupełnie inny.

- A co niby zrobiłem? – spytał Wiman, siadając na tym samym krześle, na którym siedział podczas tamtej rozmowy. Mówiąc to, spojrzał jej z ciekawością prosto w oczy. – Jakiego to strasznego przestępstwa się dopuściłem?

Gabriella się zawahała. Jego spojrzenie... nie było spojrzeniem Judasza.

- Tylko pan wiedział, że Klara chce wrócić do Szwecji. Tylko pan i ja. I tylko my wiedzieliśmy, że chce pojechać na swoją wyspę na szkiełach.

Wiman uniósł brwi i wykonał zachęcający gest, wskazując ciastka. Potem wypił łyk kawy.

– A co takiego się stało? – spytał.

Pochylił się ku niej i spojrzał jej w oczy. Gabriella dostrzegła w nich coś, czego nie zauważała wcześniej: ciepło, szczerą sympatię. Jeszcze przed chwilą była najzupełniej pewna, że Wiman ją zdradził. Teraz jednak to przekonanie zaczęło ją opuszczać.

– Klara wróciła wczoraj do domu – zaczęła spokojnym głosem. – Pojechałyśmy do Arkösund, a potem na jedną z wysp na szkiełach.

Gabriella czuła, że nic jej nie powstrzyma. Jakby musiała to z siebie wyrzucić, postawić kropkę nad „i”. W sposób rzeczowy i dokładny opowiedziała Wimanowi o wszystkim, co wydarzyło się podczas ostatniej doby.

– Szkoda, że do mnie nie zadzwoniłaś – powiedział Wiman, gdy skończyła. Podniósł się z krzesła i nalał jej kawy.

– A co by to zmieniło? – spytała.

Wiman wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie nic – odparł. – Nie wiem o tej sprawie więcej niż ty. Wiem tylko tyle, że urzędasy z Säpo nie wierzą, że twoja przyjaciółka jest terrorystką. Po twojej ostatniej wizycie trochę podzwoniłem. Rozmawiałem z kilkoma przyjaciółmi, którzy pracują w służbach albo należą do tak zwanych wpływowych kręgów.

– Kogo ma pan na myśli?

– Nasze kierownictwo polityczne. Rząd. Zresztą to nieważne. Twoja przyjaciółka wplątała się w niezłą aferę. Nie z własnej winy. Wygląda na to, że weszła w posiadanie pewnych informacji. Domyślam się, że jacyś Amerykanie chcą je odzyskać, prawda?

Gabriella wypła łyk kawy i skinęła głową.

– Czy twoja przyjaciółka nadal ma te informacje?

Gabriella nabrała powietrza i oparła się.

– Można by to tak określić – odparła.

– Masz jakiś plan? Co zamierzacie zrobić? W grę wchodzi potężne interesy, chyba nie muszę ci tego wyjaśniać.

– Mamy pewien plan – odparła Gabriella. – I to bardzo dokładny.

Gabriella się obudziła, bo ktoś otworzył drzwi biblioteki.

Wyprostowała się na krześle i instynktownie przesunęła dłonią po włosach. Czyżby zasnęła? W takim momencie? Ogień na kominku prawie wygasł. Ciekawe, jak długo spała.

W drzwiach stała Maria, pięcioletnia wnuczka Wimana.

– Czy spędzi pani z nami święta? – spytała. – Jeśli pani chce, to proszę. Przyjdą moje kuzynki. Mają konika. Kiedyś...

– Mario! – rozległ się głos Wimana. – Przecież cię prosiłem, żebyś pani nie przeszkadzała.

– Ale ona już nie śpi!

Dziewczynka skrzyżowała ręce i wydeła usta. Wiman pochylił się nad nią i szepnął coś wnuczce do ucha. Na jej twarz natychmiast powrócił uśmiech i po chwili w podskokach wybiegła z pokoju. Była to pełna ciepła i miłości scena, która zupełnie nie pasowała do

wizerunku twardego adwokata. Wiman wszedł do biblioteki i usiadł obok niej na krześle.

– Zasnęłaś – powiedział. – Po tym, co przeżyłaś w nocy, postanowiłem cię nie budzić. Zresztą i tak musisz wypocząć.

– Co ma pan na myśli? – spytała Gabriella.

Z początku Wiman zareagował na jej plan sceptycznie. Potem zaproponował, że wykorzysta swoje kontakty, żeby wszystko się powiodło. Gabriella zupełnie się nie spodziewała, że okaże się aż tak lojalny i pomocny.

– Podczas gdy ty spałaś, ja trochę popracowałem – wyjaśnił. – Zastanowiłem się nad tą sprawą i doszedłem do wniosku, że ponoszę część winy. Wygląda jednak na to, że rysuje się pewna szansa. W tej chwili leci do nas z Ameryki pewna wysoko postawiona osoba z CIA. Będzie tu za... – Wiman zerknął na zegarek – ...siedem godzin.

24 grudnia 2013

Norra Rimnö

Klara położyła zdjęcie na kolanach i zaczęła mu się przyglądać. Na dworze robiło się coraz jaśniej, zbliżał się świt. Jej babcia stała pochylona nad piecykiem i dokładała do ognia kolejną szczapę drewna.

– A więc miał przy sobie nie tylko wisiołek, ale i to zdjęcie? – spytała Klara.

Babcia wyprostowała się powoli, otrzepała z niewidocznego popiołu wytarte spodnie i odwróciła się do Klary.

– Nie – odparła. Wzrok miała niespokojny, jakby zagubiony.

– Nie rozumiem – powiedziała Klara. – W takim razie skąd wzięła się ta fotografia?

Kobieta usiadła powoli na brzegu kanapy, w miejscu, na którym Klara przed chwilą na wpół leżała. Zrobiła to jednak tak, aby siedzieć jak najdalej od niej, jakby chciała dostrzec najmniejszy grymas na jej twarzy.

– Ja i dziadek mamy to zdjęcie od wielu lat – zaczęła. – Leżało w kopercie w szufladzie z moją bielizną od dnia, w którym Ministerstwo Spraw Zagranicznych odesłało je nam razem z innymi przedmiotami należącymi do twojej mamy. To było kilka miesięcy po jej śmierci.

Klara potrząsnęła głową, starając się to zrozumieć. Może za wiele przeżyła w ciągu ostatniego tygodnia? Jakoś nie potrafiła złożyć tego wszystkiego do kupy.

– Chcesz powiedzieć, że miałaś tę fotografię przez cały czas? – spytała. – I że tak po prostu leżała w szufladzie? Fotografia mojego ojca? Przez cały ten czas?

Kobieta skinęła głową, nie spuszczając z niej wzroku.

– Tak niestety było – potwierdziła.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby mi ją pokazać? Nie pomyślałaś, że mogłoby mnie to zainteresować? Przecież kiedyś widziałaś, jak oglądałam zdjęcia na strychu. Nie pomyślałaś, że chciałabym o nim wiedzieć?

Klara starała się nad sobą zapanować, ale i tak poczuła dławienie w gardle. Znowu poczuła się zdradzona.

– Przykro mi – odparła babcia. – Po prostu nie wiedziałam, co będzie dla ciebie lepsze. Byłaś mała i zupełnie samotna. A my z dziadkiem traktowaliśmy cię tak, jakbyś zawsze należała do nas. Jakbyś była naszym dzieckiem.

Na jej twarzy pojawiła się pojedyncza łza, ale nawet nie próbowała jej otrzeć. Klara spojrzała na nią uważnie. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby babcia płakała.

– Nie wiedziałam, kiedy pokażę ci to zdjęcie, w wieku pięciu, dziesięciu czy dwudziestu lat. Najpierw byłaś za mała, a później po prostu się bałam, że poczujesz się zagubiona albo uznasz, że zostałam oszukana, zdradzona, przez niego albo przez nas, bo nie staraliśmy się go odszukać.

– Łatwiej było kłamać?

Klara pożałowała tych słów, zanim jeszcze do końca je wypowiedziała. Babcia nadal

patrzyła jej prosto w oczy.

– Tak – odparła. – Łatwiej nam było kłamać. Nie wiedzieliśmy, do czego mogłaby doprowadzić nas prawda.

24 grudnia 2013

Sztokholm

W lobby hotelu Radisson Blu Waterfront panowała świąteczna atmosfera. Na kanapach z jasnego drewna siedziało kilka rodzin z dziećmi. Pochodzili z różnych krajów, ale należały do „międzynarodowej wioski”, a właściwie do górnej warstwy klasy średniej. Ogromna choinka udekorowana dyskretnymi szarymi bombkami wtapiała się w ogólny nastrój. W głębi lobby ktoś bardzo czysto śpiewał piosenkę *Baby, It's Cold Outside*.

Gabriella nie zdążyła nawet przejść połowy drogi do recepcji, gdy kątem oka ujrzała, że z fotela podnosi się Anton Bronzelius i kieruje się w jej stronę. Był nieogolony, ale wyglądał tak samo jak kilka dni wcześniej.

Spojrzał na Gabriellę, a potem prawie niezauważalnym ruchem głowy skinął w lewo i w prawo, jakby chciał ją ostrzec, że nie jest sam. Gabriella rozejrzała się ostrożnie po lobby i po chwili dotarło do niej, że część owej dobrze sytuowanej klasy średniej to po prostu ludzie Bronzeliusa. Przełknęła ślinę. Co ja mu proponuję, pomyślała.

– Wesołych świąt – powiedział. Pochylił się w jej stronę i objął ją, a przy okazji szepnął jej do ucha: – W windzie oddasz mi telefon.

– Wesołych świąt – odparła Gabriella i odsunęła się od niego, żeby ich powitanie nie trwało nienaturalnie długo.

Czuła, jak buzuje w niej adrenalina, i ledwo zauważała to, co dzieje się wokół. Nie protestowała, gdy Bronzelius zaprowadził ją do windy. Powiedział, że ma mu oddać telefon. Wiman też ją o tym uprzedzał. Mogło to oznaczać, że pierwsza część planu się nie powiodła albo że po prostu została oszukana. Nawet nie chciało jej się o tym myśleć. I tak nie miała innego wyjścia.

Usłyszała, że Bronzelius znowu coś mówi. Tym razem bardziej formalnym i władcym tonem. Lekko pochylił głowę i mówił coś do mikrofonu.

– Pojedziemy na siódme piętro. Spotkasz tam naszych amerykańskich partnerów. Wynajęli całe piętro. Zanim wejdiesz do pokoju, obszukają cię.

Ledwo znaleźli się w windzie, dał jej znak, żeby oddała mu telefon. Gabriella zrobiła, co jej kazał. No cóż, wóz albo przewóz.

Kiedy winda zatrzymała się na siódmym piętrze, Bronzelius mruknął coś do mikrofonu i drzwi windy otworzyły się bezszelestnie. Wykładzina dywanowa tłumiła ich kroki. Na korytarzu nie było okien i Gabriella straciła po chwili orientację. Miała wrażenie, że porusza się w innym wymiarze czasoprzestrzennym.

Przed ostatnimi drzwiami stali dwaj wysocy, krótko ostrzyżeni mężczyźni w ciemnych garniturach. W ich wyglądzie było coś takiego, że wystarczyło szybkie spojrzenie, aby stwierdzić, że to Amerykanie. Wyraźne, charakterystyczne rysy twarzy, luźny, ale formalny ubiór.

– Proszę mi oddać torebkę i odwrócić się do ściany – powiedział po angielsku jeden z Amerykanów, gdy podeszli bliżej.

Zerknęła na Bronzeliusa, który wzruszył tylko ramionami i skinął głową. Amerykanin podał torebkę swojemu koledze i dokładnie obszukał Gabriellę.

– Jest czysta – powiedział i wrócił na swoje miejsce.

Drugi z Amerykanów wyjął z torebki MacBooka i oddał go jej.

– Resztę odbierze pani przy wyjściu – wyjaśnił. Potem powiedział coś do mikrofonu, wyjął białą kartę i przeciągnął ją przez czytnik przy drzwiach. Rozległ się metaliczny pisk, drzwi się otworzyły i Amerykanin nacisnął klamkę, żeby wpuścić Gabriellę do środka.

W apartamencie czekała na nią kobieta, która siedziała w nowoczesnym czerwonym fotelu. Z okna za jej plecami rozpościerał się wspaniały widok na zasypany śniegiem Sztokholm. W pewnej chwili Gabriella poczuła się tak, jakby mogła wyciągnąć rękę i dotknąć pokrytego białym puchem dachu Urzędu Miasta.

Kobieta wyglądała na sześćdziesiąt kilka lat, ale mogła być starsza. Była niewysoka i szczupła, ubrana w granatową garsonkę, niebieskie spodnie i biały top. Makijaż miała delikatny i naturalny, farbowane na jasno włosy krótko obcięte. Wyglądała jak przeciętna, anonimowa kobieta z ulicy. Przypominała dyrektora albo urzędniczkę, kogoś, z kim przez dziesięć lat podróżujemy tym samym metrem i nigdy go nie zauważamy.

Kiedy Gabriella szła w jej kierunku, kobieta mierzyła ją czujnym wzrokiem. Miała szare, badawcze i zadziwiająco młode oczy. Czaiła się w nich odpowiedzialność i jakaś ciekawość płynąca z samotności. Gabriella usłyszała metaliczny trzask. Zamknęły się za nią drzwi.

Kobieta podniosła się z kanapy powolnym, płynnym ruchem. Podeszła do okna i stanęła tyłem do Gabrielli.

– Sztokholm to piękne miasto – powiedziała. – Sama się sobie dziwię, że wcześniej tu nie byłam.

– Czy to pani jest Susan? – spytała Gabriella.

Przestępowała z nogi na nogę i kurczowo ścisnęła w rękach laptop. Wszystko przebiegało bardzo szybko. W ogóle cała ta sytuacja była dla niej zaskakująca.

– Tak – potwierdziła kobieta. – Jestem dyrektorką Wydziału ds. Bliskiego Wschodu w CIA. To ja odpowiadam za to, co spotkało panią i pani klientkę. Jest mi naprawdę przykro. Zostałyście wplątane w tę sprawę fatalnym zrzędzeniem losu.

Gabriella nie skomentowała tej uwagi, tylko usiadła na jednej z kanap. Susan odwróciła się od okna i spojrzała na nią.

– Domyślam się, że powodem zamieszania jest ten laptop? – spytała.

Gabriella pochyliła się nad szklanym stolikiem i sięgnęła po jedną ze stojących na nim butelek. Nagle zachciało jej się pić. Otworzyła fantę i wzięła duży łyk prosto z butelki.

24 grudnia 2013

Norra Rimnö

Wszystko jest tu takie szare. Odwieczny zimowy półmrok szkierów o świcie i odwieczny zimowy półmrok szkierów pod wieczór. Fale nadal uderzają o skały obok nowego pomostu, zbudowanego koło hangaru dla łodzi, ale sztorm trochę zelżał, przesunął się na wschód i zostawił Klarę sam na sam z tym wszystkim, co jej pozostało. Z rozrachunkami. Kucała oparta plecami o świeżo malowaną ścianę hangaru, a z nieba spadały na nią wielkie płatki śniegu. Z tego, co kiedyś uważała za prawdę, nie pozostało nic. Nie pozostało też nic z tego kogoś, kogo kiedyś uważała za siebie samą – za Klarę. Nawet nie usłyszała, że podszedł do niej George. Zauważyła go dopiero w chwili, gdy usiadł obok.

– Wypadałoby powiedzieć „Wesołych świąt” – zaczął.

Klara odwróciła się ku niemu. Jego twarz nadal wyglądała strasznie. Była spuchnięta, poraniona, pokryta zaschniętą krwią.

– Wesołych świąt – szepnęła w odpowiedzi.

George podał jej kolorowy koc. W hangarze było ich pełno. Klara wzięła pled i się nim owinęła.

– Nie wejdiesz do środka? – spytał George. – Twoja babcia wygląda na niepokieszoną.

Klara ukryła twarz w miękkim kocu.

– Dłużej tego nie wytrzymam – mruknęła.

– To była długa noc i długi tydzień. Cholernie długi. Możesz zamarznąć tu na śmierć. Nie wiem, co wydarzyło się między tobą a babcią, nie wiem też, ile czasu nam zostało, ale czy nie skusiłabyś się na kanapkę z szynką?

– Nie jestem głodna.

– *Fair enough* – mruknął George i rozsiadł się wygodnie obok Klary. Objął ją, najpierw ostrożnie, a potem coraz pewniej, aż w końcu przyciągnął mocno do siebie. Klara nie protestowała i nawet oparła głowę na jego ramieniu. Wsłuchiwała się w szum fal, patrzyła na płatki śniegu i nie próbowała powstrzymać łez.

Kiedy w końcu uwolniła się z objęć George'a, oboje byli pokryci cienką warstwą śniegu. Strząsnęła go z włosów i wstała z ziemi. George zrobił to samo. Tak bardzo przemarzł, że szczekał zębami.

– Co teraz? – spytał.

– Kto to wie? – odparła Klara. – Gabriella ma porozmawiać ze swoim znajomym z Säpo. Jak się czegoś dowie, zadzwoni do Bossego, a on do nas.

W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące na pomost i stanął w nich dziadek Klary z dwoma kubkami parującego napoju.

– Kochanie, wejdź do środka, bo dostaniesz zapalenia płuc.

Przeszedł kilka kroków po zasypanym śniegiem pomoście i podał im naczynia. Powietrze wypełnił przyjemny zapach grzanego wina. George z wdzięcznością wziął od

niego kubek. Mężczyzna wyciągnął rękę do Klary i pogłaskał ją po wilgotnym policzku.

– Cokolwiek człowiek robi, zawsze jest źle – powiedział. – Tylko tego uczy nas życie.

Klara wzięła kubek, pochyliła się nad suchą, ciepłą dłonią dziadka i przyłożyła ją do swojego zmarzniętego, wilgotnego policzka. Pokręciła głową.

– Ale wy nie zrobiliście niczego złego – odparła. – Nie ma czegoś takiego jak „źle” albo „dobrze”. Zawsze robiliście dla mnie wszystko, czego potrzebowałam.

Dziadek przyciągnął ją do siebie. Pachniał grzańcem, kawą i wódką. W tym samym momencie George głośno zakaszłał.

– Co pan włożył do tego grzańca? – spytał.

Dziadek Klary odwrócił się do niego z przebiegłym uśmiechem.

– W jednej połowie to grzaniec, w drugiej Specjalność Szkierów – odparł. – Nie tylko Bosse ma tu dostęp do dobrej jakości alkoholu.

24 grudnia 2013

Sztokholm

Słodki napój nie pomógł. Gabriella czuła się tak, jakby coś dławilo ją w gardle. Chrząknęła i wypła kolejny łyk.

– Tak – odparła w końcu. – To ten laptop.

Pochyliła się i przesunęła go po stoliku w stronę Susan. W tym samym momencie otworzyły się drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia i do pokoju wszedł mężczyzna w wieku Gabrielli. Miał ciemne włosy i wygnieciony ciemny garnitur. A do tego białą koszulę bez krawata.

– To jeden z moich pracowników – wyjaśniła Susan. – Sprawdzi, czy to rzeczywiście ten komputer.

Gabriella znowu poczuła dławienie w gardle.

– W porządku – odparła. – Nie ma do niego dostępu, trzeba znać hasło. Same nie wiemy, co w nim jest.

Nerwowo przeciągnęła dłonią po włosach. Pomyślała, że powinna w końcu nad sobą zapanować, bo inaczej tamci zaczną coś podejrzewać. Musi się uspokoić.

– Być może to prawda – powiedziała Susan. – Pewnie ma pani rację. Obawiam się jednak, że będziemy musieli przeprowadzić z panią i jej klientką dłuższą rozmowę. Przydarzyło wam się coś, na co nie powinniście być narażone. I nawet jeśli to nie wasz błąd, mamy problem.

Zabrzmiało to jak groźba. W tym momencie oczy Susan były puste, zimne i wyrachowane. Gabriella przypomniała sobie, co mówił Amerykanin na wyspie. Jeśli ktoś nie ma argumentów, staje się bezradny.

Mężczyzna w pomiętym garniturze zerknął na Gabriellę, a potem otworzył laptopa i włączył go.

Gabriella zamknęła oczy. Tego już za wiele. Napięcie było zbyt silne. Przysłuchiwała się, jak informatyk stuka palcami w klawiaturę. Oparła się o kanapę. Czy nie powinno przyjść jej wcześniej do głowy, że plan może nie wypalić?

W końcu stukanie ucichło. Gabriella otworzyła ostrożnie oczy. Patrzyła przez wąską szparkę, jak gdyby nie miała odwagi przyjąć do wiadomości wyniku tej błyskawicznej kontroli. Mężczyzna siedział nad laptopem ze zmarszczonym czołem. Wpatrywał się w ekran i przebiegał po nim wzrokiem tak, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co na nim widział. Po dłuższej chwili odwrócił ekran w stronę Susan i spojrzał na Gabriellę.

– To jakiś żart czy co? – spytał.

Gabriella się wyprostowała. Zerknęła w stronę drzwi, przez które przed zaledwie kilkoma minutami weszła do pokoju.

– Czy nie dociera do was, że sytuacja jest naprawdę poważna? – spytała Susan. – Nie przekonało was to, przez co przeszliście? Co pani sobie, co jasnej cholery, wyobraża?

Susan nie wyglądała na kobietę, która na co dzień posługuje się przekleństwami.

Odwróciła ekran, żeby Gabriella też mogła na niego spojrzeć. Na białym tle widniał napis wykonany dużymi czerwonymi literami: fuck you fascist pigs! Napis zajmował cały ekran. Gdyby sytuacja nie była poważna, Gabriella roześmiałaby się w głos. Blitzie jest naprawdę taka, jak opisała ją Klara. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała za sobą dźwięk karty przesuwanej przez czytnik w drzwiach. Chwilę później jeden z ochroniarzy wsunął głowę do środka.

– Jeden z naszych szwedzkich kontaktów powiedział, że ktoś dzwoni do naszego gościa.

Mówiąc to, skinął głową w stronę Gabrielli. Wstrzymała oddech. Po chwili udało jej się otworzyć usta i wydusić z siebie kilka słów:

– Jeśli oczekuje pani na odpowiedź, to może lepiej będzie, jeśli odbiorę ten telefon? – spytała, zwracając się do Susan.

Głos znowu uwiązał jej w gardle, więc tylko wskazała ręką drzwi. Miała nadzieję, że będzie bardziej twarda i zdecydowana, ale z powodu stresu, nieprzespanej nocy i wszystkiego, przez co przeszła, straciła nad sobą panowanie. Sytuacja po prostu ją przerosła.

Susan spojrzała na nią zdumionym wzrokiem. Wyglądało to tak, jakby na jej gładkiej masce pojawiła się rysa.

– Telefon? – spytała. – Chyba pani ze mnie żartuje?

– Wcale nie. Jeśli chce się pani ode mnie czegoś dowiedzieć, to muszę odebrać.

Susan pokręciła głową i ręką dała znać informatykowi, żeby opuścił pokój. Mężczyzna wyszedł na korytarz.

– Zgoda – powiedziała Susan. – Ale rozmowa odbędzie się w tym pokoju, z włączoną funkcją głośnego mówienia.

Gabriella wzruszyła ramionami.

– *Whatever.*

Wstała z kanapy i podeszła do ochroniarza, który podał jej telefon.

– Głośne mówienie – przypomniała Susan.

Ona też wstała z kanapy, a w jej zimnych oczach pojawił się błysk niepewności. Rozmowa nie przebiegała po jej myśli, ale starała się zachować spokój. Już wiedziała, że musi zmieniać plan działania. Gabriella włączyła głośnik w telefonie.

– Mówi Gabriella – powiedziała po angielsku. – Będziemy rozmawiali przy włączonej funkcji głośnego mówienia.

W telefonie zapanowała cisza, bo żadna ze stron nie była pewna, kto powinien zacząć.

– Jak nasze interesy? – spytała w końcu Gabriella. – Jak ci poszło? Udało ci się...

– To jakaś popaprana sprawa – przerwał jej cienki dziewczęcy głos. – Wszystko jest jakieś pojebane. Ludzkie zwłoki i tortury, i w ogóle. Filmy i zdjęcia. Nie miałam za dużo czasu, żeby to dokładniej przejrzeć, ale jest tam pełno różnych okropieństw. Tego jestem pewna.

– To znaczy, że udało ci się złamać hasło? – spytała Gabriella.

Nagle poczuła się tak, jakby opuściła ludzką powłokę i patrzyła z góry na Susan, siebie i na telefon. Było to dość nierzeczywiste.

– Tak – odparła Blitzie. – Jasne, że tak. Kiedy ktoś na twoim komputerze wpisał hasło, zostało automatycznie przesłane do mnie. Potem już tylko je wklepałam. Poszło jak

z płatka. Co pani teraz robi?

Gabriella spojrzała na Susan, która dała jej znak, żeby skończyła rozmowę.

– Oddzwonię – powiedziała. – I już się tym nie zajmuj.

– Nie mam skłonności samobójczych – odparła Blitzie i się rozłączyła.

Susan usiadła ciężko w fotelu i milczała. Gabriella wyjrzała przez okno. Było już prawie zupełnie ciemno, na dodatek padał śnieg. Kolejne piękne święta Bożego Narodzenia.

– Sprytnie to rozegraliście – zaczęła po chwili Susan. – Być może dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli sprawa zostanie ujawniona. Zapewniam, że to nie my o tym decydowaliśmy. To był błąd. Operacja, która wymknęła nam się spod kontroli.

Gabriella wyczuła w jej głosie coś w rodzaju znużenia, rezygnacji.

– Powtarzam jednak, że wybuchnie ogromny chaos – kontynuowała Susan. – Mam na myśli Afganistan. To się źle skończy zarówno dla nas, jak i dla świata arabskiego. Jeśli te zdjęcia są tak straszne, jak opisała je pani znajoma, to po ich opublikowaniu ludzie zniechęcą nas jeszcze bardziej.

Na chwilę przerwała, jakby chciała się nad czymś zastanowić.

– Cała ta historia spowoduje też chaos w waszym życiu. Dotyczy to i pani, i Klary, i pani znajomej, która dzwoniła. Wiem, że to nie wasza wina, wiem, że zostałyście wplątane w tę historię wbrew waszej woli i brałyście udział w tej grze, bo nie miałyście innego wyjścia. Całkiem możliwe, że osiągnęłyście najlepszy wynik, na jaki było was stać, a może nawet wygrałyście coś więcej. Ale jeśli te zdjęcia ujrzą światło dzienne, nikt was nie ochroni. Siły, które tym wszystkim sterują, są zbyt potężne. I chociaż to, co się stało, rozgrywało się poza prawem, nie dopuścimy do tego, żeby te materiały ujrzały światło dzienne, bo będzie to miało negatywne konsekwencje także dla was. Chyba to pani rozumie? W chwili, gdy materiał zostanie upubliczniony, zostaniecie uznane za przestępców. I tak już nimi jesteście.

Gabrielli przypomniały się słowa Amerykanina, że jeśli nie będą mieć czegoś w zanadrzu, staną się bezbronni. Powiedział też, żeby nie dawały im tego, na czym im zależy.

– Jeśli ten materiał zostanie upubliczniony – powiedziała Gabriella.

Susan pochyliła się ku niej i spojrzała jej prosto w oczy.

– Słucham? Co pani powiedziała?

– Powiedziałam, że to, o czym pani mówi: chaos, zamieszanie, negatywne konsekwencje, jest uzależnione od tego, czy materiał zostanie opublikowany. Czy dobrze panią zrozumiałam?

Susan skinęła głową i przyglądała się Gabrielli ze zdumieniem.

– Ale my tego nie upublicznimy – kontynuowała Gabriella. – W każdym razie nie teraz. Będziemy strzec tych informacji. Ukryjemy je w kilku różnych miejscach, żebyście nigdy nie mogli odzyskać całości. Jeśli jednak zauważymy, że coś nam grozi, wciśniemy guzik i wszystko trafi do opinii publicznej. Ja nawet nie muszę oglądać tych plików. Klara też nie. Nie chcemy wiedzieć, co tam jest. Nie chcemy być odpowiedzialne za wybuch chaosu, o którym pani wspomniała. Chcemy dalej żyć i mieć to już za sobą.

To naprawdę niesłychane: jedyną osobą, która widziała zdjęcia i filmy mogące wywołać ogólnoswiatowy kryzys albo coś jeszcze gorszego, była szesnastoletnia dziewczyna

z Amsterdamu. Gabriella patrzyła na Susan, obserwowała jej zmęczoną twarz, czuła bijącą od niej władzę i miała świadomość, że jej rozmówczyni zna tysiące tajemnic, których nigdy nie będzie jej wolno ujawnić. Czy w takiej sytuacji może stracić nad sobą panowanie?

– Czy ufa pani swojej znajomej? – spytała Susan.

Gabriella wzruszyła ramionami.

– Mam nadzieję, że mogę.

Susan skinęła głową.

– Nie wiem, co powinnam zrobić – stwierdziła. – Nie chcemy, żeby ten materiał wyszedł na jaw. Zwłaszcza teraz.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

– Cóż mogę powiedzieć? – stwierdziła w końcu. – Musimy chyba pokładać nadzieję w tym, że pani znajoma potrafi dochować tajemnicy. Chyba się pani domyśla, co nastąpi, jeśli się na niej zawieziemy?

Na twarzy Susan pojawił się uśmiech.

– Równowaga sił – powiedziała. – Groźba wzajemnego unicestwienia. Nigdy nie sądziłam, że właśnie takimi słowami będę musiała opisać stosunki łączące Stany Zjednoczone z dwójką młodych szwedzkich prawniczek. Wygląda jednak na to, że czasy się zmieniają.

Susan wstała fotela i wyciągnęła rękę do Gabrielli. Ta przyjęła ją z wahaniem.

– A teraz proszę mi opowiedzieć, jak to zrobiliście – poprosiła Susan. – Mam na myśli tę czarodziejską historię z rozmową telefoniczną. Mój pracownik sprawdził numer matrycy w laptopie i potwierdził, że pokrywa się z numerem komputera, który straciliśmy. A mimo to nie jest to ten sam laptop. Mam wprowadzić swoje lata, ale nie rozumiem, jak to się stało.

– Nasza znajoma wymieniła twarde dyski – wyjaśniła Gabriella. – Wzięła podobny laptop i wymieniła środek. Oznacza to, że informacje są teraz zapisane w tym drugim komputerze. Na tym, który leży przed nami, zainstalowała program, który skopiował hasło i przesłał je do niej za pośrednictwem niewielkiego nadajnika zainstalowanego w środku. To chyba zwykła karta 3G. Kiedy dostała hasło, wystarczyło już tylko wejść na oryginalny twardego dysku. Proste jak drut. Tak to właśnie określiła.

– Widzę, że faktycznie żyjemy w nowych czasach – przyznała Susan.

– Mamy jeszcze jeden warunek – powiedziała Gabriella. – Chodzi o tego Amerykanina, który wczoraj zjawił się na wyspie. Klara chce się o nim jak najwięcej dowiedzieć.

Susan zrobiła smutną minę.

– Przez cały czas dzieje się tyle ważnych rzeczy – powiedziała. – Gra toczy się o najwyższą stawkę. Tracimy przez to ludzi. Dzieje się tyle, że przestaje to mieć znaczenie.

Potem wyjęła z kieszeni długopis i napisała coś na skrawku papieru, który podała Gabrielli.

– Niech się ze mną skontaktuje, gdy trochę do siebie dojdzie. O wszystkim jej opowiem. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. I dla niego.

26 grudnia 2013

Sztokholm

Zapadł zmierzch. George stał niepewnie przed wejściem do budynku przy ulicy Rådmanngatan, w którym mieszkał jego ojciec. W końcu wszedł do środka i pojechał na górę. Stojąc w windzie, wpatrywał się w lustro. Nie przypominał już bohatera horroru, ale do normalnego wyglądu wiele mu jeszcze brakowało.

George zadzwonił do ojca w wigilijny wieczór, żeby poinformować go, że miał wypadek samochodowy i dlatego nie zjawi się na wspólnym świątecznym posiłku. Staruszek zareagował z początku irytacją, ale potem nieoczekiwanie wyraził troskę o jego zdrowie. George z wielkim trudem odwiódł ojca od pomysłu, na który ten wpadł podczas rozmowy; ojciec postanowił wsiąść w pierwszy lepszy samolot, polecieć do Brukseli i odwiedzić syna w szpitalu. W trakcie rozmowy George wspomniawszy bowiem, że trafił tam po wypadku.

Tymczasem dzwonił ze swojego mieszkania w Sztokholmie, z dzielnicy Vasastan, które znajduje się piętnaście minut spacerem od rodzinnego domu. To właśnie tam w towarzystwie policyjnej eskorty przewieziono go helikopterem ze szkieletów. Gabriella zapewniała, że udało jej się wynegocjować dość niezwykłą umowę.

W końcu dotarło do niego, że nigdy się nie dowie, o co tak naprawdę chodziło w całej tej sprawie. Postarały się o to Klara i Gabriella. Zrozumiał jedynie, że w grę wchodził jakiś komputer, filmy i rząd amerykański. Tylko tyle udało mu się ustalić. Szczerze mówiąc, niezbyt mu zależało na dotarciu do prawdy. Jakiś facet z Säpo przeprosił go nawet za to, co się stało. Twierdził, że doszło do strasznego nieporozumienia. Prosił też, żeby George nigdy nie zdradził się przed nikim z tym, co go spotkało. Nie wyjaśnił mu jednak, co się stanie, jeśli to zrobi. W jego słowach łatwo było jednak wyczuć niezawołowaną groźbę.

Zresztą i tak nie miało to zbyt wielkiego znaczenia, bo George nie zamierzał o tym z nikim rozmawiać. Chciał po prostu o wszystkim zapomnieć: o koszmarze, którego doświadczył, i bezsennej nocy. Oczyma wyobraźni widział zmasakrowaną twarz Kirsten. Każdy niespodziewany dźwięk brzmiał w jego uszach jak wystrzał.

Nabrał głęboko powietrza i nacisnął dzwonek. Już po dwóch sekundach drzwi się otworzyły i w progu stanął jego ojciec z rozłożonymi ramionami.

– George! – zawołał. – Synu marnotrawny!

Objął go, ale tym razem zrobił to tak, jak chyba nigdy przedtem. Po chwili odsunął syna od siebie, żeby przyjrzeć mu się dokładniej.

– Wyglądasz strasznie – powiedział. – Wejdz i nalej sobie porządną szklaneczkę armaniaku. Chyba wolno ci pić alkohol? Zresztą to nieważne, i tak musisz się napić. Ellen! Zrób mu porządnego drinka! Nigdy wcześniej nie widziałem kogoś, kto by go potrzebował bardziej niż on!

Ojciec wprowadził George'a do salonu. Na kanapach w małych grupkach czekali pozostali

członkowie rodziny. Wszystko wyglądało jak zwykle. Rozświetlona świeczkami choinka stała w tym samym rogu pokoju co zawsze. Stół ugiął się od smakołyków, a ogień na kominku płonął tak intensywnie, że George zaczął się niepokoić, czy przewód kominowy wytrzyma taką temperaturę.

Cała rodzina zebrała się wokół, żeby obejrzyć jego rany. Żartowali, że nie potrafi prowadzić samochodu, i pytali, w jakim stanie znajduje się jego audi. Inni zaś próbowali wcisnąć mu talerz z tradycyjnym świątecznym indykiem i dodatkami.

W końcu usiadł na kanapie z porcją sera na talerzu i szklaneczką portwajnu. Część rodziny już się pożegnała, inni rozeszli się po pokojach. George poczuł, że jest najedzony i że bardzo mu ciepło. Zrobił się senny i ociężały. Tak przyjemnego uczucia doświadczył po raz pierwszy od tej pamiętnej, strasznej nocy. Niecałe trzy dni wcześniej pobił Kirsten i uciekł łodzią na wyspę. Minęły trzy dni, od kiedy zastrzelił dwóch facetów.

A teraz jeszcze święta. Rodzinny nastrój. Dawniej tego nie cierpiał, a teraz niespodziewanie przestało mu to przeszkadzać. Nagle poczuł się tak, jakby najpierw przez długi czas zmarznął, a potem zanurzył się w ciepłej kąpieli. Rozsiadł się wygodniej na kanapie i postanowił rozkoszować się spokojem i poczuciem bezpieczeństwa.

– Śpisz?

George uniósł wzrok i ujrzał Ellen. Stała w drzwiach ubrana w szlafrok. Ogień na kominku przygasł, ale nadal słabo się żarzył, wypełniając pokój przyjemnym ciepłem.

– Nie – odparł George.

Język mu się plątał i kleił do suchego podniebienia. To przez ten słodki portwajn. Podniósł się z trudem. Rzeczywiście zasnął.

– Chcieliśmy poczekać z prezentami do jutra rana, aż dojdiesz do siebie – powiedziała Ellen. – Ale wczoraj kurier przyniósł paczkę. Pomyślałam, że pewnie będziesz chciał ją zobaczyć.

Ellen podała mu czworokątną przesyłkę z nadrukiem DHL. Zainteresowała go. Wyciągnął rękę i wziął paczkę. Była kwadratowa, trochę mniejsza od pudełka na buty. Poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. Ze strachu zakręciło mu się w głowie.

– Dziękuję – odparł. – Otworzę ją później.

– Oczywiście, zrobisz, jak zechcesz.

Po tych słowach wyszła rozczarowana z pokoju.

George położył paczkę na stoliku i zaczął się jej przypatrywać. Ellen powiedziała, że kurier przyniósł ją wczoraj, czyli już po wszystkim. Wyobraźnia podpowiadała mu, że w pudełku może być bomba. Wrogowie postanowili ich zlikwidować, żeby usunąć niewygodnych świadków.

Ale paczka nie była zbyt ciężka. Jeśli to rzeczywiście bomba, nie może mieć dużej siły rażenia. Czy naprawdę nie mają innych sposobów na zabijanie ludzi niż wysyłanie bomby kurierem?

W końcu ciekawość wzięła w nim górę nad strachem. Jednym zdecydowanym ruchem sięgnął po pakunek i rozerwał taśmę, którą był oklejony.

W środku znajdowało się pudełeczko z wiśniowego drewna, ze srebrną plakieta na

górze. George poczuł, że serce wali mu w piersi. Nie ze strachu, tylko z ciekawości. Na plakietce widniał napis „Officine Panerai”. George wstrzymał oddech i otworzył pudełko.

Na dnie leżał piękny zegarek marki Panerai 360 M Luminor. George’a aż zatkało na ten widok. Czarna koperta, lekko pozłacane cyferki. Delikatne, dyskretne wykończenie. Jasny skórzany pasek. George wpatrywał się w prezent i nie wierzył własnym oczom. Ciekawe, ile takie cacko kosztuje? Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Więcej? Zresztą nie wiadomo, czy ten model można jeszcze kupić. Wykonano tylko trzysta takich egzemplarzy.

Kiedy trochę się uspokoił, zauważył niewielką kopertę leżącą na wyściełanym aksamitem dnie pudełka. Rozerwał ją i znalazł w niej krótki liścik po angielsku:

George,

przyjmij ten dowód naszego szacunku. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Liczymy na to, że zjawisz się w biurze nie później niż 3 stycznia.

Pod listem podpisał się Appleby. George zatrzasnął pudełko, oparł się o kanapę i zamknął oczy. Merchant & Taylor. Appleby. Od razu przypomniało mu się wszystko, przez co przeszedł, wszystko, na co go narazili. Powrót do firmy był wykluczony. Na sto procent.

Powoli się wyprostował, pochylił i spojrzał na pokrywę pudełka. Domyślił się, co jest w środku. Certyfikat, dodatkowy pasek na rękę, mikroskopijnych rozmiarów narzędzia w niewielkiej torebce. Ostrożnie uniósł pokrywę i wyciągnął rękę, żeby dotknąć szybki, pod którą leżał zegarek.

Bez pośpiechu wyjął go z pudełka i uniósł, żeby dokładnie mu się przyjrzeć. Oglądał go na wszystkie strony, zainteresował się też napisem wygrawerowanym na tylnej części koperty.

W końcu, na próbę, założył go na rękę. Poczuł dotknięcie miękkiej skóry i chłód ciemnego metalu. Zegarek był świetnie wyważony. Pasował, jak gdyby wykonano go specjalnie dla niego.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Poczuł, jak ogarnia go fala ciepła. Duma. Podniecenie. Tak, życie ma teraz o wiele większą wartość niż kiedykolwiek wcześniej.

1 kwietnia 2014

Waszyngton D.C., USA

Klara oparła głowę o brudną szybę taksówki. Na uszach miała słuchawki, słuchała *Spiegel im Spiegel* Arvo Pärta. Po Bożym Narodzeniu przez większą część czasu leżała w swoim łóżku u dziadków i słuchała tego utworu na okrągło, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści razy dziennie. Gapiała się w sufit, a z pokoju wychodziła tylko do toalety albo żeby coś przegryźć. Wyjęła kartę z telefonu, bo nie chciała rozmawiać ani z Gabriellą, ani z żadnym ze swoich przyjaciół w Brukseli. Oficjalnie przebywała na zwolnieniu lekarskim z powodu wypalenia zawodowego.

W końcu straciła rachubę czasu i sama już nie wiedziała, jak długo tak leżała. Dwa dni? Tydzień? Słuchała muzyki i patrzyła w niespokojne twarze dziadków.

Ale i tak nie udało jej się uniknąć rozmowy z Gabriellą. Któregoś dnia przyjaciółka zjawiała się po prostu w pokoju. Była trochę bardziej niespokojna niż zwykle. Jakby się postarzała. Nie zważając na protesty Klary ani na jej anemiczny wybuch złości, wywlokła ją z łóżka.

Ubrała ją ciepło, a potem sprowadziła schodami na dół i wyprowadziła na dwór, gdzie przy łodzi czekali na nią dziadkowie i Bosse. Zmusili ją, żeby popłynęła z nimi na Wyspę Przemysłowców. Dziadek wyjaśnił, że robią to po to, aby ponownie objąć wyspę w posiadanie, uwolnić się od strachu i odzyskać władzę nad wspomnieniami.

Zostali tam przez całe popołudnie. Nic tam nie przypominało już o tej strasznej nocy. Nie było zwłok, śladów krwi ani dziur po pociskach. Nie było niczego. Ot, zasypany śniegiem kawałek lądu na morzu. Bosse przywiózł kuchenkę i zaparzył dla wszystkich kawy. Prawie ze sobą nie rozmawiali.

Później poszło już łatwiej. Głównie dzięki Gabrielli, która zajęła się praktycznymi rzeczami. Zadzwoiła do Boman, przedstawiła się jako adwokat Klary i w jej imieniu zrezygnowała z dalszej pracy. Najpierw jednak wymusiła na eurodeputowanej roczną odprawę dla swojej klientki. Gabriella dzielnie się trzymała. Całą tę sytuację znosiła o wiele lepiej niż Klara. Do pracy wróciła jeszcze przed sylwestrem. Wiman poinformował ją, że została współnikiem. Najmłodszym w kancelarii, a być może nawet w całej Szwecji.

Klara zwlokła się w końcu z łóżka i postanowiła wrócić do dawnej formy. Zaczęła od prostych czynności w domu. Gotowała posiłki z babcią, pływała łodzią z dziadkiem.

Jakiś tydzień później przebrała się w lepsze ubranie i pojechała z Bossem do miasta. Najpierw do małego Söderköping, żeby nie doznać szoku w zetknięciu z potęgą cywilizacji. Kupiła kilka książek w kieszonkowym wydaniu, spacerowała wśród zimowych krajobrazów i starała się wrócić do normalnego rytmu. Wieczorem wybrała się do kina w Norrköping. Oglądała jakąś głupią komedię, ale dzięki niej poczuła, że znowu żyje.

Kilka tygodni później przyjechała do Sztokholmu, żeby spotkać się z Gabriellą. Poszły oczywiście na zakupy do NK i Nitty Gritty. Odwiedziły nowe bistro, jadły ostrygi i mięso. Potem zamówiła kilka drinków i trochę przekomarzała się z pewnym brodatym copywriterem na kanapie w Riche. Śmiała się, wypiła nieco za dużo, a potem powlokła się do domu z kielbaską kupioną w jednym ze sklepów sieci 7-Eleven. Powoli przyzwyczajała się do codzienności, do cudownego zwykłego życia.

Niestety, po powrocie na szkiery poczuła, że wszystko, co się stało, nadal bardzo jej ciąży. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że została zdradzona. Przez ojca, Cyrila, a przede wszystkim przez samą siebie. Bez względu na to, jak o tym wszystkim myślała, nie potrafiła przegonić myśli, że Mahmoud zginął przez nią. I że przez nią zginął jej ojciec.

Wiedziała jednak, że nie może tak dalej żyć. Leżeć w pokoju, w którym mieszkała jako nastolatka, i na okrągło wałkować tych spraw. Rozumiała, że uwolni się od tego tylko wtedy, gdy wróci do aktywnego trybu życia.

W połowie marca skontaktowała się ze swoim dawnym nauczycielem i promotorem Mahmouda. Umówili się na lunch w Hali Targowej w Uppsali.

Lyset niewiele się zmienił. Miał stalowosiwe włosy i trzymał się prosto. Tak jak dawniej palił camele bez filtra. Od razu się domyślił, że Mahmoud zginął z zupełnie innego powodu, niż opisywały to gazety. Dziennikarze opierali teksty na raporcie sporządzonym przez Bronzeliusa i jego kumpli od PR-u. Lyset nie dał sobie wmówić, że Mahmoud w ramach swoich obowiązków służbowych wszedł w kontakt z członkami siatki terrorystycznej, a potem próbował ją zinfiltrować na potrzeby pracy naukowej. Według oficjalnego raportu właśnie to doprowadziło do jego bohaterskiej śmierci. Na szczęście Lyset nie próbował wydobyć z Klary żadnych informacji, za co była mu wdzięczna. Zgodził się też bez wahania, żeby dokończyła pracę doktorską, nad którą pracował Mahmoud.

Pojechała więc do Brukseli i zajęła się przeprowadzką. Wynajęła niewielką kawalerkę w Luthagen i urządziła się w gabinecie Mahmouda. Dziwnie to wyglądało, ale czuła, że musi to zrobić.

A kiedy lody na rzece puściły, a w Noc Walpurgii w Uppsali zapłonęły tradycyjne ogniska, wyjęła kartkę z e-mailem do Susan.

Poprosiła taksówkarza, żeby zatrzymał się przy stacji metra Smithsonian. Kiedy wysiadła z taksówki, w twarz uderzyła ją fala wiosennego ciepła. National Mall był już zielony, pełen miłośników joggingu i tych, którzy przychodzili tutaj na lunch. To jej pierwsze godziny w Ameryce. Jak to się stało, że przyjechała tu dopiero teraz? Wszystko wydawało jej się takie znajome. Zdjęła słuchawki, żeby chłonać nowe otoczenie bez filtra.

Dziesięć minut później znalazła się przed Kapitołem. Włączyła na komórce aplikację z mapą Waszyngtonu. Skręciła w Independence Avenue, obeszła kompleks budynków Kongresu i skierowała się w lewo, na First Avenue. Wdychała zapach lata, hot dogów i cebuli z ulicznych budek. Obserwowała, jak kobiety i ubrani w garnitury mężczyźni spieszą ulicą na kolejne ważne, a zarazem bezsensowne spotkania. Czuła się trochę zagubiona. Jeszcze pół roku temu była kimś innym. Żyła w innym świecie i w innym czasie.

W końcu znalazła się w miejscu, gdzie umówiła się na spotkanie. Amerykański Sąd

Najwyższy. Biała fasada, uroczysty wygląd. Budynek przypominał rzymską świątynię.

Klara od razu ją zauważyła. Kobieta stała po lewej stronie, w połowie schodów. Samotna, drobna i blada. Całkiem przeciętna, jak ktoś, na kogo nie zwracamy uwagi. Jej rozmówczyni tak właśnie opisała się w e-mailu. Klara spojrzała na napis w górnej części budynku. *Equal justice under law*. Czyżby Susan chciała z niej zakpić i dlatego wybrała właśnie to miejsce?

Klara weszła po schodach i usiadła o jeden stopień wyżej niż Susan, lekko po skosie.

– Witam w Waszyngtonie – powiedziała Susan, nie odwracając się do niej.

Udawała, że wpatruje się w tylną ścianę siedziby Kongresu. Klara milczała. Czowała się tak, jakby nie wiedziała, gdzie jest.

– Lato w tym roku zacznie się wcześniej – rzuciła Susan.

Klara skinęła głową.

– Na to wygląda.

Susan odetchnęła głęboko.

– No to słucham – powiedziała. – Czego chciałabyś się dowiedzieć?

Wokół rozbrzmiewał typowy miejski hałas. Ruch uliczny, dźwięki syren. Klara się pochyliła i nabrała w płuca ciepłego powietrza. Tak, teraz wszystkiego się dowie.

– Kim on był? – spytała.

Z początku wydawało się, że Susan nie dosłyszała. Po chwili jednak odwróciła się ku niej powoli. Jej oczy były szare jak skały na szkiełkach, popiół albo brzytwa.

– Lubił pływać – odparła.

Podziękowania od autora

Dziękuję wszystkim pracownikom wydawnictwa, a zwłaszcza Helene Atterling, która od razu się domyśliła, jak książka ma wyglądać. To dzięki niej miałem warunki, by zrealizować to zamierzenie. Na moje podziękowanie zasługują też: Åsa Selling, Astri von Arbin Ahlander, Håkan Bravinger, Johan Jarnvik i Pelle Hilmersson – teraz twoja kolej. Na samym końcu dziękuję mojej ukochanej żonie, Liisie – *We did it*.

-
- ¹ Svenskt Tenn – szwedzka firma zajmująca się projektowaniem i wyposażaniem wnętrz, którą od założenia w 1924 roku charakteryzuje oryginalny, elegancki styl (przyp. tłum.).
 - ² *Tabbouleh* – odmiana arabskiej sałatki warzywnej z pomidorów i kuskusu z dodatkiem cebuli, czosnku, ogórka i czerwonej papryki. Nazywana bywa też „sałatką libańską” (przyp. tłum.).
 - ³ K.d. Lang – właściwie Kathryn Dawn Lang; kanadyjska piosenkarka, lesbijka, zaangażowana w walkę o prawa homoseksualistów (przyp. tłum.).

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Lipiec 1980 roku. Damaszek, Syria](#)

[8 grudnia 2013. Uppsala](#)

[8 grudnia 2013. Wyspa na szkiecach](#)

[17 grudnia 2013. Bruksela, Belgia](#)

[Sierpień 1980. Wirginia Północna, USA](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela, Belgia](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[Styczeń 1985. Sztokholm](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[Wiosna 1988 roku. Afganistan](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[19 grudnia 2013. Bruksela](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[Wiosna 1991. Kurdystan](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[20 grudnia 2013. Sztokholm](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[Wiosna 1994 roku. Kwatera główna CIA w Langley, Wirginia, USA](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[Czerwiec 2002. Karlsborg](#)

[20 grudnia 2013. Bruksela](#)

[Maj 2003. Afganistan](#)

[20 grudnia 2013. Sztokholm](#)

[20 grudnia 2013. Paryż](#)

Maj 2003 – grudzień 2010. Północna Wirginia, USA

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Bruksela

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Północna Wirginia, USA

20 grudnia 2013. Paryż

20 grudnia 2013. Waszyngton, USA

20 grudnia 2013. Sztokholm

20 grudnia 2013. Waszyngton, USA

21 grudnia 2013. Amsterdam

21 grudnia 2013. Arkösund, Szwecja

21 grudnia 2013. Amsterdam

23 grudnia 2013. Sztokholm i Arkösund

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia 2013. Sztokholm i Arkösund

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Arkösund

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Wyspa pośród szkierów

23 grudnia 2013. Norra Rinnö

24 grudnia 2013. Sztokholm

[24 grudnia 2013. Norra Rimnö](#)

[24 grudnia 2013. Sztokholm](#)

[24 grudnia 2013. Norra Rimnö](#)

[24 grudnia 2013. Sztokholm](#)

[26 grudnia 2013. Sztokholm](#)

[1 kwietnia 2014. Waszyngton D.C., USA](#)

[Podziękowania od autora](#)

[Przypisy](#)